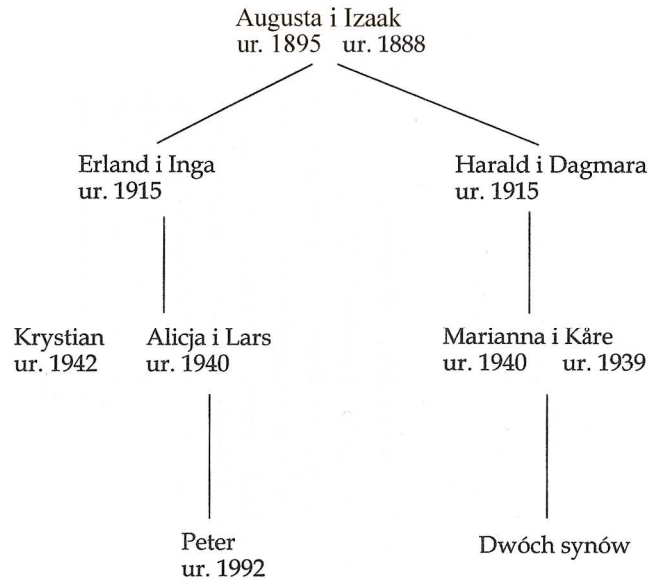


MAJGULL AXELSSON

DOM AUGUSTY

(PRZEŁOŻYŁA: KATARZYNA TUBYLEWICZ)



prolog

LIS WIDZI TO, CZEGO NIE DOSTRZEGA NIKT INNY.

Jest jak miedziany wykrzyknik w miedzianym lesie, bada jesień, sporządza mapę jej poruszeń i woni: Trop zapachów wije się krętymi ścieżkami; lis musi nieustannie zbaczać w najgęstsze zarośla, drapie suchą ziemię pod wyrwanymi korzeniami uschłych drzew, próbuje wpełznąć w pachnące norki małych, włochatych zwierząt, wpycha pysk w leżący na ziemi dywan zbutwiałych liści. Raz na jakiś czas zamiera w pół kroku i nadstawia uszu na nowe dźwięki; ciche, szeleszczące dźwięki, układające się cieniutką koronką nad odległym hukiem, który zawsze wypełnia las jego matki.

Tak. To jej las. W tym rajskim ogrodzie tysiąca zapachów zapach matki jest wciąż najsilniejszy. Jak obietnica pojawia się w każdym oddechu pocieszające, choć kłamliwe przyrzeczenie, że w każdej chwili lis może zawrócić, pobiec z powrotem do jej nory i stać się jednym z wielu lisich szczeniaków. Często przystaje i przekręca głowę w kierunku matki. Przez kilka pustych chwil spogląda wstecz, a potem odwraca się i robi próbny skok, pełen gracji skok dorosłego, polującego lisa; został mu on zaszczerpiony po to, by mógł samodzielnie żyć i nie głodować. Sekundę później pędzi dalej, wiedziony od jednej tęsknoty ku drugiej.

To z tęsknoty zbliża się tajnymi ścieżkami do zupełnie innego świata; do świata, który wypełnia las jego matki odległymi dźwiękami i zapachami. To dlatego pewnego ranka stoi na złocistej polanie, przyglądając się pierwszemu w życiu człowiekowi.

To dziewczyna. Żółta trawa wokół niej zeszywniała od nocnego mrozu, dziewczyna w ręku ma kilka zgniłych ździebeł, musiała je chwycić chwilę przedtem, nim przestała się poruszać. Przez chwilę lis przygląda jej się schowany w krzakach paproci. Może dziewczyna zaraz zaciśnie dłoń i usiądzie, może przesunie ręką po nagiej czaszce, żeby strzepnąć kilka zmiętych liści i wyblakłych jagód, które jak strupy przyłgnęły do jej wilgotnej skóry. Może oplecie się ramionami dla osłony przed porannym chłodem.

Jednak dziewczyna nie porusza się. Minęła już cała wieczność, a ona wciąż leży bez ruchu. Lis ośmiela się i wypęła z paproci. Obchodzi ją szerokim kołem, nadstawia uszu, nasłuchuje. Nie, dziewczyna już się nie poruszy, ta istota już nigdy nie usiądzie i nie przesunie ręką po swojej łysej czaszce. Tylko jej zapachy będą jeszcze długo żyły, słodkie, wypełniające całą polanę zapachy, które tężeją i gęstnieją, w miarę jak poranek staje się coraz cieplejszy. Lis nie jest już w stanie się powstrzymać, jego pożądanie, silniejsze niż

ostrożność, sprawia, że zaczyna podskakiwać. Sekundę później stoi przy ciele dziewczyny i przesuwa pyskiem po mokrej od rosy, białej powierzchni jej skóry.

Właśnie zaczyna zlizywać krew, która wypłynęła z ust, kiedy w lesie pęka jakaś gałąź i na polanę sączy się nowy zapach. Nagle wyrwany z odurzenia lis sztywnieje i nadstawia uszu. Nie zastanawia się długo. Nowy zapach zdąża jedynie musnąć jego nozdrza, a on już odpełza i znika wśród paproci. Nie zostaje tam, tylko pędzi dalej przez krzaki i zarośla. Trop zapachów jest teraz zupełnie prosty. Lis ucieka.

Na polanę powraca dopiero po zapadnięciu zmierzchu. Nie jest już złocista, jej barwy ściemniały i pogłębiły się, aż stała się brązowa. Trawę zdeptały ciężkie buty i nie leży już na niej żadna dziewczyna z garścią zmarzłych ździebeł trawy w ręku.

Lis skomli, na próżno tęsknił. Przykłada pysk do ziemi i pociesza się tym, co po dziewczynie pozostało. Jej wonią. Wspomnieniem jej tysiąca słodkich zapachów.

Część I

SZEPTY DOMU.

Słyszy je, jak tylko zamknie oczy. Ciche, szeleszczące dźwięki, których nie sposób rozróżnić ani zrozumieć. Można tylko domyślać się z nich słów i zdań, bo szeptane są na melodię wszystkich baśni. Szeleszczący szmer sący się z niewidocznych zakamarków. Kanciaste spółgłoski staczają się ze schodów jak kulki do gry. Krótkie, pozbawione tchu pauzy wypełniają niemożliwą do usłyszenia baśń, nasycając ją znaczeniami.

Raz po raz Alicja otwiera oczy właśnie wtedy, kiedy już prawie udało jej się zasnąć. Za pierwszym razem zadowala się zapaleniem lampki przy łóżku, za drugim wstaje, żeby zamknąć drzwi, za trzecim podsuwa krzesło pod klamkę. Nic nie pomaga. Kiedy po zgaszeniu światła wraca do łóżka i zwija się w kłębek pod czerwoną pikowaną kołdrą, dom znowu zaczyna szeptać.

W zasadzie nie ma w tym nic dziwnego. Alicja przespała wiele nocy w domu Augusty i wie, że mieszkają w nim cienie. Niektóre z nich są zresztą jej własne: to w tym domu była kiedyś małą, puciołowatą dziewczynką na wakacjach i chudą nastolatką, która uciekła z domu. To tutaj którejś wiosny krwawiła w połogu, przysięgając, że nigdy więcej nie zbliży się do mężczyzny, i to tu, kilka lat później, odrzuciła na bok kołdrę, żeby złamać przysięgę. Od tamtej pory przez jej ciało przepłynęły dni, tygodnie, miesiące i lata, które stworzyły ją na nowo. Jednak na przekór wszystkim zmianom zachowała jedno, nigdy niewypowiedziane na głos przeświadczenie: zawsze wiedziała, że w domu Augusty skryły się głosy z całego stulecia, że długo leżały w kątach i zakamarkach, czekając na przyjście właściwego czasu. Ich czasu. Czasu opowieści.

Może teraz nadszedł właściwy czas, może razem z Alicją przybył dzisiejszej nocy właśnie do tej części Roslagen. Może to dlatego ołowiane chmury pędzą tak szybko po czarnym niebie, a sto koni parska z podniecenia w swoich stajniach, kiedy śni im się ta sama galopada. Może to dlatego w pustych domkach letnich zaczęły nagle migotać zajączki światła z zeszłego lata, w tych samych domkach, które jeszcze niedawno stały ciemne i ślepo zapatrzone w morze, zamknięte na wszystko z wyjątkiem łagodnego deszczu neutrin, które nieustannie przenikają ziemię i wszystko, co znajduje się na jej powierzchni.

Chociaż tę noc wypełniają baśnie, jest bardzo spokojnie. W Häverödal ciemność zamyka przeszłość, która jest potężniejsza od przyszłości. Przed sklepem w Herräng pali się samotna latarnia. Pierwszy wiosenny wiatr muska na próbę ziemię i sprawia, że mały dąbek porusza się przez sen. Tylko woda w kopalni odkrywkowej Glittergruvan jest czarna i nieruchoma – niemo i wyniośle strzeże swoich tajemnic. Kilkanaście kilometrów na południe dym z fabryki papieru powoli opada z wysokich kominów, zatokę Hallstavik

zasnuwają coraz gęstsze mgły.

Nocna zmiana w fabryce porusza się jak w tańcu, jest tak późno, że powolnieją wszystkie ruchy. Brak słów. Tancerzy poustawiano daleko od siebie, w wielkich salach starcza teraz miejsca tylko dla jednej lub dwóch osób. To dlatego nikt nie widzi samotnej młodej kobiety – nowej na tej zmianie – którą nagle chwyta niewytłumaczalny lęk. Zamyka oczy i przyciska się do ściany z cegieł, próbuje się w nią wtopić, zniknąć, stać się niewidzialna. Po kilku sekundach to mija. Kobieta otwiera oczy i głęboko wciąga powietrze, potem zawstydzona sama sobą wzrusza ramionami i wraca do swojej maszyny.

Zaraz obok fabryki, zaledwie kilka metrów od otaczającego ją muru, przycupnął mały kościółek. Czeka na jutrzejszy pogrzeb. Przygotowano już wszystko, co się dało: wytrzepano i sprawdzono całun, leży teraz starannie złożony w szafce, w zakrystii; przed ołtarzem ustawiono dwa kozły, na których postawi się trumnę, na czarnych tablicach wywieszono numery psalmów, które będzie się jutro śpiewać. W kościele jest jeszcze cicho, słychać tylko pieśń fabryki, monotonny basowy ton, który w dzień i w nocy, latem i zimą śpiewa o wolnych stanowiskach pracy i o dochodach z eksportu.

Jeśli wsłuchać się uważnie, pieśń tę można usłyszeć również na ukrytych w lasach pomiędzy Hallstavik i Herräng nieogrodzonych wsiach. One pamiętają, że jeszcze całkiem niedawno Roslagen było ugorem i dziką krainą – miejscem, w którym mogłeś przycupnąć i zapatrzeć się w dal, udając, że przez przypadek nie usłyszało się nawoływania panów. Tutejsze drogi są wąskie i wyboiste, w lasach kryją się liczące po kilkaset lat kopalniane szyby, na dębowych wzgórzach drzemią prawie już zapomniane stare domostwa.

Nordanäng jest właśnie taką wioską. Domy stoją w niej blisko siebie, ale nie tak blisko, żeby z jednego domu móc zobaczyć drugi. Widok zasłaniają stodoły z ciosanego drewna i krzywe stajnie, wybujane krzaki leszczyny i porośnięte mchem skały. Można spokojnie wyjść nago do ogrodu w samym środku wsi i nie zostać przez nikogo zobaczonym. Za to jeśli chce się wypowiedzieć na głos tajemnicę, lepiej wejść do środka i zamknąć za sobą drzwi. Ludzkie głosy niosą się tu daleko, dużo dalej niż w innych miejscach. Gdyby Alicja otworzyła okno i powiedziała coś w noc, jej głos dotarłby aż do białego domu; gdyby Andżelika uchyliła drugie okno, usłyszałyby na pewno jej słowa.

Ale żadna tego nie robi. Obie czuwają w zamknięciu.

Nie wiedzą, jak bardzo są do siebie podobne pomimo dzielących je lat – tych, które już były i tych, które dopiero nadejdą. Leżą z otwartymi oczami i z zaciśniętymi dłońmi, każda w innym łóżku, każda w innym domu, i próbują zapanować nad myślami. Andżelika jest w tym lepsza. Kiedy wpatruje się w ciemność, w zwojach jej mózgu skaczą cyfry. Kristoffer leży obok z ramieniem na jej piersi, ale Andżelika nie ma jeszcze odwagi go odsunąć. Najpierw poczeka, żeby zasnął tak głęboko, aż nie będzie można dosłyszeć jego oddechu. Liczenie jest niezawodną pomocą dla tych, którzy muszą unikać wielu

myśli. Działa w każdej sytuacji, przy śniadaniu i w autobusie, na boisku szkolnym i w łóżku, działa nawet wtedy, kiedy jeździ się na rowerze po całym Hallstavig, wrzucając do skrzynek na listy ulotki reklamowe. Nikt nie zauważa, że liczysz, wyglądasz na zupełnie normalną osobę, która jest bardzo zajęta robieniem zupełnie normalnych rzeczy.

Czasem Andżelika liczy pieniądze, innym razem – dni. Wczoraj najistotniejszym wynikiem było sześćset dwadzieścia trzy. Rano najistotniejszym wynikiem stanie się zatem sześćset dwadzieścia dwa. Zakładając, że dobrze policzyła. Zakładając, że w ciągu najbliższych dwóch lat nie będzie roku przestępnego – zapomniała to sprawdzić. Jeśli wszystko będzie się zgadzało, to wracamy do liczby sześćset dwadzieścia trzy. Tak czy siak, już za miesiąc będzie mniej niż sześćset dni. Dwadzieścia trzy dni da się jakoś wytrzymać. I do tego jeszcze sześćset. Innym się udało. Inni wytrzymali, odłożyli pieniądze i zaraz po ukończeniu osiemnastu lat kupili sobie małą kawalerkę...

Kristoffer wzdycha przez sen i przysuwa się jeszcze bliżej. Jego ciepły oddech jest tak blisko jej policzka, że Andżelika musi odwrócić głowę, żeby móc złapać trochę powietrza. Leżenie w łóżku staje się męczarnią. Wilgotna gmatwanina prześcieradła, zbyt ciężka kołdra, lepkość między udami, kucyk, który jest jak guz na karku. Chciałaby usiąść, ściągnąć z włosów gumkę, a potem długo i porządnie drapać skórę głowy. Później przeczesałaby jeszcze palcami mokre od potu włosy. Zresztą nie, dlaczego palcami... szczotką. Musi wyszczotkować włosy. Nie może już zwlekać, musi to zrobić zaraz. Natychmiast. W tej sekundzie.

Andżelika unosi ostrożnie ramię Kristoffera i wyślizguje się z łóżka. Odrobine przesuwając poduszkę i miękko układa na niej jego rękę. Przez kilka sekund siedzi bez ruchu, czujnie wsłuchując się w rytm jego oddechu. Zauważył coś? Nie, śpi głęboko. Jeżeli będzie poruszała się po cichu, może dziś w nocy robić prawie wszystko, na co będzie miała ochotę.

Ściąga gumkę z włosów i drapie głowę tępymi paznokciami. Przyjemnie, ale niewystarczająco, musi przejechać po niej ostrymi, metalowymi drutami... Szczotka powinna być jeszcze w plecaku, nie pamięta, żeby ją z niego po przyjściu wyjmowała. Plecak stoi obok biurka. Teraz chodzi o to, żeby się tam dostać, nie przewracając w ciemności jakichś mebli.

W pokoju Kristoffera jest dużo mebli. Dużo mebli, dużo kolorów i dużo wzorków. Była zaskoczona, kiedy przyszła tu po raz pierwszy. Spodziewała się czegoś zupełnie innego niż stara zielona wykładzina na podłodze, tapety w brązowe kwiatki i szarobure zasłony. Myślała, że chłopak, którego ojca stać na kupno stadniny koni i którego mama jest artystką – tak o nich mówiono w szkole – będzie miał piękny pokój, pełen drogich rzeczy. Wyobrażała sobie przestronne wnętrze z białymi ścianami, ciemnymi obrazami i staroświeckim brązowym biurkiem. Pokój do wypoczynku.

Jednak w pokoju Kristoffera nie ma miejsca na wypoczynek, a jego biurko z IKEA

jest tak samo białe, jak to, które ona sama zostawiła w mieszkaniu Kariny. Biurko Kristoffera różni się jedynie tym, że lakier na nim zaczyna żółknąć ze starości. Poza tym w jego pokoju stoją jeszcze krzesła ogrodowe, zwykłe białe krzesła z plastiku. Brzydkie krzesła. Cały pokój jest po prostu brzydki, brzydszy od wszystkich brzydkich pokoi, które widziała. Brzydszy od zabałaganionego salonu Marianny. Brzydszy od pustego pokoju mamy i Bakcyla. Brzydszy od sypialni Siri z jaskraworóżowymi firankami z tiulu...

Ostatnia myśl jest drżąca i płochliwa. Andżelika nie chce myśleć o Siri i jej pokoju, nie chce pamiętać o tym, że jutro jest pogrzeb. Teraz musi dostać się do swojej szczotki. Zaczyna posuwać się na kolanach, macając ręką w powietrzu, żeby po drodze nie potraćić jakiegoś chwiejnego krzesła ogrodowego. Nie zauważa, że wstrzymuje oddech; dopiero kiedy ręka muska nylonowy materiał plecaka, Andżelika czuje, jak jednym westchnieniem wypuszcza powietrze i zaczyna oddychać normalnie. Wkłada rękę do plecaka i koniuszkami palców błędzi po jego zawartości: podręcznik do matematyki, kosmetyczka i – nareszcie! – metalowe druty szczotki.

Przyklęka i na próbę przejeżdża nią po włosach. Tak, jest dokładnie tak dobrze, jak miało być. Teraz nie może się już powstrzymać, pochyla głowę, strząsa włosy na twarz i znika w nich jak w jaskini. Potem szczotka rozpoczyna swoją wędrówkę od karku, przez ciemność, falistym ruchem poprzez włosy aż do podłogi.

Alicja też rozpuściła włosy i zasłoniła twarz ich długimi pasmami. Wciąż leży w łóżku. Jest tak zajęta odganianiem myśli o pocztówce, którą wczoraj dostała, że zupełnie zapomina o bronieniu się przed innymi myślami. Pod powiekami roi się od obrazów, pojawiają się i znikają, mieszanina obcych i dobrze znanych twarzy, wszystkie tak samo wykrzywione. Mina Larsa w chwili gniewu: wysunięta do przodu dolna szczęka i nieruchomy wzrok. Łysa dziewczynka z zakrwawionymi ustami. Roześmiany mężczyzna spogląda na nią przez ramię, ma jasne oczy, jego czerwona twarz błyszczy od potu. Twarz Augusty zastygła w grymasie śmierci...

Alicja mocniej zaciska oczy i naciąga na ramiona pikowaną kołdrę. Nie dostrzega ryzyka związanego z tym niemal zapomnianym wspomnieniem, które niespodziewanie wypływa na powierzchnię. Wręcz przeciwnie, czepia się go łapczywie i w jednej chwili staje się tamtą nastolatką, która pewnego letniego, słonecznego dnia, dawno temu, pływała w chłodnych wodach zatoki Strömsviken. Ma miękką skórę, prężne mięśnie, błyszczące jak macica perłowa błony śluzowe. W jej ciele nie istnieje nic pękniętego ani szeroko otwartego, nic w jej wyglądzie nie zdradza, że nie zawsze była taka gładka i niedostępna, jaka wydaje się teraz.

Złotobrunatna woda pachnie żelazem i jest gładka niczym lustro, tylko ruchy Alicji marszczą jej nieruchomą powierzchnię. Alicja nie chce burzyć spokoju zatoki, więc stara się utrzymywać ramiona pod powierzchnią. Przygląda się ich powolnym ruchom. Kolor

wody sprawia, że wydają się żółtobiałe, obce. Przypominają jej o pojemnikach ze spirytusem w sali biologicznej, w których pływał płód kurczaka, kota i niedonoszony płód ludzkiego dziecka. Nie chce o nich myśleć. Dlatego, nie przestając płynąć, przewraca się na plecy, a potem pozwala, żeby unosiła ją woda. Mruży oczy przed słońcem. To dzieje się właśnie wtedy: czyjaś ręka zaciska się nagle wokół jej kostki, a druga w tej samej chwili wślizguje się pomiędzy uda i zaczyna je pieścić. Dwa sztywne palce szukają brzegu kostiumu kąpielowego, rozsuwają wargi sromowe i szybko wślizgują się w pęknięcie...

Alicja zaciska oczy i otwiera usta, jej ciało mięknie, otwiera się. Zanim dopadnie ją panika, przez chwilę pozwala, by to się po prostu działo. Potem wyrывa się niezdarnym szarpnięciem, leci w dół, usiłuje złapać powietrze i wymachując rękami, kopie muliste dno. W gorączkowej sekundzie zdąża zauważyć unoszące się do nieba stado czarnych ptaków, które płoszy jej krzyk – tak jakby to wszystko działo się z kimś innym, nie z nią, nie z Alicją.

Później widzi go, jak wynurza się z wody. Ma zaciśnięte powieki, lśniące, jasne ramiona i opalone na brązowo ręce. Woda ścieka mu po twarzy, odgarnia grzywkę. To Kåre, młody Kåre, z pozbawioną włosów klatką piersiową i podskakującym, niedawno dopiero dojrzałym jabłkiem Adama. Jest pewny siebie, śmieje się.

– Co, kurde – krzyczy – jesteś ślepa i głucha? Nie słyszałaś, że przyszliśmy?

„Przyszliśmy?” Alicja parska i odwraca się w kierunku pomostu. Stoi na nim ubrana w bikini à la Bardotka Marianna ze swoim sztucznym uśmiezkiem na ustach. Podnosi rękę i macha do nich. Ten gest jest sztywny jak u lalki, tak jakby Marianna wiedziała, co przed chwilą wydarzyło się pod wodą.

Alicja siada i przeciąga ręką po karku, jak gdyby to tam właśnie schowało się to brudne wspomnienie, jakby można je było zetrzeć jednym ruchem. Chłód pokoju dotyka jej pleców, Alicja wzdryga się, ale i tak odkrywa kołdrę i zsuwa stopy na zimne linoleum.

Lepiej pogodzić się z faktem, że tej nocy i w tym pokoju nie będzie mogła zasnąć. W ogóle nie jest w stanie spać w tym domu. Lars miał rację. Nie pociesza jej to, że miał ją z niewłaściwych powodów.

Nie chciała, żeby pojechała na ten pogrzeb. Nigdy nie chce, żeby gdzieś wyjeżdżała, chociaż sam ciągle się przemieszcza – w realnym świecie, pomiędzy uniwersytetami i salami wykładowymi oraz w cyberprzestrzeni, po matematycznych archipelagach. Kiedy jest w domu, chce mieć Alicję na wyciągnięcie ręki, za dnia w pokoju, a nocą w sypialni. Ma być oczami, które go zawsze widzą, uszami, które go słuchają, głosem potwierdzającym jego istnienie.

Alicja wahała się ponad tydzień. Zapomniała o tym tamtego popołudnia, kiedy po przyjściu do domu znalazła na dywanie w przedpokoju pocztówkę, którą wrzucił tu przez

otwór w drzwiach listonosz. Czas na kilka sekund stanął w miejscu, a potem zaczął płynąć w przeciwnym kierunku. Jeszcze zanim się schyliła, żeby podnieść kartkę, wiedziała, kto jest jej nadawcą i o czym pisze, tak jakby już wiele razy przeczytała te kilka słów. Rzeczywiście. Dobrze zgadła. Szare światło popołudnia zamigotało i zmieniło odcień na złoty, potem poczerwieniało, w końcu zbladło i całkowicie zbielało. Dopiero wtedy Alicja zauważyła, że zapomniała zdjąć rękawiczki, że obraca kartkę palcami w brązowej skórce. Zmieszana pomyślała, że kolory zgadzają się ze sobą, jakby kupiła te rękawiczki tylko po to, żeby pasowały do taniej pocztówki z reprodukcją *Kobiety czeszącej włosy* Degasa. Zaraz jednak zapomniała o ironii. Dopiero kiedy usłyszała kroki Larsa na klatce schodowej, zdjęła rękawiczki i złożyła kartkę na pół. Przez sekundę pomyślała o białej linii, która powstanie w miejscu złożenia i zepsuje obrazek, a potem włożyła kartkę do kieszeni spodni. Kiedy Lars położył rękę na klamce, odwieszała już kurtkę na wieszak. Na plecach poczuła jego uśmiech.

Dopiero następnego rana powiedziała mu, że wybiera się na pogrzeb. Wcześniej spędziła obok niego bezsenną i niespokojną noc. Przez długie godziny leżała, słuchając jego oddechu, czasem przysypiała po to, żeby zaraz znowu się obudzić i dalej czuwać.

Kiedy nareszcie było rano, Lars wstał i zaczął robić śniadanie, a Alicja próbowała zmyć z siebie zmęczenie pod prysznicem. Idąc z łazienki do kuchni, poczuła zapach świeżo zaparzonej kawy i przypieczonych tostów, ale dopiero kiedy usiadła przy kuchennym stole, uświadomiła sobie, że wcale nie czuje się winna, że to nie ona, tylko Lars przygotował śniadanie. Trochę ją to zdziwiło.

Przez cały czas trwania ich małżeństwa Alicji towarzyszyło poczucie winy, jakby wyrządzała Larsowi krzywdę tym tylko, że jest sobą. Nie chodziło jedynie o sprawy, które pominęła milczeniem, ale także o tę bierność, z którą pozwoliła kiedyś wpędzić się w małżeństwo, z góry przygotowana na nieuchronne, czyli na to, co w jej świecie stanowiło konsekwencję związków małżeńskich. Awantury. Oskarżenia. Obelżywe słowa, którymi kobieta obrzuca mężczyznę, kiedy ten podnosi na nią rękę.

Z nimi stało się jednak inaczej. Przez dwadzieścia siedem lat oscylowali pomiędzy troskliwością a zobojętnieniem, fascynacją a poirytowaniem, miłością a wrogością, ale Lars ani razu jej nie uderzył, a ona sama nigdy nie obrzuciła go przekleństwami. Byli wobec siebie niezmiennie grzeczni, tak uprzejmi, że nawet podczas kłótni nie podnosili głosu. Mimo to nigdy nie stopili się w całość. Alicja nie umiała ot tak, po prostu zanurzyć się w jego objęciach, a Lars wypatrywał zawsze czegoś innego ponad jej ramionami.

Alicja nigdy nie przestawała za nim tęsknić. Odkąd za niego wyszła, czekała na przyjście chwili, kiedy w końcu zbierze się na odwagę, aby powiedzieć mu, kim jest naprawdę i kim była kiedyś. Tej nocy przyszło jej do głowy, że pocztówka stanowi znak;

może teraz Lars mógłby już usiąść spokojnie obok i wysłuchać jej bez protestów, wyrzutów i komentarzy. Jednak w szarym świetle brzasku uświadomiła sobie, że to tylko złudzenie. Znajduje się w tym samym punkcie, w którym znajdowała się od lat trzydziestu: jest za późno. W jakiś sposób zawsze było za późno, jakby fakt, że nie powiedziała Larsowi prawdy na swój temat w tej samej sekundzie, w której się spotkali, zmuszał ją do zamilknięcia na zawsze. Dlatego żyła tak tchórzliwie, tak opieszale, w takim zakłamaniu. Niemo przyklaskiwała jego ślepotcie, jego odmowie przyjęcia do wiadomości, że kiedyś istniało życie, które należało tylko do niej. Do Alicji.

Może właśnie z tego powodu wykrzywił wargi w grymasie niezadowolenia, kiedy odłożyła w końcu swoją poranną gazetę i powiedziała, że zdecydowała się pojechać na pogrzeb. Wyrusza zaraz po pracy, przenocuje w domu Augusty. Natychmiast rozpoczął długi i wyważony monolog, który miał doprowadzić ją do zmiany zdania. W rzeczy samej nie pojmuję, dlaczego w ciągu ostatnich lat w Alicji tak bardzo rozbudziły się uczucia rodzinne. Siri była w końcu tylko jedną z jej licznych kuzynek, w dodatku dużo starszą. Z tego, co Lars wie, nie znaczyła dla Alicji więcej niż pierwszy lepszy znajomy. Czy może zamierza teraz twierdzić, że były sobie bliskie? Nie starczyłoby, gdyby wysłała jakiś wieniec?

Do tej chwili Alicja siedziała z niezmienionym wyrazem twarzy i ze wzrokiem utkwionym w gazecie. Teraz opuściła ją i spojrzała na Larsa znad okularów. Odwrócił oczy, ale nie poddawał się.

– Poza tym dom będzie kompletnie wyziębiony. – Marianna może tam dziś pojechać i włączyć ogrzewanie.

– Pozostaje pytanie, czy w ogóle będzie woda. Latem były kłopoty z hydroforem.

Alicja bez słowa przerzuca swoją gazetę. W odpowiedzi Lars podnosi trochę głos, pod powierzchnią czai się prawdziwa kłótnia.

– A może Marianna zreperowała także hydrofor? Jeśli tak, to bardzo sprytnie. Powinnaś polecić ją swoim kolegom z Muzeum Techniki, mogłaby być pomocna przy konserwacji zabytków. Niecodziennie spotyka się starą babę, która potrafi zreperować hydrofor z lat czterdziestych.

Alicja odkłada gazetę i zdejmuje okulary.

– Co cię naszło?

Lars unika jej wzroku.

– To chyba nie mnie naszło.

– Pojadę do Hallstavik i zostanę tam na jedną noc. Jutro wieczorem będę z powrotem, zaraz po pogrzebie wracam do domu. Co w tym takiego strasznego?

– Czy powiedziałem, że jest w rym coś strasznego? Konstatuję tylko, że dom jest

lodowato zimny i że najprawdopodobniej nie ma w nim wody...

Konstatuję tylko, że...

Oczy Alicji zwężają się w niechcianym uśmiechu. Lars uśmiecha się szeroko nad sztokholmskim dodatkiem „Dagens Nyheter”. Burza odparta, groźba awantury została zażegnana. W początkach ich małżeństwa „Konstatuję tylko, że...” było ulubioną repliką Larsa, sięgał po nią za każdym razem, kiedy się ze sobą nie zgadzali. Doprowadzał tym Alicję do szału. Za każdym razem ćwiartowała te słowa, rozmontowywała do imentu, rozrywała zębami.

– To odpowiedź godna pozbawionych kręgosłupa tchórzy – mówiła. – Bojaźliwa próba schowania się za rzekomą obiektywnością.

Lars najpierw był kompletnie zaskoczony jej wściekłością, przecież nigdy nie bywała nawet zła. Później wytrącił jej broń z ręki, obracając wszystko w żart. Obecnie: „Konstatuję tylko, że...” stanowiło sygnał. Oznaczało, że Lars złożył broń i wymachuje białą flagą.

Mimo to jeszcze raz spróbował ją przekonać, tyle że mniej wprost i z większą troską. Pogłaskał ją po włosach, kiedy zatrzymała samochód przed wydziałem matematyki i na moment oparła głowę na jego piersi. Za szybą dęby wyciągały do chmur swoje czarne gałęzie, mżyło, wycieraczki odpoczywały przez chwilę, zanim ponownie przejechały po szybie.

– Będiesz mogła spać w nocy? – zapytał Lars. – Zupełnie sama, w tym starym domu? Nie mogłabyś przenocować u Marianny i Kårego?

Alicja wyprostowała się. Przez mgnienie oka kusilo ją, żeby powiedzieć prawdę: dostała kartkę, potrzebuje czasu i samotności, żeby w ogóle odważyła się nad tym zastanowić. Naturalnie nie mogła tego zrobić. Gdyby powiedziała prawdę, musieliby siedzieć w tym samochodzie przez wiele godzin i dni.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziała i położyła ręce na kierownicy. – Zadzwoń do ciebie, jeśli nie będę mogła zasnąć.

Kiedy znowu zapaliła silnik, on wciąż jeszcze stał na deszczu. Po przejechaniu kilku metrów podniosła rękę, żeby mu pomachać. Miała nadzieję, że Lars dojrzy ten gest przez tylną szybę, ale on już się odwrócił i zaczął iść. W bocznym lusterku mignęły jej tylko jego plecy.

Ma zadzwonić do niego teraz?

Nie. Oczywiście, że nie. Piętnaście po pierwszej, jeżeli w ogóle jest w domu, to już śpi. Nie było go, kiedy dzwoniła parę godzin temu. Wykręciła numer, gdy tylko zatrzymała samochód na podjeździe Augusty. Ciemny dom przytłoczył ją, wolałaby

słyszeć głos Larsa, kiedy będzie wkładała klucz do zamka i wchodziła do środka. Lars nie odbierał, stała więc sama na ciemnej werandzie z telefonem komórkowym przyciśniętym do ucha, słysząc sygnał za sygnałem. Wyobrażała sobie, jak w pustych pokojach ich domu odpowiada echo. W końcu włączyła się automatyczna sekretarka. Jeszcze przez chwilę Alicja słuchała swojego własnego głosu, nie zostawiła żadnej wiadomości.

Potem chodziła po domu Augusty i zapalała wszystkie lampy, z wyjątkiem lampy naftowej w garderobie na poddaszu, gdzie nigdy nie było oświetlenia elektrycznego. Otworzyła drzwi tylko na chwilę, żeby zobaczyć, że wszystko jest takie jak zawsze, że nic się nie zmieniło od ponad czterdziestu lat. Potem znowu je zamknęła i zeszła na dół. Zatrzymała się w przedpokoju i w żółtym świetle przyglądała się swojej twarzy w pokrytym czarnymi punkcikami lustrze. Już teraz wyglądała jak uczestniczka pogrzebu. Błyszczące oczy, rozmazujący się kontur ust, jakby zaraz miała zacząć płakać. Złudzenie optyczne. Nie będzie płakała, ani w nocy, ani jutro, podczas pogrzebu. Lars miał rację: Siri i ona nigdy nie były sobie bliskie, nie łączyło ich nic poza powierzchowną znajomością. Kiedy Alicja jako dziewczynka spędzała wakacje u Augusty, Siri była już dorosłą kobietą, a w późniejszym życiu widywały się tylko podczas wielkich spotkań rodzinnych. Nigdy nie wiedziały, o czym ze sobą rozmawiać, posyłały sobie tylko niewyraźne uśmiechy.

Dopiero teraz, kiedy Siri nie żyje, Alicja uświadamia sobie, że istnieje temat, który zainteresowałyby je obie. Mogłyby porozmawiać o Mikaelu i Andżelice.

Nie żeby ich naprawdę znała, nigdy w życiu nie spędziła nawet jednego dnia z Andżeliką, a z Mikaelem tylko jeden – ten dzień pozostał w niej jak ukojenie. To było kilka lat temu, kiedy Karina musiała pojechać z Siri na badanie w szpitalu w Norrtälje, a Andżelice obiecano kilka dodatkowych godzin roznoszenia ulotek. Alicja spotkała Karinę w Hallstavik i obiecała jej, że zajmie się dzieckiem. Lars i tak wybierał się tego dnia do Sztokholmu na konferencję. Później żałowała, że się zgodziła, była poirytowana, czuła, że dała się naciągnąć. Jakie mogła mieć pojęcie o zajmowaniu się niedorozwiniętym pięcioletkiem? Poza tym potrzebowała samotności. Coraz bardziej i coraz częściej.

Jednak obietnica była obietnicą. Wcześniej rano poszła więc do mieszkania w bloku koloru piasku, żeby zabrać stamtąd Mikaela. Po raz pierwszy stała w przedpokoju Kariny i błędziła wzrokiem po salonie. To był obcy jej świat: pomarańczowa sofa z lat siedemdziesiątych, obita powycieranym bouclé, lambrekin, którego rachityczne niebieskie kwiatki sprawiały wrażenie przeciążonych cienką warstwą kurzu, w kącie telewizor, na podłodze chodnik z gałganków. To wszystko. Żadnych roślin w doniczkach. Żadnych książek. Nawet plastikowego kwiatka w pustym wazonie na stoliku. Przez głowę przemknęło jej słowo „nędza”, zamknęła oczy i ze wstydem usiłowała je wymazać.

Była zupełnie nieprzygotowana na to, że Mikael tak chętnie z nią pójdzie. W zasadzie jej nie znał: spotkali się tylko kilka razy, ostatnio przed paroma tygodniami. Spodziewała się raczej długich namów i przekonywań. Zaopatrzyła się w torebkę cukierków, która czekała teraz w schowku pod deską rozdzielczą, i kilka książek rysunkowych z biblioteki, ale nawet nie musiała o nich wspominać. Mikael bez wahania podał jej rękę i zszedł z nią na dół. Odwrócił się tylko, żeby pomachać, kiedy wyszli na podwórko, a Karina zawołała go po imieniu z balkonu.

To był łagodny dzień. Cichy dzień. Mikael nie mówił dużo, za to często szukał ręki Alicji i pokazywał jej coś palcem albo gestami. Po pewnym czasie ona też wyciszyła się i kiedy czasem się odzywała, mówiła stłumionym głosem, robiąc długie pauzy pomiędzy słowami. Dzień był spokojny i wciąż na nich czekał. Alicja zrozumiała, że nie musi pędzić przez ten dzień, tak jak zwykła pędzić przez wszystkie swoje dni.

Zjedli lunch pod jabłonią. Potem poszli na pastwisko i karmili konie kostkami cukru, a w drodze do domu nazrywali koniczyny i rumianków na nasypie rowu. Kiedy wrócili do domu Augusty, słońce chowało się już za chmurami. Mikael ziewał, gdy siadali na bujanym fotelu. Alicja wzięła chłopca na kolana i chciała mu przeczytać bajkę, ale nie zdążyła nawet zacząć, kiedy on oparł głowę na jej piersi i zasnął.

Na dworze szybko się chmurzyło, kolory w pokoju gasły jeden po drugim – zapanował zmierzch, chociaż było dopiero wczesne popołudnie. W oddali zagrzmiało. Alicja rozbujała fotel i objęła chłopca ciasniej ramionami. Kiedy pierwsza kropla deszczu uderzyła o szybę, przypomniała sobie, że nie zamknęła drzwi wejściowych. Ale nie miało to znaczenia. Nagle nic, zupełnie nic nie miało znaczenia.

Obudził ją wzrok Mikaela, mały leżał bez ruchu w jej ramionach i patrzył na nią spod przymrużonych powiek. Pogłaskała go palcem po policzku, w odpowiedzi cicho westchnął. Siedzieli tak aż do przyjścia Andżeliki: bez ruchu, głowa chłopca na piersi kobiety, jego spojrzenie zatopione w jej oczach.

Andżelika była w białej kurtce przeciwdeszczowej i czarnych dżinsach, miała krótkie białe palce i czarny lakier do paznokci. Biała twarz, czarne i wąskie, jak namalowane tuszem brwi; ściągnięty na czubku głowy kucyk opadał na kark. Była dziewczyną, która wyraźnie wolała kontrasty od kolorów. Nie udało jej się jednak uniknąć tego, co było spadkiem po Auguście dla wszystkich kobiet z rodziny. Włosy Andżeliki były gęste i miały kasztanowobrazowy kolor.

Nie dała się namówić na żadną z rzeczy, które proponowała jej Alicja. Ani na kilka zimnych naleśników, które zostały z lunchu, ani na sok, ani na bułeczki. Odmówiła nawet skorzystania z ręcznika. Pokręciła przecząco głową, aż z końskiego ogona trysnęły krople deszczu. Nie potrzeba. I tak znowu wyjdzie na deszcz, przyszła tylko po to, żeby zabrać Mikaela do domu. Muszą się pośpieszyć, autobus, którym przyjechała, zaraz będzie z powrotem, miał dojechać tylko do Herräng i zawrócić.

Tak więc i tamtego dnia w domu Augusty zapanowała bieganina i wrzawa. Nie żeby Alicja miała zamiar pozwolić Andżelice i Mikaelowi jechać autobusem, ale dlatego, że Andżelika samą swoją obecnością zmuszała ją do pośpiechu. Dziwna dziewczyna, miała zaledwie czternaście lat, ciągle była po dziecinnemu pulchna, ale w jej twarzy było coś zamkniętego, a rysy – ostre jak brzytwa. Niemo przystała na propozycję Alicji, że podrzuci ich z powrotem do Hallstavik. Kiedy Alicja zamknęła drzwi do domu Augusty i wsunęła klucz do kieszeni spodni, Andżelika odchrząknęła i powiedziała:

– To jest również nasz dom.

Alicja na moment znieruchomiała i zawahała się, potem uśmiechnęła się przelotnie i ruszyła w kierunku samochodu.

Gdzieś w białym domu Andżelika wciąż jeszcze szczotkuje włosy – wolniej, z większym opanowaniem, teraz się tym rozkoszuje. Usiadła wyprostowana, z nogami skrzyżowanymi po turecku, opierając się o biurko Kristoffera. Przesuwa szczotką po włosach długimi, pełnymi namysłu ruchami.

Włosy są jedynym powodem, dla którego Andżelika wytrzymuje bycie Andżelika. Reszta nie jest zadowalająca. Biust za mały. Brzuch zbyt wypięty. Uda za grube. Usta za wąskie. Ręce zbyt toporne. Skóra za bardzo przezroczysta. Myśli zbyt dziwaczne.

Andżelika wie, jak powinien myśleć normalny człowiek. Przez całe życie obserwowała swoje otoczenie i starannie układała w pamięci to, co mówią i robią inni. Próbowwała ich potem naśladować, upodobniać się, ale jakoś nigdy się to nie udawało. Andżelika wie, że wypada lubić lato i nie cierpieć jesieni, ale i tak oddycha z ulgą za każdym razem, kiedy zaczyna się listopad. Wie, że powinno się narzekać na szkołę, a przy tym ostro kuć, ale sama lubi lekcje i świetnie daje sobie na nich radę, chociaż nigdy nie uczy się w domu. Wie, że trzeba uważać, żeby nie zostać uznaną za dziwkę, ale i tak przespała się już z tyloma chłopakami, że nie chce wszystkich pamiętać, a tych, z którymi się prowadziła, jest jeszcze więcej. Wie, że należy wywracać oczami, mówiąc o swoich rodzicach, ale od czasu do czasu trzeba też zatrzepotać rzęsami, wyjaśniając, że tak na-pra-wdę to mama i tata są najlepsi na świecie. Sama nie jest w stanie nawet wymówić tych słów, utykają jej w gardle jak gruda, robi jej się od nich niedobrze. A już przede wszystkim trzeba umieć okazywać uczucia. Kiedy człowiek jest zadowolony, powinien odrzucić głowę do tyłu i wybuchnąć perlistym śmiechem, a kiedy jest smutny – pochylić się i pozwolić sobie na łzy. Ale Andżelika nie potrafi płakać. Nie płakała od czasów dzieciństwa. Nie wie, jak to się robi.

Zazwyczaj uważa, że to dobrze. Dzięki temu jest niezależna. Wolna. Ma moc patrzenia wrogom w oczy. Czasem jednak dostrzega, że brak łez czyni ją bardziej podatną na zranienie, niż zrobiłby to płacz. Obnaża ją. Sprawia, że jest postrzegana jako ta, z którą coś jest nie w porządku.

Nie wszyscy to zauważają. Tylko niektórzy. Tylko niektórzy wiedzą, że jest inna. Andżelika unika ich, stara się im wymknąć, milczy w ich obecności. Zazwyczaj nie ma z tym problemów, w zasadzie tylko od Rebeki nie może się uwolnić. Rebeka siedzi kilka ławek za nią i Andżelika całymi dniami czuje na swoich plecach jej wzrok.

W podstawówce były koleżankami. Nie najlepszymi – żadna z nich nigdy nie miała najlepszej koleżanki – ale zawsze. Oznaczało to, że Andżelika czasami szła po szkole do Rebeki, że siadała przy stole w jej jasnej kuchni, podczas gdy Rebeka, stojąc przy kuchennym blacie, robiła kakao. Jednego dnia częstowała nim koleżankę, a drugiego nie. Andżelice nigdy nie udawało się przewidzieć, kiedy dostanie poczęstunek, chociaż miało to duże znaczenie. Dni, w których Rebeka wyjmowała tylko jeden kubek, nie były dobrymi dniami. Wtedy Andżelika z góry wiedziała, że Rebeka będzie egzekwowała swoje prawa własności i łapała każdą rzecz, po którą Andżelika spróbuje sięgnąć: to przecież jej lalki Barbie, jej komiksy, jej blok rysunkowy i jej farby. Kończyło się to tak, że Andżelika siedziała bez ruchu na podłodze, nie mogąc nic powiedzieć ani zrobić, podczas gdy siedząca obok niej Rebeka sama bawiła się w coraz bardziej sztuczne i zawile zabawy. W te dni wydawało jej się, że Rebeka kłamie. Że nie bawi się, tylko coś odgrywa. Jakby chciała udowodnić, że jedynym zadaniem życiowym Andżeliki jest patrzeć na nią, na Rebece, bycie jej publicznością.

Mimo to Andżelika zawsze przytakiwała, kiedy Rebeka pytała, czy chce ją odwiedzić. Odmowa stanowiłaby zbyt dużą ofiarę. Nie bywała u niej dla lalek Barbie, komiksów ani farb, nawet nie po to, żeby bawić się z samą Rebeką. Chodziło jej o dom. Tylko o to. Chciała posiedzieć u Rebeki w domu.

Kiedy po raz pierwszy do niego weszła, zabrakło jej tchu: jakby otworzyła drzwi do opowieści, bardzo prawdziwej i wiarygodnej historii o tym, jakie byłoby życie, gdyby od początku właściwie się układało. W domu Rebeki wszystko było takie, jakie być powinno. Meble jakby specjalnie zaprojektowane i wykonane dla tych wnętrz. Ciemne obrazy jakby namalowane specjalnie dla tych ścian. Liczne książki, które robiły wrażenie napisanych i oprawionych po to, żeby dodawać ciepła i klimatu temu właśnie domowi. Nawet puszyste ręczniki i miękki papier toaletowy w łazience były takie, jak trzeba. Zupełnie oczywiste i zupełnie na miejscu.

Tylko jeden raz Andżelika spotkała kogoś dorosłego w domu Rebeki. Mężczyznę. Otworzył brązowe drzwi wejściowe, kiedy Andżelika miała już iść do domu i wkładała w przedpokoju kalosze. Z początku jej nie zauważył, wzrok miał utkwiony w jakichś kopertach, które trzymał w jednej ręce. W drugiej niósł teczkę. Odstawił ją na czarne płytki podłogi w przedpokoju i z roztargnieniem zaczął macać ścianę w poszukiwaniu kontaktu. Dopiero kiedy żółte światło znajdującej się pod sufitem lampy wypełniło przedpokój, mężczyzna podniósł wzrok, zamrugał i popatrzył na nią. Uśmiechnął się.

– A kimże jest ta osóbką?

Głos Andżeliki zamienił się w szept.

– Koleżanką ze szkoły.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Bezimienną koleżanką?

Andżelika spuściła oczy i naciągnęła czapkę głęboko na czoło. Nic nie odpowiedziała.

– No? – naciskał mężczyzna. – Jak ci na imię?

Andżelika pochyliła głowę i wymamrotała:

– Andżelika...

– No proszę – powiedział – więc odwiedził nas dziś mały aniołek.

Z głębi domu doszedł ich głos Rebeki:

– Tatusiu! Już wróciłeś?

Brzmiało to, jak zawsze u niej, sztucznie. Ale to i tak był jej dom, jej tata, jej życie.

Teraz Rebeka i Andżelika nie są już ani przyjaciółkami, ani koleżankami. Rebeka nigdy nie zaprasza Andżeliki do domu, a Andżelika nigdy jej nie zagaduje. Wiedzą, czego mogą się po sobie spodziewać, i że nie grają w tej samej drużynie.

Rebeka nie jest szczególnie ładna – jej piersi są jeszcze bardziej płaskie od piersi Andżeliki, a na brodzie ma pryszcze. Chłopcy nie zwracają na nią uwagi, ale ona chyba się tym nie przejmuje, bo zachowuje się tak, jakby to do niej należał cały świat. Może robisz się taka, kiedy masz tatę, który jest Dyrektorem Własnej Firmy, i mamę, która jest lekarką w Norrtälje. Kiedy jesteś otoczona dworem przytakujących ci dziewczyn, które zawsze zgadzają się z rym, co mówisz, żywiąc przy tym próżną nadzieję, że i na nie skapnie kiedyś kropelka twojej bezmyślnej pewności siebie.

Zgodnie z tym, czego można się spodziewać, Rebeka dobrze się uczy, ale Andżelika jest niemal równie dobra. Przynajmniej z niektórych przedmiotów. Ze szwedzkiego. Z rysunków. Z matematyki i z fizyki. Może to dlatego Rebeka nieustannie wodzi za nią wzrokiem. Nie lubi konkurencji, nie podoba jej się, że bywa dystansowana przez kogoś, kto nigdy nie był w muzeum ani w teatrze, kto nigdy nie jeździ za granicę i nie ma nawet własnego komputera. Przez dzieciaka z biednego domu. Biedną dziewczynę, która w dodatku nie odrabia zadań domowych i radzi sobie jedynie dzięki własnej pomysłowości.

To Rebeka rozpuściła plotki po śmierci Siri, co do tego Andżelika nie ma żadnych wątpliwości. Kiedy wróciła do szkoły, zbiegły się wokół niej wszystkie dziewczyny. Dotykały jej ramion bladymi, jak zawsze wiosną, rękami i gapiły się na nią oczami, w

których współczucie tylko częściowo kryło żądzę informacji.

– Naprawdę ją znalazłaś? Boże, co za okropność!

– Biedna Andżelika! To musiało być straszne. Kurde, jak to usłyszałam, nie mogłam zasnąć całą noc...

– Gdzie będziesz teraz mieszkać? Przeprowadzisz się z powrotem do mamy?

Najpierw Andżelika nie mogła nic powiedzieć. Stała przy swojej ławce blada i wyprostowana i nie była nawet w stanie spojrzeć im w oczy. Domyślała się, że są zawiedzione, ale nie wiedziała, jak się zachować. Chcą zobaczyć emocje, to była w stanie zrozumieć. Ale czy wystarczy im mokre spojrzenie? Czy musi się też krzywić z bólu, zmusić do płaczu? A jeśli tak, to co dalej, po łzach?

Rebeka przyglądała jej się, stojąc z boku tej całej gromady. Andżelika nigdy wcześniej nie zauważyła, że białka oczu Rebeki są tak białe, że aż prawie niebieskie. Przez to szare tęczówki wyglądały jeszcze bardziej blado, jakby miały się zaraz rozpuścić, zostawiając po sobie czarną źrenicę w całkiem białym oku. Żeby uniknąć jej wzroku, Andżelika popatrzyła w ziemię i powiedziała:

– Proszę was... Nie mogę o tym mówić. Dlatego że...

Uratowało ją puste miejsce po ostatnim słowie. Dziewczyny niepostrzeżenie przybliżyły się jeszcze bardziej, któraś ją szybko uścisnęła, inna pogłaskała po ramieniu, trzecia głęboko westchnęła, a potem całe stadko rozproszyło się i wróciło na swoje miejsca.

Rebeka była jedyną, która nie poszła od razu do swojej ławki, tylko jeszcze przez chwilę stała, lustrując Andżelikę wzrokiem. Nie uśmiechała się, ale po jej twarzy widać było, że ma na to ochotę.

Kilka dni później, na korytarzu, Andżelika usłyszała szepty za swoimi plecami:

– Kilka godzin! Słyszałyście, że najpierw nic nie zrobiła, tylko siedziała tam przez kilka godzin?...

– Naprawdę? W jednym pokoju z trupem? Kurna, ale świrnięta!

– Porzygałabym się!

– Chybabym zemdlą!a!

– Ja bym umarła!

Andżelika nie porzygała się. Nie zemdlą!a. Nie umarła. Zapukała do sąsiadów i poprosiła, żeby zadzwonili na policję albo na pogotowie, gdziekolwiek. Po kilku godzinach.

Pochyla niżej głowę i przyśpiesza ruchy szczotki. Nie myśleć! Liczyć. W banku ma

osiem stów, pensji będzie trzysta i jeszcze czterdzieści koron w portfelu, czyli razem tysiąc sto czterdzieści. W skarbonce w mieszkaniu Kariny jest jeszcze czterysta... Przynajmniej tydzień temu było tyle, Bóg jeden wie, co z tego zostało. Dodatek na opiekę nad Mikaelem kończył się już wtedy, kiedy Andżelika była ostatnio w domu, a zasiłek mieszkaniowy dawno wydany...

Zatem jeśli chce uratować swoje pieniądze, musi zabrać kasetkę. To chyba da się zrobić. Pójdzie tam rano i postoi trochę przed domem, czekając, aż Bakcyl wyjdzie, potem wbiegnie pędem po schodach, otworzy na oścież drzwi do mieszkania i zostawi je otwarte na klatkę schodową. Zaraz po wejściu do przedpokoju skręci w lewo, cichutko przejdzie trzy kroki do małego pokoju, potem wysunie szufladę biurka i wyjmie z niej kasetkę. Wsadzi ją pod kurtkę i wyjdzie z domu tak samo szybko i cicho, jak weszła. Wystarczy minuta i będzie to miała z głowy. Minutę powinna wytrzymać, tyle chyba może od siebie wymagać. Przecież musi zabrać swoje pieniądze!

Gdyby tylko ktoś mógł jej towarzyszyć... Gdyby tylko miała jedną osobę, która mogłaby czuwać na klatce schodowej, kiedy wejdzie do środka, zrobiłaby to, nawet gdyby Bakcyl był w domu. Ale kogo o to poprosić? Kristoffera? Nigdy w życiu. Dowiedziałby się wtedy o niej więcej, niż powinien wiedzieć. Mariannę? Wykluczone. Jej wzrok wwierciłby się w skórę Andżeliki, aż krew by poszła. Którąś z dziewczyn ze szkoły? Niemożliwe. Później przez wiele dni na korytarzach huczałoby od plotek...

Ciemny pokój robi się nagle srebrnoszary. Na niebie wzeszedł księżyc. Kristoffer porusza się na łóżku, szuka jej po omacku, mamrocze przez sen jej imię. Andżelika nie rusza się z miejsca, zamyka oczy i modli się w myślach do swoich niemych bogów: „Nie pozwólcie, żeby się obudził”. Niech się nie budzi. Nie zniosę, jeśli to robi.

W domu Augusty Alicja podchodzi do okna i opiera czoło o szybę. Księżyc w pełni sprawia, że ogród wydaje się jaśniejszy niż wtedy, kiedy przyjechała. Mniej straszny. Jednak nawet to nie pomaga, nie będzie mogła zasnąć.

Gdy już prawie pogodziła się z bezsennością, przychodzi jej do głowy, co powinna zrobić. Gdzieś w szafie na ubrania musi leżeć stary śpiwór – dobry stary śpiwór, w sam raz na górskie wycieczki i złą pogodę. Sama go kupiła – dla Petera, na jego szesnaste urodziny. Do dziś pamięta swoje zdumienie, to zdziwienie, które ogarnęło i ją, i Larsa, gdy okazało się, że przydarzył im się syn, który wędruje po górach i interesuje się biologią. Minęło już dziesięć lat, odkąd mu to przeszło. Obecnie Peter jest zagorzałym wielbicielem zadymionych barów oraz teatru eksperymentalnego.

Śpiwór czuć trochę stęchlizną, ale rozłożony na łóżku wygląda na cały i czysty. Alicja naciąga na piżamę dzinsy i bluzę, a potem wyszukuje w komodzie parę starych wełnianych skarpet. Czyje to? Larsa lub Petera, ale równie dobrze mogą należeć do Kårego lub kogoś jeszcze innego. Dom Augusty jest wspólną własnością i cała rodzina ma

w zwyczaju traktować w ten sam sposób wszystkie zapomniane w nim rzeczy. Tylko Marianna od czasu do czasu rości sobie – nie do końca wprost – specjalne prawa do domu ze względu na wyjątkowość swojej pozycji. Wszyscy natychmiast i równie nie wprost zgadzają się z nią. Marianna ma rację. To ona poświęca domowi i ogrodowi Augusty najwięcej czasu i wysiłku, to ona decyduje, jak rozdzielić pomiędzy kuzynów i ich dzieci tygodnie wakacji. Jest kobietą, która ma pod opieką klucze. Klucznicą.

To dlatego Alicja najpierw pojechała do willi Marianny w Hallstavik. Musiała zabrać klucz. Właściwie nie tylko dlatego. Chciała też spotkać Mariannę, najlepiej samą, bez Kårego, żeby nikt im nie przeszkadzał w rozmowie. Tak jakby zbliżał je do siebie fakt, że Erland i Harald – synowie Augusty, a ich ojcowie – spoczywają już każdy pod swoim nagrobkiem, każdy na swoim cmentarzu. Mogą teraz porozmawiać – co prawda, nieśmiało i pomijając milczeniem wszystko to, co je dzieli – o sprawach, o których wspominały tylko przez te wszystkie lata, kiedy wpadały na siebie w przelocie na uroczystościach rodzinnych i pogrzebach. Marianna pracuje w fabryce papieru w Hallstavik, Alicja jest niezależną organizatorką wystaw w Sztokholmie. Żadna z nich nie interesuje się ani życiem, ani tajemnicami drugiej. Jedyne, co je łączy, to przeszłość. Nic poza tym, ani teraźniejszość, ani przyszłość.

Marianna naturalnie nic się nie zmieniła. W jakiś sposób z upływem czasu zmienia się coraz mniej, tylko jej ruchy stają się z wiekiem trochę bardziej ociężałe, a twarz wydłużona. Włosy ma za to wciąż tak samo gęste i brązowe, twarz tak samo białą, a spojrzenie tak samo podejrzliwe, jak wtedy, kiedy ona i Alicja były małymi kuzynkami, bawiącymi się w ogrodzie Augusty.

Przywitała ją półuśmiechem i szybkim uściśnięciem ręki, bez słów podała wieszak. Widać było, że na nią czekała. Na przykrytym różowym obrusem stole kuchennym stały dwie filiżanki. Były serwetki w kwiatki i srebrne wypolerowane sztucce. Ekspres do kawy dyszał astmatycznie na kuchennym blacie, wypuszczając ostatnie krople kawy w chwili, w której Alicja przestąpiła próg.

– Jesteś sama? – zapytała, kładąc torebkę na ławie w kuchni.

Marianna postawiła na stole mały tort kanapkowy i sięgnęła po zapalnik.

– Uhm – odpowiedziała, zapalając jedną.

– Kåre nadal ma co wieczór spotkania?

Marianna zapaliła świece – różowe, w tym samym odcieniu co obrus – i zgasła zapalnik.

– Tak, Prawie co wieczór. Ale to nie ma specjalnego znaczenia, wiesz...

– Wiem.

Wymieniły szybkie uśmiechy. Marianna zgasła oświetlenie nad blatem i gestem pokazała, żeby Alicja usiadła na ławie – czyszczonej ługiem, starej ławie, która kiedyś stała w kuchni u Augusty. Marianna dostała ją od rodziny na pięćdziesiąte urodziny, był to jedyny mebel, który wyniesiono z domu po śmierci właścicielki.

Jadły w milczeniu, Marianna, kuląc ramiona, precyzyjnie niosła widelec do ust. Siedząca na ławie Alicja pochylała się nad talerzykiem. Przez cały dzień nic nie jadła, jak zwykle zapominała o tym, biegając na różne spotkania, między pracownikami stolarskimi i swoim biurem. Teraz po pierwszym kęsie zdała sobie sprawę, jak bardzo jest głodna. Wędzony łosoś łaskotał ją w język, miękki chleb przylepiał się do podniebienia, majonez smakował tak intensywnie, że niemal ją zemdliło. Alicja bardzo uważała, żeby nie było tego po niej widać, wiedziała, że Marianna patrzy na nią. Marianna zawsze obserwowała ludzi siedzących przy jej stole, przyglądała się ich twarzom i po cichu oceniała ich apetyt. Jeżeli ktoś pochwalił jedzenie, zbywała go machnięciem ręki, ale jej twarz łagodniała, kiedy goście milczeli w trakcie posiłku i kiedy brali duże kęsy.

Gdy Alicja odstawiła talerzyk po trzecim kawałku tortu, twarz Marianny była prawie łagodna. Oczami wskazała na filizankę, pytając w ten sposób, czy Alicja chce jeszcze kawy. Alicja skinęła głową.

– To o której jutro? – spytała, kiedy Marianna podnosiła dzbanek.

– O pierwszej.

– A poczęstunek po pogrzebie?

– Zaraz po. W hotelu Häverödal.

Alicja odwróciła wzrok do okna, na dworze było ciemno.

Przez moment przyglądała się swojemu odbiciu w szybie. Okrągły cień. Prawie niewidoczny w świetle świecy.

– To ty zorganizowałaś pogrzeb? – zapytała.

Marianna wzruszyła ramionami.

– Tak. Wypadło na mnie.

– A Karina?

Marianna wydeła górną wargę.

– Ech, wiesz...

– Tak ciężko to przeżyła?

Marianna znowu wzruszyła ramionami.

– To o co chodzi? Jest chora?

– Nie bardziej niż zwykle. Ale wiesz, jaka ona jest. Wykorzystuje sytuację.

Alicja pośpiesznie przeszukiwała wszystkie pliki mózgu w poszukiwaniu nowego tematu do rozmowy, nie chciała słuchać ostrego tonu, który nagle przeszył głos Marianny. Potomkowie Augusty w Hallstavik zawsze podnosili głos, kiedy mówili jedni o drugich, ale Alicja usiłowała pozostawać ze wszystkimi w przyjaznych stosunkach. Czasem się tego wstydziła. Tak jakby czyniło ją to zakłamaną, chociaż w rzeczywistości była tylko obojętna. Nie obchodziło jej, co Marianna myśli o Karinie, ani co Karina myśli o Mariannie, pragnęła tylko uniknąć kłótni i rozwścieczonych głosów. W szczególności chciała uniknąć głosu Marianny, kiedy brzmiał tak jak teraz: wściekle i lękliwie zarazem.

– Co było powodem śmierci?

Głos Marianny zmiękł.

– Serce. Można się było tego spodziewać, miała z nim problemy od lat...

Alicja odetchnęła, chyba odeszły od niebezpiecznych tematów.

– Tak, wiem. Opiekowałam się kiedyś Mikaelem, kiedy Karina pojechała z nią do szpitala w Norrtälje.

Zła odpowiedź. Płomień, który jeszcze przed chwilą przygasał, na nowo się rozpalił. Marianna prychnęła, a jej głos znowu się wyostrzył.

– Rzeczywiście, jeden raz. Bo inaczej to zawsze ja albo Andżelika musiałyśmy jeździć z nią do lekarza...

Na chwilę zrobiło się cicho, z zamyślenia wyrwało je burczenie lodówki. Alicja westchnęła w duchu. Równie dobrze mogła się poddać i pozwolić Mariannie, żeby powiedziała to, co ma do powiedzenia, inaczej ta nigdy nie powróci do swojego normalnego głosu.

– To Andżelika ją znalazła?

Marianna kiwnęła głową i zaczęła strzepywać z obrusa jakieś okruszki, jedną ręką zmiotła je na brzeg stołu, potem zgarnęła w złożoną w miseczkę dłoń, a na końcu wsypała do swojej filiżanki.

– No tak – powiedziała – ale Bóg wie, jak to było. Do sąsiadów zapukała dopiero rano, o wpół do dziesiątej...

– Jak to?

W panującym w kuchni mroku Marianna rzuciła Alicji spojrzenie spod przymrużonych powiek.

– Wielu uważa, że to dziwne. Policja też. Musiała znaleźć ją wcześniej, już o siódmej albo coś koło tego. To był przecież zwykły dzień szkolny. Ale do sąsiadów zapukała dopiero o wpół do dziesiątej...

– Może zasnęła? Siri nie mogła jej przecież obudzić.

Marianna znowu prychnęła.

– Siri! Przecież ona nigdy nie budziła Andżeliki. Karina też nie, wtedy kiedy jeszcze mieszkały razem. Ten dzieciak musiał sam o siebie dbać jeszcze na długo przedtem, zanim urodził się Mikael. Miała wtedy tylko dziesięć lat. I nigdy się nie zdarzyło, żeby się spóźniła do szkoły.

Alicja spuściła wzrok na stół, przesunęła palcem po ostro zaprasowanych złożeniach obrusa.

– Dzielna dziewczyna...

Marianna wzruszyła ramionami.

– Dzielna. No tak. Zawsze była na swój sposób dzielna. Ale poza tym to dzieciak z piekła rodem. Zimna jak lód. Tylko pieniądze jej w głowie... Pięć dni w tygodniu rozdaje ulotki, łapie dyżur za dyżurem. Karina opowiadała, że nawet groziła jakiejś dziewczynce, chcąc, żeby tamta oddała jej swój. Karinę wezwano potem do szkoły. Mówiła, że to był zwykły sąd. Niewiele mogła zrobić, nigdy nie potrafiła kierować tym dzieciakiem. Od urodzenia Andżelika robiła, co jej się podobało. Oczywiście wdała się w ojca. Kimkolwiek on był.

Alicja poprawiła się na ławie, nie miała ochoty słuchać dalej.

– Gdzie ona teraz jest?

Marianna przewróciła oczami, jej głos nabrał zwykłego, stłumionego tonu.

– No cóż, Bóg raczy wiedzieć. Gadają, że ma chłopaka i że cały czas przesiaduje u niego. U Danielssonów. Wiesz, tych, którzy w zeszłym roku kupili biały dom.

– Pod miastem, w Nordanäng? Obok domu Augusty?

– Tak, na tym samym wzgórzu, niżej. To ci Danielssonowie, którzy mają konie.

Alicja zatrzepotała rękami. Ci tajemniczy sąsiedzi? Razem z Larsem stroili sobie na ich temat żarty latem zeszłego roku, w ciągu tygodnia, który spędzili w domu Augusty. Kiedy wieczorami siadywali w ogrodzie, dochodziły ich głosy i nawoływania z białego domu, ale za każdym razem, gdy schodzili na dół, żeby przywitać się z nowymi sąsiadami, wydawało się, jakby wcześniej włączono alarm. Kiedy podchodzili do domu, w ogrodzie było już pusto, wszystkie drzwi pozamykane, a jedyna żywa istota, którą mogli zobaczyć, to samotny koń na pastwisku. Nigdy nie zdobyli się na to, żeby zapukać. Zamiast tego zaczęli omijać biały dom, wybierając inne trasy na swoje wieczorne spacerunki i przy okazji fantazjując na temat tego, dlaczego zagadkowi sąsiedzi się ukrywają. Chyba mają fobię, uznał Lars. Człowiek robi się taki, jeśli za długo mieszka na wsi.

– Wiesz, o kim mówię, prawda? – spytała Marianna.

– Nigdy się nie spotkaliśmy – odparła Alicja. – Ale wydaje mi się, że jego widziałam zeszłego lata. Któregoś wieczoru przejechał obok mnie konno, nie zatrzymał się... Jej nigdy nie widziałam.

– No tak. Wprowadzili się zeszłej wiosny. On głównie zajmuje się końmi, ale ma też podobno firmę w Uppsali. A ona jest, zdaje się, jakąś tam artystką.

– I Andżelika u nich mieszka?

– U ich syna. Przynajmniej mieszkała u niego w zeszłym tygodniu.

Alicja bezwiednie położyła rękę na przeponie, żeby uciszyć tłący się tam dawny niepokój.

– Ale ona ma przecież dopiero szesnaście lat...

Marianna rzuciła jej ironiczne spojrzenie. Alicja uniknęła tego wzroku, obstając przy swoim:

– Dlaczego nie mieszka w domu, z Kariną?

Marianna sięgnęła po filiżankę Alicji i zaczęła sprzątać ze stołu.

– Z formalnego punktu widzenia mieszka. Ale nigdy tam nie chodzi, jeśli nie ma w domu Mikaela. Kiedy Mikael idzie do rodziny zastępczej*, ona znika. Natomiast gdy Bakcyl jest w domu, w ogóle się tam nie pojawia...

Marianna podeszła do zlewu, stała teraz plecami do niej. Kiedy znowu się odwróciła, rysy jej twarzy stężały.

– Ludzie uważają, że to my powinniśmy się nią zająć teraz, kiedy Siri nie żyje. Ale ja nie chcę. Nie lubię jej. Kåre też jej nie lubi.

Alicja bez słowa kiwnęła głową. Marianna znowu podniosła głos:

– Zajęliśmy się całą stroną praktyczną, załatwiłam pogrzeb, opróżnię i sprzątnę mieszkanie, bo Karina raczej nigdy nie zrobi tego z własnej inicjatywy, ma jej do tego zbyt mało. Kåre obiecał, że zajmie się sprawami finansowymi. Dopilnujemy, żeby Karina dostała wszystko, co jej się należy, i tyle pomocy, ile jej potrzeba. Ale nie chcemy mieć nic wspólnego z Andżeliką. Już raz to powiedziałam – powiedziałam to wprost tym z opieki społecznej, zanim nawet zdążyli zapytać, czy mogłaby u nas zamieszkać... Jest okropna!

Marianna nie zniosłaby teraz krytycznych uwag, trzeba ją uspokoić i pocieszyć.

* Rodzina zastępcza (*stödfamilj*) to rodzina, w której dziecko – na co dzień wychowywane przez własnych rodziców – spędza kilka dni w miesiącu. Prawo do korzystania z pomocy rodziny zastępczej przyznawane jest rodzicom, których dzieci wymagają specjalnej troski, lub takim, którzy znajdują się w trudnej sytuacji życiowej.

Alicja składa więc ręce na kolanach, opiera się o ławę i mówi lekkim tonem:

– Opieka socjalna na pewno nie zamierzała o to pytać. Dlaczego mieliby to zrobić? Andżelika ma już jeden dom...

Marianna oparła się o zlew, znowu stała do niej plecami.

– Ma? Naprawdę? Przecież przeprowadziła się do Siri, kiedy miała dwanaście lat.

– Ale i tak na pewno nie zamierzali zapytać.

Marianna opuściła ramiona.

– Tak myślisz?

– Jestem pewna.

Marianna odetchnęła i odwróciła się do niej, ale Alicja już wstała i zaczęła się śpieszyć. Musi iść, zrobiło się późno. Zobaczą się przecież jutro, Alicja zajdzie do Marianny i Kårego przed pogrzebem. Marianna odprowadziła ją do przedpokoju. Na powrót była sobą. Nieśmiałą, małowówną Marianną z głosem, w którym czaił się niepokój.

– Że też nie boisz się tam spać zupełnie sama! – powiedziała, wręczając Alicji klucz do domu Augusty.

Powinna mnie zobaczyć teraz, myśli Alicja, popychając ciężkie drzwi wejściowe i wychodząc na werandę. Taka jestem odważna, że boję się dalej siedzieć w tym szepczącym domu. Taka odważna, że postanowiłam spać na dworze.

Nigdy nie zdołała pojąć, jak to możliwe, że boi się ciemności tylko wtedy, kiedy jest w jakimś wnętrzu. Na dworze zawsze czuje się bezpiecznie, bez względu na to, jak bardzo jest ciemno. Kiedy była dzieckiem, w domu nie miała odwagi nawet na to, żeby pójść nocą do toalety, leżała, nie śpiąc i wstrzymując mocz do czasu, kiedy szary świt zaczynał sączyć się przez żaluzje. Za to gdy była na wakacjach u Augusty, w najczarniejsze sierpniowe wieczory biegała bez lęku przez cały ogród do wychodka.

Teraz jest tak samo, uspokoiła się, jak tylko wyszła na dwór. Jeśli dygocze odrobinę, rozkładając śpiwór na podłodze werandy, to tylko dlatego, że powietrze jest chłodniejsze, niż się tego spodziewała. Pośpiesznie wsuwa się do śpiwora i zaciąga suwak, ale nie kładzie się. Będzie spać na siedząco, oparta plecami o drzwi.

W śpiworze szybko robi się ciepło, ale to złudne ciepło, ulatuje przy najmniejszym poruszeniu. Kiedy Alicja wyciąga ramiona, żeby zaciągnąć sznurki w kapturze, całe ciało przeszywa lodowate zimno. Zakłada ręce na piersi i chowa dłonie w rękawach. Postara się siedzieć zupełnie bez ruchu, aż znowu się ogrzeje. Nie wystraszą jej już żadne szepty, jest sama i bezpieczna, jedyne, co słyszy, to spokojny nocny wiatr, szumiący między brzoźami

w lasku po drugiej stronie wysypanej żwirem drogi. Księżyc schował się za chmurami, pozostało po nim wspomnienie światła na ciemnym niebie.

Tak długo wpatrywała się w noc, że nie zauważyła, jak zamknęły jej się oczy ani że ciemności i chłód zniknęły, ustępując miejsca kolorom lata. Noc kwietniową zastąpił czerwcowy poranek. Jabłonie już prawie przekwitły, nadchodzi czas łubinów, powoli rozkładają na trawie swoje tęczowe spódniczki: mocno fioletowe, wściekle różowe, miodowożółte i białe. Słońce jest wysoko na niebie, ale i tak w ogrodzie unosi się nuta zmierzchu – woń krzaków bzu, który nie pozwala pękającym pąkom piwonii na to, by jeszcze bardziej nabrzmiały i rozwinęły się. Spokojnie, nie ma pośpiechu, lato będzie się jeszcze ciągnęło przez wieki. Tylko cesarskie korony nie chcą czekać, stoją wyprężone jak żołnierze, z szeroko otwartymi płomiennymi kielichami. Czekają na swoją cesarzową.

W końcu nadchodzi w całym swym majestacie zażywna władczyni, ciężko oparta na chudym ramieniu nastoletniej Alicji. Spuchnięte stopy wcisnęła w rozczłapane kapcie. Zżyma się na cienkie zelówki i żwir na ogrodowej ścieżce. Wreszcie znajduje ratunek na trawniku i pozwala się poprowadzić do trzciniowego fotela pod jabłonią. Na miejscu babka opiera się o Alicję i życzy sobie, żeby dziewczynka, podtrzymując jej ramię, przysunęła fotel, bo chciałaby usiąść. Czy to naprawdę takie trudne? Opada na siedzenie z głuchym odgłosem, trzcina wydaje jęk, babka cierpko chichocze. Szczęście, że Alicja nigdy nie będzie musiała utrzymywać się z pracy własnych rąk, bo nie utuczyłaby się na tym. Jest największą niezdara i gapą z całej rodziny.

Jednak Alicja, która jest jeszcze bardzo młoda i nie wie, co ma kiedyś nadejść, nie przejmuje się porannym utyskiwaniem babki. Śmiejąc się, wkłada rękę do kieszeni sukienki i wyjmuje z niej szylkretowy grzebień. To najlepsza chwila dnia, będzie mogła uczesać włosy Augusty.

Te włosy są jak obietnica. Takie będą także włosy Alicji, kiedy będzie już stara – gęste, lśniące i brązowe, bez jednego siwego. Może Alicja też usiądzie w trzciniowym fotelu, ustawionym w kwitnącym ogrodzie, pozwalając, żeby wnuczka ją czesała. Tylko że jej włosy nie będą nigdy tak długie, jak włosy Augusty, nie opadną kaskadą do samej ziemi. Augusta nigdy nie obcinała włosów, są równie wiekowe, jak ona.

Alicja ostrożnie wyciąga pasmo ze splecionego na noc warkocza, przesuwa włosy w palcach.

– Opowiadaj wreszcie! – mówi.

Z Augustą tak już jest, że w jej włosach ukrywają się historie.

KIM BYŁA AUGUSTA? SKĄD POCHODZIŁA?

Tego nie wie nikt. Ani Alicja śpiąca na werandzie jej domu, ani Marianna, która siedzi w swojej wyszorowanej do czysta kuchni i wpatruje się w płomień samotnej świeczki, ani Andżelika skulona z zaciśniętymi pięściami na zielonej wykładzinie dywanowej i błagająca nieznane siły, żeby Kristoffer się nie obudził.

Nawet sama Augusta nie wiedziała, kim jest i skąd pochodzi. Kiedy miała dobry humor, twierdziła, że pochodzi z kartofliska w Sörmlandii, że leżała schowana w glinie, wśród kiełkujących roślin, aż dorosła. Wtedy przebiła ramionami czarnoziem i wygrzebała się na powierzchnię, a potem uklękła, żeby przyjrzeć się, jak wygląda świat, na którym wylądowała.

Alicja, która nie wypadła sroce spod ogona, zaśmiała się, nie wypuszczając z zębów szpilek do włosów.

– Spodobał ci się?

– Ani trochę – odparła Augusta. – Ciągłe mgła lub deszcz, pluskwy i gruźlica, zniszczone kobieciny i małe dzieci z pustymi oczami, dzieci, które nigdy w życiu nie najadły się do syta. Natychmiast zrozumiałam, że nie powinnam tam zostać, bo zaraz skurczę się brzydko i zrobię się zielonkawa i nadgniła niczym stary ziemniak. Podniosłam się zatem, strzepnęłam ziemię z fartucha i ruszyłam w stronę Sztokholmu.

– Czyli urodziłaś się w ubraniu?

Augusta znowu się uśmiechnęła i potrząsnęła głową, aż włosy zaczęły falować. Grzebień zaplątał się w nich.

– Nie bądź wścibska. Oczywiście, że urodziłam się w ubraniu, w takich sprawach zawsze byłam przyzwoitą kobietą. Miałam na sobie spódnicę, fartuch, koszulę i serdak, a do tego całkiem nowe botki. Botki zaczęły się zdzierać, zanim jeszcze doszłam do Södertälje. Wtedy zdjęłam je i dalej szłam boso, chociaż była jesień. Musiałam oszczędzać zelówki. Zresztą byłam młoda i ciepłokrwista. A ty, Alicjo, jesteś ciepłokrwista?

– Raczej tak.

– Aha! Nie kłam. Za słabo jesz. Nie myśl, że tego nie widzę. Siedzisz i dziobiesz jedzenie jak jakaś panienka, wydłubujesz kawałeczek i odsuwasz widelcem na bok. A potem w piękne przedpołudnie mówisz, że zmarzłaś, i pędzisz po kamizelkę. Mnie nie oszukasz. Widzę więcej, niż ci się wydaje.

Alicja włożyła grzebień we włosy nad czołem Augusty. Musiała zrobić trzy kroki w tył, żeby przeciągnąć go jednym ruchem przez całą ich długość.

– A co jadłaś, idąc do Sztokholmu?

– Kartofle, rzecz jasna. Włożyłam ich trochę do kieszeni fartucha, kiedy schodziłam z pola. Po jakimś czasie doszłam do małej chatki, w której mieszkała staruszka. W czymś jej pomogłam, a ona w podzięce pozwoliła mi ugotować kartofle w swojej kuchni i jeszcze dała mi śledziowe ogony.

– A w czym jej pomogłaś?

– Sprawiałam, że jej kotka zamilkła.

Ręka Alicji znieruchomiała. Augusta uśmiechnęła się zadowolona i spojrzała w stronę słońca. Udany efekt dramatyczny.

– Nie stój tak i nie śpij – napomniała. – Czesz dalej. Musisz wiedzieć, że w tamtych czasach w Szwecji było pełno staruszek, które miały problemy z gadatliwymi zwierzętami. Im bardziej niedołążne, głodne i samotne były staruszki, tym bardziej gadatliwe robiły się ich kury i koty. Tamta staruszka od czternastu dni nie miała siły, żeby wstać z łóżka, leżała bez ruchu na szorstkim prześcieradle i czekała na przybycie kostuchy. Kiedy zapukałam do drzwi, pomyślała, że to ona. Później, kiedy rozpałam w piecu i nakarmiłam ją kilkoma ugotowanymi kartoflami, powiedziała mi, że właściwie nie ma nic przeciwko śmierci. Żyła już długo i uważała, że równie dobrze może umrzeć. Na świecie nie było tak znów wielu rzeczy, które mogłyby ją jeszcze zadziwić, a wydawało jej się, że w niebie może ich być sporo. Wszystko, czego pragnęła, to w spokoju zejść z tego padołu. Chciała sobie leżeć spokojnie w swoim łóżku i słyszeć, jak za oknami szumi las, tak samo, jak szumiął przez całe jej życie. Ale kotka nie dawała staruszce spokoju, zaczęła gadać już na trzeci dzień i od tamtej pory ciskała się po chacie, ciągle tylko marudząc i narzekając. Cierpieniom kotki nie było granic. Och, jakiegoż pecha miała, że wylądowała u takiej paskudnej staruszki. Było jej gorzej niż najnędzniejszemu kociemu przybłądzie. Nawet myszy i małe ptaszki były tutaj chudsze niż w innych miejscach. Uważała, że jej – pochodzącej z takiej dobrej rodziny, urodzonej na prawdziwej plebanii – należy się więcej od życia. To hańba, że żona pastora oddała ją, jeszcze kodaka, tej oto staruszce. Pastorowa okazała się kobietą bez serca i pozostaje zagadką, dlaczego pastor za karę nie wyrzucił jej precz, byłby to uczynek w prawdziwie chrześcijańskim duchu. W taki oto sposób kotka zrzędziła przez cały czas. Staruszka leżała zaś i czekała jedynie na to, by zrobiło się wokół niej cicho, żeby mogła słuchać szumu lasu i umrzeć w spokoju.

Alicja skrzywiła się. To była bajka dla dzieci, a nie prawdziwa historia, którą miała nadzieję usłyszeć. Być może Augusta domyślała się, że Alicja układa puzzle i że zapisuje te fragmenty opowieści Augusty, które zdają się zawierać żdźbło prawdy. Taki wybryk na pewno nie zostałby dobrze oceniony. Augusta sama chciała panować nad swoją pełną tajemnic historią.

– I co wtedy zrobiłaś? Wyrzuciłaś tego kota?

– To nie był kot, tylko kotka. To co innego. I nie wyrzuciłam jej, nie byłoby to żadnym rozwiązaniem. Staruszka do umierania potrzebowała w domu życia, trochę życia i

trochę ciepła. Zadaniem kotki było leżeć cicho i spokojnie na jej piersi i lizać się po łapkach. Ewentualnie mogła też mruczeć.

– Więc co zrobiłaś?

– Ależ jesteś dzisiaj ciekawska! Nie możesz być cicho i pozwolić mi opowiadać spokojnie? Złapałam kotkę za kark, wyniosłam ją na dwór i postawiłam na wieku studni. Ale że była to wyniosła i nadęta kotka, zaraz się odwróciła, podniosła ogon do góry i poszła sobie natychmiast, gdybym nie zaczęła kłamać.

Alicja delikatnie rozczesywała grzebieniem mały, zaplątany lok pod prawym uchem Augusty.

– Aua! – krzyknęła Augusta. – Ostrożnie! Cóż, powiedziałam kotce, że jestem służącą pracującą w oborach u samego biskupa i że biskup wysłał mnie w świat. Miał on bowiem w domu kota, którego kochał bardziej niż kogokolwiek innego, kota, któremu w zwykłe dni podawano śmietankę w srebrnej miseczce, a w niedzielę sardynki z Portugalii. Mimo to kot nie czuł się całkiem szczęśliwy. Był melancholijnym, filozofującym kotem, który często wzdychał i zadawał sobie pytania o sens życia. Biskup pomyślał, że kotu poprawi się nastrój, jeśli w domu będzie też kotka, słodka i cicha kotka z dobrej rodziny. Ponieważ kot biskupa jest nieziemsko dobrym, niemal świętym kotem, kotka ta musi być także nader cnotliwa. Najlepiej by było, gdyby miała jakieś prawie anielskie uczynki na koncie, na przykład, gdyby leżała cicho, ogrzewając biedną staruszkę na łożu śmierci. Nie skończyłaś jeszcze z tym czesaniem?

Alicja włożyła grzebień do kieszeni i zrobiła krok w tył. Przez sekundę na lśniącej powierzchni włosów Augusty zaślniło całe spektrum kolorów. Alicja przyklęknęła na jednym kolanie, zebrała włosy w dłoniach i zaczęła je zwijać. Fryzura Augusty wyglądała prosto, ale była trudna do zrobienia. Wszystkie włosy należało zebrać w gruby na dziesięć centymetrów walek na karku. Łatwiej byłoby zrobić kok, ale Alicja nie ważyła się nawet o tym wspomnieć. Tylko paniusie z Kościoła Zielonoświątkowców nosiły koki, a Augusta była wolnomyślicielką, członkinią Dobrych Templariuszy i Socjaldemokratycznego Klubu Kobiet. Kobiety jej pokroju czesały się w walek.

– Jeszcze zanim skończyłam mówić, kotka zeskoczyła z wieka studni, usiadła pod drzwiami chaty i przechyliła głowę. Zrzęczenie? Słowo daje, że nigdy w życiu nie powiedziała słowa, jedyne, co jej leży na sercu, to pomóc swojej biednej żywicielce umrzeć w spokoju. Nie otworzyłam kotce od razu, przez chwilę stałam z ręką na kłance i tłumaczyłam, że jeszcze wrócę. Któregoś dnia przywędruję leśną ścieżką z kotem biskupa w koszyku wyściełanym aksamitem i jedwabiem – kot jest zbyt delikatny i wrażliwy na to, by dał radę sam przyjść – i jeśli usłyszę najmniejsze nawet marudzenie, zawrócę i pójdę sobie stąd. Za to jeśli w chacie będzie cicho i spokojnie, a jedyne, co da się usłyszeć, to szum lasu, włożę kotkę do koszyka i zabiorę ją ze sobą do gospodarstwa biskupa. Ledwie uchyliłam drzwi, kotka wśliznęła się do środka, wskoczyła na łóżko staruszki i ułożyła jak

trzeba. A kiedy ugotowałam resztę moich kartofli i spakowałam je w węzełek, kotka i jej pani już spały.

Alicja wetknęła szpilkę do włosów w wałek, jednocześnie podtrzymując dłonią tę część włosów, która nie była jeszcze upięta.

– A potem wyruszyłaś do Sztokholmu.

Augusta westchnęła.

– Tak. Potem wyruszyłam do Sztokholmu.

Alicja wsunęła na miejsce ostatnią szpilkę, zrobiła krok do tyłu i przyjrzała się swojemu dziełu.

– Opowiadaj dalej – poprosiła i wyciągnęła rękę, żeby pogłodzić włosy babki. – Opowiedz, jak było naprawdę.

Augusta spuściła głowę i popatrzyła na swoje pokryte plamami dłonie.

– Nie – odpowiedziała. – Dzisiaj nie chcę pamiętać, jak było naprawdę.

WZESZŁO JUŻ SŁOŃCE, A ANDŻELIKA CIĄGLE JESZCZE NIE ŚPI.

Leży teraz w łóżku, plecami do Kristoffera, z twarzą zwróconą do ściany. Patrzy suchymi oczami, jak światło nowego dnia wślizguje się w rzeczywistość, która od niedawna jest jej udziałem. Dzieje się to wbrew niej. Ten dzień nie powinien nigdy nadejść. Jest wodą, która pod wpływem jej woli musi się rozstać. Przejdzie przez ten dzień suchą stopą i z wyprostowanymi plecami, nie obejrzy się nawet wtedy, kiedy woda za jej plecami zamknie się i zatopi jej prześladowców...

Przesuwa palcem po ścianie, tapeta z lat siedemdziesiątych w brązowe kwiatki jest trochę wystrzępiona przy brzegu. Andżelika skrobie palcem, szparka powiększa się i jeszcze bardziej strzępi. Przez chwilę dziewczyna patrzy na starą tapetę pod spodem – jest jasnoniebieska, w małe białe kwiatki. Ładna. Teraz Andżelika może już sobie wyobrazić, jak ten pokój wyglądał kiedyś. Może przypominał pokój Rebeki ze ścianami w kwiatki i z białymi jak śmietana, dziewczęcymi meblami, które – o tym Andżelika i inne dziewczyny z klasy słuchały do znudzenia – mama Rebeki odziedziczyła po swojej mamie i które pewnego dnia dostanie córka Rebeki. Dziedziczne dobra, powtarza Rebeka, kiedy głądzi na temat swoich mebli, a jej górna warga ściąga się i robi strasznie wąska.

Kiedy Andżelika była młodsza, była też na tyle głupia, że dawała się nabrać na ten blef. Zazdrościła Rebecce jej pokoju i szczerze wierzyła w to, co tamta próbowała jej wmówić, mianowicie, że od mieszkania w takim pokoju człowiek robi się lepszy. W jakiś sposób doskonalszy. Prawdziwszy i przyzwoitszy. Tak jakby człowieka kształtowały jego meble...

W takim razie Kristoffer byłby człowiekiem z plastiku. Andżelika uśmiecha się do ściany. A Siri byłaby człowiekiem brzoźowym, bo przecież wszystkie meble w jej salonie zrobione są z brzoźowego drewna...

Andżelika pociera ręką czoło, żeby odpędzić myśli o Siri, za jej plecami wzdycha Kristoffer, porusza się przez sen. Andżelika sztywnieje. *Shit!* Zapomniała się. Zapomniała, że najmniejsze poruszenie może go obudzić. Powoli opuszcza rękę na poduszkę, po czym leży bez ruchu, z zamkniętymi oczami, próbując spokojnie oddychać. Ależ on cuchnie, myśli pomiędzy jednym a drugim oddechem. Cuchnie od niego jak z lisiej nory.

Ta myśl sprawia, że Andżelika marszczy czoło. Co się z nią dzieje? Dlaczego przychodzą jej do głowy wredne myśli na temat Kristoffera? Nie zrobił jej nic złego, nie pachnie gorzej od innych. Wszyscy chłopcy w szkole śmierdzą tak samo, zwłaszcza po południu. A Kristoffer jest naprawdę w porządku. Nie wolno o tym zapominać. Nie wolno zapomnieć, że wybierając ją, stworzył jej jakąś furtkę, kiedy myślała, że nie ma już żadnego wyjścia. Najlepsze jest w nim właśnie to, że ją wybrał. Nie musiała nic robić. Wystarczyło, że pozwoliła, by to się stało.

Przedtem właściwie nigdy nie zwracała na niego uwagi, był po prostu imieniem i twarzą pośród wielu innych twarzy i imion. Nigdy nie wszedł w jej pole widzenia, aż do tamtego popołudnia, dziesięć dni temu, kiedy spotkali się przypadkiem w autobusie do Herrång,

Było jeszcze przedwiośnie: szare niebo, śnieg z deszczem i błyszczący czarny asfalt. Minęły dwa dni, odkąd Andželika odkryła, że Siri nie żyje, i wciąż czuła się bardzo nieswojo – w jakiś sposób wyłączona, tak jakby wszystkie zmysły trochę się stępiły, jakby już do niej nie należały. Czuła zapach smażenia w budce z kiełbaskami przy przystanku, ale nie kojarzył jej się on już z frytkami. Widziała stalowoszarą powierzchnię zatoki Edeboviken, ale nie czuła, że to woda. Dochodził do niej szum silników samochodowych i ludzkie głosy, ale dźwięki były głuche i przytłumione, jakby ktoś zakrył jej uszy. Jej ciało było otepiałe i pozbawione czucia, chociaż wykonywało wszystkie konieczne ruchy. Teraz trzymała za rękę Mikaela i prosiła, żeby pierwszy wszedł na schodek autobusu. Nie chciał. Bał się syku automatycznych drzwi i wołał, żeby weszli na schodek razem, ale na to wejście było zbyt wąskie. Andželika miała na ramieniu jego wielką nylonową torbę, która była tak wypchana zabawkami i ubraniami, że się obok siebie nie mieścili. Kierowca przyglądał im się przez kilka sekund, aż w końcu położył obie dłonie na kierownicy i zapytał:

– No to wsiadacie czy nie?

Andželika nagle poczuła, jak ciężka jest torba, pasek wpijał jej się w ramię. Bez słowa spojrzała na kierowcę i jeszcze raz pociągnęła Mikaela za rękę, żeby zmusić go do wsiadania. Nie udało się, Mikael popłakiwał, zrobił się ciężki i bezwładny. Andželika przeprowadziła błyskawiczną kalkulację, zestawiała, irytację kierowcy ze wstydem, jakim będzie przyście do rodziny zastępczej z mokrą i brudną torbą. Wybrała wstyd. Cisnęła torbę na asfalt i wniosła Mikaela do autobusu, potem szybko zbiegła po schodkach i chwyciła torbę. Zanim zdążyła postawić ją na podłodze, kierowca ruszył, musiała łapać Mikaela, a potem, kołysząc się, żeby utrzymać równowagę, posadzić go na siedzeniu. Kiedy podeszła do kierowcy, żeby kupić bilet, czuła kropelki potu na górnej wardze. Szybko przeciągnęła pod nosem rękawem ortalionowej kurtki, przy okazji zauważając, że zaczął się strzępić przy brzegu.

Kierowca, podając jej bilet, patrzył na drogę, ale kiedy odwróciła się, żeby pójść z powrotem do Mikaela, zerknął w tylne lusterko i powiedział:

– Ten dzieciak siedzi na miejscu dla niepełnosprawnych.

Andželika zatrzymała się w pół kroku.

– On jest niepełnosprawny...

– Ale może chodzić. To miejsce przeznaczone jest dla ludzi, którzy nie mogą chodzić. Dla osób starszych.

– Ale...

– Nie ma dyskusji. Musisz go przesadzić.

Andżelika popatrzyła na swoich współpasażerów. Nie było ich zbyt wielu – kilka starszych pań w kolorowych pikowanych kurtkach; pękate plastikowe torby zdradzały, że kobiety były na zakupach w Hallstavik; nieśmiały kawaler, prawdopodobnie jeden z tych, którzy codziennie chodzą do podrzędnej pracy w fabryce, ale ich prawdziwe życie toczy się na jakiejś wyludnionej wsi. Wszyscy omijali wzrokiem Andżelikę, kobiety zdecydowanie pochyliły ku sobie głowy i rozmawiały przyciszonymi głosami, mężczyzna uparcie gapił się przez okno, chociaż nie było tam nic do oglądania oprócz kłębow pary wokół fabryki. Gdyby Andżelika zaczęła protestować, wszyscy spojrzeliby na nią i zaczęli ją oceniać po wyglądzie. Zauważyliby, że jej ubranie robi wrażenie, jakby każda jego sztuka miała pieczętkę „przecena”, a trampki są zniszczone i rozczłapane, że prawie już wyrosła z kurtki, a czarne dżinsy były tyle razy prane, że całkiem zszarzały. Wówczas ktoś z nich na pewno przywołałby też w pamięci fakt, że ta dziewczyna to przecież córka osoby, która jest z Bakcylem. Spojrzenia pasażerów wyryłyby wtedy na jej czole słowa „wyrzutek społeczny” – tak głęboko, że blizna pozostałaby na zawsze. Andżelika nie chciała żadnych blizn. Dlatego bez słowa wzięła Mikaela za rękę i zaprowadziła go na inne miejsce, w głębi autobusu.

Właśnie wtedy zorientowała się, że w autobusie była jednak osoba, która na nią patrzyła, która przez cały czas jej się przyglądała. Chłopak. Siedział na samym końcu, rozparty na siedzeniu, z szeroko rozstawionymi nogami. Kiedy szła z powrotem do miejsca dla niepełnosprawnych, żeby zabrać torbę, usiłowała sobie przypomnieć, jak mu na imię. Kristoffer, no tak. Przeprowadził się do Hallstavik kilka lat temu. W zeszłym roku skończył dziewiątą klasę. W tym roku zaczął liceum w Norrtälje. Miał drogie ciuchy.

Mikael był zmęczony. Kiedy wreszcie się usadowili, oparł się o Andżelikę i zaczął trzeć oczy. Zdjęła mu czapkę i zmierzwiła lekko włosy, potem objęła go ramieniem i przytuliła do siebie. Miała się na bacności, podświadomie zdawała sobie sprawę z obecności chłopaka w tyle autobusu, a jednocześnie jej myśli błądziły pomiędzy śmiercią Siri, poniedziałkowym sprawdzianem z matematyki i Bakcylem, który już jutro wraca. Gdzieś w głowie rozbrzmiewał płacz Kariny, kiedy krzyczała, że już nie daje sobie rady, nie ma siły, to przecież jej mama umarła, ma chyba prawo oczekiwać odrobiny zrozumienia.

Kristoffer nie zrobił nic, póki nie przejechali połowy drogi do Herräng. Wtedy przeszedł chwiejnie między siedzeniami i usiadł na miejscu obok Andżeliki. Rzucił jej szybkie spojrzenie, potem znowu zaczął błądzić gdzieś wzrokiem.

– No tak – powiedział.

Andżelika kiwnęła głową. Uderzyło ją, że nigdy wcześniej nie powiedział jej nawet „cześć”.

– To dokąd jedziesz?

– Do Herräng.

– Mieszkasz tam?

Andželika odwróciła wzrok i położyła rękę na oparciu przed sobą, tak jakby musiała się oprzeć, żeby zachować równowagę.

– Nie. Odwożę tam tylko brata.

Uśmiechnął się.

– To twój brat, ten tutaj?

– Uhm.

Mikael wychylił się, żeby popatrzeć na Kristoffera, potem cofnął się gwałtownie i schował twarz w kurtce Andželiki. Na chwilę zapadła cisza, światło popołudnia za szybą nabrało nagle błękitnogołębiego odcienia. Kristoffer musiał wziąć rozbieg przed następnym pytaniem.

– Jest downem, tak?

Andželika nie odpowiedziała, tylko przytuliła mocniej Mikaela.

– Tak – powiedział Kristoffer i zabrzmiało to, jakby mówił do siebie. – Mam kuzyna, który też jest downem. Są do siebie podobni. Tylko że mój kuzyn jest dużo starszy...

Andželika odwróciła głowę, żeby na niego spojrzeć.

– Całkiem fajny facet – ciągnął Kristoffer – ten mój kuzyn. Cały czas śpiewa. Twój brat też śpiewa?

– Nie – odpowiedziała Andželika. – On nigdy nie śpiewa.

Kristoffer wysiadł przed sklepem, tak jak Andželika i Mikael. Kiedy wróciła po godzinie na przystanek, jeszcze tam stał.

W tym czasie odprowadziła brata do rodziny zastępczej. Stojąc w przedpokoju, patrzyła, jak Mikael wpada w ramiona przytulającej go zastępczej mamy, a potem podnoszącego go do sufitu zastępczego taty. Błyszczały im oczy, stali w żółtym świetle lampy w przedpokoju, otoczeni całą masą drobiazgów – ozdób, porcelanowych talerzy i haftowanych kilimów. Jednak widzieli tylko Mikaela, jego śmiech, okrągłe policzki i czarną szparę w roześmianej buzi, która była dowodem na to, że odkąd ostatni raz był tutaj, wypadł mu pierwszy mleczny ząb. Trzeba to uczcić! Ale jak? Gorącą czekoladą z bitą śmietaną? Słodyczami? A może wypożyczymy film? A gdybyśmy tak wypożyczyli go już dziś wieczorem?

Andżelika musiała dwa razy odchrząknąć, zanim zastępcza mama odwróciła się do niej. Kiedy patrzyła na Andżelikę, jej szeroki uśmiech powoli zniknął. Oczywiście! Torba.

– Na spodzie jest trochę brudna – uprzedziła Andżelika.

Kobieta westchnęła.

– Tak, tak – powiedziała. – W zasadzie możemy od razu zanieść ją do pralni. Większość rzeczy i tak trzeba prać zaraz po jego przyjściu...

Potem Andżelika powędrowała samotnie przez Herräng, w stronę morza i kopalnianych hałd żużlu. Herräng było jej tajemnicą: nie spotkała nikogo, kto by rozumiał, czym naprawdę jest to miejsce. W Hallstavik ludzie wzruszali ramionami na samo wspomnienie Herräng, czasem też prychnęli pogardliwie i zaczęli mówić o wsiokach i zacofanych gościach. Andżelika była jedyną osobą w całym Hallstavik, która wiedziała, że Herräng jest czymś zupełnie innym niż małe, niegdyś górnicze, dziś na wpół martwe miasteczko, za które je brano. Jednak nie mogła dojść, czym dokładnie jest to coś innego. Czymś pięknym, tylko tyle. Czymś tajemniczym. Miejscem, w którym mogą odpocząć wszystkie zmysły: wzrok, słuch, dotyk i smak. Może ma to związek z dębami i z tym, że latem przez ich liście sączy się światło słoneczne, które w jakiś magiczny sposób zdaje się zostawać jeszcze wówczas, gdy już liście opadną. A może z tym, że wody w kopalni odkrywkowej Glittergruvan co godzina zmieniają barwę. Może chodzi o ciszę albo o widok wysp i szkieł na morzu. Andżelika nie ma pojęcia. Wie za to, że nigdzie nie czuje się tak spokojna, jak w Herräng, że tylko kiedy stoi zupełnie sama na szczycie jednej z hałd w porcie, przestaje czuć napięcie w mięśniach pleców. Tutaj ma kontrolę nad całym światem i nic nie może ujść jej uwagi. Któregoś letniego dnia mignął jej nawet w wodzie zatopiony statek parowy, leżał na dnie morza niby ogromny wieloryb z wypiętym w niebo białym brzuchem. Jest martwy, pomyślała. Utonął.

Dzisiaj w ogóle nie było widać martwego parowca, zimowe morze było szare i nieprzeniknione. Jak szkło, pomyślała, kiedy już wspięła się na hałdę. Gdy jest zimno, morze zawsze wygląda jak szkło: czarne lub szare szkło, w zasadzie tylko latem woda jest po prostu wodą... Lodowaty wiatr musnął ją po karku, ziąb wnikał pod ubranie, gładził kręgosłup, połaskotał w brzuch, uszczypnął w palce u nóg, ale mimo to nie czuła napięcia w mięśniach. Stała tak prawie pół godziny. Kiedy zeszła na dół i ruszyła w kierunku przystanku, miała zeszywniałe z zimna palce. Musiała przyłożyć je do ust i podmuchać, żeby znowu móc nimi poruszać.

Tymczasem zapalono już lampy wewnątrz sklepu, rzucały teraz kraciasty, świetlny wzorek na asfalt wokół przystanku. Kristoffer chodził szybko po tych kratkach tam i z powrotem, trzymając ręce pod pachami. Andżelika zawahała się, kiedy go zobaczyła. Przez chwilę stała ukryta w mroku i przyglądała się, powoli zaczynała rozumieć.

Czekał, pomyślała. Ten chłopak naprawdę stał tu przez całą godzinę i czekał na mnie.

Nigdy nie czekał na nią żaden chłopak. To ona musiała czekać. Chociaż czasem nie wiedziała nawet na kogo.

W pewien zimowy wieczór kilka lat temu przez wiele godzin czekała obok przystanku autobusowego na pojawienie się chłopaka, który zaproponował, że przewiezie ją na swoim mopedzie. Nie pamięta, jak miał na imię, pamięta za to, jak przyjemnie było przytulać policzki do jego pleców i obejmować go rękami w pasie, kiedy jechali w kierunku letniego domu jego rodziców. Gdy byli już na miejscu, zapalił małą lampkę i pocałował Andżelikę tak mocno, że stuknęli się zębami. Potem rozebrał ją, pozwoliła, żeby to zrobił. Stała na podłodze z bezwładnie opuszczonymi ramionami, a on ściągał z niej jedną rzecz po drugiej. Przyglądała się, jak z wypuszczanego przez nią powietrza powstają małe, białe obłoczki, które rozplývają się i giną zaraz po opuszczeniu jej ciała.

Skóra aż bolała z zimna. Czuła ten ból, ale nie przejmowała się nim. Słuchała z zamkniętymi oczami: czyjs ciężki oddech. Bardzo miło jest słuchać czyjś ciężkiego oddechu.

Później tęskniła za tym oddechem. To dlatego zaczęła w soboty chodzić do dyskoteki obok pizzerii. To dlatego siadała w najciemniejszym kącie z rozsuniętymi udami. To dlatego bez słowa szła z każdym, który złapał ją za rękę, dlatego nie krzyczała, kiedy ktoś zaciągnął ją do toalety i przycisnął do ściany. Przecież ten ktoś chciał ją mieć.

Zdarzało się, że słyszała ów oddech również nocą, w domu Siri, kiedy leżała, nie mogąc zasnąć. Nie brzmiał wtedy pocieszająco, nie wiedziała, czy szepcze o zwycięstwie, czy o porażce. Chowiała głowę pod poduszkę i mocno zaciskając powieki, próbowała odpędzić od siebie wszystkie myśli...

A teraz leży w łóżku Kristoffera, w domu Kristoffera. Jest jego dziewczyną, jak mówi jego mama. Sama unika tego słowa, bo kojarzy jej się ono z drzwiami, które łatwo mogą się zatrzasać za plecami. Z drugiej strony, musi oczywiście przyznać, że dobrowolnie stanęła w progu. Nazajutrz po ich pierwszym spotkaniu, w dzień powrotu Bakcyła, poszła z Kristofferem do domu. Nie żeby. to zaplanowała, wyszło tylko tak, że szykując się rano do szkoły, na dno plecaka wrzuciła bluzkę na zmianę i kilka par majtek. Szczotkę do zębów i mydło miała już w swojej szkolnej szafce.

Od tamtego dnia każdego popołudnia wracała z Kristofferem do jego domu. Ani on, ani jego rodzice nie skomentowali tego. Najwyraźniej uważają za naturalne, że się do nich wprowadziła. Na początku niepokoiło ją to milczenie. Cały czas czekała na to, że zostanie zdemaskowana, chociaż nie do końca była pewna, co takiego w niej nadaje się do zdemaskowania. Po kilku dniach mama Kristoffera zaczęła ją pytać o Karinę, Siri, Mikaela i rodzinę zastępczą, ale teraz przestała się już tym chyba interesować, bo mówi głównie o sobie i o tym, co zamierza zmienić w swoim domu. Ojciec nie odzywa się zupełnie, nawet się nie wita. Sam Kristoffer też nie jest specjalnie rozmowny. Chce, żeby

Andželika była w pobliżu, ale nie nazbyt absorbująca. Trochę jak zwierzątko domowe. Odpowiada jej to, ma dzięki temu czas, żeby pomyśleć. Czas jest tu zresztą jedynym problemem. Kristoffer nie chce, żeby robiła coś bez niego, żeby sama roznosiła ulotki reklamowe albo odrabiała lekcje. Dlatego stara się zdążyć z jednym i drugim, zanim on wróci autobusem z Uppsali. Jednak dziś nie będzie roznosiła ulotek ani odrabiała lekcji. Dzisiejszy dzień będzie należał do niej, bez żadnych zastrzeżeń. To dzień pogrzebu.

Siri byłaby podenerwowana...

Andželika krzywi się trochę na tę myśl. To jednak prawda, Siri mdlałaby niemal z nerwów, gdyby wiedziała, że dziś jest jej pogrzeb. Byłaby przekonana, że wszyscy goście żałobni mają znacznie ważniejsze rzeczy do załatwienia niż patrzeć, jak kładzie się ją do ziemi, i że są na nią wściekli za to, że sprawia im tyle kłopotu. Martwiłaby się, że Andželika zwolniła się ze szkoły, że Mikael musi zostać dłużej u rodziny zastępczej, nie wspominając nawet o tym, ile fatygi przysporzyła Mariannie i Kåremu.

Może Siri jest dobrze z tym, że nie żyje. Może dobrze jest umrzeć osobie, która przez całe życie czegoś się bała, tak bardzo, że wołała nie słyszeć ani nie widzieć. To dlatego Siri potrzebowała Andželiki. Potrzebny był jej ktoś, kto mógłby zamiast niej słuchać i patrzeć. Nie była nawet w stanie iść sama do przychodni, Andželika musiała chodzić tam z nią, żeby posłuchać, co powie doktor. Podczas całej wizyty Siri siedziała sztywno wyprostowana, zdejmując ze spódnicy niewidoczne pyłki kurzu i umierając ze strachu, że nie okaże się wystarczająco chora, by mogło to usprawiedliwić jej wizytę u lekarza, jednocześnie równie mocno lękając się, że jej przypadłość okaże się zbyt skomplikowana. Bała się, że jest chora na jakąś rzadką i zagadkową chorobę, która obnaży luki w wielkiej wiedzy lekarza, tym samym poniżając go. Bała się, że lekarz zostanie z jej powodu oskarżony o niedbalstwo, marnotrawstwo i bezmyślność – przestępstwa, które sama sobie nieustannie zarzucała.

W dniu wizyt u lekarza Siri ubierała się godzinami, każdą część garderoby rozkładała najpierw na stole w kuchni i sprawdzała w świetle lampy. Bielizna musiała być nieskazitelna, zarówno kolor, jak i fason. Niezniszczona, ale też niezupełnie nowa, żeby nie można było pomyśleć, że Siri ma jakieś powody, by ukrywać stan bielizny, którą nosi na co dzień. Bielizna musiała być śnieżnobiała, bez śladu jakichkolwiek przybrań lub frywolności, nie mogła jej zdobić nawet najbardziej bezpretensjonalna bawełniana koronka. Wszystkie szwy świeżo upranej sukienki musiały zostać sprawdzone przed uprasowaniem, żeby nie było najmniejszego pęknięcia. Trzeba było też mieć nowe rajstopy, z porządnymi wzmocnieniami na palcach i piętach, żeby nie puściły oczek, gdyby zdarzyło się, że po drodze wpadnie Siri do buta jakiś kamyk...

Staranna kontrola nie uspokajała jej. Kiedy Andželika wracała ze szkoły ponad dwie godziny przed czasem wizyty, Siri siedziała już całkowicie ubrana, z torebką na kolanach, na taborecie w przedpokoju, wyobrażając sobie, jakie to oskarżenia spadną na nią w przychodni. Muszą się pośpieszyć, żeby się nie spóźnić, Siri słyszała, że lekarze irytują się

na spóźnialskich pacjentów. Z drugiej strony, nie powinny też być za wcześnie, bo na takich pacjentów złością się pielęgniarki. Kiedyś Siri zdarzyło się przyjść godzinę za wcześnie i potraktowały ją bardzo opryskliwie. A przecież ona nie pisnęła ani słówka, nie przeglądała nawet tygodników, siedziała tylko w poczekalni i starała się nie przeszkadzać. Bardzo by nie chciała, żeby to się powtórzyło, więc gdyby przyszedł za wcześnie, może mogłyby zajrzeć na chwilę do biblioteki? Andżelika nie ma chyba nic przeciwko temu? Chyba się nie złości, że Siri prosiła, żeby tak wcześnie wróciła do domu? Siri rozumiałaby zresztą, oczywiście, że rozumie, jaki to kłopot dla Andżeliki, kiedy musi prosić o zwolnienie. Ale nauczyciele chyba nie byli na nią źli? Bo jeśli tak, to Andżelika musi im wyjaśnić, że to wszystko przez jej babcię...

Siri miała szafkę pełną lekarstw. Były tam pigułki, które miały pobudzać jej serce do bicia, utrzymywać na właściwym poziomie ciśnienie i wyciągać z ciała nadmiar wody, tabletki na sen, na uspokojenie, na pobudzenie i przeciwbólowe. Nie przepisano jej tylko pigułek na jej największą boleść: wstyd, że urodziła się sobą.

Andżelika wiele razy życzyła Siri takiego lekarstwa, małej białej pigułki, która zatamowałaby strumień samoumartwiania, nieustannie płynący z ust babki. Teraz tego żałuje. Oddałaby kilka lat życia, żeby móc tylko jeden, jedyny raz usiąść przy stole w kuchni i posłuchać, jak Siri krząta się i bez końca opowiada monotonnym głosem o tym, jaki to wszyscy czują do niej wstręt, od kasjerek ze spożywczego, poprzez farmaceutów w aptece, na pielęgniarkach z przychodni kończąc.

Andżelika bezgłośnie prychnęła w ścianę. Siri nie żyje, więc Karina powinna być teraz zadowolona, jej było jeszcze trudniej znieść to gadanie. Kiedy Siri zaczynała, Karinie robiło się nagle tak bardzo, bardzo spieszno albo łapał ją taki okropny, okropny ból, że pędziła do drzwi, aż furczało. Tylko jeden raz została i próbowała przekrzyczeć monotony monolog matki. Wrzeszczała, że to wszystko to tylko imaginacja, że nikt nie czuje do niej wstrętu, ani kasjerki w spożywczym, ani farmaceuci w aptece, ani pielęgniarki w przychodni, i że w ogóle Siri nikogo, ale to nikogo nie obchodzi, że jest tak samo nieważna i niezauważalna jak wszystkie inne stare baby, ludzie mają ją po prostu totalnie w dupie...

To stało się tego samego dnia, którego do Kariny dotarło, że Andżelika przeprowadziła się do Siri. Nie można powiedzieć, żeby szybko zareagowała. Minęły już trzy tygodnie, odkąd Andżelika po raz pierwszy pościeliła sobie łóżko w pokoiku obok sypialni Siri. Mimo to Karina usiłowała zgrywać dobrą mamę. Nigdy się na to nie zgodzi! Jej córka musi mieszkać z matką, bratem i ojczymem. Jest o wiele za młoda, żeby wyprowadzić się w ten sposób, poza tym Siri wykorzystywałaby ją, zrobiłaby sobie z niej służącą, tak jak kiedyś, dawno temu zrobiła ją sobie z Kariny. Ponadto Andżelika powinna pomyśleć choć przez chwilę o swojej mamie. Jest potrzebna w domu. Karina ma takie bóle, że nie zawsze starcza jej sił, żeby zająć się wszystkim, czym trzeba, teraz, kiedy z Mikaelem jest tak, jak jest. A w ogóle to Bakcyl obiecał, że nigdy już nie zbliży się do

Andżeliki z nożyczkami ani z maszynką do golenia, czego zresztą nigdy by nie zrobił, gdyby Andżelika nie pyskowała bez potrzeby. Miał w końcu rację: to, jak Andżelika nazwała Mikaela, było niewybaczalne. Poza tym Andżelika musi się wreszcie nauczyć okazywania szacunku dorosłym, w szczególności takim dorosłym jak Bakcyl, który udowodnił, że każdy człowiek może coś osiągnąć w życiu, nawet jeśli ma ku temu najgorsze z możliwych warunki. I niech Andżelika pamięta, że Bakcyl jest tatą Mikaela. Czy chce pozbawić tego biednego dzieciaka jego prawdziwego ojca? Tak? Tego by chciała?

Siri i Andżelika nie odpowiadały. Andżelika zasłoniła uszy rękoma i zagłębiona w swój podręcznik do wiedzy o świecie współczesnym recytowała półgłosem nazwy europejskich stolic. Siri zatrzasnęła z hukiem drzwiczki kuchennej szafki i zaczęła głośno narzekać, że nie może znaleźć cukru, chociaż jest całkowicie pewna, że nie dalej jak w sobotę kupiła nową paczkę. To kasjerki w spożywczym na pewno ją schowały, Siri widziała przecież, jak popatrywały na siebie znacząco, kiedy wykladała zakupy na taśmę...

Karina zaczęła wtedy krzyczeć. Siri i Andżelika nie odpowiedziały tym samym, jedna kontynuowała swoją wyliczankę europejskich stolic, druga poszukiwania zaginionego cukru. Dopiero kiedy Karina z czerwoną od płaczu twarzą zatrzasnęła za sobą drzwi, Andżelika poczuła, że już zapamiętała wszystkie stolice, i zamknęła książkę. W tej samej chwili znalazł się też cukier, stał na najwyższej półce w spiżarni. Siri zaraz się uspokoiła i uśmiechając się przyjaźnie do Andżeliki, pogłaskała ją po policzku. Potem usiadła z kawą przy kuchennym stole. Wsypała do kubka sześć łyżeczek cukru i mrugnęła do Andżeliki, chichocząc cicho z powodu swojego grzesznego braku umiaru.

W pokoju po drugiej stronie korytarza dzwoni budzik, ale Andżelika słyszy tylko krótkie buczenie. Tata Kristoffera nie pozwala długo dzwonić swojemu budzikowi. Ucisza go po sekundzie, tak jakby przez całą noc nie spał, tylko leżał z uniesioną ręką, czekając na to, żeby go wyłączyć. Andżelika też ma ochotę wstać, ale na razie jej nie wolno. Nie ma jeszcze szóstej, a tata Kristoffera nie chce widzieć innych ludzi w kuchni przed siódmą, Kristoffer powiadomił ją o tym już pierwszego ranka. Od tej pory nauczyła się, że facet najchętniej w ogóle nie widywałby żadnych ludzi. Woli obcować z końmi. Teraz wstał, Andżelika słyszy, jak wali stopami o podłogę. Zaraz pójdzie do łazienki i nie zamykając za sobą drzwi, stanie w rozkroku przed klozetem – uryna z nocy zaciurka o muszlę. Tata Kristoffera sika jak koń. Donośnie.

Żeby tego nie słyszeć, Andżelika naciąga na głowę poduszkę. Łańcuszek na szyi porusza się razem z nią, spomiędzy piersi wypada kluczyk. Ona bierze go do ręki i czuje, jak w brzuchu narasta niepokój. A jeśli Karina naprawdę włamała się do jej szkatułki z pieniędzmi i zabrała te czterysta koron?... Tylko czy rzeczywiście umiałaby to zrobić? To porządna kasetka, prawdziwa, taka, jaką mają w firmach i w sklepach, nie jakieś durne

puzderko dla nastolatek. Andżelika kupiła ją, kiedy dostała swoją pierwszą pensję, od tej pory kluczyk nosi zawsze na szyi. Łańcuszek dała jej w prezencie Siri na dwunaste urodziny. Srebrny łańcuszek, który sama dostała od swojej babci, Augusty, z okazji konfirmacji.

Andżelika zaciska mocniej dłoń wokół kluczyka. Idiotyczne, że w ogóle przeniosła kasetkę do mieszkania, powinna była zostawić ją w domu Siri. I ona też powinna w nim zostać. Mogliby tam zamieszkać razem z Mikaelem, zupełnie sami, każdego ranka siadaliby w kuchni Siri i pili razem kakao. Powietrze za oknem byłoby puszyste od wielkich, białych płatków śniegu jak kociak, a w domu pachniałyby pięknie płonące świece...

Ech, to tylko marzenie, cholerne, niedorzeczne marzenie rodem z seriali. Andżelika nie może zamieszkać z Mikaelem w domu Siri, to niemożliwe. Gdyby się tam wprowadzili, Karina cała w szlochach leżałaby zaraz plackiem na ich ogrodowej ścieżce, a babska z pomocy społecznej na samą myśl o tym dostałaby apopleksji. Szesnastolatkom nie wolno decydować o sobie ani zajmować się swoimi młodszymi braćmi, jest na to prawo. Mówiąc dokładniej: prawo stanowi, że nikt nie może tolerować faktu, iż niektóre szesnastolatki faktycznie to robią. Wszyscy muszą udawać, że to matka się nimi zajmuje, chociaż i tak wiedzą, że niektóre matki nie potrafią zająć się nawet sobą...

Ostatnia myśl sprawia, że Andżelika zapomina, jak ważne jest, by leżała bez ruchu; zaciska pięść i przykłada ją do ściany. To wystarcza, żeby wszystko zaczęło się od nowa. Za jej plecami wzdycha Kristoffer, obejmuje ją w póżnie i przyciąga do siebie, maca ręką w poszukiwaniu jej piersi i przyciska podbrzusze do jej pupy. Znowu mu stanął! Tej nocy robili to już trzy razy, cała lepi się od jego potu i spermy, ale i tak znowu mu stanął.

Andżelika odruchowo podnosi rękę, żeby chłopaka odepchnąć, ale w ostatniej chwili powstrzymuje się. W jej głowie pojawia się wspomnienie mieszkania matki: widok z okna w kuchni na surowe budynki fabryki, narzekania Kariny, gorący oddech Bakcyła na jej policzku, zapach jego gniewu i słony smak smarków, które ukradkiem przełykasz, żeby nie zobaczył twojego strachu.

Wolność ma swoją cenę, ale da się ją kupić.

Andżelika odwraca się ponownie do Kristoffera, zamyka oczy i rozkłada nogi.

Alicję wyrywa ze snu odgłos trzaskających gdzieś w pobliżu drzwi, zaskoczona wciąga zimne poranne powietrze i dopiero potem przypomina sobie, gdzie się znajduje.

W Nordanäng, w domu Augusty, na werandzie.

W nocy zsunęła się na podłogę, spała z policzkiem na aksamitnie szarych deskach. Jeszcze przez chwilę leży w tej pozycji, obserwując ogród Augusty, przygląda się jego żółtej trawie i porośniętym mchem drzewom owocowym. Powoli się rozbudza.

Jakie rześkie powietrze! Alicja też czuje się rześko, nocne powietrze uczyniło ją jakby lżejszą, tak lekką, że mogłaby unosić się na wietrze niczym przezroczysty, zesłoroczny liść. Już nie boi się swoich myśli, mogłaby pozwolić, żeby krążyły swobodnie wokół pocztówki i wszystkich związanych z nią komplikacji, jest tego pewna. Ale nie będzie o tym teraz myśleć. Poranek jest na to zbyt piękny, tak naprawdę jest także zbyt piękny na kwietniowy pogrzeb. Alicja ma ochotę poleżeć jeszcze w ciepłym śpiworze, rozkoszując się tym dniem. Świat jest piękny. Trochę postrzępiony na brzegach od wszystkich smutków i strat, ale i tak niezwykle piękny.

W godzinach porannych świat daje się ogarnąć rozumem. Dom już nie szepcze, Alicja może przez niemal godzinę jeść śniadanie, siedząc przy kuchennym stole, i żadne wydarzenia z przeszłości nie zakłócają jej spokoju. Myje się długo i starannie w wodzie podgrzanej na żelaznym piecyku. Wylewa zawartość balii do zlewu i owinięta w ręcznik wychodzi do przedpokoju. Staje przed lustrem. Chce zobaczyć, czy to prawda. Czy się nie myli.

W ostatnich latach Alicja coraz częściej ma wrażenie, że w swoim własnym lustrzanym odbiciu dostrzega Augustę. To dlatego zawsze po wyjściu spod prysznica szybko narzuca szlafrok – nie chce na siebie patrzeć. Jednak teraz zmusi się do tego. W przedpokoju nie ma okien, więc zapala lampę. Opuszcza ręcznik na podłogę i przez długą chwilę stoi bez ruchu, przygląda się sobie. Unosi rękę, przesuwa dłonią pod brodą i przypomina sobie podwójny podbródek Augusty, podtrzymując dłońmi piersi, przywołuje w pamięci wielkie piersi babki. Na koniec odwrócona do lustra plecami ogląda siebie z tyłu i patrząc badawczo przez ramię na swoje nogi, przypomina sobie o żyłakach Augusty. Lekko wzdycha, kiedy dostrzega małą niebieską kreskę na łydce.

Tak, są pierwsze sygnały. Trochę obwisłe ciało, jakaś nowa ociążałość ud, prawie niewidoczne pochylenie pleców, którego wcześniej nie było.

Mimo to ciągle jeszcze może się przeobrazić. Jeszcze przez krótki czas będzie jak jedna z tych zagadek obrazkowych, które pamięta z gimnazjalnych podręczników psychologii: rysunek, na którym można było zobaczyć starą jędzę albo piękną młodą kobietę, wszystko w zależności od tego, jak się popatrzyło. Wystarczy, że zgasi lampę i w przedpokoju zapanuje półmrok, wystarczy, że rozpuści włosy, rozchyli wargi i podniesie do góry ramiona, żeby piersi podążyły za tym ruchem. Jeszcze ten jeden raz, może już ostatni, jest wilgotna, ponętna i miękka, połyskuje jak macica perłowa. Coś jej się przypomina, nie wie dlaczego, wie jedynie, że nagle uśmiecha się do swojego odbicia na mgliste wspomnienie mężczyzny, z którym zjadła obiad kilka lat temu. Co on takiego powiedział, ten krępy docent fizyki?

Wszystko jest zawsze. Tak powiedział.

Alicja opuszcza ramiona i robi krok do przodu, wyciąga ręce do lustra, jej palce muskają opuszki palców drugiej Alicji, tej, która żyje po drugiej stronie lustra. Chciałaby

wyjaśnić jej, jak to jest: czas jest tylko kwestią światła i odległości, każda sekunda istnieje dosłownie wiecznie. Gdyby Alicja miała wystarczająco mocną lornetkę i znajdowała się wystarczająco daleko we wszechświecie, gdyby na przykład przeczołgała się przez jeden ze znajdujących się w kosmosie tuneli czasoprzestrzennych, o których opowiadał nieśmiało uśmiechający się docent – tych, które prawdopodobnie istnieją, choć nikt nie jest tego pewny, i które sprawiłyby, że niepokonane odległości stałyby się możliwe do pokonania – mogłaby zobaczyć siebie samą w wieku lat piętnastu. Mogłaby zobaczyć, jak przed laty, w Wielkanoc, stała w tym właśnie przedpokoju, przed tym właśnie lustrem, i po raz pierwszy patrzyła z zachwytem i radością na stojącą przed nią dziewczynkę. Wszystko dlatego, że po raz pierwszy ktoś popatrzył z zachwytem i radością na nią samą...

Tamta chwila zachowała się dzięki światłu. Będzie istniała zawsze. Gdzieś, nie wiadomo gdzie.

Opuszcza ręce i wzrusza ramionami. Tak jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie. Przez krótką chwilę patrzy swojemu odbiciu prosto w oczy, potem pochyla się, żeby podnieść ręcznik. Owija się nim ciasno i wbiega trzema długimi krokami na piętro.

Schodząc po tych samych schodach na dół, czuje się niepewnie – ubrana w pantofle i spódnicę od kostiumu, zmuszona jest ostrożnie schodzić z każdego stopnia. W domu Augusty zawsze czuje się jak dziewczynka, teraz – jak dziewczynka, która lubi makabryczne historie i bawi się w gościa żałobnego. Przechodząc obok lustra, widzi, że jej własne odbicie drwi sobie z tej myśli: jesteś bardziej niż dorosła. Spójrz tylko. Starzejesz się.

Przy drzwiach zatrzymuje się jeszcze raz i sprawdza, czy wszystko ze sobą wzięła. Kosmetyczka i ubrania z wczoraj są w torbie podróżnej, portfel – w torebce. Przez moment trzyma rękę wewnątrz torebki, wahając się. Pocztówkę włożyła do zamykanej na suwak przegródki, ale i tak drży z niepokoju, bo może jej się tylko wydaje, że to zrobiła. Już kiedyś tak się stało. Rozsuwa odrobinę zamek przegródki i wtyka w środek palec, jego czubek ślizga się po znajomej powierzchni. Teraz Alicja może już otworzyć drzwi i wyjść na werandę.

Po przekręceniu klucza w zamku uświadamia sobie, że przecież Andżelika też jest w Nordanäng. Stojąc z kluczem w ręku, namyśla się chwilę. Nie. Byłoby niedorzecznością wyjechać stąd, nie zapytawszy dziewczyny, czy nie chce się z nią zabrać na pogrzeb. Nawet jeśli oznaczałoby to, że najpierw będzie musiała iść z Andżelika do domu, w którym dziewczyna nie jest mile widziana. Cóż, Marianna i Kåre będą musieli zachowywać się jak ludzie.

Czarne pantofle robią się szare od kurzu, kiedy idzie żwirowaną drogą do białego domu. Zatrzymuje się więc przy słupku furtki i trzymając się go, wyciera prawy pantofel o pończochę na lewej nodze, a potem lewy pantofel o pończochę na prawej. W trakcie tej

czynności dostrzega srebrną nić, którą zaspany pająk rozciągnął pomiędzy słupkami furtki. Pierwsza pajęczyna tej wiosny. Przychodzi jej do głowy, że nie wolno niszczyć czegoś tak pięknego, że powinna teraz kucnąć i przejść na czworakach pod nicią, ale myśl, że ktoś mógłby to zobaczyć, przywołuje ją do rozsądku. Gdyby kucnęła, wyszłaby na głupią w oczach innych ludzi, więc musi zniszczyć pajęczynę.

Przed białym domem jest znowu pusto, tak samo jak latem, nie ma nawet konia na pastwisku. Jedynie samotny kot na schodach obserwuje ją, ale kiedy Alicja zbliża się do niego, podnosi się i płynnym ruchem znika. Dom jest duży, większy i starszy od innych domów w Nordanäng, ale mimo to wygląda na nieukończony. W czasach Augusty mieszkał tu samotny starszy pan. Dom miał wtedy podwójne niebieskie drzwi i niebieskie framugi w oknach, a to, co dziś jest wydeptanym pastwiskiem dla koni, było niedużym, nordyckim rajskim ogrodem z agrestem, papierówkami i sierpniowymi gruszkami.

Od tamtej pory dom cztery razy zmienił właściciela. Już w latach siedemdziesiątych wymieniono podwójne niebieskie drzwi na pojedyncze z drzewa tekowego, parę lat później zburzono schody i zbudowano je na nowo z impregnowanego zielonkawego drewna. Kolejni właściciele wstawili nowe okna na parterze: mniejsze i bardziej kwadratowe od poprzednich. Jednak ciągle wyraźnie widać prostokątne kontury dawnych okien, stare framugi zostały, a w szczeliny wstawiono niepomalowane deski.

Kiedy puka, drzwi otwierają się natychmiast, tak jakby ktoś stał i czekał na nią z ręką na klamce. Tym kimś jest mężczyzna w kraciastej koszuli i spranych dżinsach; ma jakieś pięćdziesiąt pięć lat. Jest potężny, wypełnia sobą niemal całą futrynę. W przedpokoju widać kobietę w tym samym wieku, stoi przed lustrem z wyciągniętą ręką. Musiała się właśnie nachylać do niego, żeby przyjrzeć się swojej twarzy.

– Tak? – ton mężczyzny jest ponagląjący.

Alicja pośpiesznie się tłumaczy. Jest krewną Andżeliki. Jedzie na pogrzeb. Chce zaproponować, że ją podwiezie. Jeżeli Andżelika rzeczywiście tu jest i jeżeli nie załatwiono tego w inny sposób. Kiedy Alicja mówi, mężczyzna bez słowa cofa się i gestem zaprasza ją, żeby weszła. Kobieta odwraca się do niej z uśmiechem.

– Och – mówi – to wspaniale. Właśnie zastanawialiśmy się, czy możemy pozwolić tej biedulce jechać autobusem. Kristoffera już nie ma, musiał zdążyć na czas do szkoły, a my sami wybieramy się do Singö, żeby obejrzeć nową klacz, absolutnie nie mogliśmy tego odwołać... Aż tu nagle zjawia się pani. Bóg nam chyba panią zesłał. Doskonale! Proszę wejść, proszę bardzo.

Alicja wchodzi niepewnie do przedpokoju, trochę przytłacza ją entuzjazm kobiety. Mężczyzna zamyka za nią drzwi i wyciąga rękę, dłoń Alicji niemal w niej znika.

– Bertil – mówi mężczyzna, odrzucając przy tym głowę, jakby wykonywał antyukłon.

Kobieta podchodzi i kładzie rękę na ich splecionych dłoniach; tym przedziwnym błogosławiącym gestem zmusza ich do przedłużenia uścisku. Mija kilka sekund, zanim Alicja może zabrać rękę. Kobieta zaraz chwyta ją znowu i zamyka w swoich dłoniach.

– Mam na imię Ann-Katrin – mówi, przechylając głowę.

Przypomina Alicji kogoś, ale mija kilka sekund, zanim zda sobie sprawę, że tym kimś nie jest żywy człowiek. Modigliani. Ta kobieta jest jak z portretu Modiglianiego. Ma odrobinę zbyt wydłużone rysy twarzy, za długie palce i szyję. Ale nie ma w niej kolorów Modiglianiego; włosy w kolorze piasku, nieco bledsza skóra twarzy i oczy tak jasno-niebieskie, że robią wrażenie przezroczystych.

– Proszę wejść – mówi, ściskając wciąż rękę Alicji. – Zanim Andżelika będzie gotowa, zdążymy napić się kawy.

Z uśmiechem uwalnia rękę Alicji, podchodzi do schodów i woła:

– Andżelika! Twoja ciocia po ciebie przyjechała.

– Ciocia? – Alicja na moment przestaje rozpinąć płaszcz. – Nie jestem jej ciocią. Jestem kuzynką jej babki.

Przez twarz Ann-Katrin przemyka uśmiech.

– Wszystko jedno. Chodźmy do kuchni, kawa gotowa.

Bertil kiwa głową na pożegnanie i zmierza do wyjścia. Jego wzrok zatrzymuje się na twarzy Alicji; mężczyzna, zamykając za sobą drzwi, wciąż jeszcze się w nią wpatruje.

– To taka mała biedulka – mówi Ann-Katrin, zaciskając obie ręce wokół ceramicznego kubka. – Jak pisklę. Próbowалам nakłonić ją do mówienia o tym, co czuje, ale to niełatwe. Nie chce się otworzyć.

Alicja odstawia swój kubek na ceratę. Jeszcze nie posprzątano po śniadaniu, jedzenie stoi na środku stołu i podsycha w słońcu. Żółty ser zaczyna się pocić, dietetyczna margaryna jest już tak miękka, że na dnie pudełka zaczyna się zbierać woda. Ann-Katrin odgarnia włosy z czoła i rzuca szybkie spojrzenie na Alicję.

– Przez pierwsze kilka dni była niemal w stanie katatonii.

Alicja potrząsa głową.

– Andżelikę zawsze było trudno zrozumieć. A teraz....

Spuszcza wzrok, nagle robi jej się wstyd – siedzi tu, udając, że zna Andżelikę, że wie, kim naprawdę ona jest.

Jednak Ann-Katrin wydaje się niczego nie zauważać i gorliwie jej przytakuje.

– Tak, doszłam do tego, że to nie jest prawdziwy przypadek katatonii, przynajmniej nie taki, z jakimi się spotykałam, kiedy pracowałam w szpitalu psychiatrycznym.

– Pracowała pani w szpitalu psychiatrycznym?

– Tak, dawno temu, w młodości. Przez pewien czas chciałam zostać psychologiem, ale potem przerwałam studia. Jednak w ich trakcie zdobyłam trochę doświadczenia. Więc doszłam do tego, że cokolwiek złego dzieje się z Andżeliką, nie jest to katatonia. W takich przypadkach człowiek nie przywiązuje się tak mocno do innych, jak ona przywiązała się do Kristoffera.

Alicja odwraca wzrok, nie chce się dowiadywać, co złego, zdaniem Ann-Katrin, dzieje się z Andżeliką. Zapada cisza, przez chwilę jest niemal spokojnie, ale trwa to tylko te parę sekund, których potrzeba Ann-Katrin na podniesienie kubka i przełknięcie łyka kawy. Potem znowu woła w kierunku schodów:

– No, schodź już, Andżeliko! Twoja ciocia czeka!

– Nie jestem jej ciocią – powtarza Alicja.

– Wszystko jedno – odpowiada Ann-Katrin. – Lubisz konie?

Alicja nie ma nic do powiedzenia na temat koni, więc mruży coś niewyraźnie w odpowiedzi, rozglądając się przy tym po kuchni. Musiała być ostatnio odnawiana w latach siedemdziesiątych; wygląda tu, jakby czas się zatrzymał. Brązowe drzwiczki szafek, tapety w bezwstydnie zielone i pomarańczowe kwiatki.

– Bo ja kocham konie – mówi Ann-Katrin.

Znowu robi się cicho. Alicja słyszy, jak Andżelika porusza się na piętrze, jakby skradała się na bosaka po drewnianej podłodze.

– Od jak dawna Andżelika i Kristoffer są razem? – pyta.

Ann-Katrin rozpromienia się.

– Od tygodnia, są świeżo zakochani. Wzruszające jest widzieć, jak bezustannie się całują, obejmują i ściskają. Nie mogą się powstrzymać, poczekać, aż zostaną sami. Zupełnie jak małe króliczki.

Alicja opuszcza wzrok na stół, dotyka palcem okrusza chleba. Musiał tu leżeć jakiś czas, jest twardy i suchy.

– Nie uważasz, że są na to trochę za młodzi?

Ann-Katrin wybucha śmiechem.

– Bynajmniej. Wszystko, cokolwiek by robili, i ja robiłam w ich wieku. Nie, niech nacieszą się tym czasem, tą rozkoszną radością odkrywania po raz pierwszy. Cudownie na nich popatrzeć.

– I Andżelika u was mieszka?

Ann-Katrin przewraca oczami i przeczesuje długimi palcami włosy.

– Nie, skądże. Czasem tylko nocuje u Kristoffera, to wszystko. Nie mieszka z nami... Nie, absolutnie. Ale myślę, że to dla niej dobrze, że może być teraz u nas, nie tylko z Kristofferem, ale w ogóle z całą rodziną. Mieszkała przecież z babcią i chyba nie pali jej się, żeby przeprowadzić się z powrotem do matki...

Zawiesza głos i rzuca Alicji szybkie spojrzenie.

– Właśnie, proszę mi wybaczyć, ale czy mama Andželiki nie jest aby nadmiernie zajęta swoimi dolegliwościami? Mam wrażenie, że chyba nie umie dostrzec Andželiki. Dlatego myślę, że może być korzystne dla niej, jeśli pobędzie trochę z naszą rodziną. To naprawdę wzruszające, jak ona przyłgnęła do Kristoffera, jak ogromnie ważny stał się dla niej...

– A ona dla niego?

Ann-Karin otwiera usta, ale nie odpowiada, patrzy ponad ramieniem Alicji w kierunku drzwi do kuchni. Alicja odwraca głowę i podąża za jej wzrokiem. W drzwiach stoi Andželika. Kiwa głową w kierunku Alicji, a potem spogląda surowo na Ann-Katrin. Nie odzywa się.

Część II

ZAŁÓŻMY, ŻE ISTNIEJE NIEBO.

Założmy też, że Augusta się do niego dostała.

Nie żeby jedno lub drugie było szczególnie prawdopodobne, ale ponieważ daje nam to możliwość pozwolenia Augustcie, by przyglądała się swoim potomkom w czasie przygotowań do pogrzebu Siri.

Zatem niech Augusta siedzi jak podstarzały cherubin na jednej z chmur żeglujących po błękitnym, kwietniowym niebie. Ta rola bardzo do niej pasuje; Augusta zachowała przez całe życie nie tylko swoje kasztanowe włosy, ale także młodzieńczo czyste białka oczu, i nawet w niebie kolory te nie uległy zmianie. Jest z tego zadowolona. Mniej cieszy ją, że musiała także zachować swoje grube ciało, które z biegiem lat okryło jej mięśnie i szkielet coraz bardziej chmuropodobnymi kształtami. Nieustannie więc zamęcza Pana Boga petycjami o przydzielenie jej innego, bardziej powabnego ciała niebiańskiego. Wszak w niebie jest też Izaak, i Augusta naprawdę uważa, że raj nie stanie się prawdziwie rajski, dopóki Izaak nie popatrzy na nią z tym samym pełnym zachwytem osłupieniem, z jakim popatrzył na nią tamtego ranka, kiedy przyjechała do Herräng.

Cóż zrobić, Augusta siedzi teraz na chmurze, mając w posiadaniu wszystkie swoje kolory i liczne podbródki. Przygląda się krajobrazowi na dole, oparłszy głowę na rękę, jak to zwykły robić cherubiny. Nawet dwadzieścia pięć lat po swojej śmierci czuje gorące przywiązanie do traktów, na których toczyło się jej dorosłe życie. Jednak stwierdzenie, że zachwyca się wszystkim, co widzi, byłoby kłamstwem. Häverödal nie robi na niej dobrego wrażenia, chociaż to tam na przykościelnym cmentarzu pochowano jej zwłoki. To miejsce ogarnęła apatia, myśli Augusta, zapomniana mała miejscina, którą stopniowo wchłania większe i bardziej świadome siebie Hallstavik.

Przyglądając się Hallstavik, Augusta marszczy czoło z takim samym niezadowoleniem i czułością, z jakim marszczyła je, kiedy Harald i Erland byli mali. Nieznośne smyki, wywracające wszystko do góry nogami! Hallstavik wygląda właśnie tak, jakby spustoszyła je banda małych chłopaczków. Panuje tu taki nieporządek, że łatwo przeoczyć rzeczy piękne: drobne ornamenty na budynkach fabryki i niezwykłą szkołę, którą kiedyś sam arcybiskup obwołał najpiękniejszą ze wszystkich wiejskich szkół w Szwecji. Miejski nieład kryje w sobie opowieść o dwudziestym wieku i industrializacji, ale tego Augusta nie jest w stanie dostrzec. Nie widzi, że porzucone mieszkania robotnicze to świadkowie znoju i walki pierwszych dziesięcioleci wieku, że solidne wille z cegły – własność urzędników i robotników wykwalifikowanych – opowiadają o okresie dobrobytu, który nastąpił później. Nie słyszy, że kamienice czynszowe szepczą o tych, którzy nigdy nie dopchali się do stołu; o ciemnookich, którzy przybyli zbyt późno, i o ludziach, w których oczach kryje się dzikość, tych, którzy nie zostali nawet zaproszeni. Być może Augusta nie jest w stanie dostrzec tych historii, bo Hallstavik jest miastem

mężczyzn. Dosłownie. Miastem zbudowanym przez mężczyzn i dla mężczyzn, które w związku z tym także zrozumieć może jedynie mężczyzna.

Augusta zauważa – nie bez złośliwej satysfakcji – że w świecie, którego przyszłość nie będzie już zależała od fabryk, Hallstavik powoli odchodzi do historii. Wprawdzie opasły smok fabryki papieru ciągle stoi nad zatoką Edeboviken, dysząc i wypuszczając nad wodę swoje opary, wprawdzie w centrum miasteczka nadal stoi Ludowy Dom Kultury – solidna bryła z betonu wzniesiona w tym krótkim okresie historii, kiedy robotnikom przemysłowym wydawało się, że zdobyli zarówno przyszłość, jak i przeszłość – ale władza i świetność przeniosły się już gdzieś indziej. Nikt nie wie dokąd, ale wszyscy wiedzą, że nie ma ich ani w biurze fabryki, ani w sekretariacie związku robotniczego.

Inaczej jest w Herräng, ostatniej z trzech miejscowości, które Augusta ogląda ze swojej chmury. W Herräng czas nie odgrywa większej roli. Przyszłość i przeszłość splatają się z sobą i nikt nie widzi w tym nic dziwnego. Tak było przez setki lat, także za życia Augusty. I chociaż Herräng jest miasteczkiem fabrycznym w takim samym stopniu jak Hallstavik, to jednak tutaj łatwiej być kobietą. Może to dzięki ciszy: w Herräng da się usłyszeć szum wiatru i ludzkie szepty. Może ma to związek ze starymi domami poustawianymi schludnie w kratkę, wokół których są duże ogrody z drzewami wiśni i krzakami agrestowymi. Jeśli nie jest to po prostu kwestia światła, tego bardzo szczególnego światła, które spotyka się w zaledwie kilku miejscach na wschodnim wybrzeżu Szwecji, na którym rośnie tak dużo dębów, że niemal tworzą one dębową puszcę.

Augusta podoba się Herräng, podoba jej się jego spokój i powolność, i to, że nadal stoją tu prawie wszystkie stare domy, także dom sztygara Artura Svenssona. Podobają jej się nawet „Alpy”: szare kupy żużlu, które stoją w porcie niczym góry. Bez nich Herräng stałoby się idyllą, myśli Augusta, a ona przecież nigdy nie lubiła idylli.

Zagrożenie idyllą byłoby swoją drogą znacznie mniejsze, gdyby Augusta potrafiła przyznać przed sobą samą, że w Herräng znajdują się też szyby kopalniane, trzy ogromne, wypełnione wodą szyby, a do tego jeszcze setki małych. Jednak przez ostatnie czterdzieści lat swojego życia Augusta nie chciała o nich nic wiedzieć, nie uznawała nawet ich istnienia. Śmierć nie osłabiła jej uporu. Kiedy wody kopalni Glittergruvan zaczynają lśnić w słońcu, odwraca wzrok i podąża na swojej chmurze w przeciwnym kierunku, na południe, do Nordanäng.

Wtedy je dostrzega, dwie spośród grona swoich potomków, Alicję, która wkrótce skończy sześćdziesiąt lat, i Andżelikę, która niedługo będzie miała szesnaście. Idą gęsiego zwirowaną ścieżką z białego domu w kierunku samochodu, który stoi zaparkowany przed jej własnym domem. Augusta nie może powstrzymać pełnego zrozumienia uśmiechu, kiedy w nich obu rozpoznaje siebie samą. Dokładnie wie, jak to jest iść zdecydowanym krokiem Alicji, i wie równie dokładnie, jak wygląda świat obserwowany podejrzliwym wzrokiem Andżeliki. Ale jakżeż one się ubrały? Czy Alicja rzeczywiście zamierza iść na

pogrzeb w spódnicy do kolan i z niedbale upiętymi włosami? Taka stara baba? A Andżelika? Czy naprawdę na pogrzeb swojej babci wybiera się w spodniach i butach gimnastycznych? Co się z tymi ludźmi dzisiaj porobiło? Nie są chyba tacy biedni, żeby nie mogli się porządnie ubrać!

Augusta wzdycha tak głęboko, że aż podfruwa koński ogon na głowie Andżeliki. Dziewczyna odwraca się, żeby zobaczyć, co dmuchnęło jej w kark, ale oczywiście nie jest w stanie tego dostrzec. Zaraz jednak o tym zapomina i podąża dalej za Alicją.

Kiedy Andżelika się urodziła, Augusta nie żyła już od wielu lat. Nigdy się nie znały, ale wiedzą o swoim istnieniu. Przy okazji obserwowania życia reszty swych potomków Augusta widywała też Andżelikę: latem, biegającą po trawie podczas jakiegoś przyjęcia rodzinnego, odrabiającą lekcje przy stole w kuchni Siri, przytulającą młodszego braciszka...

Tak, tak. Widziała też inne rzeczy, wolałaby jednak o nich nie wspominać. Nieprzyjemne rzeczy. Najchętniej by o nich zapomniała. Nie żeby miała czuć się winna z powodu czegoś, co wydarzyło się w długi czas po jej śmierci – tego by jeszcze brakowało! – ale dlatego, że zawsze, zarówno za życia, jak i potem, Augusta wycofywała się, jeśli napotykała cierpienie, którego nie mogła złagodzić i któremu nie była w stanie zapobiec. W związku z tym Andżelikę spotkał ten sam los, co szyby kopalniane w Herräng: Augusta nie *życzy* sobie, by jej przypominano o istnieniu tej praprawnuczki.

Nie zawsze tak było. Na początku życia Andżeliki Augusta obserwowała ją z zainteresowaniem. Przyglądała się z daleka Karinie już wtedy, kiedy jej brzuch zaczął się zaokrąglać, a gdy ta przeprowadzała się do nowego trzypokojowego mieszkania, obłok Augusty przez cały dzień unosił się nad blokiem. Augusta była zadowolona z tej przeprowadzki. Żeby nie powiedzieć, że była zadowolona z siebie. Może nie dokładnie z samej siebie, raczej z dokonań całej swojej generacji.

– To przecież my to osiągnęliśmy – zwróciła się z satysfakcją do Socjaldemokratycznego Klubu Kobiet, który akurat przepływał obok na jakimś cumulusie. – To dzięki nam młoda kobieta, która zajdzie w ciążę, nie musi już żyć w hańbie ani oddawać swojego dziecka. To dzięki nam, jeśli nie ma na to ochoty, nie musi nawet wychodzić za mąż. I oczywiście może też dokonać aborcji. Spójrzcie teraz na moją prawnuczkę! Zdecydowała, że urodzi swoje dziecko i że sama sobie poradzi. A teraz wprowadza się do własnego mieszkania, bez męża i bez teściów... Jest wolną kobietą! Pierwszą w rodzinie. I to wszystko dzięki nam.

Członkinie klubu zaświergotały jak wróbelki, lecąc dalej ku zachodowi słońca:

– Jak dobrze! Ależ świetnie, że nareszcie jest tak dobrze!

Tylko że jakiś rok później nadeszło ni stąd, ni zowąd to ciemne i deszczowe jesienne popołudnie, kiedy Augusta z ciężkimi od deszczu skrzydłami dygotała z zimna na

listopadowej chmurze, a Karina zmierzała z wózkiem do następnego postoju na drodze przymusu i samowyrzeczeń, którą chodziła teraz każdego dnia, drodze, która prowadziła pomiędzy zaledwie czterema punktami: fabryką, żłobkiem, sklepem spożywczym i trzypokojowym mieszkaniem. W wózku leżała Andżelika, czapeczka zjechała jej na oczy, dziewczynka miała katar, a w jej lewym uchu boleśnie łomotało nowe zapalenie. Nie mogła o tym powiedzieć, bo była jeszcze taka malutka, że znała tylko jedno słowo. Słowo, które powtarzała coraz bardziej marudnym głosem:

– Mama! Mama! Mama!

I wtedy Karina, prawnuczka Augusty, jej progenitura, zatrzymała się w pół kroku i w świetle ulicznej latarni przyjrzała się swojemu dziecku. Stała tak bez słowa, patrząc na córkę, a później pochyliła się i naciągnęła jej czapeczkę jeszcze głębiej, tak że ta przykryła nie tylko oczy, ale także nos i buzię. Żeby uciszyć narastający w środku czapki płacz, Karina położyła na niej rękę i syknęła:

– Cicho, ty cholerny gnoju! Cicho!

Na moment rzeczywiście zrobiło się cicho. Jakby cały świat stanął, jakby bale drewna, płynące rynnami w kierunku zdzierających korę maszyn, nagle zatrzymały się, jakby ciężarówce, która właśnie przejeżdżała z hukiem przez ulicę, raptem zepsuł się silnik, jakby statek towarowy, który dopiero co wyruszył z fabrycznego portu, wywrócił się i natychmiast poszedł na dno. Jednak Karina nic nie zauważyła, pochyliła się tylko bardziej nad wózkiem, z twarzą całą w smarkach i we łzach, i niemal przyciskając usta do buzi Andżeliki, powtórzyła:

– Cicho, ty cholerny gnoju! Cicho! Cicho! Ciiicho!

W niebie Augusta przypomniała sobie wtedy inny czas i inne dziecko, przypomniała sobie, jak sama miała głowę pełną fabrycznego zgiełku, dokładnie tak jak Karina, i jak sama była podobnie zmęczona i samotna. Pochyliła się nad tamtym dzieckiem z pełnym złości sykiem. Nie było to wspomnienie, które napełniało ją dumą. Wręcz przeciwnie. Gdyby Augusta została któregoś razu zmuszona do podsumowania swojej wiedzy, zdobytej w ciągu tych osiemdziesięciu lat na ziemi, skupiłaby się właśnie na tej chwili. Tak nie wolno robić, brzmiałaby nauka. W życiu może się zdarzyć niemal wszystko i większość błędów daje się naprawić, ale nie wolno pochyłać się nad dzieckiem jak gorgona o oczach węża i przemawiać do niego głosem pełnym nienawiści. To zabronione. Tego trzeba zabronić. Jeśli się tego nie zabroni, świat stanie się wkrótce miejscem niemożliwym do życia.

W kolejnych latach starała się nie przepływać na swojej chmurze nad domem Kariny. Tylko jeden raz zajrzała w jej okno, ale natychmiast się cofnęła. Nie podobało jej się to, co tam zobaczyła, nie miała ochoty patrzeć na kobietę i dziewczynkę – obie pogrążone w samotnej rozpaczycy – które stały po dwóch stronach zamkniętych kuchennych

drzwi. Kobieta z całej siły opierała się o nie, żeby utrzymać je zamknięte. Dziewczynka, zapierając się nogami o podłogę, próbowała je otworzyć.

– Mamo! – wołała dziewczynka tak samo jak wcześniej. – Mamo! Mamo, mamo, mamo...

Ale kobieta w odpowiedzi waliła w drzwi zaciśniętymi pięściami i pociągając nosem, krzyczała:

– Zostaw mnie! Zostaw mnie! Zwariuję, jeśli nie dasz mi spokoju!

Przez kilka następnych lat Augusta nie widziała więcej Andżeliki, a kiedy w końcu ją zobaczyła, zrozumiała, że dziewczynka już dawno przestała wołać swoją mamę. Była teraz wyprostowaną siedmiolatką ze spojrzeniem osoby dorosłej; czujną, milczącą i zawsze gotową do ucieczki. Wytrzymałą twardzielką, która umiała korzystać z nadarzających się okazji. Kiedy podczas tradycyjnego podwieczorku adwentowego dla rodziny Marianna postawiła na stole faworki i babeczki migdałowe z bitą śmietaną, Andżelika nakładała do pełna na swój talerzyk nie raz, tylko dwa razy. Kiedy podniosła się, żeby dokonać trzeciego ataku na zastawiony stół, napotkała spojrzenie Marianny i usiadła z powrotem. Była łakoma i śmiała, ale nie głupia. W zamian oparła więc głowę na ramieniu Siri i zwędziła ciastko z jej talerzyka, cały czas patrząc przy tym na Mariannę z ustami zastygniętymi w półuśmiechu. Nie dostaniesz mnie, mówił ten uśmiech. Spróbuj tylko. Jeśli się ważysz.

Augusta była trochę zbita z tropu silnym związkiem Siri i Andżeliki. Było w tym coś dziwnego i na opak, coś tu się nie zgadzało. Siri była, tak jak i kiedyś, postacią enigmatyczną, osieroconą dziewczynką w ciele starej kobiety, niepewną i marudną, pełną niepokojów i wątpliwości. Natomiast Andżelika, jeszcze zanim zaczęła szkołę, stała się osobą o tak ostrych kantach, że ludzie, którzy wyciągali rękę, żeby ją pogłaskać, nagle czuli strach, że się pokaleczą, i cofali się. Mimo wszystko te dwie trzymały się razem. Rzadko można było zobaczyć wysoką i szczupłą Siri bez korpulentnej Andżeliki u boku, rzadko kto widywał kasztanowe włosy Andżeliki bez włosów Siri w pobliżu. Latarnia morska z przyczepą – obie w kobiecych kształtach.

Zdarzało się, że Karina dostawała ataku zazdrości, widząc tę cichą wspólnotę, ale nie działo się to często. Nie było powodu, żeby się przejmowała, iż matka i córka nie dbają o nią, miała teraz swoje własne życie. Pasjonujące życie. Życie, w którym pojawił się najbardziej atrakcyjny mężczyzna w całym Hallstavik. Bakcyl.

Właściwie to nie wszyscy rozumieli, że Bakcyl jest najbardziej atrakcyjnym mężczyzną. Na przykład taka Marianna. Kiedy półszepem wyjawiała Alicji, co jest na rzeczy, potrząsała głową i unosiła brwi tak wysoko, że niemal dosięgały linii jej włosów. Rany boskie! Czy istniały jakieś błędy, których Karina nie była gotowa popełnić? Alicja w

odpowiedzi uśmiechnęła się lekko i wymamrotała coś o tym, że Karina jest erotycznym kamikadze. Choć z drugiej strony, pomyślała, wzdychając cicho w duchu, nie była, jeśli o to chodzi, pierwszą i jedyną spośród potomków Augusty.

W tamtym czasie Karina – z oczywistych powodów – nie przedstawiła jeszcze Bakcyła rodzinie. Nawet ona zdawała sobie sprawę, że nie sposób go zabrać na adwentowy podwieczorek. Bakcyl, choćby nawet niepobudzony seksualnie i trzeźwy, nie pasowałby do salonu Marianny i Kårego. Jego dzinsy pobrudziłyby jasną powierzchnię skórzanej sofy, po jego włosach zostałyby tłuste plamy na tapetach, a gdyby ktoś zaryzykował włożenie filiżanki w jego trzęsące się ręce, kawa rozbryznęłaby się na wszystkie strony.

Zanim Bakcyl wypełził z poczwarki nałogu i rozwinął motyle skrzydła swojej wyjątkowości, Alicja widziała go tylko jeden raz. Kiedyś razem z Marianną szły szybko przez centrum Hallstavik. Nagle Marianna szturchnęła ją w bok i powiedziała szeptem:

– Spójrz! To on! Ten nowy Kariny!

I rzeczywiście to był on. Bakcyl. Bez wątpienia.

Na ławce przed spożywczym siedziało trzech dość sfatygowanych mężczyzn, i Alicja bez wahania domyśliła się, który z nich to Bakcyl. Siedział w środku, z szeroko rozstawionymi nogami. Miał dzinsy z dziurą na lewym kolanie, koszulę rozpiętą prawie do pasa i podwinięte do połowy rękawy dzinsowej kurtki, a padał wtedy stalowo-szary grudniowy deszcz, tak zimny, że każda kropla, muskająca skórę Alicji, sprawiała odrobinę bólu. Bakcyłowi nie było jednak zimno. Wyglądał, jakby nigdy w życiu nie zmarzł.

W męskim upadku jest coś niezwykle pociągającego. Coś niemal uwodzicielskiego. Coś, co sprawia, że nawet kobieta pokroju Alicji w sekundzie, w której emocje wyprzedzają rozum, przebiega wzrokiem po owłosionych przedramionach, mocnych wargach i nabrzmałym rozporoku. Dopiero kiedy zamruga powiekami, widzi też pobrużdżoną twarz, pożółkłe paznokcie i błysk wyrachowania w oczach. Otrząsa się i wzrusza ramionami, a potem biorąc swoją kuzynkę pod rękę, śpieszy dalej.

Ale Karina nie miała żadnej kuzynki, którą mogłaby wziąć pod ramię. Karina szła samotnie drogą przymusu i samowyrzeczeń.

Augusta pokręciła głową, kiedy po raz pierwszy zobaczyła ich razem. Nie tak miała sobie ułożyć życie pierwsza wolna kobieta w rodzinie. Augustcie nie przyszłoby do głowy, że ta kobieta dobrowolnie wpuści do swojego domu mężczyznę. Mężczyznę tak pijanego, że nie tylko nie pamiętał, jak się nazywa, ale jeszcze zarzygał jej buty. Augusta nie spodziewała się też, że pierwsza wolna kobieta będzie na całe dni i tygodnie zostawiała dziecko pod opieką własnej matki po to, by sama spędzać każdą swobodną chwilę razem z tym mężczyzną lub błądzić po Hallstavik w jego poszukiwaniu.

Na początku przynajmniej chodziła do pracy. Stojąc w swoim czerwonym kombinezonie na rampie załadowniczej fabryki, nawet w najmroźniejsze zimowe poranki promieniała miłosnym szczęściem. Dopóki jej kochanek pozostawał anonimowy, inni rozładowcy chemikaliów uśmiechali się i droczyli z nią, kiedy pomimo wprawy coś wyśliznęło jej się z rąk. „Karina, do cholery, noc już się skończyła, teraz nie czas na pieszczoty”. Uśmiechy zgasły, kiedy w salach i halach fabryki zaczęły krążyć pogłoski. Bakcyl? Czy Karina z rampy naprawdę spiknęła się z Bakcylem? Tym, który chleje od trzynastego roku życia i ćpa od czternastego? Który teraz, gdy ma już przeszło trzydzieści lat, jest stałym gościem w sądzie rejonowym? Czy ona kompletnie straciła rozum?

W pewnym sensie tak. Nikt przy zdrowych zmysłach nie zaakceptowałby tego, co w owym czasie akceptowała Karina: zarzyganej podłogi w łazience i potłuczonej porcelany w kuchni, złamanych obietnic, godzin czekania, płaczących kłamstw, szyderczych uśmiechów oraz pełnego gorzkości, rozszlochanego uzalania się nad sobą, które za sekundę mogło zamienić się we wściekłe poczucie krzywdy. Bakcyl miał ciężką rękę. Na razie nie bił jej jeszcze pięściami, ale otwartą dłonią – jej zewnętrzną stroną. Rzadko pozostawały po tym jakieś ślady, nawet jeśli siła uderzenia była tak duża, że przez długą chwilę potem dźwięczało jej w uszach.

Pomimo to w początkowym okresie Karina każdego rana budziła się z pulsującym w dołku oczekiwaniem. Jeśli Bakcyl nadal leżał w jej łóżku, szybko wyłączała budzik, żeby nie zakłócać jego snu, a potem ostrożnie, samymi opuszkami gładziła jego ramię. Czubki jej palców miały przekonać resztę ciała, że on istnieje naprawdę, że błękitne żyły przedramienia ciągną się po prawdziwych mięśniach i pod prawdziwą skórą. W porannym mroku wyczuwała jego szerokie dłonie – jak martwe kraby na pomiętym prześcieradle – i z dreszczykiem pożądania przypominała sobie, jak w nocy sięgały po nią ze zdecydowaniem, od którego kręciło się w głowie. Potem z zamkniętymi oczami słuchała jego ciężkiego oddechu i nieskończenie ostrożnie muskała palcem zarost, przypominając sobie, jak kilka godzin wcześniej drapał ją w policzek.

Kiedy zapalała światło w łazience, widziała, że jest piękna: czerwone, nabrzmiałe wargi, oczy – czarne i błyszczące, skóra – biała i miękka jak aksamit. Zazwyczaj nie bywała piękna, dużo czasu upłynęło, odkąd ostatnio to się zdarzyło.

Jednak to nie ponowny rozkwit urody, to nie chłodna od amfetaminy sztuka miłosna Bakcyła sprawiły, że zapomniała o realnym świecie. Dokonały tego nowe możliwości. Przygoda. Kiedy była z Bakcylem, zdarzyć się mogło wszystko. U jego boku Karina stawiała się częścią historii dużo bardziej przejmującej od swojej własnej. Życie przed Bakcylem było przewidywalne; otwierając oczy, wiedziała, jak zakończy się dopiero co rozpoczęty dzień: po przymusowej porannej wędrówce do żłobka i fabryki po południu wróci do domu tą samą drogą. Ewentualnie wpadnie jeszcze do spożywcza, gdzie będzie musiała powstrzymać się przed włożeniem do koszyka mrożonej pizzy,

powtarzając sobie, że o tej porze miesiąca nie ma pieniędzy na luksusy. Kupi co innego. Coś, od czego rośnie tyłek i co pozostawia po sobie wiecznie Karinie towarzyszący apetyt na czerwone, soczyste mięso, biały cukier i rozpuszczony ser. Po kolacji rozpoczną się zapasy z Andżeliką, dwu-, trzygodzinna walka o to, żeby dzieciak był cicho w łóżku. Potem Karina walnie się przed telewizorem, z kubkiem kawy po lewej stronie i paczką tytoniu po prawej, i zacznie zwijać papierosy na jutro.

W soboty Karina kupowała dużą torbę cukierków i chowała je wysoko w jednej z kuchennych szafek do czasu zaśnięcia Andżeliki. To był szczyt przyjemności. Chyba że szło coś dobrego w telewizji, ale to nie zdarzało się często.

Teraz wszystko się zmieniło. Teraz każdego rana pędziła pod prysznic, żeby upajać się zapachem mydła i świadomością własnego ciała. Potem zawiązywała mocno pasek szlafroka, szła na palcach do kuchni, siadała nad kanapką z serem i kawą i przyglądała się swojemu odbiciu w czarnej, błyszczącej szybie. Wyobrażała sobie, że naprawdę jest tą kobietą, którą tam widzi. Co przyniesie jej nowy dzień? Mocne, dramatyczne wrażenia? Tak. Pożądanie i spełnienie? Tak. Marzenia i przygody? Tak. Być może nie zastanie Bakcyła, kiedy wróci do domu z fabryki, może, żeby go znaleźć, będzie musiała, jak bohaterka filmowa, biegać po wszystkich melinach i norach ćpunów w Hallstavik. Może, gdy wreszcie go odnajdzie (w opłakanym stanie, rzecz jasna, choć dobrze by było, żeby nie za bardzo) i przyciągnie jego głowę do swoich miękkich piersi, on poczuje przypływ miłości. Może nie będzie mógł powstrzymać swojej żądz, może jak tylko wejdą do windy, naciśnie guzik „stop” (tutaj na marzeniu pojawia się rysa i trzeba przenieść wyimaginowaną melinę z domu bez windy do domu z windą), może będzie całował ją po szyi, może będzie jęczał i mamrotał, gorączkowo podciągając jej spódnicę (cholera, nie nosi przecież spódnic... dobra tam, pies trącał) i ściągając majtki. Może rozpinając rozporek i przyciskając ją do ściany, będzie dygotał z pożądania, może chuć sprawi, że będzie kwilił, prosząc ją, żeby objęła nogami jego biodra, może jeśli nie będzie mu natychmiast posłuszna, rozsierdzony złapie ją za włosy i przymusi...

Tak działo się w marzeniach. Rzeczywistość była nieco bardziej niechlujna, ale można było przymknąć na to oko. Osoba żyjąca marzeniem nie musi się przejmować, że jej kochanek śmierdzi amoniakiem i nosi żalobę za paznokciami ani że jej praca jest tak ciężka, że ciągle boli od niej kark, a pensja, którą za nią dostaje, ciągle nie wystarcza. Nie musi się przejmować tym, że dom nigdy nie będzie przypominał domów innych kobiet, bo brak jej pieniędzy, siły i ochoty, by przemienić go w zdobiony falbankami sztuczny raj, i że właśnie dlatego jest inna i wyłączona z kobiecej wspólnoty, ani tym, że ma w dodatku dzieciaka, z którym nie można dojść do ładu, dzieciaka, który bije inne dzieciaki w przedszkolu i zabiera im rzeczy, wynaturzonego dzieciaka, który krzyczy na swoją matkę i pluje jej w twarz, nawet wtedy, kiedy ludzie patrzą...

Żadna z powyższych spraw nie ma znaczenia. Nie istnieją. W świecie zamieszkanym przez takich mężczyzn jak Bakcyl nie ma miejsca na błahostki.

Jednak nic nie jest wieczne. Jak wiadomo, żaden człowiek nie może wejść dwa razy do tej samej rzeki, nikt nie obudził się rano taki, jaki był w chwili zaśnięcia. Dzisiaj, wiele poranków później, Bakcyl nadal jest władcą Kariny, ale już nie zniszczonym przez życie Tyberiuszem. Raczej pieprzonym domowym Hitlerem, jak to ujęła któregoś razu Andżelika, kiedy była pewna, że Bakcyl jej nie słyszy.

Karina nie pozwala sobie myśleć w ten sposób. Nigdy w życiu. Zgadza się i potakuje, kiedy Bakcyl głosi ewangelię solidności, i nieustannie go zapewnia, że osiągnął w swoim życiu rzeczy fantastyczne, po prostu niezrównane, zupełnie wspaniałe. Nawet przed samą sobą nie przyznaje się do tego, że oddycha z ulgą, kiedy Bakcyl jedzie z powrotem do swojej pracy w ośrodku odwykowym, gdzie wcześniej nauczył się żyć bez spirytusu i narkotyków i gdzie teraz wychowuje w podobnym duchu inne zbłąkane owieczki. Kiedy Bakcyl zamyka za sobą drzwi, Karina przeciąga się i czuje, że plecy bołą ją bardziej niż zwykle, musi chwilę odpocząć. Andżelika, której w jakiś magiczny sposób zawsze udaje się zniknąć, gdy Bakcyl jest w Hallstavik, pojawia się parę godzin później i w milczeniu zabiera Mikaela do rodziny zastępczej w Herräng. Kiedy zamykają się za nimi drzwi, Karina łyka jedną lub dwie tabletki paracetamolu i idzie się położyć. Przez jakiś czas leży, a potem znowu idzie do kuchni, żeby łyknąć apap – po to, by za jakąś godzinę zacząć szukać półprzeźroczystej buteleczki z isalginem, którą tak starannie ukrywała przed Bakcylem, kiedy był w domu, i otworzyć ją trzęsącymi się rękami, czekając na komfort pełnego uśmierzenia bólu. Czasami zostaje w łóżku przez kilka dni, leży, paląc i przeglądając stare tygodniki, stara się nie myśleć. Wcześniej zdarzało się, że kiedy się kończyło jedzenie i tytoń do zwijania, dzwoniła do Siri i prosiła ją o uzupełnienie zapasów. Po kilku godzinach dzwonił dzwonek u drzwi, a kiedy Karina otwierała, Siri wsuwała przez nie chudą rękę i zostawiała torbę ze spożywczego. Nigdy nie chciała wejść, stała na klatce, przestępując z nogi na nogę i mówiąc szybko i piskliwie, że absolutnie nie chce się narzucać, naprawdę nie chce przeszkadzać Karinie, która jest w tygodniu tak zapracowana i dlatego na pewno potrzebuje odpoczynku...

Teraz Siri nie wsunie już nigdy swojej chudej ręki przez drzwi, bo oto Karina i Bakcyl stoją przed lustrem w przedpokoju, przygotowując się do jej pogrzebu. Augusta przygląda im się z nieba krytycznym okiem, ale nie znajduje nic do zarzucenia. Zarówno Karina, jak i Bakcyl są ubrani tak, jak – według Augusty – należy się ubrać na pogrzeb. Bakcyl zasięgnął opinii zakładu pogrzebowego i dowiedział się, że członkowie rodziny powinni mieć białe krawaty, a przyjaciele i znajomi czarne, więc teraz zawiązuje swój czarny krawat na białym tle. Postanowił nie brać dziś pod uwagę faktu, że on i Karina są małżeństwem i że sam jest ojcem jednego z wnuków nieboszczki i ojczymem jej wnuczki, co powinno wystarczyć, by widzieć w nim zięcia i członka bliskiej rodziny.

Stojąca z tyłu, za Bakcylem, Karina cofa szybko nogę, żeby mąż nie przydepnął jej palców, kiedy cofa się o krok, żeby przyjrzeć się swojemu odbiciu. Jest z niego

zadowolony, to widać. Żaden menel. Żaden snob. Żaden nadęty mędrak. Po prostu zwyczajny, porządny facet – może trochę szerszy w barach i trochę bardziej toporny – w garniturze, którego spodnie fałdują się lekko na świeżo wyglansowanych butach. Bakcyl nie jest szczególnie wysoki. Stąd wzięło się jego przezwisko, które otrzymał już w dzieciństwie i od którego, jak sądzi, wreszcie się uwolnił, bo od kilku lat życzy sobie, aby wszyscy zwracali się do niego imieniem, które dostał na chrzcie, Conny. W zakładzie odwykowym wygłasza małe kazania o tym, jak ważne jest odzyskanie swojego imienia. Przezwisko jest elementem tożsamości narkomana, częścią tych szat, które aby stać się normalnym człowiekiem, trzeba z siebie zrzucić, pozwalając, by upadły na ziemię. Nie wie, że w Hallstavik nie ma ani jednego człowieka, który myślałby lub mówił o nim „Conny”, włącznie z Kariną. Dlaczego mieliby nazywać go Conny? Jest przecież Bakcylem. W Hallstavik zawsze będzie się nazywał Bakcyl.

Karina musi się pilnować, żeby nazywać go po imieniu, i kiedy ma się do niego zwrócić, bardzo uważa na język. Nie żeby Bakcyl ją teraz bił, ale dlatego że stosuje inne metody. Teraz Karina stoi w szarym przedpokoju tuż za plecami męża i przygląda się najpierw jego, a potem swojemu odbiciu w lustrze. Kupiła na pogrzeb nową bluzkę – czarną. Tak życzył sobie Bakcyl. Bakcyl nie popiera podążania za takimi nowinkami mody jak ubieranie się na pogrzeb w jasne ubrania. Czarne ubranie pokazuje nasz szacunek dla zmarłego, wytłumaczył jej, a kimże jest Karina, żeby mu się sprzeciwiać? Nie kupiła za to nowej spódnicy, zwyczajnie nie było jej na nią stać. Poza tym miała czarną spódnicę w szafie, starą, letnią spódnicę, wprowadzie z dość cienkiej i rozlazłej wiskozy, ale takich rzeczy Bakcyl nie zauważa.

Karina nie jest już piękna i ma świadomość tego faktu. Jej wargi nie bywają obecnie nabrzmiałe od pocałunków, a policzki nigdy nie są aksamitnie białe. Są szare. Poza tym utyla. Właściwie jest jej wszystko jedno, na co dzień unika patrzenia w lustro, szybko obok niego przechodzi, przesuując ręką po głowie, jeśli zauważy, że czas umyć włosy. Tylko kiedy Bakcyl jest w pobliżu, wysiła się, żeby je ułożyć, i wyciąga swój stary tusz do rzęs. Nie dlatego, że jej się wydaje, iż musi się zrobić, żeby utrzymać przy sobie Bakcyła, ale ponieważ Bakcyl potrafi być dość nieprzyjemny, kiedy uważa, że Karina nie zadaje sobie trudu, żeby się czysto i porządnie prezentować. Już i tak nadwerżyła granice jego tolerancji, narzekając na ból pleców, którego nie potwierdzają żadne zdjęcia rentgenowskie, przez co w końcu straciła pracę w fabryce. Oficjalnie musiała odejść, ponieważ była następna w kolejce, kiedy ostatnio nastąpiły redukcje pracowników, ale nieoficjalnie mówiło się, że zawiniły jej częste zwolnienia lekarskie. Fakt, że od tamtej pory dosyć regularnie otrzymuje zapomogę z pomocy społecznej, nie wpływa na Bakcyła łagodząco. Porządni ludzie nie poddają się błahemu bólowi w plecach, nie łykają bez opamiętania tabletek przeciwbólowych, a już na pewno nie latają do opieki społecznej, żeby skarżyć się, że ich nastoletnia córka jest stuknięta i że nie starcza im pieniędzy. Solidni ludzie potrafią nauczyć swoje dzieci moresu i dopilnować, żeby im samym starczało pieniędzy. To proste jak drut.

Karina znajduje się niebezpiecznie blisko potępienia. W zasadzie chronią ją przed nim tylko dwa błahe powody. Pierwszy z nich to Andżelika, Bakcyl wciąż jeszcze nie porzucił nadziei, że uda mu się okiełznać pasierbicę. Drugi to Mikael, Karina jest w końcu matką jedyne go syna Bakcyła, a Bakcyl uważa, że ojcowie porzucający matki swoich dzieci, tak jak jego własny ojciec porzucił jego matkę, są po prostu maminsynkami bez jaj. Prawdziwy facet potrafi wytrwać. Przynajmniej dopóki baba ma wystarczająco dużo rozumu, żeby trzymać gębę na kłódkę. To proste jak drut.

Za fasadą potulności Karina pozwala sobie na pielęgnowanie odrobiny pogardy. Pogardy, która, co prawda, jest tak delikatną roślinką, że najczęściej ona sama jej nie zauważa, ale która czasem sprawia, że odwraca się plecami i uśmiecha do samej siebie. Głupi fiut! Karina dobrze wie, o czym Bakcyl marzy: żeby któregoś dnia dostać pracę w fabryce i stać się najzwyklejszym robotnikiem przemysłu papierniczego. Problem polega na tym, że nie ma pojęcia, co to znaczy, jak dużo wiedzy i umiejętności wymaga zwykła praca. Sama Karina nigdy do niej nie wróci, nawet gdyby zdarzył się cud i przestały ją boleć plecy. Nigdy. Ma już dosyć fabrycznego życia. Zupełnie dość. A Bakcyl musi sobie wcześniej lub później uświadomić, że nic nie pomogą jego gadki, ani on, ani ona nigdy nie będą uważani za zwykłych ludzi. Przechlapane. Wszystko jedno, jak starannie będzie prasował swoje džinsy, jak mocno będzie szorował szczotką ręce, jak grzecznie będzie się uśmiechał, przepuszczając w drzwiach emerytki, nikt w Hallstavik i tak nie zapomni jego zasikanych džinsów, żałoby pod paznokciami ani tego, jak kopnął kiedyś jedną starszą panią w tyłek, tak że upadła plackiem do przodu, gubiąc przy tym swoją sztuczną szczękę. A ona, Karina? Zawsze będzie tamtą Kariną z wielkim biustem, dziewczyną z północy, kobietą, która nigdy nie miała nawet na tyle rozumu, żeby cztery razy do roku zmieniać zasłonki w kuchennym oknie, tak jak to robią porządne kobiety. A gdyby to wszystko nie wystarczyło, żeby wyłączyć ich ze społeczności, są jeszcze dwa dodatkowe powody: Mikael i Andżelika. Ich dzieci. Ich dziwne dzieci. Ale Bakcyl tego nie rozumie.

Mamy tylko siebie, myśli Karina, przesuwając dłonią po dopiero co ostrzyżonych włosach. Bakcyl ma tylko mnie, a ja mam tylko Bakcyła.

– Ciekawa jestem, czy Andżelika raczy przyjść na pogrzeb – mówi na głos.

Bakcyl, zanim odpowie, przygląda ręką klapy garnituru.

– Niechby tylko spróbowała nie przyjść – mówi. – To proste jak drut.

Ale nic nie jest tak proste, jak wydaje się Bakcyłowi, myśli Augusta, siedząc na swojej chmurze. Nic. Bakcyl nie rozumie, że aby otrzymać obywatelstwo w państwie normalności, trzeba czegoś więcej niż podniosłe deklaracje, głoszące pełną lojalność. Nie pojmuje, że ludzie potrzebują do życia radości, ani nawet tego, że sam nadal się upija, bo przyjemność, którą znajduje w mówieniu o Andżelice podniesionym głosem, jest tą samą, którą odczuwał, gdy podważał kapsel.

Augusta wzdycha i odpływa na swojej chmurze.

Alicja i Andżelika są już na miejscu. Stoją razem z Marianną w jej przedpokoju, ich spojrzenia tworzą zarys trójkąta. Marianna patrzy na Andżelikę, która patrzy na Alicję, która z kolei patrzy na Mariannę.

– Aha – mówi w końcu Marianna – no tak. Więc Alicja zabrała cię swoim samochodem...

Andżelika nie odpowiada, wydaje z siebie tylko jakieś ciche mruknięcie. Na kilka sekund znowu zapada cisza, Alicja odchrząkuje.

– Tak – mówi. – Pomyślałam, że tak będzie najprościej. Jesteście już gotowi?

– Nie ma pośpiechu – odpowiada Marianna i spogląda na zegarek. – Kåre jest jeszcze w łazience. Napijesz się kawy?

– Chętnie – przytakuje z uśmiechem Alicja. – Andżelika na pewno też ma ochotę na filiżankę.

Andżelika właśnie rozchyła usta, żeby powiedzieć, że nie pija kawy, ale napotyka spojrzenie Alicji. Od razu zaciska wargi i bez słowa kiwa głową. Tak, poproszę. Chętnie. Andżelika bardzo chętnie wypije filiżankę kawy, jeśli Marianna jest tak miła i ją poczęstuje.

Augusta widzi, że Andżelika nie jest dokładnie taka jak wtedy, gdy była małą dziewczynką, jest trochę spokojniejsza i jeszcze bardziej czujna. Kiedy Marianna zaprasza do stołu, dziewczyna wybiera miejsce najbliżej drzwi i siada na samym brzeżku krzesła. Podczas gdy Marianna nalewa jej kawy, siedzi wyprostowana, z rękami na kolanach. Alicja dodaje do kawy mleka, Andżelika obserwuje ją i robi to samo, ale waha się chwilę, kiedy Marianna podaje jej cukier. Siri używała cukru, ale Alicja tego nie robi, Andżelika ma tylko kilka sekund, żeby podjąć decyzję. Marianna zaczyna się niecierpliwić. Porusza lekko ręką, kostki cukru grzechoczą, a w Andżelice budzi się dziecko. Wyciąga rękę i łapie pięć kostek naraz, potem wrzuca je do kawy, wpadają z pluskiem jedna po drugiej. Andżelika rzuca Mariannie szybkie spojrzenie. Częstowałaś przecież, mówi to spojrzenie. Po co częstowałaś, skoro nie chciałaś, żebym wzięła?

Właśnie wtedy, kiedy w kuchni może zapaść lodowata cisza, wchodzi Kåre. Tam gdzie jest Kåre, nie może być cicho; Kåre w przeważającej mierze składa się z dźwięków i głosu. To on intonuje pieśń *Synowie pracy*, kiedy socjaldemokratyczny związek robotników zbiera się na spotkaniu w Ludowym Domu Kultury, samą siłą swojego głosu zmuszając młodszych towarzyszy, żeby się przyłączyli. To on siada czasem w zmroku późnego letniego wieczoru na swoim kamiennym tarasie i śpiewa rzewne piosenki Dana Anderssona głosem, który sprawia, że kobiety kilka przecznic dalej przymykają oczy. To on potrafi też sprawić, że ten sam głos grzmi jak burza, kiedy Marianna waży mu się

przeciwstawić w jakiejś domowej sprawie lub któryś z jego dorosłych synów nie rozumie, co jest dla niego najlepsze. Teraz nie śpiewa ani nie grzmi, przechodzi tylko przez korytarz, parszając po wzięciu prysznic, a potem, jeszcze w szlafroku, zagląda przez drzwi i wypełnia swoim głosem całą kuchnię:

– Moje panie! Cześć i witajcie! Co za radość mieć was tutaj...

Trzy kobiety uśmiechają się do niego: jedna w niebie i dwie na ziemi. Tylko ziemską dziewczyną nie uśmiecha się, kładzie rękę na szyi, jakby chciała się zasłonić.

Kåre ma w sobie coś bardzo szczególnego. Coś trudnego do zrozumienia, co zarazem dodaje otuchy i wzbudza głęboki niepokój. Coś, co sprawia, że Augusta nie może dojść, gdzie Kåre naprawdę się znajduje: po której stronie tej cienkiej linii, która oddziela idealizm od cynizmu.

Tamtej letniej niedzieli pod koniec lat pięćdziesiątych, kiedy Marianna przyprowadziła Kårego do domu Augusty, żeby go jej przedstawić, był młodym chudym mężczyzną. Niemal przezroczystym. Nie żeby teraz był gruby, ale rozrósł się, jakby każdy kolejny rok zostawiał po sobie nową warstwę ciała i skóry. Długie ręce zrobiły się szerokie i kanciaste, włosy – co osobliwe – stały się gęstsze i bardziej rozczochrane. Kåre zaczął siwieć przed czterdziestką, więc jego włosy są już od dawna białe. Srebrzyście białe. Kiedy odsuwa krzesło i siada przy kuchennym stole, grzywka spada mu na czoło, a on odgarnia ją wprawnym gestem i uśmiecha się do Alicji, nie spoglądając nawet na Mariannę i Andżelikę.

– Co słyhać?

– Wszystko dobrze – odpowiada Alicja, bo rzeczywiście dawno już zapomniała o pocztówce i swoim niepokojem. – A co u ciebie?

– Wszystko świetnie.

– Ciągłe jesteś związkową szyczą i bohaterem robotniczym?

– Żebyś, kurde, wiedziała. Ktoś musi poczuwać się do odpowiedzialności. A ty nadal pałaszujesz się po muzeach?

– Tak.

– I bierzesz za to nieprzyzwoicie grubą kasę?

– Jeśli mogę. Któregoś roku zarobię może połowę tego, co ty.

Marianna i Andżelika nie odzywają się, Marianna siedzi ze wzrokiem utkwionym w obrus, Andżelika jest napięta i czujna. Augusta uśmiecha się w swoim niebie, rozpoznając coś, co jej się podoba. Pomiędzy Alicją i Karem jest coś, co sprawia, że zaczynają droczyć się ze sobą, gdy tylko znajdują się w pobliżu. Trwa to już od wielu lat, w zasadzie odkąd

Alicja wyszła z czyścica swojej młodości, odkąd jej rany zaczęły się zablizniać. Na początku, kiedy zaczynali swoje przekomarzanki, ludzie wpadali w konsternację, wydawało się, że nawet Lars i Marianna nie mogli dojść, czy Kåre i Alicja się lubią, czy nie. Teraz Marianna już zrezygnowała, nie ma siły dalej się nad tym zastanawiać, za to Andżelika wygląda na zaciekawioną. Patrzy na krzywy uśmiech Alicji, a potem odwraca twarz do szczerzącego zęby Kårego.

– No, no. Nawet nie próbuj myśleć o nas, uczciwych robotnikach, którzy musimy za to płacić...

– Staram się tego unikać.

– I jak ci idzie?

– Świetnie. Od świąt nie poświęciłam uczciwym robotnikom ani jednej myśli.

– A niech mnie! To przepraszam, że poruszyłem temat i ci o nich przypomniałem.

– Nie ma za co. Zaraz znowu zapomnę.

– Domyślam się...

– Chociaż dostałam propozycję zrobienia wystawy, która mogłaby ich zainteresować.

Kåre podnosi swoją filiżankę i upija łyk kawy.

– Ach tak, a czemuż to?

– Jej tematem będzie industrializacja. Jak wpłynęła na nasz sposób myślenia...

Kåre unosi brwi.

– A industrializacja wpłynęła jakoś na nasz sposób myślenia?

– Tak. Bez wątplenia. Nie tylko praca została podzielona. Rozbiciu uległy też miasta. Czas. Samo życie.

Kåre odchyła się do tyłu i zaczyna się bujać na krześle.

– A niech mnie. A my, którzy siedzieliśmy w fabrykach, jak zawsze nic z tego nie zrozumieliśmy?

– Skończ już z tymi bzdurami. Wiesz, o co mi chodzi. Próbuje znaleźć jakiś sposób na wyrażenie tego, ale jakoś nie mogę... Czytałeś *Nową pieśń o Grottekvarn*?

* *Den nya Grottesången* – antykapitalistyczny poemat Viktora Rydberga z wydanego w 1891 roku tomu *Wiersze*. W poemacie Rydberg wykorzystał islandzki mit o królu Frode, który zmusza swoje niewolnice do mielenia złota w młynie Grottekvarn. Rydberg przetwarza mit w alegorię polityczną o bardzo radykalnym wydźwięku. Ernst Wigforss, jeden z pionierów ruchu robotniczego w Szwecji, twierdził, że stał się socjalistą nie dzięki Marksowi, ale dzięki Rydbergowi.

Kåre prycha.

– Wybacz biednemu niedoukowi.

– Poemat Viktora Rydberga o industrializacji... Wiesz.

Alicja przechyla się przez stół, cytując wiersz, kładzie rękę na obrusie.

Róbcie złoto pracą mięśni,
Trwoniąc jak najmniej swych sił!
Jak rozwiązać to zadanie,
Mówi nam teoria i jej wykonanie.
Żeby w młynie praca wrzała
Przez dzień cały i przez noc,
W koszta wpiszmy teraz już
Na dzień jeden tysiąc dusz...

Kåre udaje, że powstrzymuje uśmiech, i stara się, żeby Alicja to zauważyła. Alicja gwałtownie cofa rękę.

– Wiem. Kiepskie to... ale jednocześnie w jakiś sposób dobre.

– To gówno – mówi Kåre – Poza tym w industrializacji nie ma nic złego. Żywi nas i jeszcze długo będzie żywiła. Miesza ci się industrializacja z tayloryzmem, ale Taylor już dawno umarł i został pochowany. Ani jeden nowoczesny zakład nie jest prowadzony na wzór fabryk Forda z lat trzydziestych. Ty i twoi wszystkowiedzący koledzy z muzeów, zanim zaczniecie nad nami jójczyć, powinniście chyba najpierw zorientować się, jak wygląda rzeczywistość. A teraz muszę iść się ubrać... Alicja marszczy czoło.

– Ale Viktor Rydberg żył na długo przed Taylorem...

Kåre wstaje, odsuwając z hurgotem krzesło.

– Słuchaj, co do ciebie mówię: nie ma o czym gadać. Tayloryzm się skończył, to tylko ty i kupa innych sztokholmskich oszołomów nie możecie tego pojąć. Dzisiaj, żeby zacząć pracować w fabryce, trzeba skończyć szkołę. Trzyletnie gimnazjum. Tak teraz jest. Nie jesteśmy już ani niewolnikami, ani robotami. Żebyś wiedziała.

Na chwilę robi się cicho. Kåre stoi wciąż przy stole, błędząc wokół wzrokiem. Alicja nieruchomieje ze spuszczonej oczami i zaciśniętymi ustami, jakby właśnie dostała nagane, Marianna jeszcze niżej pochyla kark i mocniej gładzi ręką fałdkę na obrusie, tylko Andżelika siedzi wyprostowana i patrzy mu w oczy. Kåre przez chwilę jej się przygląda, potem wsuwa krzesło pod stół.

– A ona – mówi, kiwając głową w stronę Andżeliki – ona idzie na pogrzeb swojej babci w trampkach i starych dzinsach?

Będą posłuszne, myśli z rezygnacją Augusta. Nie wypowiedziano nawet żadnej komendy, ale i tak będą posłuszne. Zawsze.

Gdzieś w domu trzaskają drzwi. Kåre wszedł do sypialni, żeby się ubrać. Przez moment przy kuchennym stole jest zupełnie cicho. Marianna nagle czuje się bardzo zmęczona. Pogniewał się, myśli. Jeszcze długo będzie zagniewany...

Alicja pociera czoło. On ma rację, myśli. Andżelika jest ile ubrana. Powinam była to zauważyć, powinam była pomyśleć o tym już w Nordanäng...

Andżelika spuszcza oczy i przejeżdża palcem po obrusie. Wyglądam biednie, myśli. To właśnie powiedział. Cholerny dziad.

Po sekundzie Marianna wstaje i śpieszy za Karem do sypialni, wyjmując ze swojej szafy wszystkie czarne ubrania, jakie może tam znaleźć, i idzie z nimi do kuchni. Niedużo tego. Nędznie wyglądająca sukienka ze spranej dzianiny. Letnia spódnica z rozłazącą się falbaną. Pańciowata spódnica z taniej gabardyny, która wydaje się o wiele za szeroka w pasie. Para znoszonych czółenek. Nierozpakowane jeszcze rajstopy.

Alicja przechyla głowę.

– Bluzka jest niezła – mówi. – Taka gładka i ładna... Ten mały kluczyk na łańcuszku wygląda jak wisiołek.

Andżelika i Marianna nie odpowiadają, Marianna wyciąga tylko przed siebie kupkę czarnych ubrań i wkłada ją w ręce Andżeliki.

– Możesz je przymierzyć w salonie – mówi.

Kiedy Andżelika zamyka za sobą drzwi do salonu, otwierają się inne drzwi, te wewnątrz niej, zapomina, że powinna się przed tym bronić. Stoi na środku pokoju, który – gdy była bardzo mała – mieścił w sobie wszystkie jej marzenia o przyszłości. Nie widzi jednak sofy ze śmietankowobiałej skóry ani stołu z lśniącego palisandru, ani kryształowego żyrandola, ani zegara z mosiężnym wahadłem. Nie widzi nawet kupki żałobnych ubrań, które trzyma przed sobą. Zamiast tego zagłębia się w siebie, przypominając sobie to, czego przez dwanaście dni usiłowała nie pamiętać.

Siri nie żyje.

Te słowa powtarzała w myśli setki razy, ale nie umiała ich pojąć. Teraz już rozumie. Siri nie żyje. Siri naprawdę nie żyje i dziś zostanie pochowana.

W cichym pokoju ktoś wciąga powietrze i jakaś część mózgu Andżeliki rozumie, że to Andżelika jest tym kimś, ta sama część mózgu myśli, że Andżelika ani razu nie płakała, jest nieczułym ścierwem, które nie uroniło choćby jednej łzy nad swoją babcią.

Nie płakała nawet wtedy, kiedy ją znalazła. Nie. Teraz to sobie przypomina. Teraz już może sobie przypomnieć.

Tamtego ranka, kiedy weszła do pokoju Siri, była już ubrana do wyjścia, miała na sobie kurtkę i buty. Na prawym ramieniu wisiał plecak, zakołysał się lekko, kiedy podeszła do okna, żeby podciągnąć rolety. Na dworze padało. Może już wtedy wiedziała to, czego nie chciała wiedzieć, może to dlatego stała przez jakiś czas, wyglądając przez okno, może dlatego, zanim w końcu odwróciła się do łóżka, koniecznie musiała wpierw sunąć palcem wskazującym za małą kroplą deszczu, która powoli ściekała wzdłuż szyby. Potem zobaczyła otwarte usta. Wytrzeszczone oczy.

Przez głowę przeleciało jej, że na Siri czeka w kuchni śniadanie, zapalona lampa, „Gazeta Norrtälje” na ceracie obok kubka w kwiatki. Potem już nie myślała, plecak zsunął się na podłogę. Ściągnęła kurtkę, zrzuciła buty i wpełzła do łóżka babci. Przez wiele godzin leżała z zamkniętymi oczyma i zaciśniętymi dłońmi, zwinięta w kłębek za jej zimnym ciałem, nawet przez sekundę nie przyznając się przed sobą, że Siri nie żyje, że skończyła się pewna epoka i teraz zaczyna się inna, w której to wychudzone ciało już nigdy nie będzie mogło jej ochronić.

Otworzyła oczy dopiero wtedy, kiedy deszcz przestał stukać o szybę, wstała, ubrała się i zdecydowanym krokiem zeszła na dół. Wyszła z domu, przeszła przez ogród i dalej, do domu sąsiadów.

Coś się stało z Siri, powiedziała. Coś. Nie powiedziała co. Nigdy nie wypowiedziała tego słowa.

Teraz, stojąc w salonie Marianny ze stertą ubrań w ramionach, rozumie nagle, że Siri nie żyje. Dziś zostanie pochowana.

Co ja tu robię?

Andżelika rozkłada ręce i ubrania rozsypują się na podłogę, nie odsuwa ich nogą na bok, po prostu przechodzi po nich, podchodząc do prowadzących na taras drzwi. Uchyła je bardzo ostrożnie, tak żeby nikt nie usłyszał. Na tarasie panuje cień, ale trawnik tonie w słońcu, wiosenne powietrze zdaje się tak *świeże*, że aż braknie tchu.

Musi wyjść. Na dwór, na świeże powietrze. Zanim zrobi pierwszy krok, odwraca się i zerka na parapet, przez chwilę przyglądając się kwitnącym azaliom Marianny i jej licznym bibelotom.

Gdzie on jest? Konik cyrkowy z duńskiej porcelany, ukochana figurka Marianny. Andżelice nie wolno było go dotykać, kiedy była mała; gdy tylko przychodziła do Marianny, ta zaraz pędziła, żeby odstawić go na najwyższą półkę.

Teraz stoi trochę na uboczu, schowany za olśniewającą azalią, ale jest tak samo piękny jak kiedyś. Andżelika podnosi go ostrożnie, przesuwa palcem po błyszczącej, niebieskiej grzywie i mocnym przytknięciem odłamuje kruchą nóżkę. Potem starannie umieszcza ją na właściwym miejscu. Nic nie widać. Ale kiedy Marianna będzie wycierać kurze w salonie, porcelanowa nóżka upadnie na marmurowy parapet – brzdęk!

Sekundę później Andżelika otwiera drzwi na taras na oścież i wybiega. Biegnie po trawie wielkimi susami, przeciska się przez żywopłot i wychodzi na chodnik, biegnie do skrzyżowania ulic, przebiega obok fabryki i ostatnich domów mieszkalnych, biegnie, biegnie i biegnie, aż jedyne, co czuje, to walenie serca, aż jedyną myślą jest to, że zaraz pękną jej płuca.

Nie ma żadnej Augusty, która by na nią patrzyła, żadnej Augusty na chmurze, która ścigałaby wzrokiem swoją praprawnuczkę. Umarli są umarli i nie ma żadnego raju.

Jest tylko ziemia. Ze wszystkimi swoimi dziećmi.

Część III

TEŚKNIĘ, MYŚLI AUGUSTA.

Myśli Alicja.

Myśli Andżelika.

Dzieli je od siebie czas, ale to przecież tylko kwestia światła i odległości. Wszystko trwa zawsze. Gdzieś tam Roslagen wciąż jeszcze odpoczywa przykryte lodowcem, gdzieś indziej jest szklistozielonym królestwem w morzu roztopów, a jeszcze gdzie indziej skałami wolno wynurzającymi się na powierzchnię. Któregoś ranka w wodach zatoki po raz pierwszy przegląda się drzewo, któregoś dnia, wiele tysięcy lat później, leśną ciszę przerywa głos pierwszego człowieka, a wieczorem kobieta wypowiada szeptem słowo, które stanie się nazwą tego miejsca. Tysiąc lat później na mieliźnie zatoki Edeboviken ląduje wielki, błękitny wieloryb. Nim umrze, wyczerpany leży na plaży, waląc tylną płetwą w płytką wodę. Jest to niezwykle i szczęśliwe wydarzenie, tak niezwykle i tak szczęśliwe, że opowieść o nim przekazywana jest potem z ust do ust. Po latach ktoś zapisuje po raz pierwszy nazwę tego miejsca: Hallstada. Hållplatsen, miejsce płaskich kamieni.

Nazwy i słowo pisane sprawiają, że czas płynie szybciej, gnają stulecia, czas ma przyśpieszony oddech, widzi ludzi, którzy rodzą się i umierają tak prędko, że później prawie nie pamiętają, że żyli. Niektórzy z nich czasem przystają, pracujący w kopalni mężczyzna opuszcza swój kilof, piorąca kobieta prostuje plecy i wygładza fartuch zdrętwiałymi z zimna palcami, myślą: ja żyję. Właśnie teraz żyję. Za chwilę to mijają, kilof znowu się unosi w ciemnościach kopalni, a ręce zanurzają się w zimnej wodzie, czas pędzi dalej.

Z ziemi wyrasta kościół w Häverö, któregoś dnia stoi już gotowy i olśniewa swoim widokiem. Szyby kopalniane w Herräng robią się coraz głębsze i jest ich coraz więcej, ciężko załadowane furmanki jadą przez lasy do fabryk żelaza w Skebo i Bennebolu. Za nimi dyszy czas, zmęczone konie próbują przyśpieszyć tempo i nie dać się prześcignąć, ale to nie pomaga: ich czas zaraz się skończy. Wystarczy jedno tchnienie i w Hallstavik buduje się już port dla żaglowców, chwilę później – tory kolejowe ze Sztokholmu do Skebobruk, a potem jeszcze do sąsiadującej z Hallstavik wioski Häverödal. To najgorsza i najbardziej trzęsąca kolej w całej Szwecji, ale zawsze jednak kolej; nadjeżdża z kłębamii pary i sadzy, z zapachem nowej epoki. Wieczorami na stacji zbierają się chłopcy. Serca omal im nie pękają z zachwytu nad ciężką, czarną lokomotywą, ale nie mogą sobie pozwolić na myśli tego rodzaju, zamiast tego popychają się i szukają zaczepki, toczą się po żwirze w coraz to nowych bijatykach, po męsku wymachując pięściami, aż w końcu zawiadowca pofatyguje się, żeby ich rozdzielić. Ja żyję, myśli chłopiec chociaż w jego

głowie wciąż jeszcze dźwięczy echo policzka, który wymierzył mu zawiadowca, chociaż czuje, jak z nosa płynie ciepła krew. Właśnie teraz żyje. Przechodząca drogą dziewczyna zerka na niego, ale nie zatrzymuje na nim dłużej wzroku. W ciągu dwunastu lat swojego życia widziała setki chłopców, którym ciekła krew z nosa. Interesuje ją pociąg, ale i tak nie może przystanąć, żeby mu się przyjrzeć. Chłopcy, których samouwielbienie nie zna żadnych granic, zaraz wymyśliliby sobie, że to na nich się tak gapi, nie da im tej satysfakcji. Jak mieliby zresztą zrozumieć, że przechodząc tego letniego wieczoru obok stacji w Häverödal, nie widzi wyszczekanych łobuziaków, ale siebie samą za dwa lata – starszą, już po confirmacji – kiedy będzie wsiadała w pociąg do Sztokholmu, gdzie ma iść na służbę. Dokładnie wie, jak się będzie wtedy poruszała: jedną ręką zbierze spódnicę – unosząc ją, odsłoni lśniące nowością botki – drugą ręką chwyci się krawędzi drezyny, żeby szybko i zgrabnie podciągnąć się do góry. W Skebobruk przesiądzie się do większego pociągu – z prawdziwym wagonem pasażerskim, dachem i drewnianymi ławkami. Nie wie dokładnie, jak wygląda taki wagon, bo widziała go tylko w marzeniach, ale wie, że każdy podróżujący do Sztokholmu musi nim jechać.

Nie wie też, że tego samego dnia, tyle że w przeciwnym kierunku, będzie podróżowała Augusta. Na stacji w Skebobruk musną się spódnicami – Augusta będzie wysiadała z pociągu, a dziewczyna, która zostanie służącą, będzie do niego wsiadała. Nie zauważają się, każda ze wzrokiem utkwionym w przyszłości, żadna z nich nie trwoni czasu na przyglądanie się teraźniejszości.

Tego dnia Augusta czuje się bardziej zmęczona niż kiedykolwiek wcześniej albo później. Szarawy kolor jej jasnej twarzy kontrastuje z kasztanowym odcieniem włosów, wargi są tylko odrobinę ciemniejsze, cienie pod oczami wyglądają jak namalowane wyblakłym atramentem. Na pierwszy rzut oka wydaje się lepiej ubrana, niż można by się spodziewać po kobiecie jej stanu, ale i tak wygląda na zmarzniętą. Może to dlatego, że nie może zapiąć płaszcza, jest za wąski w piersiach. Kapelusz też jej nie ogrzeje – to letni kapelusz ze słomki, zupełnie nieodpowiedni na mokry i ponury październikowy dzień.

Augusta stoi na peronie ze skulonymi ramionami i zawiniątkiem z dzieckiem na ręku, wzdryga się i wypuszcza worek, który dotąd ścisnęła w prawej dłoni, rozczapierza palce, jakby chciała sprawdzić, czy jest jeszcze w stanie to zrobić. Worek na ziemi obok niej zapadł się w sobie, jest teraz małą, szarą kupką materiału, wypełnioną tylko do połowy. Augusta chwieje się, wygląda, jakby zaraz miała zapaść się w sobie, tak jak jej worek, ale zamiast tego pochyła się niczym do ukłonu i znowu go podnosi. Potem, stukając obcasami, idzie zdecydowanym krokiem do drugiego pociągu-drezyny, który jedzie do Häverödal. Bez słowa podaje zawiniątko z dzieckiem starszuskowi, który właśnie wspiął się na platformę, mamrocze, że trzeba podtrzymać ręką główkę, potem wrzuca torbę do wagonu, chwytając mocno za krawędź drezyny i podciąga się do góry. Obserwują ją czterej mężczyźni i zdumiony starszek, któremu właśnie włożono w ramiona dziecko. Zauważają, że Augusta ma bardzo szczupłe kostki. Kiedy jest już na platformie, wyciąga

ręce po dziecko, mrużąc szybkie „dziękuję”, nie uśmiecha się przy tym i nie patrzy staruszkowi w oczy.

Jeżeli pociągiem jadą państwo, przedsiębiorstwo kolejowe wyciąga dla nich ławki, ale dziś żaden z pasażerów nie kwalifikuje się do takich przywilejów'. Z daleka widać, że staruszek jest zwykłym staruszkim, czterej mężczyźni to robotnicy jadący na budowę fabryki w Hallstavik – tej, która już wkrótce stanie się największym placem budowy w Europie – a młoda kobieta z dzieckiem na ręku może – ale tylko może – mogłaby być czyjąś żoną, na pewno jednak nie żoną z lepszych sfer. Zatem wszyscy będą siedzieć na podłodze pozbawionej dachu drezwiny.

Na długo, nim pociąg ruszy, lokomotywa zaczyna sapać i syczeć. Auguście to odpowiada, nie musi się zamartwiać, że dziecko się obudzi i będzie przeszkadzać ludziom swoim płaczem. Zaledwie trzytygodniowy dzieciak nie jest głośniejszy od lokomotywy. Nie kiedy jest na powietrzu. W wagonie pasażerskim pociągu ze Sztokholmu może by było, faktycznie, przez cały czas niepokoiła się, że tak się stanie, ale Olga w czasie drogi ze Sztokholmu grzecznie spała, nie wydając z siebie ani jednego dźwięku. Gałganek zadziałał, dokładnie tak, jak powiedziała Kristin.

Kiedy było już widać, poszła właśnie do Kristin. Między nią i Wilhelmem nigdy nie doszło do porozumienia, nie próbowała nawet zatrzymać jego spojrzenia, kiedy zaczął je od niej odwracać. Któregoś przedpołudnia, kiedy pani pojechała z kucharką do domu na wsi, Augusta pozmywała po śniadaniu, a potem zwyczajnie zdjęła fartuch, poszła do pokoju dla służby i zaczęła się pakować. Wilhelm musiał słyszeć, jak się krząta, i zrozumiał, co robi, bo kiedy chwilę później stanęła w drzwiach biblioteki, w płaszczu i słomkowym kapeluszu, zdążył już zakleić kopertę i napisać na niej jej imię. Kiedy ją podawał, wyglądał na przestraszonego; nadętego i przestraszonego jednocześnie; zobaczyła wtedy, jaki jest brzydki z tym swoim mięsistym nosem i porowatą skórą. Gdzieś w środku poczuła lekkie zdziwienie, że nie zauważyła tego wcześniej, że bywały nawet takie chwile, kiedy o nim marzyła. Już nigdy więcej nic takiego nie zrobi, była tego pewna. Nigdy więcej.

– W spiżarni jest trochę zimnych przekąsek – powiedziała, chowając kopertę do kieszeni płaszcza. – Czy życzy sobie czegoś jeszcze?

Błądził gdzieś wzrokiem i oblizywał usta, błyszczące wargi sprawiały, że był jeszcze brzydszy. Pod stopami Augusty zahuściła się podłoga, kiedy pomyślała, jak się czuła, kiedy te wargi wędrowały po jej szyi, nagle przypomniała sobie jego odór, gdy przyłgnął do niej po raz pierwszy, śmierdział tytoniem i samotnością, a także, jak jęczał, płacząc palcami jej włosy, jak szarpał je twardymi dłońmi, jak wyrwał ich kępkę z cebulkami.

– Augusta mnie skusiła – powiedział, chrząkając. – Gdyby Augusta mnie nie kuszyła...

Nie dała mu dokończyć zdania, odwróciła się plecami i poszła.

Kristin nie mogła jej sobie przypomnieć, Augusta długo musiała stać w progu, tłumacząc się, podczas gdy kobieta taksowała ją wodnistym, starczym spojrzeniem. Wychowanka? Przez kilka miesięcy prawie dziesięć lat temu? Jak mogłaby to pamiętać? Było ich tak dużo, przez ponad trzydzieści lat miała tu wciąż dzieciaki z sierocińca, jedno po drugim. Właściwie pamiętała tylko tego pierwszego... Miał na imię Sven i był małym, leniwym urwisem, oddano go do krawca w Smålandii, ale ten odesłał go z powrotem do przytułku, bo mały nie chciał porządnie pracować. Tak to się zaczęło, to wieczne niańczenie cudzych dzieci. Pańcie w sierocińcu szybko uznały, że Kristin może zaopiekować się każdym dzieciakiem, którego odsyłano im z powrotem, a ona nie mogła sobie pozwolić na to, żeby im odmówić. Ale wszystko się skończyło, kiedy kilka lat temu jakiś dzieciak zakaszłał się tu na śmierć. Nagle pańcie odkryły, że Kristin nie mieszka już w pokoju na górnym piętrze, tylko w piwnicy, w pomieszczeniu z piecem, i że już nie utrzymuje się z robienia przeróbek krawieckich, tylko ze zbierania szmat i używanej odzieży. Bawienie się na stertach łachmanów Kristin, Boże ucho, nie jest korzystne dla zdrowia bękartów, więc zabrały ostatniego dzieciaka i nie przysłały jej już nowego. I bardzo dobrze, Kristin nie miałaby nic przeciwko temu, gdyby tylko nie ten brak pieniędzy, zbieranie szmat nie jest tak opłacalne jak przeróbki, ale ona za słabo już widzi, żeby szyć...

Chleb? Ach, więc Augusta przyniosła pieczywo? Całą torbę pszennych bułek i drugą z sucharami? I dwadzieścia deka świeżo zmielonej kawy?

Coś podobnego. Zupełnie nieprawdopodobne.

Tak, pewnie, że może wejść, Kristin jest w końcu chrześcijanką, proszę wejść, proszę usiąść, Kristin zsunie tylko ze stołu szmaty, a potem rozpali w piecu, żeby zrobić kawę. Po dłuższym zastanowieniu wydaje jej się, że jednak pamięta Augustę, czy to nie ona mieszkała przez wiele lat u nauczycielki ze szkoły ludowej w Skåne? Tej, która tak nagle umarła? Tak, oczywiście, teraz Kristin pamięta. Augusta była wyjątkowo źle wyekwipowaną sierotą, nieprawda? Nie tylko ojciec nieznan, że tak to ujmę, ale nawet matka. Znalaziono ją na schodach sierocińca z karteczką, na której napisano, jak ma na imię. Tak, tak, Kristin dobrze pamięta, jak Augusta się złościła, kiedy inne dzieci dokuczały jej, że nie ma rodziców. Jakby ich matki służące stanowiły jakiś powód do dumy. Tyle że Augusta nie mieszkała zbyt długo u Kristin, dość szybko przydzielono jej nowy dom. U chłopów w Sörmlandii. Prawda? Tak właśnie myślała. I teraz to jej przydarzyła się wpadka? Tak, tak, no cóż, nie jej pierwszej, Kristin mogłaby opowiedzieć o tej czy tamtej, i to nie tylko o służących, pokojówkach i innych biedaczkach, ale także o

świętoszkowatych pielęgniarkach, nadętych pańciach, nauczycielkach bigotkach i innych na pozór bardzo przyzwoitych pannach...

I rzeczywiście opowiadała... Przez trzy miesiące Augusta siedziała przy jej stole, sortując łachmany, a Kristin snuła jedną wstrząsającą historię za drugą. Czy Augusta słyszała o tej służącej, która udusiła dzieciaka w szufladzie, a potem próbowała spalić go w piecu? Zwariowała od tego i wylądowała w szpitalu. A o pielęgniarce, którą zdradziła jedna kropla krwi? Płakała, udając rozpacz po swoim małym bękarcie, na pogrzeb ubrała trupka w koronkową sukienkę i kapturek, a mimo to i tak odkryto, że jest morderczynią. Kiedy pastor zajrzał pod te wszystkie koronki i falbanki, zauważył, że maleństwo ma maciupęńki strupek na czubku głowy. Wtedy zrozumiał: wbiła dzieciakowi igłę prosto w głowę, najzwyklejszą igłę do haftowania, z tych najcieńszych. Właśnie tak. Tak było. Ale może jeszcze gorzej było z tą służącą, która urodziła swoje dziecko na brzegu zatoki Brunnsviken i od razu wrzuciła je do wody. To była skończona kretynka. Od razu wróciła do domu i jak pijana ciskała się po kuchni, zostawiając na podłodze ślady krwi. Gospodarze nie byli tacy głupi, żeby nie zrozumieć, co się stało. Pani domu domyślała się, że służąca musi być w ciąży, chociaż ona cały czas temu zaprzeczała. Teraz na nic się zdały zaprzeczenia, pani wysłała po położną i chociaż służąca płakała i wrzeszczała, zbadano ją. Zostało jeszcze łóżysko, więc nie było sensu się wypierać, ale ta głupia gęś dalej ryczała i twierdziła uparcie, że jedyne, co z niej wyszło, to skrzepy krwi... Ech! Minął dzień i mały trupek wynurzył się z Brunnsviken, no a potem była sprawa w sądzie. Gdyby ta głupia służąca miała trochę rozumu, zostawiłaby dzieciaka przy życiu i przychodziła do sierocińca karmić go piersią. Co by w tym było dziwnego? Czy setki, może tysiące innych służących nie zrobiło tak samo? Że wstyd? A czym tu się przejmować? Biedne kobiety i tak zawsze żyją we wstydzie, jeden bękart tu czy tam nie robi różnicy.

Kiedy Kristin opowiadała, Augusta usiłowała zachować niezmienny wyraz twarzy. Pochylona nad szmatami na stole oglądała sztukę za sztuką, szmatkę za szmatką, a potem odkładała je na właściwe sterty, nie okazując choćby jedną miną, że jej kręgosłup raz po raz przeszywa skurcz. Narzekanie nie miało sensu, siebie jedną mogła tylko winić za to, że się tak urządziła. Przyszła do Kristin, mając w pamięci jej bajki, bo wspomnienie tamtych miesięcy na Söder, kiedy wciąż jeszcze była otępią z bólu po stracie swojej pierwszej przybranej mamy, było wspomnieniem głosu, który bez przerwy opowiadał o księżętach i księżniczkach, upiorach i odmieńcach, elfach i trollach. Tylko że teraz Kristin nie miała już żadnych bajek do opowiedzenia, jedynie te wstrząsające krwawe historie o spalonych ciałach, pękających błonach płodowych i bezbronnych ciemiaczkach noworodków.

Auguście nie przyszło nigdy do głowy, że mogłaby poprosić Kristin, żeby przestała, życie nie nauczyło jej prosić ani żądać, umiała znosić w milczeniu to, co nadchodzi, a później z tym samym milczącym uporem zyskiwać to, czego pragnie. Jednak ciszy nie mogła uzyskać, nie od Kristin. Z ulicy słychać było stukanie końskich kopyt na bruku,

między fasadami domów niczym ptasi zgiełk unosiły się chłopięce głosy, a w piwnicznym pomieszczeniu bezustannie głądziła stara kobieta. Czasem Augusta chwyciła się za krzyż i uśmiechała blado do Kristin, udając, że to ruchy dziecka każą jej się wyprostować. Ale nie była to prawda. Dziecko poruszało się bardzo rzadko, a kiedy już się to zdarzyło, jego ruchy były tak lekkie i nieuchwytne, że Augusta dopiero po chwili się orientowała, co się dzieje.

Przez ostatnie tygodnie w ogóle nie wychodziła, cały czas siedziała w piwnicy u Kristin. Kiedy przychodzili klienci, którzy chcieli sprzedać łachmany lub kupić używaną odzież, odchodziła od stołu i chowała się w ciemnym kącie obok pieca. Odwrócona do nich plecami udawała, że dokłada do ognia albo robi kawę. Nie była darmożjadem, bynajmniej, raz po raz wtykała Kristin koronę i nie protestowała, kiedy staruszka wracała do domu z kawą, pszennymi bułkami i wódką. Kristin żywiła się kawą i pieczywem, a Augusta, jako tymczasowa stołowniczka, musiała grzecznie się do niej dostosowywać, chociaż jej ciało łaknęło słoniny i kartofli. Od tej narzuconej przez Kristin diety zrobiła się słaba. Miewała zawroty głowy; po kilku tygodniach musiała opierać się o ścianę, piec lub stół, kiedy próbowała się podnieść. Jednak nie poddawała się, nie mogła sobie pozwolić na załamanie, nie mogła stać się jeszcze jedną kupką łachmanów. Pieniądze, myślała, kiedy podłoga pod jej stopami zaczynała się unosić. Mam przynajmniej moje pieniądze!

Kopertę otworzyła zaraz po wyjściu z mieszkania Wilhelma, jeszcze na kuchennych schodach. Kiedy ją rozdzierała, trzęsły jej się palce, ze zmarszczonym czołem zaczęła liczyć banknoty. Sześćset koron? To więcej niż jej roczna pensja. Prawie dwa razy więcej. Zatrzymała się w połowie schodów i przeliczyła pieniądze jeszcze raz – tylko po to, żeby natychmiast zwątpić w świadectwo własnych rąk i oczu i zacząć liczyć od nowa. Dopiero kiedy usłyszała, że gdzieś w górze domu otworzyły się drzwi, włożyła kopertę do kieszeni i zaczęła schodzić w dół. Kiedy już zeszła na parter, otworzyła drzwi do piwnicy i wśliznęła się w jej ciemne czeluści. Od piętnastego do osiemnastego roku życia bywała tu na dole prawie każdego dnia, wiedziała, gdzie znaleźć ogarek świeczki i zapałki, w którym kącie można usiąść na starej beczce po śledziach i jeszcze raz przeliczyć swój majątek.

Nie sądziła, że w ogóle dostanie jakieś pieniądze, przypuszczała, że będzie musiała zadowolić się swoją zwykłą, tygodniową wypłatą, może jeszcze jakimś dziesiątakiem na pocieszenie. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że Wilhelm będzie chciał ją przekupić, bo też nigdy nie pomyślała, że może się jej obawiać. Plik banknotów niósł ze sobą przesłanie: Augusta ma nad Wilhelmem władzę, władzę, która wprawdzie stanowi także zagrożenie dla niej samej, ale jest władzą i sprawia, że on zebrze o litość. Bo właśnie to zrobił; dając jej kopertę, prosił ją w ten sposób, żeby go oszczędziła, żeby w urzędowej księdze urodzin zapisano: ojciec nieznany. Ależ nie ma sprawy. Za sześćset koron Augusta jest gotowa każdego oszczędzić.

Znalezienie kryjówki dla pieniędzy trwało w nieskończoność. Najpierw w każdy trzewik powkładała po stukoronowym banknocie i po jednym w każdą pończochę, za chwilę jednak zmieniła zdanie i je stamtąd powyjmowała. Pogniotą się, jeśli będzie po nich deptała! Po minucie znowu włożyła je z powrotem na to samo miejsce, bo pieniądze będą i tak bezpieczniejsze w pończochach i trzewikach niż w innym miejscu na ciele. Na koniec rozpięła bluzkę i ostrożnie wsunęła ostatnią setkę pod koszulkę i gorset, a za nią – jeszcze trzy poskładane w kwadraciki banknoty dziesięciokoronowe. Siedem pozostałych dziesiątek włożyła do portmonetki, którą schowała na dno worka, usiadła wygodniej i wybuchnęła płaczem.

Osobliwy był to płacz, suchy i spazmatyczny, przez resztę życia miała zachować go w tajemnicy i powracać do niego myślami. Wydawało się, że nie wzbierał w niej samej, jak płacz dziecka, lecz przychodził z zewnątrz i wciskał się w nią na siłę, jakby czyjeś obce dłonie szczypały i rozciągały jej wargi, wykrzywiając twarz w straszliwy grymas. Próbowwała się opierać: ścisnęła gardło, zamykając drogę szlochowi. Zamienił się w niewyraźne jęki, od których zaczął migotać płomień świecy. Zaciśniętymi pięściami waliła się w uda.

Kiedy światło się wypaliło, ucichła. Uspokojona siedziała bez ruchu, wciągając nosem zapachy piwnicy. Ziemia i zeszlóroczne jabłka. Jeszcze ponad godzinę siedziała tak na beczce po śledziach, wpatrując się w ciemność, czasem tylko zamykała oczy i widziała tańczące pod powiekami kolory. W ciemności dostrzegała to, czego nie umiała zobaczyć w świetle dnia: przygotowała się już na śmierć. Sama o tym nie wiedziała, ale tak właśnie było. Teraz została uratowana. Nie będzie musiała rzucić się do jeziora, ma sześćset koron i czeka ją przyszłość.

Nie odczuwała radości. Jedynie lekką ulgę i zmęczenie.

Teraz przyszłość już się zaczęła, Augusta siedzi ze swoim dzieckiem na ręku na podłodze otwartej drezyny i jest w drodze dokądś. Nie wie właściwie dokąd, nie umie sobie wyobrazić, jak będzie wyglądało miejsce, które zwie się Herräng. Wie tylko, że kiedy w Häverödal wysiądzie z pociągu, ktoś ją odbierze ze stacji i podwiezie zaprzężonym w konia wozem jeszcze jakąś milę. Herräng znajduje się na samym końcu drogi. Na końcu świata.

Wdowiec, u którego będzie służyć, jest sztygarem. Augusta nie wie dokładnie, kto to jest sztygar, ale podoba jej się samo słowo, przywodzi na myśl odważnych jeźdźców, noszących sztylpy na nogach. Kristin, która w dzieciństwie mieszkała w Herräng, twierdzi jednak, że sztygar to coś zupełnie innego. Ktoś niejako pośredni. W połowie pan, ale niezupełnie prawdziwy, mimo że rangą stoi zaraz po zarządcy. Ale też i nie jakiś zwykły robociarz, choć codziennie zjeżdża windą na dół kopalni. Jednak co robi tam na dole, Kristin nie wiedziała, wcale jej to zresztą nie interesowało.

To ona załatwiła Auguście miejsce. Któregoś dnia wróciła do domu ze swojej wyprawy w poszukiwaniu łachmanów i powiedziała, że spotkała dawną znajomą z Herräng, żonę rybaka. Kristin nie była w Herräng, odkąd zaczął się nowy wiek, więc z umiarkowanym zainteresowaniem wysłuchiwała plotek z rodzinnych stron. W zasadzie w ogóle nie słuchała, dopóki żona rybaka nie zaczęła opowiadać o pogrążonym w żałobie sztygarze, który od kilku lat jest wdowcem i naprawdę potrzebuje w domu baby...

Później jakby wszystko wydarzyło się samo, Augusta nigdy nie pojęła jak. Któregoś dnia przyszedł list od zarządcy kopalni w Herräng, w którym krótko i zwięźle napisano, że Augusta od początku miesiąca października może mienić się służącą sztygara Artura Svenssona. O tym, co sam Artur Svensson myśli na ten temat, nie wspomniano. Ani o dziecku, które wkrótce miało wyskoczyć z brzucha Augusty.

Tylko jeden raz Kristin napomknęła, że rozwiązaniem może być sierociniec. Kiedy spotkała spojrzenie Augusty, natychmiast umilkła.

Augusta pozwala się ukołysać rytmowi pociągu, trochę mocniej przyciska dziecko do piersi. Robi się już popołudnie, w lasach koloru miedzi drzemie zmierzch, w powietrzu unosi się deszcz, tak drobny, że niemal niezauważalny. Auguście się to podoba, bo chociaż marzną jej ramiona, kiedy październikowe powietrze przeciska się przez płaszcz, to przecież miękną też policzki i zaczynają błyszczeć włosy, dzięki mżawce Augusta promienieje. Jesień otula świat spokojem, a Augusta jest częścią świata.

Augusta zerka na zawiniątko w swoich ramionach. Kristin zawinęła Olgę w kilka warstw wełnianej materii i ofiarowała piękny kocyk ze swojego zbioru łachmanów, żeby zawiniątko było schludnie opakowane. I to ona też przygotowała gałganek. Zamoczyła kostkę cukru w wódce, po czym zawinęła ją w kawałek gazy i włożyła Oldze do buzi. Dziewuszka natychmiast zaczęła go ssać i po minucie zapadła w sen. Kristin spojrzała na Augustę triumfująco. Olga wciąż jeszcze śpi, chociaż Augusta już dawno wyjęła jej z buzi gałganek i wsadziła go do kieszeni płaszcza; śpi tak od wczesnego rana.

Drobne wątpliwości, które przez cały dzień kryły się pod powierzchnią myśli Augusty, nagle rozrastają się i stają się widoczne. Wódka? Dla noworodka? Czy to na pewno dobrze? Augusta pochyła się nad małym zawiniątkiem i słucha w napięciu. Tak, mała oddycha. Przez cały dzień nie otworzyła oczu, ale oddycha.

Augusta odpędza niepokój i spogląda na niebo, próbuje odróżnić parę lokomotywy od deszczowych chmur. Nie da rady, wszystko się ze sobą miesza, wszystko poza rozżarzoną iskrą, która miga wśród mgieł. Wygląda jak spadająca gwiazda.

Życzę sobie, myśli Augusta, życzę sobie, żeby...

Nie może wymyślić nic dalej. Zapomniała, jak można sobie czegoś życzyć.

Jest już zmierzch, kiedy pociąg zatrzymuje się na stacji w Häverödal. Zimno nie jest teraz przyjemne, tylko przeszywające i surowe. Augusta czuje pulsujący ból popękanego krocza, wydzielina przesiąkła przez tamujący ją ręcznik i zostawiła moką, zimną plamę z tyłu na spódnicy. Włosy Augusty już nie błyszczą, mokre i oklapnięte przyklejają się do głowy. Piersi rozsadza mleko, a ciało zupełnie zeszywniało; próbując się podnieść, Augusta krzywi się jak stara kobieta. Jeden z młodych robotników chwyta ją za ramię i podtrzymuje. Jest lichy ubrany, pod cienką marynarką ma tylko spraną flanelową koszulę, ale jego czapka z daszkiem jest zawadiacko przekrzywiona, co sygnalizuje wesołego pyskacza, a oczy – bardzo ciemne. Policzek Augusty muska niechętnie jego moką marynarkę i Augusta rozchyła usta, wdychając jego zapach, czuje, jak ta woń pieści jej zmysły. Na chwilę ogarniają ogromna słabość.

Tęsknię, myśli. Nie wiedziałam, że tak bardzo tęsknię.

– TAMTEJ NOCY UMARŁY WSZYSTKIE BAŚNIE – MÓWI AUGUSTA.

Alicja nie odpowiada, po omacku podchodzi do stolika przy łóżku w ciemnym pokoju babki i wsypuje szpilki do włosów do jej pudierka na biżuterię. Za oknem zawodzi jeden z ostatnich wiatrów tej zimy, ściany trzeszczą i pojękują, ziąb lutowy przenika do domu przez ukryte szczeliny. W sypialni Augusty też jest zimno, chociaż Alicja przez całe popołudnie paliła w piecyku.

Jednak Augusta nie wygląda na zziębniętą, kiedy siedzi tak na krześle pośrodku pokoju, z szalem owiniętym wokół ramion. Niedawno skończyła sześćdziesiąt trzy lata, ale jej ciało jest dużo starsze. W ciągu ostatnich lat uległo deformacji, stawy z trudem się zginają, a mięśnie odmawiają posłuszeństwa. Dlatego Alicja musi ją podtrzymywać, kiedy już czas iść do łóżka, chociaż schody są zbyt wąskie i właściwie nie ma miejsca na to, żeby szły obok siebie. Alicja musi też wejść z Augusta do sypialni i pomóc jej zdjąć sukienkę. Koszulę nocną Augusta wkłada sama, Alicja odwraca się wtedy tyłem i z największą starannością czyści szczotką jej sukienkę, a potem wiesza ją na ramiączku. Cały czas wsłuchuje się przy tym w ciche, chrząkające odgłosy, które towarzyszą rozbieraniu się Augusty. Nie odwraca się, dopóki nie jest pewna, że babce udało się zdjąć całą bieliznę i włożyć koszulę. Alicja ostatnio niezbyt lubi ludzkie ciała, zarówno swoje, jak i te należące do innych. Dopiero kiedy Augusta zarzuca na ramiona czarny wełniany szal i sadowi się na krześle, Alicja jest w stanie znowu do niej podejść. Wyjmuje wtedy piękny szylkretowy grzebień ze srebrnymi okuciami, który sama podarowała Augustynie na sześćdziesiąte urodziny, i jest gotowa, żeby uczesać i zapleść jej włosy na noc.

Augusta lubi być czesana. Jeszcze zanim rozpocznie się rytuał, unosi brodę i zamyka oczy; potem, w trakcie opowiadania, przez cały czas trzyma je zamknięte.

– Tak – powtarza. – Tamtej nocy umarły wszystkie baśnie...

Na chwilę w pokoju zapada cisza. Alicja wciąż nie odpowiada, ale trochę wolniej przesuwa grzebień we włosach Augusty, po jej oddechu można poznać, że słucha.

– Kiedy tak stałam na stacji w Häverödal, marzyły mi stopy. Ręce. Uszy. Ale i tak najgorsze było zmęczenie. Szczególnie w ramieniu. Bolało, jakby Olga podczas jazdy zamieniła się w kawałek ołowiu...

Dzieci ciężą, myśli Alicja. To już wiem.

– Nie było na stacji żadnego konia z wozem, chociaż obiecali. Najpierw sądziłam, że tylko się spóźnia, i chciałam poczekać na ławce przed dworcem, ale coraz bardziej padało, więc musiałam schować się w poczekalni. Lśniła nowością – tak, w pierwszej chwili pomyślałam nawet, że to nie może być zwykły budynek dworcowy, tylko jakaś pańska willa, tak to wyglądało. Doprowadzono nawet elektryczne oświetlenie. Dzisiaj taka lampa wywołałaby wzruszenie ramion: nędzna dwudziestopięciowatówka, przy jej świetle

nie da się nawet poczytać gazety, ale w tamtych czasach elektryczność była jeszcze czymś niezwykłym...

Stała w drzwiach i rozejrzała się. Ławki. Okienko biletowe. Zegar wskazujący za dwadzieścia szósta. W najdalszym kącie stał żelazny piecyk. Miał uchylone drzwiczki, w środku żarzył się ogień.

Potem ogarniał ją lęk na samą myśl o tym, na co się odważyła, ale wtedy nie było czasu na wahania. Przemaszerowała do piecyka, położyła dziecko na najbliższej ławce, wzięła wiadro, które stało pod ścianą, i nabrała szufelkę węgla. Bez pytania. Bez pozwolenia. Człowiek nie ma czasu na pytanie o pozwolenie, kiedy czuje, że za chwilę zamarznie. Zresztą w okienku kasy nikogo nie było, w ogóle wyglądało na to, że na stacji w Häverödal poza Augusta i Olgą nie ma żywej duszy.

Długo siedziała przykucnięta przed piecykiem, obserwując taniec płomieni na kawałkach węgla. Powoli rozgrzewała się, najpierw ręce, potem twarz i piersi, na końcu plecy. Zanim odważyła się ogrzać pupę, rozejrzała się szybko dookoła, ale w końcu machnęła ręką i uniosła spódnice. Stojąc z przymkniętymi oczami, czuła, jak ciepło opływa jej pęknięcia i okaleczenia. Potok wydzieliny zatrzymał się, sączyła się teraz tylko, i szydełkowy – lodowato mokry – ręcznik, który obcierał jej uda, zmiękł i powoli robił się cieplejszy. Augusta aż westchnęła z zadowolenia.

Później usiadła na ławce i rozwiązała worek; z niepokojem zerkając na do połowy pełną flaszkę wódki, przez chwilę grzebała w swoim dobytku, aż w końcu znalazła butelkę z mlekiem i paczuszkę z kanapkami. Została już tylko jedna, ale za to najlepsza: kiedy Kristin zajęta była robieniem gałganka, Augustie udało się zanurzyć ukradkiem posmarowaną masłem stronę kanapki w cukrze. Otworzyła usta, przygotowując się na rozkoszną mieszankę szorstkiej konsystencji chleba, słonego masła i ziarnistej słodczy cukru. Właśnie wtedy to usłyszała. Ten dźwięk. Westchnienie. A może szloch.

– Och – odezwał się delikatny głosik – och, dobrze by było zjeść kanapkę...

Augusta zamrugła oczami i rozejrzała się wkoło, ale nie mogła nikogo dostrzec.

Jednak głos ciągnął, drżący i oskarżycielski, jakby należał do kogoś, kto zaraz wybuchnie płaczem:

– I łyk mleka! Tak, pomyśl, jakby dobrze było wypić jeden łyżeczek...

Augusta odłożyła kanapkę na kolana i chwyciła butelkę z mlekiem, jakby chciała ją uchronić.

– Czy ktoś tu jest? – zapytała i wzdrygnęła się, kiedy usłyszała, jak chropowato zabrzmiał jej głos.

– Ktoś nie ktoś – usłyszała w odpowiedzi żałosne słowa. – Nie będę twierdził, że jestem kimś. Ależ skąd. O nie.

Jednak ktoś, kto nie był kimś, nagle wyrósł przed nią: mały, szary człowieczek w spiczastej czapie i wielkich drewniakach. Sięgał jej do kolan.

Alicja patrzy zirytowana na Augustę i przestaje ją czesać.

– Nie chcę słuchać jakichś bajek – mówi. – Opowiedz, jak było naprawdę. Nie jestem już dzieckiem.

Augusta siedzi bez ruchu, otwiera jedno oko i zerka na nią.

– Zauważyłam. Widać to na pierwszy rzut oka, że tak powiem.

W Alicji narasta szloch, ale nie pozwala, żeby się z niej wydobył. W ostatnich miesiącach przyzwyczaiła się do tych słownych policzków Augusty, nauczyła się nawet je oddawać.

– Sama nie byłaś wiele starsza. Rok. Może dwa.

– Dwa. To niewiele. Ale jaki sens ma doświadczenie starych, jeśli młodzi są za głupi, żeby się z niego uczyć? Wiesz, jak było ze mną. I z Olgą.

Alicja mruga powiekami, w lewym oku jest za dużo łez, jedna spływa powoli po policzku. Jednak głos ma opanowany.

– Ale ze mną będzie inaczej. I z nim też. Wiesz przecież.

– Z nim? Jesteś pewna, że to będzie chłopiec?

Alicja bez słowa kiwa głową. Augusta chyba to widzi, chociaż siedzi odwrócona do niej plecami.

– Skąd wiesz?

Alicja uśmiecha się przez łzy i szybko wyciera nos rękawem.

– Powiedział mi to... On mówi do mnie w nocy.

– No widzisz. Sama też żyjesz w bajce.

Augusta uśmiecha się, Alicja hardo pociąga nosem i znowu zaczyna ją czesać, mocno przyciskając grzebień do skóry.

– Tylko że ja nigdy nie spotykam krasnali. A gdybym nawet jakiegoś spotkała, zaraz doszłabym do wniosku, że to krasnal, którego mam pod sufitem, i poszukałabym lekarza...

– Bzdura – odpowiada Augusta. – Lepiej by było, gdybyś mu dała kanapkę.

Siedział obok niej na ławce, machając nogami i klepiąc się po brzuchu. Twierdził, że to najlepsza kanapka, jaką kiedykolwiek jadł. Wyborna. Zupełnie znakomita. Po prostu niebywała. Nie wspominając już o słodkim mleku. Wystarczy mu tego na kilka miesięcy, a to może się okazać potrzebne, bo czeka go daleka podróż.

– Dokąd się wybierasz? – spytała Augusta.

Krasnal westchnął, ściągnął czapkę i podrapał się po głowie.

– Nie wiem dokładnie. Gdzieś daleko. Gdzieś indziej. Tu nie da się już żyć.

– Dlaczego?

Krasnal znów westchnął.

– Budowa fabryki. W Hallstavik budują fabrykę, a tam gdzie buduje się fabryki, nie ma dla nas miejsca.

– Dla nas?

– Dla baśniowego ludu. Hałas i światło elektryczne sprawiają, że stajemy się słabi i chorowici. Robimy się prawie przezroczyści, jak dym lub mgła, ale i tak, jeśli jakiś człowiek z fabryki zauważy kogoś z nas, natychmiast skopuje go ze swojej drogi i udaje, że nic nie widział. Potem chełpi się taki przed wszystkimi, wyśmiewa się z nas, mówi, że to babskie wymysły i bajeczki dla grzecznych dzieci... To naprawdę bardzo bolesne.

– Wyobrażam sobie.

– Wczoraj – ciągnął krasnal, rzucając Auguście szybkie spojrzenie – wpadłem w dodatku pod lokomobilę.

– Naprawdę? – zdziwiła się Augusta. – A co to jest lokomobila?

Na twarzy krasnala odmalowało się absolutne zaskoczenie.

– Nie wiesz? To taka potężna maszyna, prawie jak lokomotywa. Tyle że nie jeździ po torach. Mają ją na budowie fabryki, do podnoszenia ciężarów.

– I stanąłeś na drodze takiej maszyny?

– Tak. Właśnie się wyprowadzałem. Budują tę fabrykę dokładnie tam, gdzie mieszkałem, zamierzałem więc przenieść się w głąb lasu. Być może, kiedy tak szedłem z moim węzełkiem, nie byłem dostatecznie uważny, ale w końcu opuściłem miejsce, które było moim domem od ponad trzystu lat... Nie płakałem, podkreślam to, bo jest rzeczą niespotykaną, żeby krasnal płakał. Często się mścimy, ale rzadko pogrążamy w rozpacz. Problem w tym, że nie sposób mścić się na całej fabryce. Nie wiadomo od czego zacząć, to zbyt przytłaczające.

Krasnal odchrząknął. Augusta przytaknęła mu bez słowa.

– No cóż, kiedy tak sobie szedłem, pojawiła się lokomobila i nie zdążyłem uskoczyć na bok. Przejechała po mnie. Zrobiłem się zupełnie płaściutki.

– Oj! – powiedziała ze współczuciem Augusta. – Bardzo bolało?

– Bolało nie bolało – odparł krasnal – nie za dobrze wiem, co to znaczy. Rozpłaszczyłem się i leżałem na środku drogi, nie mogąc się podnieść... Po jakimś czasie nadszedł chłopak z fabryki. Myślał, że jestem starą gazetą, a że szukał właśnie starych gazet, żeby wepchnąć je sobie do butów, podniósł mnie, wy trzepał i – hops! – znowu byłem sobą, powróciłem do dawnych kształtów, że tak powiem. Kiedy chłopak zobaczył, co trzyma w palcach, otworzył szeroko oczy, puścił mnie i uciekł. Wołałem za nim, bo chciałem mu coś podarować w podziękowaniu – jak to zwykły robić krasnale – ale nie chciał się zatrzymać, pędził tylko przed siebie, zatykając rękami uszy i krzycząc, że zapisze się do Dobrych Templariuszy...

W głosie Augusty czaił się śmiech, ale nie odważyła się roześmiać, żeby nie rozzłościć krasnała.

– Zatem uznałeś, że nie wystarczy przeprowadzić się w głąb lasu. Że musisz wyruszyć w podróż.

Krasnal westchnął.

– Nie – odparł – jeszcze nie wtedy. Dopiero kiedy wszedłem do lasu i zobaczyłem, co się tam dzieje...

Umilkł i chwilę patrzył tępo przed siebie, jakby zapomniał o Augustcie. Gdy znowu się odezwał, miał głębszy, niemal ludzki głos.

– Kiedy ludzie idą do fabryki, muszą zostawić u jej wejścia swoje marzenia. Zapominają wówczas o tych myślach, które utrzymują nas przy życiu. Dlatego dla nas nie ma już miejsca.

Augusta pogłaskała go lekko po małej ręce – była szeroka i stwardniała, z paznokciami o srebrnobiałym połysku.

– Dlatego musicie uciekać?

Krasnal westchnął:

– Taaak.

– Ale dlaczego jesteś sam? Gdzie są inni?

Krasnal zasłonił twarz rękami i po raz pierwszy w tysiącletnim życiu w jego głosie zadrżało coś jakby szloch.

– Nie żyją – powiedział. – Wszyscy moi umarli...

W podziękę za kanapkę podarował Augustcie małą latarnię, miała oświetlać jej drogę. Z początku Augusta nie sądziła, że będzie z niej pożytek, miała słabe, drżące światło – samotne srebrne światełko, zimne jak ciemności panujące na dworze. Kiedy szła wzdłuż zabudowań stacji, płomień był niemal niewidoczny, przez chwilę nawet żałowała, że krasnal nie podarował jej w zamian pokoju – z kaflowym piecem i prawdziwą naftową lampą o żółtym świetle, taką jaka paliła się niemal w każdym mijanym domu, w każdej chacie. Zaraz sobie jednak przypomniała, że za dary krasnali nie wolno być niewdzięcznym, nawet w myślach.

Kiedy skończyły się zabudowania, droga stała się wąska i kręta, Augusta musiała stawiać stopy po omacku. Stawiała małe, ostrożne kroki, żeby w ciemności nie potknąć się o jakiś kamień albo wybój. W świetle latarni las pełen był złowrogich cieni, coś w nim szumiało i szeptało, drzewa i krzaki poruszały się, jakby potrząsając gałęziami, próbowały wyrwać się z ziemi razem z korzeniami. Augusta przystanęła i przez chwilę stała bez ruchu, nasłuchując, potem przycisnęła Olgę mocniej do piersi i ruszyła dalej. Miała przed sobą długą drogę, wiedziała o tym. Prawie dwie mile. Po drodze będzie musiała otworzyć i zamknąć siedemnaście furtek, tak mówiła Kristin. Zajmie jej to całą noc.

Pierwsza furka głośno zaskrzypiała, dźwięk zaświdrował w uszach i przeraził ją. Zatrzymała się i uniosła wyżej latarnię, żeby oświetlić twarz Olgi – Augusta, jak wszystkie matki, uważała, że to, czego sama się boi, jest jeszcze bardziej przerażające dla jej dziecka. Olga spała jednak spokojnie w swoim kokonie z wełny, zimne, wieczorne powietrze i mżący deszcz sprawiły, że zaczerwieniły jej się policzki i zaczął błyszczeć maleńki czubek nosa. Nie była już małym, bladym nieszczęściem, wyglądała zdrowo, jak silne, szczęśliwe dziecko.

Kiedy Augusta uniosła oczy, zauważyła, że płomień latarni nie drży. Cienie też przestały się poruszać, czekały teraz, jakby odpoczywając, a drzewa nie próbowały już wyrwać się z ziemi, nawet krzaki opuściły swoje gałęzie i uspokoiły się. Było zupełnie cicho. Nie słyszała nawet szumu wiatru. Ani krzyku nocnych ptaków.

Właśnie wtedy go zobaczyła. Pierwszego z nich. Małego chłopca.

Leżał w rowie, nie mogąc się poruszyć. Żył jeszcze, zmrużył oczy w świetle latarni i wyciągnął ramiona do Augusty. Augusta nabrała powietrza i zrobiła krok w jego kierunku, zawahała się i mocniej przycisnęła do siebie Olgę. To nie był zwykły chłopiec. Zwykli chłopcy nie mają włochatych stóp. Zwykli chłopcy nie mają czarnych palców u nóg. A ogon? Żaden zwyczajny chłopiec nie ma ogona. Nigdy w życiu.

– Mama – powiedział. – Mama.

Olga parsknęła i spróbowała odwrócić głowę od jej piersi. Augusta przyciskała ją do siebie tak mocno, że mała nie miała czym oddychać, ale jedno jej poruszenie wystarczyło,

żeby Augusta znów stała się sobą. Teraz widziała, że mała istota w rowie wprawdzie nie jest zupełnie zwykłym chłopcem, ale bez wątpienia jest chłopcem. Ma chłopięce ręce, chłopięce włosy i chłopięce oczy. Przypomina wszystkich tych chłopców, którzy jak ona sama bez końca wędrowali od jednej przybranej rodziny do drugiej, wszystkich tych chłopców z sierocińca, którzy za dużo pracowali, za mało jedli i przez to robili się chudzi i szorstcy, poczochranych chłopców z biednych domów, których w żaden sobotni wieczór nie zanurza się w ciepłej wodzie, w balii, którzy nie wychodzą z niej z włosami jak jedwab i policzkami czerwonymi niczym zimowe jabłka. Był mały, brudny i brzydki.

– Mama – powtórzył, szukając jej rękami. – Ma.

Augusta, wstrzymując oddech, zbliżyła się do niego ze swoją latarnią. Chłopiec nie chłopiec. Niewątpliwie miał ogon. Mały ogonek z czarnym pędzelkiem, wygięty w literę „s”, spoczywał obok jego prawej nogi, kiedy tak leżał z odrzuconą do tyłu głową i przymkniętymi powiekami. Teraz nie mogła się już powstrzymać, odstawiła latarnię, zdjęła płaszcz, zrobiła z niego posłanie i położyła na nim Olgę. Na czworakach przedzierała się przez mokre trawy w rowie – przemknęło jej przez głowę, że zniszczy sobie spódnicę, że przyjdzie jej powitać Herräng i swoje nowe w nim życie w ubraniu poplamionym błotem, ale zaraz odpędziła tę myśl. Trzeba było się śpieszyć. Chłopiec zamknął oczy i oddychał urywanie, jakby brakowało mu sił nawet na to, żeby napełnić płuca.

– Nie bój się – wyszeptała Augusta. – Jestem przy tobie...

Otworzył oczy, kiedy wzięła go za rękę – była tak mała, że znikła w jej dłoni. Miał szorstką skórę i czarne, ostre paznokcie.

– Mama?

Może tylko głośniej odetchnął, ale Augusta i tak odpowiedziała:

– Tak, jestem przy tobie.

Wtedy westchnął, przyłożył jej rękę do swojego policzka, miał charczący oddech.

Długo tak siedziała, trzymając jego dłoń w swojej i przykładając obie do jego policzka, tak długo, że deszcz przesiąkł jej przez bluzkę i gorset. Marzła. Do szpiku kości. Mimo to nie mogła puścić ręki małego, byłoby to jak porzucenie, coś równie złego, jak gdyby oddała Olgę i spróbowała o niej zapomnieć, jak zostawienie noworodka na schodach sierocińca i opuszczenie go na zawsze.

Dopiero kiedy leżąca na płaszczu Olga kichnęła, Augusta uświadomiła sobie, że nie może siedzieć tak bez końca. Pochyliła się i podniosła chłopca, przytulając go do piersi, patrzyła, jak zamienia się w porośły mchem kamień. Ostrożnie przytuliła policzek do jego zimnej powierzchni i słuchała ostatnich uderzeń bijącego w nim serca, potem odłożyła

kamień do rowu, wstała, cofnęła się o krok, żeby jeszcze mu się przyjrzeć, i natychmiast wzdrygnęła się, bo jej obcas trafił na coś miękkiego. Obróciła się i uniosła latarnię, światło padło na leżącego na ziemi małego człowieczka: siwego, miniaturowego staruszka, którego palce zostawiły głębokie ślady w żwirze na drodze. Nie żył. Odwróciła się gwałtownie, płomień latarni zamigotał i padł na dwie przezroczyste kobiece istoty, które upadły na środku drogi i leżały na plecach, z rozpostartymi skrzydłami i mocno podkulonymi nogami, chude i szare jak wielkie, martwe komary.

Trzymając wysoko latarnię, podeszła bliżej, przyjrzała im się po kolei i od razu wiedziała, że to jej wina, wina ludzi, którzy powalili te stworzenia na ziemię. Podniosła wiekowego człowieczka i po matczynemu kołysała go w ramionach, dmuchając mu lekko w twarz i patrząc, jak zamienia się w złamaną gałąź. Delikatnie odłożyła ją na nasyp koło rowu, a potem uklękła przed przezroczystymi istotami, wyciągnęła rękę i poczuła, jak szczupłe ciała pod wpływem jej dotyku natychmiast zamieniają się w proch i kurz.

Stojąca na ziemi latarnia zaczęła teraz mocniej świecić. Pnie drzew na skraju drogi – nawet ciemnych świerków i czarnych sosen – odbijały jej światło, cały las napełnił się blaskiem. Droga zrobiła się srebrzyście biała, żwir skrzył się w ciemności, Augusta widziała każdy kamień, każdy dołek. Zobaczyła też, że jej praca dopiero się zaczęła. Wzdłuż całej drogi do Herräng leżały martwe baśniowe istoty i czekały na to, żeby połączyć je z ziemią.

Augusta włożyła płaszcz, trzymając swoje dziecko na ramieniu, w drugą rękę wzięła latarnię i ruszyła w dalszą drogę. Zatrzymywała się przy każdej nowej postaci. Głaskała i kołysała martwe istoty, dmuchając na nie i ofiarowując im spokój, pracowała spokojnie i wytrwale i nie spoczęła aż do świtu, kiedy to obudziła się Olga i zaczęła marudzić. Wtedy Augusta usiadła na kamieniu przy drodze, rozpięła bluzkę i przyłożyła maleństwo do piersi, siedziała bez ruchu, patrząc na różowe światło wschodu słońca, od którego gasło srebrne światło nocy. Gdzieś zadzwonił zegar fabryczny, za jego dźwiękiem zaraz podążyły odgłosy trzaskających drzwi i odległych ludzkich głosów, uderzenia młota i pobrząkiwanie łańcuchów.

Augusta, nasłuchując, przygarnęła dziecko bliżej do siebie. Rozumiała, że dochodzą ją odgłosy zupełnie nowego świata, w którym ludzie będą umieli żyć bez baśni. Jeszcze nic nie wiedziała o tym świecie, ale miała nadzieję, że zmarznięte kobiety, które przybywają tylko z dzieckiem i płóciennym workiem, będą mogły sobie w nim jakoś poradzić.

Wszystkie baśnie umarły, ale Augusta ocalała.

Wstała, zapięła bluzkę i wolną ręką odgarnęła z czoła pasmo włosów. Była już gotowa na wkroczenie do Herräng.

ALICJA ZACISKA GUMKĘ NA WARKOCZU AUGUSTY, opiera rękę na biodrze i przeciąga się. Bola ją plecy.

– Założę się o nie wiem co, że nigdy nie opowiedziałas tej historii tacie – mówi. – To nie jest odpowiednia historia dla inżyniera.

Augusta prychna.

– Erland to gamoń. Jest bardzo zdolny i sumienny, a kiedyś był nawet sympatyczny, ale i tak gamoń z niego. Wielu rzeczy nie rozumie.

Alicja waha się przez chwilę, zanim zacznie mówić dalej.

– On twierdzi, że byłaś materacową socjalistką... Augusta krzywi się.

– Aha, czyli to pamięta. No tak. To rzeczywiście prawda.

– Ale co to właściwie znaczy?

– Że byłam jedną z tych, które chciały spalić stare materace. Żeby raz na zawsze uporać się z wszami. Żeby nareszcie wszyscy mieli czysto. Żeby zaczęły się modernizacja i postęp.

– Wydaje mi się to dziwne...

– Co?

– Że cały czas mówisz o tym, że postęp i modernizacja są takie dobre, a sama mieszkasz w starym domu na wsi i ciągle opowiadasz bajki... Jedno nie pasuje do drugiego.

– Dlaczego nie?

– Jeżeli rzeczywiście jesteś taka nowoczesna, to powinnaś przeprowadzić się do mieszkania w Hallstavik. Tak jak chcieliby tata i stryjek Harald. Żebyś nareszcie miała ubikację z bieżącą wodą i łazienkę.

Alicja odkłada grzebień na komodę. Augusta szuka ręką warkocza na karku, przerzuca go przez ramię, warkocz opada jej na piersi i brzuch, jak mały wąż zwija się na kolanach.

– Dobrze mi się tutaj mieszka – odpowiada. – W tym wszystkim nie chodzi o mój wychodek, tylko o to, jak myślę.

Alicja unosi brwi.

– Więc myślisz nowocześnie?

Augusta uśmiecha się, odsłaniając sztuczne zęby, zmarszczki wokół jej oczu tworzą małą pajęczynę.

– Właśnie. Mam nowoczesny umysł.

– A bajki? Jak znajdujesz dla nich miejsce w swoim nowoczesnym umyśle?

– Och, bajki. One po prostu przychodzą...

Alicja ściąga narzutę z łóżka Augusty i strzepuje poduszkę, jest już zmęczona i sama chciałaby się położyć. Jednak Augusta uparcie siedzi na swoim krześle i dalej snuje rozmyślenia.

– Tyle że dzisiaj ludzie nie rozumieją, jak ważne są bajki, Albo opowieści. Czy jak to nazwać. Kiedyś razem z Dobrymi Templariuszami robiliśmy teatr. Mieliliśmy też własną bibliotekę z masą książek. Ale teraz bibliotekami zajmują się władze komunalne, związki nie mają co robić. A w lidze w teatr mogą się bawić jedynie dzieci. A co z nami, dorosłymi? Mamy tylko ciągle być trzeźwi?

Alicja uśmiecha się ironicznie.

– Chcesz skrzynię po cukrze?

Przez moment w pokoju unosi się wspomnienie białego uśmiechu Izaaka w chwilach, kiedy Augusta dostawała wypieków na policzkach i zaczynała się podniecać. „Augusta agituj! Dajcie jej skrzynię po cukrze, żeby mogła na niej stanąć!” Erland i Harald odziedziczyli ten żart, a teraz jest on już własnością całej rodziny. „Dajcie Auguście skrzynię po cukrze!”

Augusta uśmiecha się, ale nie pozwala odwrócić swojej uwagi.

– A tak, bo to ważne – mówi. – Ludzie zrobili się dziś tacy nudni, wierzą w liczby, tak jak arcybiskup wierzy w Boga. Tylko że liczby nie mówią nic o tym, jak naprawdę jest na świecie. Potrzebujemy opowieści! Ten kto potrafi opowiadać naprawdę dobre historie, może zmienić wszystko. Nawet w polityce. Wygrywa ta strona, która ma najlepsze historie. To proste. Po naszej stronie stał Ivar Lo i Moa^{*} i dlatego zwyciężyliśmy. Bez nich nigdy by się nie udało.

Alicja pociera czoło ręką.

– Boli mnie głowa – mówi. – Chciałabym się położyć. Poza tym nie znoszę Ivara Lo.

Augusta podnosiła się już z krzesła, ale teraz znowu na nie opadła i wygląda na naprawdę zdziwioną.

* Ivar Lo-Johansson i Moa Martinson – pisarze należący do tak zwanego nurtu proletariackiego w literaturze szwedzkiej, związani z ruchami robotniczymi pierwszej połowy XX wieku.

– Nie znosisz Ivara Lo? Dlaczego? Alicja nie chce odpowiedzieć.

– Proszę cię, jestem zmęczona. Chciałabym się położyć...

Augusta mozolnie gramoli się z krzesła, zdejmując szal i idąc do łóżka, przygląda się ze zmarszczonym czołem Alicji.

– Czujesz coś? – pyta. Alicja kręci głową.

– Obudź mnie, gdyby się zaczęło – mówi Augusta. Kiedy siada, trzeszczy pod nią łóżko.

Alicja przechodzi, dygocząc, przez korytarz i otwiera drzwi do garderoby. W domu Augusty są tylko dwa pokoje, duży na dole i sypialnia na piętrze, zatem Alicja musi gnieździć się w garderobie. Wcale jej to nie przeszkadza; chociaż w środku nie ma nawet światła elektrycznego, w tym ciasnym pomieszczeniu i tak czuje się bardziej u siebie, niż kiedykolwiek czuła się w swoim ślicznym pokoju panińskim w Jönköping. Podoba jej się ta ciasnota i to, że sufit jest tak pochyły, że niemal nie można się wyprostować, podoba jej się zapach boazerii na ścianach i żółte światło lampy naftowej stojącej na taborecie, który na przemian służy za stolik nocny albo biurko.

Garderoba stanowi tajemnicę, nie wspomina o niej w liście do rodziców, niech myślą, że śpi na ławie w kuchni. Im mniej wiedzą o tym, co się z nią naprawdę dzieje, tym lepiej. Tym łatwiej będzie Alicji ukryć się przed ich myślami, które ciągle wokół niej krążą, i tym łatwiej będzie rodzicom udawać, że to, co cały czas powtarzają przyjaciółom i znajomym, jest prawdą; że Alicja rzeczywiście się ciężko rozchorowała i musi przez długi czas być w sanatorium. Pomyśleć, że miała takiego pecha, że dostała gruźlicy właśnie teraz, kiedy chorobę już niemal wytepieno. Nasuwa się pytanie, jak to faktycznie jest z tą higieną w liceach. Czy klasy wietrzy się wystarczająco często? Czy może więcej biednych dziewcząt musi jeszcze zachorować? Na szczęście wiedza medyczna osiągnęła tak niesłychany postęp od czasów wojny, że choroba nie stanowi zagrożenia dla życia. Alicja nie może jednak wrócić do domu przez co najmniej rok. W żadnym razie. Alicja nie może wrócić do Jönköping, nawet kiedy będzie już po wszystkim, musi zostać u Augusty przynajmniej do przyszłej jesieni, aż zacznie się szkoła, a najlepiej jeszcze dłużej. Inaczej wszystko będzie szyte zbyt grubymi nićmi. Inaczej każdy mógłby policzyć na palcach i domyślić się, jak wygląda prawda.

Kiedy Alicja wprowadziła się do garderoby, nie widać było jeszcze ciężaru wewnątrz niej, poruszała się lekko, jak każda inna szesnastolatka. Szybko uporowała się z zapakowaniem w dwa kartony zebranych w garderobie czterech dziesięcioleci historii rodzinnej. Najpierw czarny wyjściowy garnitur Izaaka, który uszyto na zamówienie na ślub z Augusta, potem jego sztywne niebieskie ubrania z ciężkich czasów, dalej białe

szarmezowe bluzki Olgi i jej odświętna sukienka w kolorze morskiego błękitu, z rozkładającego się jedwabiu, ta, którą Olga chciała włożyć tego wieczoru, kiedy zaginęła. Na końcu szkolne czapki Erlanda z czasów liceum w Norrtälje i okropnie stary, popękany w szwach garnitur, w którym Harald szedł do konfirmacji.

Augusta pokazała jej, gdzie jest łóżko polowe, ale później przestała się tym interesować, zostawiając Alicję samą z urządzaniem się na nowym miejscu. Alicji to odpowiadało, na kilka dni zapomniała o sobie i o tym, co w niej rośnie. Zajęła się szperaniem w poszukiwaniu przydatnych rzeczy. Nagle stała się z powrotem małą i bawiła się w pokój dla lalek, każda znaleziona rzecz mogła się zmienić, stając się czymś innym. W pralni znalazła stary koronkowy obrus, który był wystarczająco sprany, żeby pociąć go na firankę do małego okienka, w komórce – taboret, który nadawał się na stolik nocny, a w drewni łubiankę, która z braku prawdziwej półki mogła nadać się na książki. Na koniec natrafiła na stare pudełko po butach, które zamieniło się w szufladę biurka; włożyła do niej piórniki i cztery jasnoniebieskie zeszyty, których używałyby właśnie teraz, gdyby chodziła do szkoły. Na taborecie, który miał być nocnym stolikiem, postawiła lampę naftową. Gotowe.

Dziś, pół roku później czuje się już w garderobie tak swojsko, że ma wrażenie, że widzi w niej nawet po ciemku. Kiedy w nocy budzą ją szepty nienarodzonego dziecka, leży nieruchomo z rękami na brzuchu i czeka, aż zapachy pokoju odtworzą kolory dnia. Tam unosi się lekki, chemiczny zapach naftaliny z plisowanej sukienki w szkocką kratę; sukienka wisi na haku obok drzwi, czekając, aż Alicja znowu stanie się uczennicą. Tu woń przechodzi w wilgotnawy zapach potu z pasa ciężowego w kolorze łososiowym; leży on w nogach łóżka ze sznurowaniem rozprutym jak otwarta rana, a tam przenika go gorzka smuga niebieskiego atramentu z zeszytów, które z braku faktów i szkolnych wiadomości powoli zapełniają się myślami Alicji i baśniami Augusty. Tutaj czuć też szary zapach kurzu z leżących w łubiance nieotwieranych podręczników i słabą, ale przenikliwą woń plastikowej okładki ciemnoczerwonej książki, która jest pod nimi schowana. Tę książkę Alicja któregoś październikowego popołudnia ukradła z biblioteki w Hallstavik.

Nigdy przedtem niczego nie ukradła, nigdy wcześniej nie przyszło jej to nawet do głowy, ale kradzież tej książki była czymś oczywistym. Przez myśl jej nie przemknęło, żeby podejść z nią do stolika bibliotekarki i pozwolić, by ta podstemplowała kartę, zamiast tego bardzo ostrożnie rozsunęła suwak torby i popchnęła książkę tak, żeby wpadła prosto do niej, a później sama, wyprostowana, skierowała się pewnym krokiem do wyjścia. Na dworze, potykając się, pobiegła do stojaka na rowery i kiedy pół godziny później spocona i zziębnięta dotarła do domu Augusty, nie oparła roweru o płot i nie przypięła go tak, jak to miała w zwyczaju, tylko rzuciła go na zwirowaną dróżkę i pobiegła na górę do garderoby.

Wyciągnęła książkę z torby i przycisnęła ją do brzucha, a potem siedziała bez ruchu, tracąc dech od powstrzymanego płaczu, aż Augusta zaczęła stukać laską w podłogę

kuchni i wołać, zaniepokojona, co się z nią dzieje. Wtedy Alicja opanowała się, włożyła książkę pod poduszkę i zeszła na dół, żeby zaparzyć popołudniową kawę.

Dopiero kiedy przyszedł czas położyć się do łóżka, wróciła do garderoby i do książki. Zdążyła się już do tej pory uspokoić, ale i tak trzęsły jej się ręce, kiedy zapalała zapałką lampę naftową. Usiadła wygodnie i wygładziła spódnicę, a potem podniosła poduszkę, wzięła do ręki książkę, położyła ją na kolanach i otworzyła na stronie tytułowej.

Geniusz. Ivar Lo-Johansson.

– Pożycz ją – powiedział, wyrastając za jej plecami któregoś lutowego popołudnia przed rokiem w miejskiej bibliotece w Jönköping.

Trzymała rękę na grzbiecie książki, ale kiedy ją zagadnął, zachnęła się i odwróciła. Chłopiec stojący za nią uśmiechał się szeroko, miał białe, błyszczące zęby.

– Pożycz ją! To książka o mnie.

Alicja poczuła na plecach mały dreszczyk zadowolenia i w duchu pogratulowała sobie nowej czapki. Dobrze w niej wyglądała. Naprawdę.

– Ach tak. Więc jesteś geniuszem?

– Nie – powiedział, zdejmując książkę z półki – ale główny bohater ma na imię Krystian. Tak samo jak ja.

To już wiedziała, chociaż nie zamierzała się do tego przyznać. Wiedziała też, że chodzi do pierwszej klasy o profilu klasycznym, ale tego również nie miała zamiaru zdradzać. Utkwiła natomiast wzrok w dłoni trzymającej książkę. Duża. W ogóle był duży, dużo większy od innych chłopców w szkole.

– A ty jak masz na imię?

– Alicja.

Udał, że mu ulżyło, chwycił się za serce i odetchnął.

– Uff! Przez chwilę bałem się, że powiesz Róża. Albo Ebba. Jak dziewczynki z książki.

Alicja uśmiechnęła się.

– Róża albo Ebba... Boże uchowaj!

W oczach Krystiana pojawiły się iskry.

– O, tak mówi prawdziwa dziewczyna z Jönköping. Boże uchowaj!

Alicja zachichotała, bibliotekarka chrząknęła za swoim biurkiem i syknęła na nich.

Krystian stanął przed Alicją, jakby chciał ją ochronić przed spojrzeniem bibliotekarki, i odstawił *Geniusza* na półkę.

– Żartowałem tylko – powiedział. – To właściwie nie jest książka dla dziewczyn. Powinna pozostać męską tajemnicą.

Uśmiechnął się krzywo i rzucił jej szybkie spojrzenie, na chwilę umilkł, a potem włożył ręce do kieszeni spodni i przeciągnął się.

– Ale ty, Alicjo – uśmiechnął się jeszcze szerzej – ty mogłabyś może pokazać mi drogę do krainy czarów.

Kupka żwiru, pomyślała później tego samego wieczoru, kiedy przypominała go sobie, leżąc w łóżku. Czy rzeczywiście można się zakochać w chłopcu, który wygląda jak kupka żwiru?

Krystian naprawdę tak wyglądał. Zaprosił ją na kawę do cukierni Östberg na Östra Storgatan, śmiał się, mówił, gestykulował, a w jej głowie przez cały czas majaczył obraz kupki żwiru. Nie oznaczało to wcale, że Krystian był brzydki, wręcz przeciwnie, chodziło raczej o jego koloryt, o to, że jego skóra i ubranie miały ten sam odcień co piach i kamienie. Może było to też kwestią jego rysów i płaszczyzn, tego, że zarys jego szczęki był zarazem miękki i geometryczny, że miał matowe, krótko przyszczyżone i poczochrane włosy, że jedyne, co w nim błyszczało, to oczy i zęby, które przez to błyszczały jeszcze bardziej. W tym wszystkim, co bezbarwne i zakurzone, iskrzyły się jak małe kryształki górskie.

Kilka tygodni później Krystian zadał jej pytanie, które stawiają wszyscy młodzi zakochani: Kiedy pomyślałaś, że jestem wyjątkowy? Kiedy się we mnie zakochałaś?

– Kiedy poczułam twoje dłonie – odpowiedziała Alicja. – Kiedy położyłeś je na moich policzkach i pocałowałeś mnie, kiedy zobaczyłam, że są tak duże, że mogłaby się w nich zmieścić cała moja głowa... A ty?

– Kiedy wyciągnęłaś rękę po tamtą książkę.

– Dlatego że popatrzyłam właśnie na tamtą książkę? Tę, która jest o tobie?

– Nie. Bo rozsunął ci się płaszcz i zobaczyłem twoje piersi.

Tak naprawdę pochodził ze Stensjön i w czasie roku szkolnego wynajmował pokój u ciotki w Jönköping; jej największą ambicją w życiu było upodobnienie się do Rity Hayworth. Zabierało to dużo czasu, obcisłe spódnice trzeba było jeszcze bardziej zwęzać, liczne śmiałe bluzki – krochmalic i prasować, długie włosy nawijać na papiloty i spinki do

układania fal, usta malować na ciepły czerwony kolor, przyciemniać rzęsy i pudrować na biało policzki. Poza tym ciotka musiała się też zajmować swoim pensjonatem, małym pensjonatem z ośmioma pokojami i salą jadalną, który prowadziła. Bywali u niej tłumnie najmniej pobożni kawalerowie z całego Jönköping, również ci, którzy nie mieszkali w pensjonacie. Za kilka groszy mogli kupić tutaj karnet z kuponami na posiłki, który upoważniał do trzech ciepłych dań dziennie. A do tego mogli zerknąć na wyjątkowo dobrze zachowaną kopię Rity Hayworth w średnim wieku.

Krystian mieszkał w małym pokoju na poddaszu pensjonatu i był traktowany na równi z innymi gośćmi, ciotka nigdy nie interesowała się, kiedy wracał i wychodził, ani czy odrobił lekcje lub umył zęby. Za to Krystian miał stosować się do tych samych reguł, co inni goście: żadnych dziewczyn w pokoju. Alicja zdejmowała buty już w kuchennych drzwiach i w samych skarpetkach wbiegała tylnymi schodami na poddasze. Kiedy wchodziła do jego pokoju, Krystian szybko przekręcał klucz w zamku, potem rozkładał ramiona, a ona w nich znikła.

Całowała koszulę na jego torsie.

Ściągał aksamitkę z jej włosów.

Rozpinała mu koszulę i całowała jego podkoszulek.

Niezdarnie błdził palcami po perłowych guziczkach jej bluzki, w końcu wsuwał rękę przez dekolt i dotykał jej piersi.

Osuwała się na kolana. On też.

Głaskała go po policzkach. Całował miejsce pod jej okiem. Pieściła jego kark. Gryzła ją w szyję. Lizała jego wargi.

On. Ona.

Ona. On.

Byli bardzo cicho.

W szkole rzadko ze sobą rozmawiali. Kiedy wpadli na siebie na dziedzińcu lub na jakimś korytarzu, kiwali tylko głową i umykali wzrokiem. W szkole Krystian wydawał się kimś innym, jakby kurczył się w tym dużym budynku. Stawał się kimś obcym, w dodatku niezbyt interesującym, dalekim krewnym tego chłopaka, z którym Alicja widywała się wieczorami. Nie opowiedziała o nim innym dziewczynom, nawet Ulli, która była jej najlepszą przyjaciółką. Ulla pozostawała pod silnym wpływem swojej mamy, opowiadając coś Ulli, opowiadało się to też jej mamie. Mama Ulli – pod warunkiem, że poznałaby tylko część prawdy – zafałszowałyby uczucia Alicji, przesłodziła je. Z drugiej strony, gdyby poznała całą prawdę, wpadłaby w histerię i poleciała na drugą stronę ulicy, żeby

opowiedzieć o wszystkim mamie Alicji. Inga wrzasnęłyby wtedy tak, że skamieniałyby całe Jönköping.

W domu wszystko było takie jak zawsze, każdy dzień miał swoje utrapienia, każdy tydzień – swój własny rytm. W niedzielę rano Inga podawała Erlandowi kawę do łóżka i gruchając, wślizgiwała się tam sama, odpowiadało jej przyjazne mruczenie. W tej samej chwili Alicja zamykała drzwi do swojego pokoju i spoglądała na zegarek. Miała dwie godziny na to, żeby się ubrać i ulotnić z mieszkania, bo zawieszenie broni w niedzielne poranki nigdy nie trwało dłużej niż dwie godziny. Za dwie i pół godziny śmiech Ingi stanie się ostry jak brzytwa, a mruczenie Erlanda zamieni się w ciemny pomruk. Ich głosy – ostry i wibrujący głos Ingi i głuchy ryk Erlanda – będą wypełniały cały dom. Dla Alicji nie będzie wtedy miejsca w kuchni, ani w jadalni, ani w salonie, ani w sypialniach na piętrze, ani w jej panińskim pokoju, ani nawet na strychu i w piwnicy. Cały dom stanie się terenem działań wojennych rodziców. Zostając w nim, Alicja ryzykowałaby, że wyląduje w krzyżowym ogniu wyzwisk, przekleństw, gróźb i oskarżeń. Wcześniej, kiedy była jeszcze zbyt mała, żeby sama wychodzić do miasta, miotała się po domu jak postrzelony gołąb i usiłowała prowadzić negocjacje pokojowe – tylko po to, żeby dostać za to burę i zostać odpędzona na bok lub – co było jeszcze gorsze – wylądować w objęciach mamy i widzieć swoje własne łzy, wykorzystywane przez nią jako jeszcze jeden rodzaj broni. Dlatego teraz w niedzielę starała się trzymać z daleka od domu. Zanim spotkała Krystiana, miała zwyczaj błąkać się przez kilka godzin po mieście i gapić na wystawy, a potem przez kolejne kilka siedziała w kącie w cukierni Bernarda nad oranżadą i stertą tygodników. Wydawała na to całą tygodniówkę, ale opłacało się, bo kiedy wieczorem wracała do domu, było już po wszystkim. Inga leżała, szlochając, w sypialni, a Erland siedział w swoim gabinecie pochylony nad jakimiś szkicami, lodowata cisza poniedziałkowa zaczynała już obniżać temperaturę domu. Alicja najpierw wkładała kamizelkę, a potem przygotowywała dwie tace z herbatą i kanapkami dla rodziców – dżem dla mamy, pasztet z ogórkiem dla taty. Zazwyczaj nagradzano ją za to smutnymi uśmiechami. Pod warunkiem, że niedziela nie była naprawdę fatalna. Bo jeśli tak, to Inga leżała w sypialni z okładami z zimnych ręczników na swoich siniakach, a Erland siedział przy biurku z twarzą ukrytą w dłoniach i nawet nie podnosił na Alicję wzroku. Jednak bez względu na to, czy niedziela była zła, czy naprawdę fatalna, aż do środowego wieczora panowała cisza, w środę Erland mówił coś miłego na temat kolacji, sukienki Ingi lub jej uczesania, a potem szli grać w brydża z przyjaciółmi. W czwartki zachowywali się tak, jak w wyobrażeniach Alicji powinna się zachowywać normalna rodzina: miło i zwyczajnie. W piątki rodzice byli na nowo zakochani. W soboty wibrowało wokół nich od erotycznych oczekiwań. W niedzielę wszystko zaczynało się od nowa.

Rodzice nigdy nie zauważyli, że z Alicją coś się stało, nie zwrócili uwagi na to, że nie chodzi już wszędzie, trzymając w ręku książkę z biblioteki, nie dostrzegli, że zamiast tego jest nieustannie zaabsorbowana swoim wyglądem, że szuka swego odbicia nie tylko we wszystkich lustrach w domu, ale wieczorem staje też przed czarnymi szybami w

oknach, w trakcie posiłku zaś nie może się powstrzymać, żeby nie przejrzeć się we wklęsłości łyżki, a potem podnosi jeszcze złoty medalik, który nosi na łańcuszku na szyi, i próbuje zobaczyć mgnienie swojej twarzy na jego lśniącej powierzchni.

Ta twarz...

Wprawiała ją w konsternację, jakby nigdy jej nie widziała, jakby żaden człowiek wcześniej – nawet ona sama – nie zauważył, że z przodu głowy Alicja rzeczywiście ma twarz.

Nikt się w niczym nie zorientował – z wyjątkiem Augusty, rzecz jasna. Augusta zawsze miała bystre oczy i kiedy Alicja razem z rodzicami przyjechała do Nordanäng z wielkanocną wizytą, wzięła dziewczynę pod brodę i przyjrzała się jej, a potem zmarszczyła czoło i zacisnęła usta.

– Bądź ostrożna – powiedziała przyciszonym głosem – uważaj na siebie, Alicjo...

Alicja uśmiechnęła się tylko niewyraźnie i uciekła do przedpokoju. Stała tam przed usianym czarnymi plamkami lustrem i przyglądając się sobie z radosną iskrą w oku, uśmiechnęła się do swojego odbicia.

Patrzyła na siebie oczami Krystiana, miała jego oczy. To był najwspanialszy prezent, jaki od niego dostała.

Inne prezenty od niego nie były zresztą dużo skromniejsze. Podarował Alicji swój śmiech, kiedy któregoś marcowego wieczoru biegali w wiosennym deszczu, podarował jej wiersz w gołębiebiecki zmierzch kwietniowy, pewnego niedzielnego popołudnia w maju podarował jej swój smutek, a sobotniego wieczoru w czerwcu – swoją nadzieję wraz ze wszystkimi marzeniami; leżeli wtedy na młodej zielonej trawie w parku miejskim i patrzyli na miasto i jezioro Vättern.

Powiedział, że ją kocha. Uratowała go i wyzwoliła, dlatego bał się wakacji, kiedy mieli się na długo rozstać. Jak zdoła to wytrzymać? Przecież już teraz za nią tęskni.

Dwa dni przed końcem roku szkolnego podarował jej tak wielką tęsknotę, że nie zdążył w porę przerwać. Pojedynczy plemnik wwiercił się w jajeczko i zamienił je w zygotę. Kilka godzin później rozpoczął się podział komórek.

Świat miał się narodzić na nowo.

Inga krzyczała.

To nie był zwykły krzyk niedzielny, lecz znacznie bardziej przenikliwy i ostry. Grasował po domu jak dzikie zwierzę, wyrwał głębokie szramy na błyszczącej powierzchni stołu w jadalni, rozdarł ręcznie tkane obicie stojącej w salonie sofy Carla Malmstena,

potłukł szkło z Orrefors i serwis porcelanowy z Gustavsbergu, przewracał meble w pokoju Alicji i połamał delikatne mahoniowe, nóżki toaletki.

Kiedy krzyk demolował dom, Alicja stała pośrodku salonu, zasłaniając rękami uszy. Erland stał naprzeciw niej, nie krzyczał, nie ryczał, tylko kilka razy otworzył i zacisnął dłonie, a potem uniósł je i chwycił ją za włosy, później ciągnął, a kiedy potulnie próbowała dreptać w obranym przez niego kierunku, kopnął ją w nogi – takiej cholerniej dziwce nie wolno iść, musi być wleczona! – i puścił dopiero pod ścianą. Inga przestała krzyczeć, siedziała teraz na sofie z otwartymi ustami i patrzyła, jak Erland staje w rozkroku nad Alicją, podnosi ją za uszy, a potem mocno i rytmicznie zaczyna walić głową córki o ścianę.

Alicja szczykała zębami. Dudniło jej w głowie. Pokój tańczył przed oczami. Ale i tak miała oczy i uszy otwarte, słuchała i obserwowała. Widziała ślinę Erlanda, która najpierw padała na jej twarz niczym drobny deszcz, zbierając się przy tym w białą pianę w kącikach jego ust, a później, kiedy zaczął ryczeć swoją arię rozpaczy, zgęstniała i uformowała się w nitki plwociny pomiędzy jego wargami. Przecież nie po to tak ciężko pracował! Nie po to wbrew wszelkim przeciwnościom losu zdobył studencką czapkę i tytuł inżyniera magistra, nie po to został dyrektorem w dużej firmie budowlanej, a nie jakimś zasranym urzędasem w Hallstavik, nie po to postawił willę w najlepszej okolicy w całym Jönköping i pozyskał znajomych, którzy odpowiadali jego pozycji, nie po to przez wiele długich lat metodycznie budował swoją reputację na przekór wszystkim krezusom, co patrzyli na niego z góry i nazywali go nuworyszem. Nie po to żywił ją i ubierał – cholerną pieprzoną zdzirę, kłamliwą małą kurwę, cholerną fałszywą gówniarę, która przez te wszystkie lata udawała świętą! Zawiodła go, zniszczyła, ale teraz on ją zatłucze!

Jednak jej nie zatłukł. Kiedy Alicja zaczęła wymiotować, podbiegła do nich Inga i otoczyła Erlanda ramionami, a on natychmiast odwrócił się i objął ją. Stali tak długo, bez słowa, zanurzeni w sobie, a Alicja bardzo ostrożnie usiadła, zamrugła powiekami i rozejrzała się dookoła.

Pokój ruszał się. Wymiociny śmierdziały. Jednak meble były nienaruszone. Nic się nie zepsuło. W zasadzie nic.

Inga puściła Erlanda i spojrzała w dół, na swoją córkę. Trąciła ją czubkiem buta.

– Teraz pójdziesz do swojego pokoju i tam zostaniesz – powiedziała. – Dziś wieczorem będziemy mieli gości i nie chcemy, żebyś się tu wtedy pokazywała...

Tak zaczęła się jej choroba. W ciągu trzech dni cała ulica dowiedziała się, że w ciele Alicji i w domu jej rodziców załęgły się bakterie gruźlicy. Chyba najgorsze było to, że w domu – dom Ingi i Erlanda był przecież nie mniej jasny, nowoczesny i czysty niż wszystkie inne domy na ulicy. To tutaj mieszkali najbardziej oświeceni ludzie nowych czasów: inżynierowie, magistrzy, architekci, nauczyciele i lekarze, schludni, porządni i majątni ludzie, którzy na temat zdrowia i higieny wiedzieli wszystko, a mimo to te stare

suchoty zdołały się wkraść pomiędzy nich i zapuścić korzenie. To zniewaga, policzek, atak przeszłości i biedy na dobrobyt i nowoczesność. Strach przed zarazą wił się jak wąż, przemykając z ogrodu do ogrodu, i sprawiał, że kobiety otwierały okna na oścież, wносиły na tarasy pościel i wzywały sprzątaczkę ze wschodniej części miasta, chociaż tak naprawdę było jeszcze o wiele za wcześnie na jesienne porządki.

W ciągu tych pierwszych dni Alicja leżała w łóżku w swoim panińskim pokoju i słuchała, jak trzepaczki sąsiadów wała w poduszki i materace, podczas gdy ona sama w otępieniu wyobrażała sobie, jakby to było dobrze, gdyby to, co zakradło się do jej ciała, było rzeczywiście bakterią gruźlicy. Czuła się bardzo zmęczona, zbyt zmęczona, by samej móc wstać z łóżka, leżała tylko na wznak, bez ruchu, dopóki Inga nie wmaszerowywała w okolicach południa i kilkoma krótkimi kłaśnięciami w dłonie nie nakazywała jej wstać. Nie po to, żeby mogła wyjść na dwór, tylko dlatego, że zawsze, nawet w trakcie najgorszego kryzysu, trzeba się myć i czyścić zęby, zjadać swoje trzy posiłki dziennie i zapinać guziki bluzki pod samą szyję. Alicja jest dziwką, w tej kwestii Inga istotnie zgadzała się z Erlandem, ale pozostaje nadal córką Ingi i jako taka powinna być przynajmniej schludną dziwką. Przynajmniej dopóki Inga ma ją w zasięgu wzroku. Kiedy Alicja wyląduje już u tej czarownicy w Roslagen, może sobie wyglądać, jak jej się spodoba. Jeżeli Alicja ma ochotę być tak samo gruba/ niechlujna i rozmemłana jak jej babka, to proszę bardzo, nie ma osoby, której byłoby to bardziej obojętne niż Indze. Bo Inga jest zawiedziona, głęboko zraniona i zawiedziona. Nigdy w życiu by nie pomyślała, że jej jedyna córka może zająć w ciążę! Jak służąca. Jak jakaś wywłoka...

Alicja umyła twarz, uczesała włosy i zapięła bluzkę na wszystkie guziki, ale nie odzywała się. Zamilkła zaraz po tym, jak się przyznała. W milczeniu poszła z matką do ginekologa w Huskvarna – ryzyko, że zostaną rozpoznane, było tam odrobinę mniejsze niż w Jönköping – w milczeniu słuchała, jak lekarz informuje Inge, że jej córka, niestety, rzeczywiście jest w ciąży. Musiały potem zostać jeszcze chwilę w przychodni, żeby Inga mogła się wypłakać. Alicja siedziała obok z suchymi oczyma, bez słowa, w jej gardle nie było więcej słów. Nie dziwiło jej to, wręcz przeciwnie – wydawało się czymś zupełnie oczywistym.

Zmęczenie dziwiło ją trochę bardziej, ale myślała, że może ono mieć coś wspólnego z tygodniami niepewności i oczekiwania, tymi tygodniami w środku wakacji, kiedy Krystian pojechał do domu do Stensjön, a ona z rodzicami do Båstad. Któregoś dnia, wkładając kostium kąpielowy, poczuła lekki ból. Znieruchomiała i przez kilka sekund stała, wsłuchując się w siebie, a potem ostrożnie objęła dłońmi piersi. Tak. Obie bolały. Dużo bardziej niż kiedykolwiek wcześniej, odkąd kilka lat temu wyskoczyły z jej klatki piersiowej.

To był komunikat. To coś znaczyło. Czy mogła to być... Nie. Coś takiego nie mogło jej się zdarzyć. Nie Alicji.

Tej nocy nie zmrzyła oka aż do świtu, a kiedy w końcu się zdrzemnęła, zrobiła to tylko po to, żeby obudzić się w zupełnie innym świecie. Wprawdzie otwierając oczy, zobaczyła, że słońce prześwieca przez szparę między zasłonami i że niebo za oknami jest błękitne, ale już za chwilę nadciągnęły chmury. W dołku uciskało Alicję pytanie: Czy miesięczka nie powinna się była zacząć już trzy dni temu? Czy nie? Czy nie powinna? Dlaczego nie pojawiła się, jak zwykle, na czas?

W ciągu następnych tygodni spała tylko przez krótkie chwile, zbladła, sama widziała, jak powoli gaśnie. Obserwowała w sobie zmiany z godziny na godzinę, bo nie było takich godzin, kiedy nie wchodziła do toalety, żeby przejrzeć się w lustrze. Potem, zanim ściągnęła majtki, modliła się po cichu do Boga, Jezusa czy kogokolwiek innego o to, by choć jedna jedyna kropla krwi wykwitła jak róża na gałązce majtek, na znak, że tamto uszło Alicji płazem.

W czasie tygodni oczekiwania Krystian stał się nierealny, tak samo niewyraźny i przezroczysty jak dziecko, którego być może się spodziewała. Nie mogła sobie przypomnieć jego twarzy, nawet wtedy, kiedy zamykała oczy i na siłę próbowała przywołać jego obraz. Mimo to któregoś dnia poszła na pocztę i wyszukała numer telefonu do posiadłości jego rodziców, ale kiedy weszła do małej przegródki z dziurkowanymi ściankami, zawiodła ją odwaga. Stała ze słuchawką w ręce i nie mogła nic powiedzieć, kiedy kobiecy głos w oddali krzyczał z silnym akcentem smålandzkim: „Hallo! Hallo!” Gdy na koniec włączyła się telefonistka, wykrzykując swoje pytanie zwrotne: „Mówi się? Mówi się?”, Alicja odłożyła słuchawkę i wyszła.

Tak więc Krystian nie dowiedział się o niczym, dopóki Alicja nie została wysłana do domu Augusty. Już pierwszego wieczoru napisała do niego krótki list, a potem pojechała rowerem do Herräng, żeby go wysłać. W drodze do domu zaczęła żałować, że nie napisała dłużej i piękniej, nagle zrobiło jej się żal Krystiana, chciała go przeproszać za to, że zapomniała o wszystkich słowach miłości, że nakreśliła tylko kilka suchych zdań o ciąży i o gniewie rodziców, o wywiezieniu i adopcji. Pocieszyła się, że Krystian na pewno zrozumie. To przecież Krystian. Cztery dni później dostała od niego odpowiedź. Rozewała kopertę jeszcze na żwirowej ścieżce przed domem Augusty. Nie przejmowała się, że listonosz stoi obok, oparty o swój rower, i się jej przygląda, nawet nie zauważyła, jak jej własny kciuk rozdziera białą kopertę, obnażając wkładkę z niebieskiej bibułki, widziała tylko liniowany papier listowy. Czas zatrzymał się na chwilę, pierwszy, jesienny wiatr odpoczywał w koronach jabłoni, ptaki ucichły i wstrzymały oddech. Cały czas stanął i czekał, z zapartym tchem przygotowywał się, żeby wybuchnąć radością, tą radością, która pojawiłaby się na wieść, że Krystian jest już w drodze, że za kilka dni przyjedzie, a potem ożeni się z nią, ratując ją przed hańbą, samotnością i władzą rodziców. Może zdążył już nawet napisać do króla.

Krystian miał młodzieńczy, okrągły charakter pisma, który mimo to wyglądał jakoś zbyt dorośle, tak jakby chłopak próbował ubrać dorosłe słowa w dziecięce ubranka. List zawierał tylko pięć linijek.

W pierwszej było napisane, że Krystianowi jest naprawdę przykro.

W drugiej, że adopcja wydaje się jedynym rozsądnym wyjściem.

W trzeciej, że on/oni (słowo „ja” zostało przekreślone i zastąpione słowem „my”) muszą myśleć o przyszłości.

W czwartej, że nie chce, by zabrzmiało to impertynencko, ale tak naprawdę nie wie, czy dziecko jest istotnie jego.

W piątej, że Alicja nie powinna była dać się zaliczyć. Tylko tyle: że tak naprawdę nie powinna była dać się zaliczyć.

Jakiś ptak wrzeszczał. Wiatr chłostał korony drzew. Alicja zgmiotła list w kulkę i włożyła go do kieszeni sukienki.

„Musimy zaliczać dziewczęta” powiedział w *Geniuszu* adiunkt Singel. Alicja pochylała się nad książką jak krótkowidz, kiedy kilka miesięcy później siedziała w garderobie pochłonięta fabułą; przerzucała strony i czytała przez wiele godzin, aż w końcu zerknęła na zegarek i zobaczyła, że jest już wpół do czwartej rano. Augusta chrapała w sypialni, Alicja siedziała, słuchając przez chwilę burkliwych odgłosów, a potem wstała i zgasła lampę naftową.

Chciała się rozebrać w ciemności. Schować się. Stać się niewidoczna nawet dla siebie samej.

Następnego ranka długo milczała przy śniadaniu, wyglądając przez kuchenne okno. O świcie nad ziemią unosiły się mgły. Nocny przymrozek przyciemnił liście, które jeszcze nie odzepiły się od gałęzi drzew, i nakreślił białe linie wzdłuż ich konturów.

Po drugiej stronie stołu piła swoją kawę skulona i przygaszona o porannej porze Augusta. Nie włożyła jeszcze do ust protezy, więc jej głos zabrzmiał trochę bełkotliwie, kiedy w końcu odstawiła kubek i zapytała:

– O czym myślisz?

Alicja nie zdążyła się powstrzymać, odpowiedź sama jej się wymknęła:

– Ale co ze mną? Nie mogę przestać o tym myśleć. Co ze mną?

Augusta uniosła brwi.

– Nie odpowiadaj – westchnęła Alicja, unosząc rękę w powstrzymującym geście. – Wiem, że to egoizm. Wiem, że tak nie wolno myśleć...

Jednak owo pytanie nie chciało jej opuścić, przez cały czas drzemało ukryte gdzieś w głębi. Co ze mną?

Naprawdę wierzę, że pożądanie sprawiało Krystianowi ból, myślała Alicja, zmierzając późnym popołudniem w kierunku zatoki. Nie rozumiem tego, ale jestem gotowa w to uwierzyć. Ale co ze mną? Gdzie jest miejsce dla mnie w historii o jego pożądaniu?

Gdy tylko pozmywała po śniadaniu, wróciła do garderoby, żeby dalej czytać. Siedziała skulona w głowach łóżka, ułożywszy książkę tak, żeby wpadające przez otwór okienny szare światło dnia oświetlało jej strony. O dwunastej zeszła na dół i udusiła schab w sosie cebulowym dla Augusty. Sama nie jadła. Wymamrotała, że przeprasza, i popędziła z powrotem na górę, by skończyć czytać.

Czytała szybko, gnała przez historię o młodym chłopcu, uczniu liceum, który marzy o nieosiągalnej Róży i pogardza cielesną Ebbą, o jego lubieżnych fantazjach i o obawach.. Skończyła czytać o wpół do trzeciej po południu. Wcześniej z zapartym tchem podążała za Krystianem Dahlem, kiedy wykradał się w nocy z domu, stała u jego boku, kiedy położył się na ławce i wyjął nożyczki, a gdy w końcu mocno ścisnął ich drewniane uchwyty, żeby się wykastrować – zamarła i zamknęła oczy. Było jej trochę niedobrze, gdy później szła krok w krok za nim, kiedy chwiejnie ruszył przed siebie, żeby rzucić swoje jądra psom.

Jednak teraz, idąc żwirową ścieżką w stronę zatoki, nie myślała już o jądrach Krystiana Dahla.

Ale co ze mną? – myślała. Co ze mną? I co z dzieckiem, które w sobie noszę?

Kiedy szła przez las w dół do zatoki, musiała unosić ręce, żeby zasłonić się przed mokrymi, smagającymi po policzkach gałęziami, wychodząc na skałę, trzymała je wciąż w górze, opuściła dopiero, kiedy niezdarnie usiadła na kamiennej płycie. Przez chwilę siedziała wyprostowana, wsłuchując się w swój oddech, obserwując i rejestrując. Jesień już się wypaliła. Drzewa po drugiej stronie wody spowijały się w nowe odcienie. Brązowe i czarne. Nie było wiatru, niebo rozpościerało się ciężko nad taflą wodną, a na zatoce samotny łabędź po raz ostatni tej jesieni opływał swój rewir. Wdowiec. Tak nazywała go Augusta. Samiczka nie żyła od wielu lat, ale i tak co roku powracał nad Strömviken, żeby jej poszukać.

Ty byś tego nie robił, pomyślała Alicja, zaczynając pisać w głowie list do Krystiana. Nigdy nie powróciłbyś nad tę samą wodę, żeby mnie odnaleźć. Między innymi tego nauczyłam się z lektury *Geniusza*. Bo nigdy nie uwierzę, że byłam twoją Różą, nie mam nic, co pozwoliłoby mi snuć takie marzenia, i nic nie wskazuje na to, że ty je snułeś. Nie

jestem żadną puszystą kotką, o którą tłuką się młode kocury, nie jestem piękna ani wyniosła, jestem krępa i niepozorna. Większość chłopców wcale mnie nie dostrzega, a jeśli już któryś mnie zauważy, to myślę, że robi to z tą samą mieszanką obrzydzenia i pożądania, z którą książkowy Krystian patrzył na Ebbę Lantz.

Byłam twoją Ebbą Lantz.

Myśl była tak nieprzyjemna, że Alicja z trudem złapała oddech, ale list absorbował ją do tego stopnia, że musiała natychmiast go napisać. Uklękła, zanurzyła palec w zimnej wodzie i spróbowała pisać palcem na skale. Nie dało rady. Na wilgotnym kamieniu nie było widać liter. Mimo to pisała dalej starannym pismem licealistki, wodząc palcem po ciemnej powierzchni.

„Myślę, że byłam Twoją Elbą Lantz, Krystianie – napisała – myślę, że w ten sposób mnie postrzegałeś. Niezdarne stworzenie z otwartą buzią i wilgotnymi oczami, zdolne do wpadnięcia w erotyczny trans po jednej szklaneczce rumu. Tłumok. Kawalek mięsa. Odzwierciedlenie Twojego własnego pożądania, którego nienawidzisz, którym się brzydzisz i które przywiązało Cię do mnie. Skóra, włosy, błony śluzowe i otwory były wszystkim, czego ode mnie chciałeś...”

Łabędź podpłynął z groźnie uniesionymi skrzydłami. Alicja nie zauważyła go, pisała dalej swój niewidzialny list.

„Czy mogę Ci to wyrzucać? Czy mogę Ci mieć za złe to, że jesteś tym, kim jesteś, że czujesz to, co czujesz, i widzisz, co widzisz? Kochałam Cię. Pożądałam Twojego śmiechu i zabaw z Tobą, tak jak Ty pożądałeś moich piersi i błon śluzowych. Czy mogę Cię oskarżyć za to, że jesteś dla mnie zagadką? Czy mogę Ci mieć za złe, że jesteś dla mnie tak samo niepojęty, jak ja dla Ciebie? Nie. Dałam się zaliczyć. To proste. Pragnęłam chwil odpoczynku i ciepła, chciałam marzyć, że możliwa jest bliskość, chciałam oszukiwać samą siebie, że niemożliwe jest możliwe. Byłam głupia, powinnam wiedzieć, dlaczego dziewczynom nie wolno tęsknić. Nie wiedziałam. Dlatego muszę przejść samotnie przez to, co mnie teraz czeka. Dam sobie radę. Będzie trudno, ale dam radę. Augusta sobie poradziła. Nigdy o tym nie mówi, ale wiem, że jej się udało, i stąd bierze się też moja wiedza, co robić. Trzeba zamknąć swoje wewnętrzne drzwi i już nigdy nikomu nie zaufać. Nigdy”.

Łabędź zasyczał, był teraz przy samym brzegu, stał przy skale, kolebiąc się na kamykach i strosząc pióra. Alicja podniosła się niezdarnie i zrobiła krok w tył. Chyba go to uspokoiło. Wypłynął z powrotem na zatokę, zrobił duże koło na wodzie, a potem uniósł głowę do nieba i zawołał. Alicja stała bez ruchu. Przyszło jej na myśl, że być może jego samiczka odpowie. Może zrozumie, że jej samiec nawołuje ją po raz ostatni tej jesieni, może usłyszy go nareszcie i odpowie...

Zaczęło się ściemniać, ale łabędzia było wciąż wyraźnie widać, jego pióra lśniły na powierzchni wody, kiedy tkwił tak na środku zatoki z czujnie uniesionym dziobem. Długo

razem czekali – Alicja, objęta skrzyżowanymi ramionami i łabędź z wyciągniętą szyją – zupełnie nieruchomi, aż do chwili, kiedy on powoli opuścił głowę i popatrzył na wodę. Alicja bez zastanowienia wykonała taki sam ruch, pochyliła kark i spojrzała na skraj brzegu. W zmroku był niemal niewidoczny, kolory żwiru i wody mieszały się ze sobą, tworząc jedną ciemnoszarą powierzchnię, nie jaśniało na niej nic poza małymi białymi kamykami, które w tej zimnej bezbarwności wyglądały jak kawałki kryształu górskiego.

Właśnie wtedy go zobaczyła.

Leżał na dnie zatoki i patrzył na nią. Jego ciało i ubranie miały barwę piasku i kamieni, linia szczęki była zarazem miękka i geometryczna, matowe, niesforne włosy miał ostrzyżone na jeża. Uśmiechnął się lekko, kiedy udało mu się zatrzymać jej wzrok, rozchylił wargi pokazując w uśmiechu zęby jak małe, białe kamyki.

W tej samej chwili łabędź rozłożył swoje białe skrzydła i na próbę poruszył nimi kilka razy, sekundę później rozpedził się, wzburzając wodę wokół, uderzył skrzydłami i wzbił się do góry. Alicja uniosła głowę, żeby zobaczyć, jak skręca na południe i znika gdzieś w mroku.

Kiedy znowu spuściła oczy, woda zdążyła już poczernieć. Wszystko, co w sobie kryła, stało się niewidoczne.

Odtąd mijał dzień za dniem, tydzień za tygodniem, miesiąc za miesiącem. Każdego ranka Alicja budzi się trochę cięższa, trochę bardziej powolna, trochę bardziej ospała w swoich myślach i uczuciach. Kiedy przypomina sobie chłopca, który leżał jesienią w wodach zatoki Strömsviken, wzrusza ramionami i uśmiecha się, tak samo jak wtedy, gdy słucha bajek Augusty. Siada na brzegu łóżka polowego i maca ręką po taborecie, który udaje stolik nocny. Wie, że gdzieś koło lampy leży prawie pełne pudełko zapalek – wczoraj wyjęła nowe. Obecnie myśli o następujących rzeczach: zawsze o zapalkach, mydle i opale do kuchennego pieca, nigdy o ogniu, miłym zapachu ani ciepłe.

Kiedy już zapali lampę i przykręci płomień, tak że staje się niemal niewidoczny, siedzi dalej na brzegu łóżka i wpatruje się w ścianę naprzeciwko. Potrząsa lekko pudełkiem z zapalkami, wsłuchując się w ich cichy grzechot. Zmęczenie. Tak. Jest bardzo zmęczona. Może odważy się wspomnieć o tym lekarzowi rejonowemu, kiedy pojedzie jutro na kontrolę do Hallstavik. Chociaż nie jest to pewne, zdarza się, że w trakcie całego badania nie wypowiada ani słowa. Lekarz też nie jest rozmowny, zsuwa tylko okulary na czubek nosa i przygląda jej się przez kilka sekund, zanim otworzy swój skoroszyt i wymruczy rutynowe pytania. Jeśli Alicja na któreś nie odpowiada, rzuca jej tylko spojrzenie i przechodzi do następnego.

Ostatnio kręcił głową na jej opuchlizny, powiedział, że ma złe wyniki badań krwi i za wysokie ciśnienie. Może to dlatego jest taka zmęczona. Chyba że to normalne, chyba że dokładnie tak ma być pod koniec ciąży. Kto wie. Może zmęczenie jest sposobem natury na stłumienie niepokoju kobiety. Nie żeby Alicja specjalnie się bała, całymi dniami nie myśli

nawet o porodzie, a jeśli w końcu mimo wszystko o nim pomyśli, zaraz wzrusza ramionami i odpycha od siebie krwawe obrazy. Jakoś pójdzie. To też.

O dziecku również nie myśli, przynajmniej nie na jawie i nie wtedy, kiedy jest sama. Wówczas brzuch jest tylko brzuchem. Tak jest najlepiej, i tak, to co w nim się znajduje, zniknie zaraz na zawsze. Za miesiąc jej życie będzie zupełnie inne. Może już za tydzień. Albo za parę dni. Będzie, jak ma być. Niech się dzieje, co powinno się dziać. Niech przepływa przez nią czas, niech palą się w niej słońca, niech w jej ciele powstanie i skończy się świat, wszystko jedno. Nie będzie stawiała oporu, ale nie zamierza też brać w tym udziału.

Łóżko polowe skrzypi, kiedy Alicja wstaje i zaczyna zapinać podomkę. To podomka Augusty, pożyczyła ją dziś od niej. Jedyna sukienka ciążowa Alicji wietrzyła się; kiedy Alicja zapierała ją pod pachami i krochmalila biały kołnierzyk, sukienka wisiała sobie na werandzie i tańczyła w lutowym wietrze. Teraz wisi wyczyszczona, wyprasowana na dole w kuchni, czekając na jutrzejszą wizytę u lekarza, niebieska, wełniana sukienka; nie mogłaby już chyba wyglądać skromniej, a i tak jest niczym piętno nierządniczy, które sprawia, że w poczekalni u lekarza Alicja siedzi ze spuszczonym wzrokiem. Jest za młoda, żeby nosić sukienkę ciążową. Za młoda i za bardzo bez obrączki. Porządne żony zakładają ręce na brzuchach i lustrują ją wzrokiem. Alicji wydaje się, że słyszy terkot ich myśli. Czy ta dziewczynka nie jest przypadkiem spokrewniona z tym mołem książkowym Haraldem, prezesem Robotniczego Stowarzyszenia Oświatowego? Czy to nie córka jego brata, tego, co poszedł na studia, zaraz, jak to on miał na imię, Erland? Tak. No oczywiście. Podobno dobrze się ożenił, mieszka gdzieś na południu kraju. A teraz siedzi tu jego córka w ciąży, licealistka. Tak, tak. Tak to bywa...

Alicja przez chwilę nie może rozsupłać pasa ciążowego, kiedy w końcu jej się to udaje, nerwowo szarpie obiema rękami za sznurówki. Ten pas jest taki obrzydliwy, ma go już dosyć, nie chce już patrzeć na jego cielisty kolor, nie chce już czuć dotyku ślizgającej się w palcach satyny. Kiedy pas spada na podłogę, Alicja nie wysila się, żeby go podnieść i położyć jak zawsze w nogach łóżka, odkopuje go tylko na bok i niecierpliwie wymacuje haftki i haczyki stanika, śpiesząc się, żeby i z niego się uwolnić, na koniec jednym ruchem ściąga majtki i pończochy, widzi, że nogi spuchły w ciągu dnia, że są grube i klockowate jak nogi Augusty, że biała skóra na kostkach jest taka napięta, że wydaje się, iż zaraz pęknie...

Za chwilę całkiem opada z sił, nagle robi się tak słaba, że uginają się pod nią nogi i musi usiąść, zamknąć oczy i złapać oddech.

– Jestem zmęczona – mówi na głos do siebie i opiera się rękami o materac. – Jestem tak straszliwie zmęczona...

Po chwili otwiera oczy i spogląda na swoje nagie ciało, myśli apatycznie, że powinna być rozsądna, karcę się w duchu za to, że zapomniała, jak zimno jest w

garderobie Augusty, i przypomina sobie, że nie starczyło jej sił, żeby palić w naftowym piecyku. Właśnie dlatego musi teraz się przemóc, żeby podnieść poduszkę, wyjąć spod niej koszulę nocną, naciągnąć ją przez głowę i włożyć ręce w rękawy, a potem unieść narzutę i wsunąć się do łóżka, po czym jeszcze wysilić się, żeby wyciągnąć rękę i przykręcić knot lampy naftowej, zanim będzie mogła poddać się zmęczeniu, które czuje.

Zaraz wszystko zrobi. Obiecuje to sobie. Ale najpierw musi chwilę odpocząć. Odpocząć i zebrać siły.

Na dworze wieje, dom Augusty trzeszczy i skrzypi, na parapecie okna zebrała się kupka topniejącego śniegu. Ale to nie ma znaczenia. Kiedy Alicja opada na łóżko, czerwona narzuta pod jej nagimi plecami jest bardzo zimna. To też nie ma znaczenia. Jak również i to, że jeżą jej się włoski na rękach i że trudno jej złapać oddech, kiedy tak leży na plecach. Nic nie ma znaczenia. Jedyne, czego w tej chwili pragnie, to zebrać tyle siły, żeby podnieść stopy z podłogi, jest jej niewygodnie w tej półleżącej pozycji.

– Zrobię to – mówi sama do siebie rzeczowym tonem – zaraz. Za małą chwileczkę.

Dziecko w niej porusza się, wyciąga się na całą swoją długość od piersi matki do łona.

– A później zasnę – ciągnie Alicja. – Zaraz oboje będziemy mogli pospać.

Kładzie ręce na brzuchu, głaszcze to, co się w nim schowało, nie czuje już chłodu na gołej skórze.

Tęsknię, myśli. Nie wiedziałam, że tak bardzo tęsknię.

– TY WYRZUTKU... – MÓWI REBEKA. – Ty chora kretynko. Brzydzę się tobą.

Jeszcze przed chwilą wszystko było zwyczajne i rzeczywiste. Było prawie dobrze. Przed chwilą było słoneczne wtorkowe popołudnie i Andżelika szła korytarzem liceum w kierunku pracowni plastycznej na trzecią w semestrze jesiennym lekcję rysunku węglem. Pod pachą niosła nowy blok rysunkowy, ten, który kupiła za własne pieniądze w prawdziwym sklepie z materiałami dla artystów. Jeszcze nic w nim nie narysowała, dotąd pozwoliła sobie tylko na to, żeby głaskać ręką grube arkusze, ale teraz, już za kilka minut, weźmie do ręki kawałek węgla i będzie nim kreślić po papierze.

Andżelika lubi rysować, jest naprawdę dość utalentowana, a już najbardziej lubi być Tą Która Wybrała Profil Artystyczny. Podobają jej się same ruchy: wyciągnąć przed siebie ołówek, żeby zmierzyć perspektywę i proporcje, kciuk jednej ręki włożyć w paletę, a drugą ręką chwycić pędzel, nosić pod pachą podobrazia i bloki rysunkowe. To właśnie ruchy czynią ją kimś innym. Kimś, kim chciałyby być. Kim kiedyś będzie.

Kiedy Andżelika wchodzi do pracowni plastycznej, Rebeka stoi przy oknie, za jej plecami na nowo rodzi się lato. W pracowni panuje cień, ale dziedziniec szkolny tonie w słońcu i Andżelice przez sekundę wydaje się, że we własnej piersi czuje uderzenia jego serca. Potem przypomina sobie, że przecież Rebeka jest Tą Która Wybrała Klasę z Programem dla Przyszłych Urzędników UE. Czyli nie powinno jej tutaj być, nie powinna stać przy oknie, ściskając w ramionach plecak i gapiąc się na Andżelikę. Powinna pędzić korytarzami do swojej własnej sali.

Wie coś? Ale jak mogła się dowiedzieć?

Rebeka jest biała na twarzy, z wyjątkiem ropnego pryszczu na brodzie. Pryszcz jest ciemnoczerwony.

– Ty wyrzutku... – mówi – Ty kretynko. Brzydzę się tobą.

Za sekundę już jej nie ma.

Przez całe lato istniały te pęknięcia, ale teraz poszerzyły się i otwały. Coś się zepsuło.

Może to czas.

Bo jak inaczej wytłumaczyć, że chwilę później Andżelika siedzi już na niskim murku, gapiąc się na krzyż? Musi minąć kilka sekund, zanim zrozumie, co widzi, zanim

przypomni sobie, że to lasek pamięci* na przykościelnym cmentarzu w Häverödal i że gdzieś tutaj, w trawie, została pochowana urna z prochami Siri.

Nie wiadomo dokładnie, gdzie spoczywa Siri. To tajemnica. Wytłumaczył jej to któregoś letniego dnia tamten mężczyzna, ten sam, który teraz grabi pierwsze jesienne liście przy cmentarnej furtce. Na tym właśnie polega idea lasku pamięci, powiedział tonem, jakim mówi się do sześcio-, a nie szesnastolatki. Chodzi o to, żeby nie wiedzieć dokładnie, gdzie leży babcia, trzeba sobie wyobrazić, że znajduje się w całym lasku. Jeśli człowiek życzy sobie mieć specjalne miejsce, na którym będzie można kłaść kwiaty, to trzeba wcześniej kupić grób z nagrobkiem, nazwiskiem i tak dalej. Andżelice nie chciało się wtedy tłumaczyć, że Siri na tylnej stronie koperty nabazgrała swoją ostatnią wolę i że ta ostatnia wola składała się z czterech zaledwie rozkazujących słów: „Lasek pamięci! Żadnych nekrologów!” Poza tym Andżelika nie przyszła po to, żeby zostawić jakieś kwiaty. Po prostu przyszła. Tak samo jak dzisiaj. A teraz chce już iść.

Żwirowa ścieżka prowadząca z lasku pamięci jest świeżo zgrabiona. Andżelika ciągnie nogami, żeby zniszczyć starannie pofalowaną powierzchnię, zmuszając mężczyznę do ponownego grabienia. Zaraz się to na niej mści: do buta wpada kamień i Andżelika musi usiąść na ławce, żeby go wyjąć. Kiedy prostuje plecy, wpada jej w oczy stary nagrobek po drugiej stronie ścieżki. Od razu go rozpoznaje – to ten grób odwiedzała cztery razy w roku Siri. Z kwiatami.

Wstaje i podchodzi do nagrobka, przykłęka i sunie palcem wskazującym wzdłuż napisu na szarym granicie. „Olga Andersson 1913-1932. Izaak Johansson 1888-1935. Augusta Johansson, z d. Andersson 1895-1975”.

„Nie zawsze miła – odzywa się w jej wspomnieniu Siri. – Moja babka, Augusta, nie zawsze była taka znowu miła...”

Andżelika wzrusza ramionami. Sama przecież też nie jest taka znowu miła.

Później nie może sobie przypomnieć, jak znalazła się w Alasce.

Nagle po prostu tam była. Oto siedzi na schodach domu Siri i pociera dłonią usta. Paskudny smak nie chce zniknąć. Gdyby Siri żyła, Andżelika mogłaby teraz wejść do kuchni i wypić dużą szklankę soku, żeby go spłukać. Soku rabarbarowego. Nikt nie potrafił robić takiego soku rabarbarowego jak Siri, był tak dobry, że na samą myśl o nim Andżelice łzy napływają do oczu.

* Na niektórych szwedzkich cmentarzach przykościelnych znajdują się specjalne miejsca, tzw. laski pamięci, gdzie nie ma indywidualnych grobów – prochy zmarłego zostają tam rozsypane lub zakopane bez pamiątkowej mogiły.

Cholera. Pociągając nosem, spogląda na zegarek. Dlaczego tu w ogóle siedzi? Jest już późno, minęła dziewiąta i robi się ciemno. W dodatku ma jeszcze ulotki do rozdania. Jest ich dziś wyjątkowo dużo, tak dużo, że Bergström w firmie nie pozwolił jej wziąć roweru. Byłby przeładowany, oznajmił, a on nie chce, żeby się z nim przewróciła i walnęła głową o asfalt. Zatem Andżelika musiała zapakować paczki do starego wózka dziecięcego i iść na piechotę.

Teraz do połowy opróżniony wózek stoi na ścieżce ogrodu Siri, a Andżelika siedzi na schodach, próbując zebrać myśli. Dobrze wie, że dziś rano pojechała autobusem do liceum w Uppsali, że po południu była na przykościelnym cmentarzu w Häverödal i że wieczorem przewędrowała z wózkiem całe Hallstavik. Nie może sobie tylko przypomnieć, że tak było. Jest za to zupełnie pewna, że powkładała ulotki do wszystkich mijanych skrzynek na listy, również do tych, które stoją przed niezamieszkanymi domami. Bergström wściekłby się, gdyby się o tym dowiedział, uważa, że takie oszukaństwa to marnowanie pieniędzy.

Zazwyczaj Andżelika stosuje się do jego reguł. Ale nie dziś. Dziś postępuje zgodnie ze swoimi regułami.

Puste są przede wszystkim stare domy robotników fabryki. Nikt nie chce ich dziś wynajmować z wyjątkiem kilku młodych mężczyzn, którzy dopiero co zaczęli pracę w fabryce. Nie przeszkadza im ciasnota pokoi i fakt, że łazienka znajduje się w piwnicy. Chcą mieć własny dom, żeby móc włączyć stereo na cały regulator, i własny ogródek, żeby móc w nim dłubać przy samochodzie. Andżelika nie lubi pustych, porzuconych domów, wyglądają tak nędznie, że niemal nie jest w stanie na nie patrzeć. Domy młodych mężczyzn po prostu ją denerwują. Budzą wstręt: obwisłe firanki, chwasty na rabatkach i zardzewiałe wraki samochodów na trawnikach, przywodzące na myśl na wpół poćwiartowane ciała denatów. Jeden wielki burdel. Ubóstwo. Miałyby ochotę cały ten syf podpalić.

Najgorzej jest w Alasce. Zawsze było najgorzej w okolicy zwanej Alaską. Siri mogła opowiadać niekończące się historie o tym, jak było tu wcześniej i jak dzieciom – na przykład Karinie – dokuczano w szkole dlatego, że tutaj mieszkały. Alaska to syf, mówiło się w całym Hallstavik, chociaż domy w Alasce były dokładnie takie same, jak domy robotnicze w innych okolicach. Może wiązało się to z tym, że nie mieszkała tu kadra wykwalifikowana – najznamienitsi robotnicy fabryki – tylko niewykwalifikowana siła robocza i przybysze, czyli ci, którzy przyjechali ostatni po wybudowaniu fabryki i już na zawsze pozostali ostatnimi. Przynajmniej do czasu wielkiej przeprowadzki w latach sześćdziesiątych, kiedy to pracownicy wykwalifikowani zaczęli budować własne wille. Wtedy w lepszych okolicach zrobiło się miejsce dla dotychczasowych mieszkańców Alaski, a na jej ulicach przez następne parę lat słyszało się niemal wyłącznie język fiński. Tylko Siri nie postępowała zgodnie z obowiązującym schematem. Ona i Sven – dziadek,

którego Andželika nigdy nie poznała – przeprowadzili się do Alaski w latach pięćdziesiątych i pozostali tu już na całe życie.

„To nam wystarczyło” – tłumaczy Siri we wspomnieniu Andželiki.

Andželika wzdycha, a potem wstaje i odwraca się w stronę domu.

Czarne okna. Jeszcze przed wigilią świętego Jana Kåre i Marianna pomogli Karinie opróżnić cały dom. Od tej pory meble Siri stały w nieładzie w salonie jej córki – Karinie brakowało sił, żeby je porządnie poustawiać, a ofiarność Marianny skończyła się, kiedy wyszło na jaw, że Karina oczekuje od niej, iż zajmie się także posprząaniem domu Siri...

Andželika wzdryga się, chłód, który przez cały wieczór szykował na nią zasadzkę, nagle wyciągnął palce i przejechał nimi po jej karku. Jeśli pośpieszy się z resztką ulotek, może zdąży wrócić do domu przed zaśnięciem Mikaela. W przeciwnym razie będzie leżeć w swoim łóżku i słuchać jego oddechu.

Zawsze lubiła słuchać, jak Mikael oddycha.

Od wiosny sypia w jego pokoju. Od dnia, w którym zostawiła Kristoffera – tamtego dnia, jakiś tydzień po pogrzebie Siri, kiedy całe jej życie wywróciło się do góry nogami. Tamtego dnia, w którym zobaczyła Bakcyła wsiadającego w autobus do Sztokholmu.

Siedziała wtedy w poczekalni dworca autobusowego, czekając na Kristoffera, i w pierwszej chwili Bakcyła nie poznała. Był ubrany w zaskakująco młodzieżową sportową kurtkę, w której go nigdy wcześniej nie widziała. Zmyliła ją jej kolorystyka. Jaskrawa czerwień i granat. Z małą domieszką żółtego. Kolory, które raczej nie kojarzą się z Bakcylem. Minęło kilka chwil, nim jej mózg zarejestrował to, co widziały oczy, nim zmysły wyostrzyły się, a serce przyspieszyło. To był Bakcyl. Zdecydowanie tak. Stał przy stanowisku, skąd odjeżdżały autobusy do Sztokholmu, z czarną torbą na ramieniu. Wyjeżdżał. Jedzie z powrotem do swojej pracy w ośrodku odwykowym. Czyli nie wróci do Hallstavik wcześniej niż za pięć tygodni.

To cała wieczność. Niemal całe życie.

Ciepła fala ulgi. Rozchodziła się od czoła, przez ciemność, w dół karku, sunęła dalej wzdłuż pleców, ogarniając ją całą, przez chwilę zatrzymała się pod żebrami, a potem leniwie rozpląnęła się wzdłuż ud i ramion. Andželika popatrzyła na swoją dłoń, zdawało jej się, że widzi, jak ta czerwienieje. Kwiat, pomyślała. Na mojej dłoni rozwija się kwiat...

Ta myśl wystraszyła ją, była zbyt dziwna, żeby mogła być normalna. Kretyńska myśl. Andželika wstała i ruszyła w kierunku automatów z gramami. Pochyliła się nad jednym z nich, jakby zamierzała włożyć do niego pięć koron i zacząć grać. Tak naprawdę nigdy nie przyszłoby jej do głowy, żeby wyrzucać pieniądze na takie idiotyzmy. Któryś z chłopców przy drugim automacie – mały skater w workowatych spodniach – rzucił jej szybkie spojrzenie i powiedział:

– Ten automat jest zepsuty...

Podniosła głowę, spojrzała na chłopaka i nagle poczuła, jak przytłaczają ją wszystkie światła, dźwięki i zapachy poczekalni. Okrągłe lampki automatu mrugały, buty chłopców szurały po zniszczonym linoleum podłogi, kiedy automat brzęczał, a gdy czerwone, błyszczące cyferki pokazywały, że wygrana jest już blisko, zachrypnięte głosy krzyczały triumfalnie. Z budki z kiełbaskami unosił się ciężki zapach frytek, który mieszał się ze spalinami wydobywającymi się z chodzącego na wolnym biegu autobusu. Andżelika musiała oprzeć się o automat, żeby nie zasłabnąć. Wszystko to zaledwie przemknęło jej przez głowę, bo cała uwaga skupiona była na tym, co działo się na zewnątrz. Wydawało się jej, że słyszy nadjeżdżający autobus do Sztokholmu, hałas silnika wdarł się do poczekalni, zagłuszając wszystkie inne dźwięki. Tak. To był ten autobus. Właśnie zjeżdża z mostu Skärstabron. Właśnie wjeżdża na dworzec. Zatrzymał się. Otworzył drzwi.

Teraz wpuszcza pasażerów, pomyślała, nachylając się jeszcze bardziej nad zepsutym automatem. Większość ludzi wysiada tylnymi drzwiami, ale nie wszyscy. Zawsze znajdzie się ktoś, kto chce wsiąść przednimi, z reguły jest to ktoś starszy, ktoś, kto potrzebuje na to sporo czasu. Dlatego Bakcył pewnie jeszcze nie wsiadł. Może komuś pomaga, zawsze mu zależy, żeby ludzie widzieli, jak pomaga starszym paniom z ciężkimi torbami i młodym paniusiom z dziecięcymi wózkami. Potem zazwyczaj usuwa się na bok, żeby wpuścić przed siebie ludzi, którzy stali w kolejce za nim – niech wsiądą pierwsi. Chociaż nie. Nie zawsze tak robi. Tylko jeśli są to kobiety lub staruszkowie. Mężczyźni w jego wieku nie mogą wejść przed nim, w tej kwestii jest bardzo zasadniczy. Jednak teraz powinna już nadejść jego kolej, bez względu na to, ile jest w autobusie wózków i starszych pań...

Odwróciła się i wyjrzała przez okno. Miała rację. Autobus do Sztokholmu zamknął już drzwi, kierunkowskaz pulsował na czerwono. Dostrzegła jeszcze czyste kolory kurtki Bakcyła w przejściu pomiędzy siedzeniami.

Wyjechał.

Nie zauważył jej.

Chłopcy przy automacie wydawali radosne okrzyki. Pobili właśnie nowy rekord w swojej grze.

Kristoffer wzruszył ramionami, kiedy wytłumaczyła mu, że chce na jakiś czas przeprowadzić się do domu, że pojedzie z nim do Nordanäng tylko po to, żeby się spać. Pewnie. Nie ma sprawy. W tym tygodniu czekają go sprawdziany z wiedzy o społeczeństwie i z nauk przyrodniczych, więc i tak musi się uczyć.

W autobusie do Nordanäng siedzieli w milczeniu obok siebie, potem – cały czas bez słowa – przeszli od głównej szosy do białego domu. Kristoffer nie przygotował żadnego

posiłku, nawet nie zapytał, czy jest głodna, natychmiast usiadł przy biurku i włączył komputer. Kiedy spakowała już swoją torbę i zaciągnęła zamek błyskawiczny, pocałował ją od niechcienia i odprowadził na dół. Sznurowując buty w przedpokoju, słyszała, jak zaczyna huczeć muzyka z jego wieży stereo.

Cieszy się, pomyślała. Kristoffer cieszy się, że nareszcie może się mnie pozbyć.

Jego rodziców nie było w domu.

Jak to się stało, że tamtego dnia poszła do domu Augusty?

Tego nie wie. Po prostu stało się. Jej ciało samo odwróciło się w lewo, a stopy zaczęły iść, nie miała wyboru, musiała za nimi podążyć, chociaż w rzeczywistości zamierzała skręcić w prawo, w kierunku szosy i przystanku.

Zdecydowania ciała starczyło jednak na zaledwie kilka metrów. Kiedy doszła do domu Augusty, zatrzymała się niepewnie z ręką na furtce i nie miała odwagi jej otworzyć.

To także nasz dom, pomyślała, mocniej zaciskając dłoń. Tak naprawdę to nie tylko Marianna, Kåre, Alicja i wszyscy inni mają prawo tu być. To także nasz dom. Mój. I Mikaela.

Później wyprostowała się i popchnęła furtkę.

W ogrodzie Augusty wiosna była bardziej zaawansowana niż na zewnątrz. Andżelika przystanęła na ogrodowej ścieżce i rozejrzała się dokoła. Brązowe jabłko z zeszłego roku, które wisiało zapomniane na nagiej gałęzi, w świetle słońca wydawało się czerwone. Krokusy na rabatkach wypuszczały pąki. Przebiśniewy już się rozwinęły. Tylko dom robił wrażenie, jakby jeszcze nie obudził się z zimowego snu, weranda pochylała się nieco, okna wyglądały tak, jakby miały przymknięte oczy.

Andżelika przespacerowała wolno wokół niego, wydeptała krąg z kroków i dotknęła palcami jego czerwonych desek. Pod oknem z tyłu domu wspięła się na palce i zajrzała do kuchni. Nic się tu nie zmieniło. Kuchnia wyglądała tak, jak zapamiętała ją z letnich przyjęć rodzinnych. Piec kuchenny i staroświecki zlew. Na piecu elektryczna płyta do gotowania. Na stole – cerata w kwiatki. Tyle że w kuchni nie było zmywającej Marianny ani parzącej kawę Alicji, ani Siri, która stałaby zalękniona w drzwiach. Dom był pusty.

Andżelika przysiadła na podwiniętej nodze i przycisnęła policzek do ściany; była teraz w cieniu, ale wciąż jeszcze nagrzana słońcem. Natychmiast zaczęły jej się zamykać oczy, przypomniała sobie, że od kilku tygodni nie przespała ani jednej całej nocy. Naprawdę. Ani jednej całej nocy od śmierci Siri. Zerknęła szybko na zegarek, do następnego autobusu zostało prawie czterdzieści minut. Nie musi stąd iść i czekać na przystanku przy szosie, równie dobrze może poczekać na werandzie. Zastanowić się, co

powiedzieć Karinie, kiedy wróci do domu. Zajrzeć do podręcznika. Przez chwilę odpocząć od świata.

Na werandzie stała ława, ale Andżelika i tak usiadła na podłodze. Nie chciała, żeby ktoś ją zobaczył, nie żeby miała coś do ukrycia – nikt jej nie zabroni robienia tego, na co ma ochotę! – ale dlatego, że chciała być sama. Niewidoczna. Ukryta przed wszystkimi spojrzeniami. Zresztą ryzyko, że ktoś będzie tędy przechodził, wydawało się niewielkie. Ile osób może w zwykły dzień przechodzić obok domu Augusty?

Dwie. Może trzy.

Właśnie dlatego chce być tutaj. W samotności. W ciepłe słonecznym. W ciszy.

Obudził ją jego łaskoczący w policzek oddech. Był bardzo ciepły. Prawie gorący.

Gdy tylko otworzyła oczy, zorientowała się, że musiała zasnąć i że spała długo. Słońce już zaszło. Wiosenne niebo, na którego tle rysowała się sylwetka mężczyzny, miało stłumiony, fiołkowoniebieski kolor, a nad jego głową świeciła gwiazda. Zbliżała się noc.

– Dobrze się czujesz? – zapytał i dotknął jej policzka. – Dlaczego tutaj leżysz?

Przyprawa, pomyślała sennie i przeciągnęła się. Ten mężczyzna pachnie jakąś przyprawą. Ale jaką?

Chwilę później go poznała.

Jego zapach został z nią.

Wciąż jeszcze czuła go w nozdrzach, kiedy kilka godzin później wkładała klucz do zamka w drzwiach Kariny i wchodziła do przedpokoju. I potem, kiedy stała tam z rozpuszczonymi włosami, niczym jakiś gość przysłuchując się, jak matka wstaje z łóżka i skrada się do niej na bosaka.

Karina zapaliła światło, obciągnęła obszerny podkoszulek i zamrugła powiekami. Ostrzygła się. Kiedy Andżelika widziała ją po raz ostatni, miała dłuższe włosy i było ich jakoś więcej, teraz zostały przycięte na karku i bardzo krótko wystrzyżone nad uszami. W nowej fryzurze Karina miała zachwiane proporcje, szyja zrobiła się krótka i gruba, a głowa o wiele za mała. Najpierw stała bez ruchu, wpatrując się w Andżelikę wytrzeszczonymi oczami, a potem wolno przyłożyła rękę do piersi.

– O Boże – powiedziała, wydając westchnienie ulgi. – O Boże, ależ mnie nastraszyłaś...

Osunęła się na taboret pod lustrem i zamknęła oczy, nie zdejmując przy tym ręki z piersi. Andżelika zsunęła z ramienia plecak i położyła go na podłodze. Nic nie

odpowiedziała, czekała w milczeniu, aż Karina znów otworzy oczy. Trwało to niemal minutę, więc matka zdążyła zapanować nad głosem.

– Przestraszyłaś mnie – powtórzyła rzeczowym tonem i sennie podrapała się po brzuchu. – Gdzie się podziewałaś?

Andżelika wyprostowała się.

– Po prostu nie było mnie w domu.

– Przez prawie cztery tygodnie?

– Uhm.

– I nie mogłaś nawet ruszyć tyłka na pogrzeb?

Andżelika przymknęła oczy, ale nie odpowiedziała. Karina prychnęła.

– Niech cię szlag. Tyle ci powiem. Niech cię szlag.

Na chwilę zapanowała cisza, potem Andżelika odchrząknęła i rozpięła suwak kurtki.

– Mikael w domu? – zapytała.

Karina kiwnęła głową.

– Ale jutro jedzie do Herräng...

– Znowu?

W głosie Kariny zabrzmiała skarga.

– Muszę odpocząć! W ostatnich dniach miałam takie bóle, że teraz muszę odpocząć!

Andżelika nie odpowiedziała. Powiesiła kurtkę i poprawiła bluzkę, a potem odwróciła się do matki. Chwilę mierzyły się wzrokiem, aż w końcu Karina lekko się uśmiechnęła.

– Bakcyl pojechał dziś z powrotem do swojego ośrodka. Pewnie już o tym wiesz?

Andżelika nadal nie odpowiadała, kopnęła tylko swój plecak, aż wylądował pod wieszakiem między butami.

– Tak – powiedziała Karina w zadumie. – Na pewno wiesz. A gdzie zamierzasz spać?

– W swoim łóżku, oczywiście.

Karina uniosła brwi.

– W swoim łóżku? Myślałam, że twoje łóżko jest w domu Siri.

Andżelika zaczęła już zdejmować buty, ale teraz zawahała się i spojrzała na Karinę.

– Tak. Ale nie mam do niego klucza.

Karina skrzywiła się.

– W istocie rzeczy Siri była moją matką. Tylko moją. To ja będę miała klucz. Nie ma w tym nic dziwnego.

– Wiem. Już to mówiłaś.

Znowu zapadła cisza. Karina nadal siedziała na taborecie, w przedpokoju słychać było tylko jej oddech. Andżelika pochyliła się i podniosła plecak.

– Co się stało z moim łóżkiem? Z moim starym łóżkiem?

Karina podniosła oczy, wydawała się teraz zmęczona.

– Stoi w moim pokoju. Śpi na nim Bakcyl, kiedy jest w domu.

– A jego łóżko?

– Zepsuło się. Musieliśmy je wyrzucić.

– To gdzie mam spać?

Karina wzruszyła ramionami,

– Nie wiem. Jeśli nie jesteś w stanie znieść spania w jednym pokoju ze mną – a domyślam się, że nie jesteś w stanie – to możesz sobie wziąć materac i rozłożyć go na podłodze u Mikaela. No i musisz też zmienić pościel. Oczywiście, jeśli nie chcesz spać w tej samej co Bakcyl.

Andżelika zacisnęła wargi i wzięła głęboki oddech, żeby upewnić się, że w nosie czuje jeszcze zapach przyprawy. Kiedy znowu się odezwała, miała zachrypnięty głos.

– Jest czysta pościel?

– A tego to już nie wiem – odparła Karina. – Musisz sama sprawdzić.

Mimo wszystko łatwiej jest żyć, czując w nozdrzach zapach przyprawy.

Łatwiej wsunąć się do pokoju młodszego brata, ciągnąc za sobą materac, łatwiej wyprostować się i podejść na palcach do biurka, łatwiej wysunąć jego górną szufladę i wyciągnąć z niej kasetkę z pieniędzmi, łatwiej zdjąć kluczyk z łańcuszka na szyi, łatwiej otworzyć kasetkę i przeliczyć banknoty, łatwiej zasnąć po stwierdzeniu, że wszystkie są na miejscu. Łatwiej jest także obudzić się następnego ranka, zrobić kakao dla brata i wytrzeć mu po nim wąsy. Łatwiej tego pięknego wiosennego dnia wziąć Mikaela za rękę i pobiec z nim do przedszkola. Łatwiej zarzucić plecak i pójść do szkoły, łatwiej klapnąć na krzesło, żeby zmierzyć się z fizyką i biologią.

Jednak po wejściu do klasy Feliksa – młodego nauczyciela nauk przyrodniczych – kiedy ten stoi już przy tablicy i zaczyna mówić swoim monotonnym głosem, skupienie na nim wzroku i myśli staje się niemożliwe. Oczy zaczynają błędzić gdzieś za oknem, język przesuwa się po przednich zębach, powraca wspomnienie zapachu.

To nie cynamon. Nie imbir. Nie tymianek i nie rozmaryn. Na pewno nie curry ani włoska przyprawa do sałatek, ani też mieszanka tex-mex. Żaden z zapachów, które Andżelika pamięta z półki z przyprawami babci.

Kiedy w końcu z najgłębszych zakamarków mózgu wyłania się odpowiedź, wydaje się nagle zupełnie oczywista.

Oregano. Naturalnie.

Kiedy to było? Pięć lat temu? Może sześć?

W każdym razie na jakimś przyjęciu rodzinnym. Jednym z tych, na które zaprosili ich Alicja i ten jej Lars. Bakcyl dopiero od niedawna żył w trzeźwości i bardzo starał się sprawiać wrażenie doskonałego ojca rodziny. Wymógł na Karinie, żeby zmusiła Andżelikę do włożenia niemal dziecięcej sukienki, z której dawno wyrosła. Wyglądała w niej okropnie, co widzieli wszyscy z wyjątkiem Bakcyła. Fakt, że Karina związała włosy Andżeliki w nieporządny koński ogon na czubku głowy, nie polepszył sytuacji. Kiedy siedzieli w autobusie, Andżelika zaczęła wyciągać kosmyki z kucyka. Gdy wysiadali i Karina z Bakcylem wynosili wózek, Andżelika przejrzała się w bocznym lusterku kierowcy. Wyglądała fatalnie. Błada twarz, sińce pod oczyma i połowa włosów zwisająca w strąkach wokół twarzy.

Podczas przyjęcia nie mogła myśleć o niczym innym. Nie interesowało jej jedzenie, nawet nie spojrzała na kuleczki mięsne, które położyła jej na talerzu Alicja – dorośli jedli śledzia. Siedziała na brzeżku ogrodowego krzesła i przyglądała się innym. Alicja biegła tam i z powrotem z talerzykami i półmiskami, Kåre wymachiwał rękami i bez przerwy gadał, siedząca obok niego Marianna świdrowała wszystkich wzrokiem, a ich synowie zgodnie przytakiwali, głaszcząc jednocześnie po plecach swoje żony. Obie młode synowe w odpowiedzi uśmiechały się tajemniczo. Po drugiej stronie stołu śmiała się w głos i wymachiwała papierosem Karina, Bakcyl uciszał ją, kładąc jej dłoń na ramieniu i mrużąc coś z wyrzutem. Siri siedziała u szczytu stołu, ściskając kurczowo torebkę. Mikael spał w wózku obok kwitnącego krzaka bzu. Lars i Peter – mąż i syn Alicji – siedzieli milcząco i wyprostowani, wyglądali tak, jakby wylądowali na niewłaściwej planecie, jakby nie mieli nic wspólnego z tym zielonym ogrodem i dziwnymi istotami. Nikt nie skomentował za małej sukienki Andżeliki i jej poczochranych włosów, ale wszyscy o nich myśleli. Tego była pewna.

Dlatego kiedy Alicja i Marianna zaczęły sprzątać ze stołu, ześliznęła się ze swojego krzesła, udając, że musi iść do ubikacji. Nie poszła jednak do wychodka, tylko schowała się w cieniu za domem Augusty. Położyła się w trawie pod kuchennym oknem. To było przyjazne miejsce. Poza zasięgiem cudzych spojrzeń. W dodatku chłodne. Z przodu domu, w słońcu, było gorąco. Za gorąco.

Zdjęła buty i oparła na trawie gołe stopy, pokiwała palcami. Jak dobrze. W kuchni ktoś puścił wodę z kranu, ktoś inny brzęczał zastawą, ale nikt się nie odzywał ani słowem. To też było dobre. Andżelika oparła się głową o ścianę i pogładziła ręką trawę. Obok niej rosła mała kępka kwiatów, małych jasnoróżowych kwiatków na niewysokich, porośniętych liśćmi łądzkach.

– To dla ciebie – powiedziała Andżelika chwilę później, wyciągając bukiet do Siri.

Nie sądziła, że inni to zauważą, była już przecież za duża na takie zabawy jak zbieranie kwiatków. Po prostu stało się, zerwała pęk jasnoróżowych kwiatów, a teraz podawała go Siri. I pewnie nikt by nic nie zauważył, gdyby właśnie w tej chwili Kåre nie musiał zaczerpnąć tchu i gdyby jedna z jego synowych nie wypełniła powstałej w ten sposób chwili ciszy, ćwierkając:

– Och, jakie to urocze! Spójrzcie! Andżelika nazbierała kwiatków dla babci!

Była jedyną, która uznała, że to urocze. Pozostali zebrani zareagowali inaczej, każdy na swój sposób: Karina skrzywiła się, Marianna udała, że nie słyszy, Kåre wzruszył ramionami, Bakcyl podejrzliwie zmarszczył brwi, a Lars, ten milczący kosmita, przechylił się przez stół, urwał z bukietu listek, roztarł w palcach, a potem przysunął sobie do nosa.

– Hm – powiedział, wyciągając pokruszony listek w stronę syna – to jakieś ziele przyprawowe, prawda?

Peter, drugi kosmita, wachał liść przez chwilę, a potem poprawił okulary i oznajmił:

– Tak. *Origanum vulgare*. Oregano. Albo dziki majeranek. Nazywany także lebiodką.

Lars skinął głową i jeszcze raz przysunął listek do nosa. Potem wyciągnął rękę w kierunku Andżeliki.

– Oregano – powtórzył. – Król przypraw. Ładnie pachnie. Powąchaj!

Oregano. Dziki majeranek. Lebiodka. Król przypraw.

Może to te słowa sprawiły, że oszalała.

Tak o tym później myślała: oszalała. Pomieszało jej się w głowie. Zwariowała.

Najdziwniejsze było, że od początku zdawała sobie z tego sprawę. Siedziała w swojej ławce, mając w nozdrzach tamten zapach. Wpatrywała się w cienie, które słońce rzucało na białe ściany klasy, i wiedziała, że to całkowite szaleństwo. Tak jakby jej głowa pękła na pół; jedna połowa była taka jak zawsze – czujna, uważna i nieufna – w drugiej połowie stała się wariatką, która straciła zdolność kontrolowania własnych myśli. Była zaczarowana. Urzeczona. Opętana.

Rozumna połowa wiedziała, że Andżelika powinna się powstrzymać, że jej głód męczyzny, który pachnie oregano, jest niebezpieczny, że może rozsadzić nie tylko jej głowę, ale także piersi. Jednak to nie pomagało. Druga część osobowości Andżeliki odrzuciła już wszelką ostrożność. To prawda, zapach oregano rzeczywiście jest zapachem króla. To dlatego uznała za coś całkowicie oczywistego, że zabrał ją do królewskiej sali ze srebrnymi kolumnami i ciemnobłękitnym sufitem z aksamitu.

– Idiotko – przemawiała rozumna połowa jej głowy – opanuj się, do cholery! Uspokój się!

Nie zdawała sobie sprawy, że mówi na głos, dopóki nie zorientowała się, że Feliks przy tablicy przerwał i zmarszczył czoło.

– Andżelika? Co powiedziałaś?

Zasłoniła usta ręką.

– Nic – odpowiedziała. – Przepraszam. Upuściłam coś...

Feliks uniósł brwi.

– Coś? Co?

– Gumkę do włosów – wybąkała Andżelika. – Chociaż właściwie nie upuściłam. Tylko tak mi się wydawało...

Aż do tej chwili pozostali uczniowie siedzieli w swoich ławkach tak jak zawsze, jedni rozparci i znudzeni, inni w pełnej skupienia pozycji nad otwartym zeszytem, jeszcze inni pochylając głowę nad intensywnie produkowanymi bazgrołami. Teraz jeden po drugim podnosili wzrok i odwracali się w jej stronę. Tobiasz z pierwszej ławki wykrzywił wargi, układając je w bezgłośnie: „Debilka!”

Feliks stał wciąż z uniesioną ręką, jakby zamierzał napisać coś na tablicy.

– Pozwól, że się upewnię – powiedział, znów unosząc brwi. – Przeklinasz, ponieważ upuściłaś gumkę? Chociaż tak naprawdę jej nie upuściłaś?

Andżelika spróbowała się uśmiechnąć. Za jej plecami narastał cichy chichot.

Feliks przesunął wzrokiem po klasie i też lekko się uśmiechnął.

– Czy dobrze zrozumiałem?

Andżelika przełknęła ślinę i wyprostowała się.

– Tak.

– Zatem możemy kontynuować lekcję? Nie narażając się na kolejne inwektywy z twojej strony?

– Tak.

– Możesz uznać, że to przesada, ale coś takiego naprawdę utrudnia mi pracę. Szczególnie jeżeli ludzie przeklinają zgubione rzeczy, które tak naprawdę nie zginęły. Jeśli na przykład wyzywają od idiotek swoją gumkę do włosów...

Andżelika spuściła wzrok, patrząc w ławkę, słyszała, jak chichot dziewczyn za jej plecami zamienia się w głośny śmiech; włączyło się też kilku chłopaków, rycząc: Uuuuu! Uuuuu! Uuu! Feliks zamachał rękami, nagle przerażony burzą, którą sam wywołał. Teraz chodziło o śmiech dziewczyn, wrzaski chłopaków i strach Feliksa. Andżelika została już zapomniana.

Wśród ogólnego zgiełku pomyślała „gówniarze”, a potem wzięła głęboki oddech, wypełniając wszystkie puste miejsca w głowie zapachem oregano. Sami gówniarze. W dodatku rozpuszczeni gówniarze. Tak jak Rebeka. Ona nic nie wie, nic nie rozumie, nigdy niczego nie przeżyła. Nie przeżyła naprawdę.

Ale ja wiem. Ja coś przeżyłam. Naprawdę.

Wczorajszy wieczór zapamiętała jako dziwny, całkowicie jasny i zrozumiały, a jednocześnie zupełnie niepojęty. Dokładnie pamięta, jak wyglądał w środku srebrny samochód, świecące zielono cyfry na tablicy rozdzielczej, czerwona lampka obok siedzenia kierowcy, która najpierw zapaliła się, a potem zgasła, pamięta, jak wyglądały jego ręce na kierownicy. Nie była do końca pewna, dokąd ją zawiózł. Dopiero kiedy wracali do Hallstavik, zorientowała się, że zbliżają się doń od północnej strony, że sala kolumnowa istnieje w rzeczywistości i że musi znajdować się gdzieś na drodze do Östhammar.

Miała za to pewność, że zostawiła po sobie ślad. Jak dziewczyna z bajki. Tego dnia po szkole wyruszyła więc w poszukiwaniu tego śladu.

Nigdy wcześniej nie jechała tak długo na rowerze. Prawie dwadzieścia kilometrów. Kiedy wreszcie znalazła małą boczną drogę, dyszała ciężko i twarz miała mokrą od potu. Ostatnie kilka metrów musiała przejść pieszo, prowadząc rower.

Tak naprawdę nie była pewna, czy dotarła we właściwe miejsce. Krzaki na skraju drogi wyglądały jak wszystkie inne krzaki, żwirowa droga jak wszystkie inne żwirowe

drogi. Pas trawy pośrodku zaczynał się zielenić, na brzegu rowu zakwitły kwiaty. Zobaczyła pierwsze przylaszczki i na chwilę przystanęła.

Kiedy uniosła oczy, zobaczyła owijkę do włosów z czarnego aksamitu, zaczepioną na gałęzi. Znalazła swój ślad.

Rzuciła rower na przylaszczki i weszła do sali kolumnowej. Choć w rzeczywistości nie była to żadna sala. Wiedziała przecież o tym. Rozumna część jej głowy przez cały czas wiedziała, że to tylko fantazje tej drugiej, wewnętrznej wariatki. Tamten mężczyzna nie zawiózł jej do żadnej srebrnej sali z wysokimi kolumnami, zabrał ją do lasu. Do zupełnie zwykłego lasu sosnowego z krzakami borówek, prostymi pniami drzew i niebem w górze.

Miejsce było naprawdę piękne, to zauważyła również rozumna część głowy. Andżelika przysiadła na chwilę na kamieniu i rozejrzała się dookoła. Popołudniowe światło nadało różowy odcień brunatnoczerwonym pniom sosen. Pod nimi kiełkowała drzączka, tak samo ruda i puszysta jak włosy Mikaela, kiedy był niemowlęciem. Jasnozielony mech, jeszcze ciągle miękki i wiosennie wilgotny, szykował się do wpełzania na wszystkie twarde powierzchnie, do okrywania ich sobą.

Andżelika przesunęła palcem po wargach.

Były opuchnięte.

Obolałe.

Mieć ciało...

Nigdy wcześniej nie miała ciała. Nie w ten sposób. Istniały tylko jej wizerunki, stworzone przez spojrzenia innych ludzi. Występowała zatem w wielu wcieleniach: w oczach Siri zdawała się słodka jak laleczka, w oczach Kariny – brzydka, spojrzenie Rebeki czyniło ją grubą, oczy Kristoffera seksowną, w oczach Ann-Katrin była ładnie uczesana, a w oczach Marianny – rozczochrana. Były to tylko pozory, powierzchnia. Obrazy znikwały, kiedy cudze oczy spoglądały w inną stronę. Dla niej samej – dla tego czegoś w środku niej, co było Andżelika – ciało nigdy nie miało znaczenia. Usta były jedynie ustami. Ramiona zwykłą parą ramion. Stopy – stopami. Ciało stanowiło narzędzie, czasem broń, innym razem tarczę, powłokę, której oddziaływanie na chłopców i mężczyzn napełniało ją w ostatnich latach zdumieniem, wprowadzało w konsternację.

Oczywiście zmuszona była do włączania się w chór narzekań innych dziewczyn. Doskonale wiedziała, że po gimnastyce wypada stać w szatni i uzalać się nad sobą – „Mam dwa pryszcze zamiast biustu!” „Mój tyłek jest za duży!” „O Boże, ale się zrobiłam gruba!” – lustrując przy tym uważnie każdą część swojego ciała i dochodząc do wniosku, że większość jest w porządku. Był to trening hipokryzji, sztuki okłamywania siebie i innych. O prawdziwych brakach nie należało wspominać: ta z małym biustem powinna

narzekać na grube uda, ta, która o głowę przewyższała wszystkich chłopców w klasie, powinna jęczeć, że ma za duży nos, a ta z wałkami na brzuchu – stękać, że jej piersi są za duże. Żeby się za bardzo nie wyróżniać, Andżelika zazwyczaj marudziła bez przekonania, że ma wielki tyłek, i nie wspominała nic o biuście.

Nigdy nie lubiła swoich piersi. Unikała ich wręcz, starała się nie dotykać i z niechęcią godziła się, żeby je ciągle pieścił Kristoffer. Nie lubiła tego. Proszę bardzo, mógł je sobie ścisnąć, tak jak inni chłopcy, ale nie lubiła, kiedy dotykał ich delikatnie. W ogóle nigdy speqałnie nie lubiła delikatnego dotyku. Nawet swojego własnego: kiedy pod prysznicem nie było gąbki, po prostu rezygnowała z namydlenia się. Sama myśl o tym, że mogłaby gładzić swoje ciało pieniącymi się dłońmi, przyprawiała ją o mdłości.

Jedyny jego element, z którego była zadowolona, to włosy. Zawsze lubiła je myć, czesać, związywać mocno w kucyk, rozpuszczać i pozwalać, żeby rozsypały się po plecach całą masą, zasłaniać nimi twarz, chować się w nich jak w jaskini. Były teraz bardzo długie – długie, gęste i błyszczące. Nie obcinała ich od czterech lat. Od chwili gdy jako dwunastoletnia dziewczynka stanęła z ogoloną głową na ganku Siri...

Chwyła swój koński ogon i przesunęła nim pod nosem, przez głowę przemknęło jej wspomnienie kodaka, którego kiedyś trzymała na kolanach i głaskała palcem pod brodą. Czuła bicie swojego serca: puls w koniuszku palca mieszał się z pulsem w szyi kota.

Mam ciało, pomyślała. Jestem żywym ciałem.

Kilka dni później po raz pierwszy czatowała pod jego domem.

Był to jeden z tych wieczorów, kiedy nie za bardzo wiedziała, co ze sobą zrobić. Nie miała żadnych ulotek do rozwieszenia, a dom Siri był zamknięty na cztery spusty. Nie mogła pojechać do Kristoffera do Nordanäng. Do domu też nie mogła wrócić. Nie przed porą spania. Mikael był w Herräng, a gdyby miała siedzieć sama z Kariną, obie udusiłyby się milczeniem.

Trochę posiedziała w bibliotece. Siedziała przy stoliku w całkowitej ciszy. Pochylała się nad książką, tak jakby ją czytała, choć w rzeczywistości ani jednej literze nie udało się przebić przez rogowkę jej oczu. Potem wstała i wyszła. Przez kilka minut postąła w białym centrum Hallstavik i wsłuchiwała się w ciszę. Miasteczko robiło wrażenie opuszczonego. Żadnych samochodów. Żadnych głosów. Nawet odległego, warkotu z toru żuźlowego. Dało się słyszeć jedynie melodię fabryki, melodię, która tego wieczoru zdawała się tak przytłumiona, że niepodobna było jej niemal odróżnić od ciszy.

Chcę go tylko zobaczyć, pomyślała rozumna część głowy, kiedy stopy Andżeliki ruszyły już w drogę. Nic więcej. Tylko zobaczyć. Tylko upewnić się, że naprawdę istnieje.

Kilka dni wcześniej odkryła mały zagajnik obok jego willi i bez słowa zdecydowała, że będzie teraz należał do niej. Mogła stąd widzieć wjazd do garażu, taras i ogród, nie ryzykując przy tym, że zostanie zauważona. Kilka tygodni wcześniej zagajnik nie stanowiłby żadnego schronienia, ale teraz, na początku lata, drzewa i krzaki zaczynały się rozrastać, a młoda zieleń była już wystarczająco gęsta, żeby ją ukryć.

Mimo to ucieszyła się, kiedy wpełzając pomiędzy krzaki, zobaczyła, że zaczyna się ściemniać; niebieskawe cienie sprawiały, że jeszcze łatwiej było pozostać niezauważoną. Usiadła na ziemi, oparła się plecami o brzozę i przyglądała temu, co mogła stąd dostrzec. Dom wyglądał na pusty. Niemal opuszczony. Wszystkie okna i drzwi były pozamykane, na podjeździe nie parkował żaden srebrny samochód, a ogrodowe meble na tarasie stały zupełnie nagie: nie było obrusa na stole ani poduszek na krzesłach. Jediną widoczną żywą istotą była samotna pliszka, która spacerowała po trawniku z uniesionym ogonkiem.

Zbliżała się już północ, kiedy srebrny samochód nareszcie podjechał do garażu. On wysiadł pierwszy. Stał, przeciągając się – niemal niewidoczny w świetle wczesnoletniej nocy. Potem nachylił się do samochodu, żeby wyjąć z niego marynarkę. W tej samej chwili otworzyły się drzwi z drugiej strony i wysiadły z nich jego żona i córka. Żona coś powiedziała, także nachyliła się do samochodu, żeby wziąć torbę, a potem zniknęła z pola widzenia. Córka stała jeszcze kilka sekund, jakby się wahając, aż w końcu zatrzasnęła drzwi i podążyła za matką. Mężczyzna został sam, powtarzał na nowo te same ruchy: najpierw prostował się, a potem przeciągał.

A więc istniał. Był realny. Miał dom i samochód, szary garnitur i pracę, do której wychodził co rano, i łóżko małżeńskie, czekające na niego wieczorem. Nie miał za to imienia; w głowie Andżeliki zabrakło miejsca na jego imię. Był tylko oddechem, głosem, zapachem.

Istniał. Teraz już wiedziała, że naprawdę istnieje.

Ile razy od tamtej pory siedziała w zagajniku? Nie wie. Wiele razy. Niemal każdego wieczoru.

Raz wydawało jej się, że ją zobaczył, zatrzymał się i znieruchomiał, dopiero potem znów przewrócił kilka kawałków mięsa na grillu. Mieli wtedy z żoną gości. Po ogrodzie chodzili mężczyźni w szortach w kratę i kobiety w pastelowych bawełnianych bluzkach, a on stał pośród nich, udając, że jest do nich podobny, tylko jego wzrok poszybował nagle w kierunku zagajnika i natrafił tam na jej oczy.

Jednak kiedy spotkali się kilka wieczorów później, nie wspomniał o tym, a Andżelika też nic nie powiedziała. W ogóle uważała, żeby nie mówić za dużo w jego towarzystwie. Wyglądało na to, że on nie lubi rozmów. Zdecydowanie też chyba nie lubił, kiedy Andżelika od czasu do czasu pojawiała się na skraju jego codzienności: szła szybko

przez parking w centrum, podczas gdy on akurat zmierzał do swojego samochodu lub przejechała na rowerze obok stacji benzynowej, właśnie gdy on tankował, bądź kiedy zdarzyło jej się wkładać ulotki do jego skrzynki pocztowej, a on akurat wracał z pracy do domu. Nie żeby powiedział coś na ten temat, nie musiał, jego wzrok i postawa wystarczały za słowa. Gdyby jeszcze dowiedział się, że ona siedzi w zagajniku i go śledzi, wściekłyby się. Może ogarnęłyby go taka zimna wściekłość, że już nigdy więcej nie wzięłyby jej do swojego samochodu.

Nawet rozumna część głowy nie wierzyła, że Andżelika byłaby w stanie to znieść.

Nie chciał mieć jej zbyt często, raz w tygodniu, czasem raz na dwa tygodnie. Zawsze bardzo późno wieczorem, kiedy wracała już do domu po rozwiezieniu wszystkich ulotek i dawno straciła nadzieję. Wtedy za jej rowerem pojawiał się jego samochód, zwalniał, powoli ją wyprzedzał, a potem znowu dodawał gazu. Kiedy już minął Andżelikę, zeskakiwała z roweru i przez kilka sekund stała bez ruchu, patrząc za nim. Upewniała się, czy rzeczywiście skręcił w kierunku zakładów przemysłowych w Skärsta. Potem wskakiwała na rower i jechała z nim.

Zatrzymywał się zawsze daleko pomiędzy zakładami, na tyłach jednego spośród pozbawionych okien budynków fabrycznych. To była dobra kryjówka, dużo lepsza niż zagajnik obok jego domu, ale mimo to nigdy nie czuł się tam bezpiecznie. Silnik nadal pracował na wolnym biegu, a on otwierał drzwi przy siedzeniu dla pasażera, jeszcze zanim zdążyła odstawić rower. Kiedy zapinała łańcuch, naciskał gaz i silnik wydawał z siebie niecierpliwy ryk. Ruszał, nim zdążyła się usadowić i zatrzaskać za sobą drzwi. Pasów nigdy nie zapinała: i tak przecież będzie musiała zsunąć się na podłogę i skulić, gdy tylko zbliżą się do szosy. Żeby nie można było jej zobaczyć, kiedy będą mijali inny samochód albo kiedy zatrzymają się, żeby przepuścić pieszego.

Lubiła siedzieć w ten sposób, oprzeć ramiona na siedzeniu, głowę położyć na rękach i przyglądać mu się, kiedy wiezie ją do swojej sali kolumnowej.

To było jedyne żądanie, które mu stawiała: miał ją wozić właśnie tam. Nie musiała mu o tym mówić, sam rozumiał. Tylko raz zatrzymał samochód w jakiejś zatoce parkingowej po drodze i tam próbował się do niej zbliżyć, ale kiedy poczuł, że Andżelika sztywnieje i zaczyna się opierać, natychmiast ruszył i pojechali dalej.

Nigdy nie przyszło jej do głowy, żeby zaprosić go do mieszkania Kariny, chociaż latem przez kilka tygodni była w domu sama. Nawet myśl o tym wydawała się absurdalna. Andżelika nie mogła sobie nawet wyobrazić, że miałyby pochyłać się nad nią na jej piankowym materacu w pokoju Mikaela, i jeszcze mniej, że później miałyby wstać i iść przez korytarz do łazienki Kariny, że miałyby tam ściągać zużyty prezerwatywę, stojąc

pośród słoiczków z jej pigułkami i szczotek do paznokci Bakcyła. Byłoby to jak napotkanie morsa w Afryce, słonia na Grenlandii albo wieloryba na brzegu zatoki Edeboviken. Nie do pomyślenia. Kompletnie nie do pomyślenia.

Pamiętał o prezerwatywach. Bez względu na to, jak ciężko oddychał w jej ucho, jak bardzo jego ręka drżała z podniecenia, kiedy wkładał ją w jej majtki, z jakim głodem w gryzał się w jej szyję – nigdy nie zapominał o prezerwatywie. Przeszkadzało jej to. Nawet jeśli rozumna część głowy pojmowała, że to najlepsze dla nich obojga, to wewnętrzna wariatka robiła, co mogła, żeby skusić go do zapomnienia się. Chciała mieć go bez zabezpieczeń. Ich wieczory w sali kolumnowej nie będą w pełni doskonałe, dopóki ona nie wylże, nie wysie, nie wycąluje i nie wypieści całej jego ostrożności.

Nawet jeśli ich wieczory w sali kolumnowej nie były jeszcze doskonałe w pełni, to i tak było im do tego blisko. W tym, co Andżelika robiła z nim, nie było nic, co przypominałoby to, co robiła z Kristofferem czy jakimkolwiek innym chłopakiem. Wszystko było inne. Ciężar. Zapach. Jego rozpalona skóra. To, że zbliżał się do niej bez niecierpliwości, bez ponaglania, ale miał przy tym bardzo zdecydowane ręce. Że nie tylko mogła wytrzymać nawet najłżejsze pieszczoty piersi, ale sprawiały jej one przyjemność. Że była zdolna pozwolić na to, by jego język docierał do miejsc, do których dotąd nie wolno się było zbliżyć nikomu. A przede wszystkim to, że w jego ramionach mogła zniknąć, że przestawała być tą Andżeliką, którą była zawsze, że pozwalał jej spróbować, jak to jest być kimś innym.

Jednak jej pożądanie różniło się od jego pożądania. Nigdy nie oddychała ciężko, nigdy nie skomlała jak zwierzę, leżąc na plecach wśród krzaków borówek, nigdy nie uciekała spojrzeniem w głąb siebie, nie traciła wzroku. Wręcz przeciwnie – miała zawsze otwarte oczy. Przyglądała się jego twarzy, kiedy unosił się nad nią, a kiedy znów na nią opadał, patrzyła na aksamitny sufit nieba.

Często leżeli potem w ten sposób: ona z szeroko otwartymi oczami, utkwionymi w niebie, on z zamkniętymi powiekami i twarzą zwróconą ku ziemi. W ciszy. W milczeniu.

Cisza była im potrzebna. Nie należało jej przerywać. Rozmowa zmieniałaby ich: on stałby się zwyczajnym, obleśnym facetem w urzędowym garniturze i z owłosionymi rękami, a ona – małą zdzirą, przypadkiem socjalnym w tanich ciuchach z katalogu wysyłkowego i w spranych majtkach. Witali się więc spojrzeniem i zegnali pośpieszną pieszczotą, w drodze do sali kolumnowej wymieniali po cichu tylko kilka słów. Zdarzało się, że kiedy potem leżała na swoim materacu w pokoju Mikaela, liczyła te słowa i dochodziła do wniosku, że jest ich coraz mniej, że zanurzanie się w ciszę staje się dla nich coraz bardziej oczywiste.

Tak naprawdę to w ciągu całego lata odbyli tylko jedną rozmowę; któregoś późnego wieczoru pod koniec lipca, kiedy po jasnym czerwcu chyłkiem wracały nocne ciemności.

Gdy skończyli się przytulać, usiadł na kamieniu, patrząc, jak Andżelika wkłada podkoszulek.

– To szaleństwo – powiedział nagle. – Niech mnie cholera, to jakiś obłąd.

Andżelika nie miała odwagi na niego spojrzeć. Pochyliła się, udając, że szuka lewego buta, chociaż dobrze widziała, że leży kawałek dalej, w krzaczkach borówek. Dlatego raczej usłyszała, niż zobaczyła, jak przesunął ręką po twarzy.

– Szaleństwo – powtórzył. – Nie rozumiem... Jak do tego doszło?

Andżelika nadal nie odpowiadała.

– Cholera, to się może skończyć jedynie katastrofą. Chodzisz przecież do tej samej szkoły co moja córka!

Andżelika chrząknęła, brakowało jej głosu.

– Do tej samej klasy.

– Do tej samej klasy? Chodźcie do tej samej klasy?

– Tak. Przynajmniej w dziewiątej byliśmy razem.

Nie jestem pewna, jak będzie teraz, po wakacjach. W liceum.

Zakrył twarz dłońmi.

– Boże miłosierny... Myślałem, że jesteś o rok starsza!

– Skończyłam szesnaście – powiedziała Andżelika. – W styczniu skończyłam szesnaście lat.

Tym razem pojawił się znowu po zaledwie kilku dniach, ale były to dni, do których nigdy nie chciałyby powrócić.

Od tygodnia była w mieszkaniu sama. Karina i Mikael pojechali do Dalarna, żeby wspólnie z Bakcylem spędzić idealistyczne wakacje w zakładzie odwykowym. Żadne z nich nie cieszyło się na tę podróż. Karina denerwowała się na samą myśl o rozkładach jazdy i nowych ludziach, a Mikael marudził, kiedy słyszał, że mama podnosi głos. Właściwie tylko Andżelika była zadowolona. Decyzja Bakcyła uratowała ją, myśl o jego wakacjach już od kilku tygodni krążyła jej po głowie jak niespokojny owad. Gdzie ma się podziąć, kiedy Bakcyl przyjedzie? Czy mogłyby pojechać do Kristoffera do Nordanäng? Czy w ogóle by ją przyjął, skoro tak długo się do niego nie odzywała? Czy za jedzenie i dach nad głową musiałyby płacić w ten sam sposób, co przed pogrzebem Siri? Myśl o tym sprawiła, że Andżelika objęła się ramionami. Nie! Kristoffer jest w porządku, ale to niemożliwe! Już lepiej byłoby spać na dworze.

I upiekło jej się. Wszystko się ułożyło. Po prostu. Nie musiała nic robić.

Z początku samotność była pełna spokoju. Żadnego Mikaela, którym trzeba się zajmować. Żadnej wymagającej pilnowania Kariny. Żadnych ulotek do rozwiezienia, bo Bergström zamknął firmę i wyjechał do swojego domu letniego. I żadnego pachnącego mężczyzny, którego spotyka się nocą. Podczas pierwszych dni jej samotności nie było go w domu, wyjechał z rodziną na wakacje do ciepłych krajów.

Andzelice nie zależało na słońcu. Wręcz przeciwnie. Spuściła rolety we wszystkich oknach mieszkania, żeby uniknąć ostrego światła. Potem otworzyła na oścież drzwi na balkon i nie zamykała ich przez całą dobę. Kiedy o trzeciej w nocy zaczynały ćwierkać ptaki, otwierała oczy, potem natychmiast je zamykała i spała, dopóki na zewnątrz, przez Uppsalavägen, nie przejechała z łoskotem pierwsza ciężarówka z drewnem. Kiedy przypominała sobie, że jest w mieszkaniu sama, wzdychała z zadowoleniem i przeciągała się, trochę zaskoczona swoim olbrzymim fartem, tym, że zupełnie niezasłużenie i całkowicie niespodziewanie otrzymała kilkutygodniową próbkę życia, które rozpocznie się po jej osiemnastych urodzinach. Dokładnie tak właśnie będzie: co rano po obudzeniu czekać ją będą cień i cisza, samotność i przyjemny chłód. Życie bez przymusów. Bez niebezpieczeństw. Bez niepokoju.

Dlatego była zupełnie nieprzygotowana na ten rano, kiedy obudziła się ze ściskającą gardło obrazą niepokoju. Podniosła głowę z poduszki i zaczęła nasłuchiwać: czy ktoś jest w mieszkaniu? Światło sączące się przez szczeliny w żaluzjach było szare, jak linoleum na podłodze. Czerwony miś Mikaela wpatrywał się w nią ze swojego miejsca na półce. Nie, nikogo nie ma. Mieszkanie było tak samo puste, jak przed jej zaśnięciem. A mimo to miała kłopoty z oddychaniem, musiała usiąść i wziąć kilka głębokich oddechów, żeby złapać choć trochę powietrza. Nic nie pomogło, niepokój jeszcze mocniej zacisnął obręcz wokół jej gardła, kiedy przypomniała sobie tamten wieczór...

Zaskoczenie, kiedy usłyszał, że w styczniu skończyła szesnaście lat.

Milczenie w drodze powrotnej.

Jego spojrzenie, kiedy odpinała swój rower.

Położyła rękę na szyi i jęknęła: zostawi ją! A ona już nigdy nie poczuje jego zapachu...

Tego dnia nie umyła się i nie wyczyściła zębów. Nawet się nie ubrała, przesunęła tylko materac głębiej w kąt, ściągnęła z łóżka Mikaela narzutę i kołdrę i owinęła się nimi. Cała się w nich schowała i zgasiła światło. Po kilku godzinach zaczęła się kołysać. Kiwała się w przód i w tył w swoim kokonie, nucąc sobie piosenkę.

Była to jedna z tych piosenek, które знаła tylko ona. Jedna z tych, które sama wymyślała, gdy była mała. Piosenka więźnia. Piosenka pocieszenia. Piosenka, o której myślała, że dawno już jej nie pamięta.

Później nie była do końca pewna, jak długo leżała pod kołdrą. Pamiętała tylko, że cztery razy wstała, żeby ugotować makaron, który potem zjadła prosto z garnka. Kiedy wstała po raz piąty, stwierdziła, że makaron się skończył, a w szafce są już tylko wypełnione do połowy torebki z mąką i cukrem. Otworzyła zamrażarkę i zaczęła w niej grzebać, ale znalazła jedynie starego szczupaka, który gapił się na nią lodowatymi, srebrnymi oczami. Andżelika też przez chwilę wpatrywała się w niego, zanim wepchnęła go z powrotem do zamrażarki. Poruszając się, poczuła, że w nozdrza łaskocze ją dobrze znany zapach. Podniosła swój T-shirt i przysunęła go do twarzy. Skrzywiła się. Śmierdzi Kariną. Czas się umyć. A potem wyjść. Musi się wreszcie wydostać z tego cholernego mieszkania.

Już na schodach zaczęła liczyć kroki.

Dojście do toru żuźlowego wymagało zrobienia trzech tysięcy pięciuset czterdziestu sześciu kroków. Może odbywały się dzisiaj wyścigi, bo huczało od warkotu motorów, a na parkingu gęsto tłoczyły się samochody. Żaden z nich nie był srebrny, więc odwróciła się i ruszyła z powrotem w kierunku centrum.

Doszła właśnie do mostu Skarstabron i miała już zrobić swój siedmiotysięczny krok, kiedy powoli wyminął ją srebrny samochód. Zatrzymała się w pół kroku i stojąc bez ruchu, patrzyła za nim. Kierowca przyśpieszył, a potem skręcił w kierunku zakładów przemysłowych. Andżelika rozejrzała się i nagle dostrzegła, że zapadł już wieczór, późny wieczór, i że nie wie, czy to wtorek, czwartek, czy już może piątek. Straciła poczucie czasu.

Nie miało to zresztą znaczenia, obroza niepokoju wokół jej szyi puściła. Napęliła płuca zapachami letniego wieczoru i zaczęła biec.

Reszta wakacji była dobra. Najlepsza z możliwych.

Karina i Mikael wrócili z Dalarna bez Bakcyła, Bergström zamknął swój dom letniskowy i znów otworzył firmę, a Andżelika dowiedziała się, że dostała się do klasy o profilu artystycznym w liceum w Uppsali.

Mężczyzna, który pachniał oregano, uśmiechnął się, kiedy mu o tym opowiedziała, pogłaskał ją po włosach i zasypał wyjątkowo dużą liczbą słów.

– A widzisz! – powiedział. – Będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze...

Teraz jest już wrzesień i nic nie jest dobrze.

Każdego ranka Andželika jedzie autobusem do Uppsali, każdej nocy leży w tym samym pokoju co Mikael i słucha jego oddechu. Liczy dni i wie, że do osiemnastych urodzin zostało ich już tylko pięćset trzydzieści siedem, ale mimo to nic nie jest dobrze.

Coś pękło. Coś się zepsuło. W czasie pojawiły się czarne dziury, a wokół szyi Andželiki znów zaciska się obroża, która uwiera ją coraz mocniej i mocniej, obroża, która wrzyna się głęboko w skórę i utrudnia oddychanie. Ta obroża ma imię. Wyjaśnienie. Przyczynę.

Ośrodek odwykowy zbankrutował. Bakcyl wraca do domu. Za trzydzieści dni będzie stał w przedpokoju Kariny ze wszystkimi swoimi rzeczami, za trzydzieści dni jego głos wypełni całe mieszkanie, za trzydzieści dni położy swoje czerwone ręce na stole w kuchni i zwróci spojrzenie w stronę Andželiki...

Odkąd się o tym dowiedziała, nie przespaa ani jednej nocy. Nie przeczytała ani jednej linijki. Nie dokończyła ani jednej myśli. Nie mogła o tym zapomnieć nawet wtedy, kiedy pochylał się nad nią pachnący mężczyzna. Zauważył to. Trzy wieczory temu zaraz po orgazmie stoczył się z niej i położył na plecach wśród borówek, po czym tak samo jak Andželika utkwiał wzrok w niebie.

– Gdzie jesteś? – zapytał w końcu. – Andželika? Gdzie jesteś?

Nie odpowiedziała, wzięła tylko jego rękę i przesunęła nią po swoich wargach. Ręka pachniała mydłem, fizyczną miłością i gumą do żucia. Bez zapachu przyprawy. Puściła ją i usiadła. Oplotła się ramionami. On nie może mnie obronić, pomyślała. Nawet tego nie chce.

– Jest mi zimno – powiedziała na głos.

Usiadł obok niej i westchnął.

– Tak, idzie jesień...

Potem już nie rozmawiali.

A mimo to kiedy idzie ze swoim wózkiem przez ciemne ulice Hallstavik, otwierając i zamykając kolejne skrzynki na listy, jej myśli krążą wokół niego jak owady wokół światła.

Lampy uliczne igrają z jej cieniem: pozwalają, żeby rósł do rozmiarów olbrzymia, po to by zaraz skurczyć się i zmniejszyć, zamienić w nicość.

Jego ulicę zostawiła na koniec. Teraz idzie już wzdłuż schludnych niskich płotków i zagląda do okien. Ludzie zapalili w swoich domach lampy, ale ponieważ jeszcze przed

chwila było lato, zapomnieli już, że lampy ich odsłaniają, że każdy, kto stanie w ciemnościach na zewnątrz, może zajrzeć do ich pokoi i śledzić każdy ich ruch.

Mieszkańcy tych domów nie mają pojęcia o Andzelice i jej świecie, nie wiedzą nawet, że taki świat istnieje, Andzelika akceptuje fakt, że tak jest, wydaje jej się to czymś oczywistym, nigdy nie przyszło jej do głowy, że mogłoby być inaczej. Z drugiej strony, jest tak samo oczywiste, że ona wie wszystko o nich i o ich życiu. Na tej ulicy każda rzecz wygląda tak, jak powinna, tutaj żyje się tak, jak żyć należy, tu wszystko wygląda dokładnie tak, jak w telewizji. W pierwszym domu rodzina siedzi przy stole w kuchni i je późny posiłek. Zapalili świece, chociaż to tylko zwykły czwartek. Matka uśmiecha się, podając półmisek jednemu z synów, a on odrzuca grzywkę i odpowiada jej uśmiechem. W domu obok inna kobieta rozmawia przez telefon, stojąc w swoim wypieszczonym salonie. Jej mąż przechodzi obok i coś mówi, a ona odwraca się i odprowadza go wzrokiem, kiwając przy tym głową. Po drugiej stronie ulicy mała dziewczynka z kotem w ramionach stoi pośrodku jasno oświetlonej mahoniowej kuchni, powoli schyla głowę i zanurza buzię w czarnym futerku.

A tam, w ostatnim domu na ulicy, tym największym, tym, który stoi zaraz obok małego zagajnika, w tym domu, przed którym stoi srebrny samochód, na kanapie przed telewizorem siedzi nastoletnia dziewczyna. Do słabo oświetlonego salonu wchodzi jej ojciec, jego wargi poruszają się, coś mówi. Córka odchyła głowę do tyłu, uśmiecha się do niego i odpowiada. Może to coś zabawnego: ojciec śmieje się i przelotnie gładzi ją po głowie.

Andzelika wyjmuje z dna wózka ostatni plik ulotek i wciska je do skrzynki, nie spuszczać przy tym oczu z mężczyzny i dziewczyny. Potem podnosi ręce i głaszcze się po głowie.

Tęsknię, myśli. Nie wiedziałam, że tak bardzo tęsknię.

Część IV

TRZYDZIEŚCI DNI TO NIEDŁUGO.

Mrugniesz okiem i – myk – minęło pięć dni.

Pochylisz się, żeby zawiązać sznurowadła, a kiedy znowu podnosisz wzrok, okazuje się, że minęło kolejnych siedem.

Śmiejesz się, bo kolega z klasy żartuje sobie z drugiego, a gdy na powrót poważniejesz, przemknęło dni dwanaście.

Prostujesz plecy. Zawęża ci się pole widzenia. Wyostrzają zmysły.

Kiedy pozostało już tylko dwa dni, Karinę zaczyna coś boleć. Naprawdę boleć. Po raz pierwszy od dawna na jej twarzy widać ból, pod oczami pojawiają się sińce, na górnej wardze zbiera się pot. Andżelika widzi, że nie można zostawić jej samej z Mikaelem. Dlatego przybiera najpoważniejszy dorosły ton głosu i dzwoni do rodziny zastępczej w Herrang, żeby spytać, czy Mikael mógłby przyjść, mimo że wykorzystali już wszystkie dni, za które zapłaciła opieka społeczna. Nie zdąża nawet dokończyć zdania, kiedy przerywa jej radosny głos zastępczej mamy:

– Ależ oczywiście. Kiedy go przywieziesz?

Andżelika odczuwa ulgę, ten entuzjizm odgania cień poczucia winy, który od samego świtu zasnuwał jej czoło. Nie pozbywa się Mikaela. Wręcz przeciwnie. Zabiera go do miejsca, w którym za nim tęsknią.

Mimo to, kiedy odkłada słuchawkę, serce zaczyna bić szybciej z niepokoju, nagle wydaje jej się, że Mikael jest narażony na jakieś niepojęte, ogromne niebezpieczeństwo, musi biec do salonu – pośrodku którego nadal stoją, niby zdeorientowani goście, meble Siri – żeby sprawdzić, czy nic mu się nie stało. Oczywiście wszystko jest w porządku, Mikael siedzi przed telewizorem, oglądając jakąś kreskówkę, beztroski i bezpieczny. Andżelika zanurza nos we włosach brata i wdycha jego zapach, żeby się uspokoić. Mikael pachnie lawendą. Ciepłym od słońca kurzem i lawendą.

– On odbierze cię za parę dni – mówi zgaszonym głosem, prawie szeptem.

Mikael zwraca ku niej swoją okrągłą buzię i mruży oczy.

– Kto?

– Bakcyl. Twój tata.

Mikael kiwa głową, ale nic więcej nie mówi.

Po spakowaniu walizek Andzelika otwiera drzwi do sypialni. W środku panuje zmrok, zasłonięte żaluzje nie przepuszczają jesiennego słońca. Pod kołdrą w kwiatki śpi Karina, ma potargane włosy i mokre od potu czoło, prawe ramię zwisa luźno przerzucone przez skraj łóżka. Zapomniała zakręcić dwa spośród swoich słoiczków z pigułkami, ale poza tym wszystko jest tak, jak być powinno. Szklanka z wodą i lekarstwa stoją na taborecie obok łóżka, telefon – w zasięgu ręki. Andzelika odsuwa stopą stosik tygodników, a potem stoi, wpatrując się w rękę Kariny: białe palce są lekko wygięte, nadgarstki dotykają niemal podłogi.

Andzelika czuje w brzuchu niepokój, zamykając drzwi, kładzie rękę na przeponie. W ciemnym przedpokoju ogląda się, jest już gotowa. Gotowa wyruszyć.

W tej samej chwili Alicja poddaje się. Krzywiąc usta, wpatruje się w tekst na ekranie komputera. Beznadzieja. Kompletna beznadzieja.

Wstaje, szorując krzesłem po podłodze. Musi napić się kawy. Albo herbaty. W ogóle czegoś się napić. Nie ma sensu dalej tu siedzieć, usiłując wycisnąć z siebie jeszcze jakieś słowa. Nie wychodzi. Choćby nie wiem jak się starała.

Od trzech dni siedzi w domu Augusty, próbując uporządkować myśli. Oficjalna wersja jest taka, że ma przygotować projekt, opisać w szczegółach, jak mogłaby wyglądać wystawa pod roboczym tytułem „Dziedzictwo fabryk”. Nieoficjalnie chodzi o coś innego. O rodzaj procesu. O to, żeby najwyższa instancja jej własnego „ja” raz na zawsze wydała wyrok, definitywną i niepodważalną odpowiedź na pytanie, co w życiu Alicji jest prawdą, a co kłamstwem. Nie udało się. Jest zbyt tchórzliwa, ucieka przed własnymi myślami.

Teraz położyła się na twardej kanapie Augusty – jeszcze z lat dwudziestych – i patrzy w sufit. Wzdycha. W czwartek ma zaprezentować opis projektu, a nie przygotowała jeszcze nawet połowy. Żeby zdążyć na czas, będzie musiała siedzieć nad nim przez jedną lub dwie noce. Lars będzie zły, a ona sama będzie czuła się winna, co uczyni ją jeszcze bardziej rozproszoną i zdekoncentrowaną.

Tak jest już od czterech miesięcy. Odkąd przyszła do niej ta pocztówka. Całe gorące lato zamieniło się w chaos nieuporządkowanych uczuć, niesprecyzowanych do końca myśli i nieprzemyślanych działań. Raz po raz łapała się na tym, że robi przedziwne rzeczy. Któregoś dnia zorientowała się, że stoi zeszywniała z zimna przed salą bilardową na ulicy Kammakargatan i że w dodatku stoi tam już długo, tak bardzo długo, że mężczyźni z ciemnego lokalu w piwnicy zaczęli robić wycieczki do drzwi wyjściowych, żeby na nią popatrzeć. Innym razem poszła na zebranie ubrana w jak najbardziej odpowiedni na tę okazję kostium lniany, ale w białym sandałku na jednej nodze i czarnym espadrylu na drugiej. Kiedy indziej zapomniała pojechać po Larsa na lotnisko i siedziała w biurze do późnego wieczora. Kiedy wróciła do mieszkania, jego rozdziawiona walizka leżała na podłodze w przedpokoju i wyglądała tak, jakby miała ją ugryźć. Lars był blady ze złości i mówił do niej cichym staccato. Chciałby jej przypomnieć, że wynaleziono kalendarz.

Dawno temu. Poza tym nieco zaskoczył go stan, w jakim znajduje się ich dom. Porozrzucane ubrania. Nieposłane łóżko. Sterty niepozmywanych naczyń. Czy kiedy nie ma go w zasięgu wzroku, Alicja zawsze zamienia się w studentkę?

Alicja nie oponowała, skwitowała te słowa tylko słabym, niewyraźnym uśmiechem, ładując pośpiesznie do zmywarki szklanki i talerze, żeby Lars nie mógł im się zbyt uważnie przyjrzeć. Nie żeby miał zwyczaj kierować swoje spojrzenie naukowca na lepiące się talerze i brudne szklanki, ale istniało takie ryzyko, a ona nie chciała, żeby miał powód, by unieść brwi o jeden dodatkowy milimetr. Pięć kieliszków do wina? Czy podczas jego nieobecności piła wino co wieczór? Czy nie powinna być odrobinę ostrożniejsza? Tego dnia nie była w stanie spojrzeć w oczy swojemu odbiciu w łazienkowym lustrze, umyła zęby przy zgaszonym świetle. Później poszła na palcach do przedpokoju, otworzyła torbę i zasuwając na zamek kieszonkę, po czym dotknęła czubkami palców pocztówki, żeby upewnić się, że ciągle jest na miejscu, że Lars jej nie znalazł.

Już dawno temu zrozumiała, że zachowuje się irracjonalnie, że Lars pewnie w ogóle nie zwróciłby uwagi, gdyby tamtego wiosennego dnia zareagowała spokojnie i położyła pocztówkę na stoliku w przedpokoju razem z resztą poczty. Być może uniośłby brwi na widok obrazka: półnaga dziewczyna czesząca włosy. Skomercjalizowany impresjonizm. Alicja mogłaby przyłączyć się do jego pogardy, wytykając widoczny na pocztówce błąd: na odwrocie napisano, że zdjęcie to reprodukcja Renoira, kiedy to przecież Degas, w dodatku jego dosyć znany obraz. Po takim zdystansowaniu się spokojnie mogłaby pozwolić Larsowi, żeby przeczytał te kilka linijek po drugiej stronie kartki. Zostały sformułowane ze staranną obojętnością, tylko kilka szybko skreślonych słów od starego kolegi ze szkoły. Ów kolega natrafił niechcący na jej imię w katalogu z wystawy, a ponieważ sam obecnie pracuje nad pewnym projektem historycznym, ma nadzieję, że mogłaby mu udzielić kilku informacji. Czy byłaby tak miła i zechciała zadzwonić?

Chowając tę pocztówkę, sama zamieniła ją w rzecz obarczającą poczuciem winy. Teraz pocztówka leży w jej torebce niczym milczący dowód na to, jak bardzo oddalili się od siebie w małżeństwie. Może Alicja właśnie chciała, żeby tak było? Bo czy rzeczywiście wolałaby, żeby Lars ją zobaczył? Czy pragnęłaby rozmawiać z nim na swój temat, zachowując przy tym obojętną minę? Czy nie było raczej tak, że pocztówka dała jej to, czego najbardziej potrzebowała: przypomnienie, że w jej życiu istnieje taki pokój, do którego Lars nigdy nie będzie miał wstępu. Własny pokój.

Ze przyjemnie jest mieć tajemnicę, wiedziała od dawna, ale nigdy wcześniej nie rozumiała, w jak dużym stopniu w tej przyjemności chodzi o władzę. Teraz to pojęła. Może i wyglądało na to, że tego lata jeszcze pokorniej znosi sarkastyczne uwagi Larsa, ale to tylko pozory. Na swój sposób rewanzowała mu się, mściła się, uciekając spojrzeniem od jego wzroku, robiąc krok w tył, kiedy wyciągał do niej ramiona, i zanurzając się we własnych myślach, gdy do niej mówił. Obydwoje wiedzieli, że coś się dzieje pod powierzchnią, ale tylko Alicja była świadoma co. Lars musiał sam sobie radzić ze swoimi

wątpliwościami, z niejasnym poczuciem, że w równowadze sił pomiędzy nimi dokonują się poważne przesunięcia.

Konstatuję tylko, że, myślała czasem Alicja i uśmiechała się do siebie. Konstatuję tylko, że jesteś zdziwiony, zbity z tropu i zły, a ja mam totalnie gdzieś to, co...

To nie była jednak cała prawda. Zdarzały się takie chwile, kiedy skóra aż paliła Alicję od powstrzymywanej czułości, kiedy tak tęskniła, żeby położyć ręce na głowie Larsa i całować jego powieki. To przecież nie on zbudował dzielący ich mur. To ona; to ona była tak wypalona i pusta, że nie potrafiła wpuścić do swojego życia nikogo, nawet człowieka, z którym żyła przez ponad ćwierć wieku. W takich chwilach uginały się pod nią kolana ze wstydu i próbowała przeproszać pieszczotą albo miłym gestem. Z biegiem czasu Lars coraz częściej odpowiadał Alicji tym samym, unikał jej dotknięć i odwracał wzrok. Później na całe godziny zapadała cisza.

Tego lata wydarzyło się wszystko, myśli Alicja, leżąc na kanapie Augusty. Wszystko. Chociaż nie wydarzyło się nic.

Przecież tak jest. Nic się nie wydarzyło. Właściwie nic.

Dziewięć cyfr numeru telefonicznego zapamiętała w tej chwili, w której na nie spojrzała. Po raz pierwszy wybrała je tydzień po pogrzebie Siri. Sygnał za sygnałem – nikt nie odbierał. Kiedy usłyszała ciche kliknięcie, zwiastujące włączenie się automatycznej sekretarki, gwałtownie odłożyła słuchawkę. Nie chciała pozostawiać po sobie śladów, nawet oddechu. Później próbowała wymazać ten numer z pamięci, zaciskała powieki, gdy tylko w jej świadomości pojawiała się dziewięć cyfr, i z rozpaczliwym uporem zaczynała myśleć o czymś innym. O pracy. O synu. O proszonym obiedzie, który wydają z Larsem w sobotę. Kiedy znów otwierała oczy, cyfry nadal były na swoim miejscu: jakby je wyryto w jej korze mózgowej.

Kiedy w końcu zadzwoniła po raz drugi i ktoś podniósł słuchawkę, zaskoczyło ją, że jest w stanie zachować chłód i dystans: głos jej nawet nie zadrżał, trzęsła się tylko ręka spoczywająca na czerwonej podkładce na biurku.

– Dzień dobry – powiedziała oficjalnie uprzejmym tonem, jakim zwykła zwracać się do osób spotykanych służbowo. – Nazywam się Alicja Bernhardsson. Pan wysłał do mnie pocztówkę.

Najpierw nie odpowiedział, przez dwadzieścia sekund rozbrzmiewała pomiędzy nimi cisza. Nie spodziewał się takiego tonu, pomyślała Alicja. Liczył na łzy.

– Alicja? – odezwał się po chwili. – Tak.

Odchrząknął.

– Mam nadzieję, że nie pomyliłem osoby. Czy pani pochodzi z Jönköping? Czy chodziła pani do liceum w latach pięćdziesiątych?

– Tak.

– I nazywała się pani Johansson? Alicja Johansson?

– Tak.

– Mam na imię Krystian.

– Uhm.

– Krystian Dahlberg.

– Tak.

– Pamiętasz mnie?

– Tak.

Znowu zapadła cisza. Alicja zacisnęła dłoń i zmusiła się do spokojnego równego oddechu.

– Chciałbym się z tobą zobaczyć – powiedział Krystian. – Jest wiele rzeczy, o które pragnąłbym cię spytać...

Alicja otworzyła dłoń i zaczęła się jej przyglądać. Moje ręce nie starzeją się, pomyślała. Ręce Augusty starzały się w tym samym tempie, co jej ciało, ale ja mam ciągle ręce dziewczyny. Gdzieś z oddali doszedł ją jej własny głos. Rzeczowy. Uprzejmy. Pogodny.

– Oczywiście – mówił ten głos. – Jaki termin ci odpowiada?

Od tamtej pory trzykrotnie ustalali, kiedy się spotkają. Trzykrotnie też do spotkania nie doszło z powodu różnych przeszkód.

Za pierwszym razem z winy Alicji. Po prostu wycofała się. Ze strachu. Planowała, że będzie inaczej. Zupełnie inaczej. Miała dużo czasu, żeby się przygotować: Krystian nie mógł przyjechać do Sztokholmu wcześniej niż trzy tygodnie po ich pierwszej rozmowie. W tym czasie zdążyła dwukrotnie kupić komplet nowych ubrań, po to, by je zaraz wyrzucić, sprawiła sobie szminkę w delikatnym łososiowym odcieniu i przez wiele godzin poszukiwała informacji o Krystianie w Internecie. Nie było ich wiele, zaledwie kilka trafień, które przedstawiały dość enigmatyczny obraz nowego konsultanta informatycznego w Jönköping. Uniosła brwi. Konsultant informatyczny? To mogło przecież oznaczać niemal wszystko, od zamożnego nudziarza, poprzez urzędnika komunalnego, który padł ofiarą cięć kadrowych, na pracownika reklamy, co zszedł na psy, skończywszy. Mogła sobie wyobrazić Krystiana w każdej z tych ról.

To ona zaproponowała, żeby się spotkali przy punkcie informacyjnym w galerii handlowej w centrum miasta. Dopiero później uświadomiła sobie, że celowo wybrała

właśnie to miejsce, było ono bowiem jedynym w Sztokholmie, w którym mogła go zobaczyć, sama pozostając niezauważona, jedynym też, w którym znajdowało się kilka wyjść.

Przyjechała za wcześnie, wjechała schodami ruchomymi do kawiarni na górnym piętrze i usiadła przy stoliku z filiżanką cappuccino – miała stąd widok na niemal całe dolne piętro.

Kłamię, pomyślała, wydmuchując małą dolinkę w białych Alpach mlecznej pianki, w tej chwili okłamuję zarówno Larsa, jak i Krystiana. Istnieje tylko jeden człowiek, któremu jestem wierna...

W tej samej chwili zobaczyła go. Stał przy punkcie informacyjnym i rozglądał się: duży mężczyzna z dużymi rękami, w beżowych spodniach i marynarce z grubego płótna. I on, i jego ubranie miały ten sam koloryt – odcień piachu i kamieni, zarys szczęki był zarazem miękki i geometryczny, a włosy – czy raczej to, co z nich zostało – były matowe i zmierzwione. Jedyne, co w nim błyszczało, to oczy i zęby; nawet z daleka mogła dostrzec, że przez to błyszczały jeszcze bardziej. Wyglądał jak kupka żwiru. Dobrze zachowana kupka żwiru z kilkoma małymi kryształkami górskimi, które iskrzyły się w tym wszystkim, co bezbarwne i zakurzone.

Alicja dopiła kawę i wstała. Z opuszczoną głową ruszyła szybko w kierunku wyjścia prowadzącego na plac Brunkebergstorg.

Nazajutrz zadzwoniła z przeprosinami: przedłużyło się jej spotkanie ze zleceniodawcą. Taka szkoda. Krystian zapewnił ją, że nic się nie stało, i zaproponował to samo miejsce i tę samą godzinę za kolejne trzy tygodnie. Tym razem to Alicji przyszło stać i czekać przy punkcie informacyjnym. Krystian zadzwonił dzień później, żeby powiedzieć, jak mu przykro: nie wziął pod uwagę wielkomiejskiego ruchu na drogach i utknął w korku. Ustalili, że po raz kolejny spróbują się spotkać na początku września. Tym razem Alicji naprawdę coś wypadło: zebranie na temat „Dziedzictwa fabryk” w Muzeum Historycznym. Ważne. Nie dało się przełożyć. Głos Krystiana brzmiał sucho, kiedy wyjaśniał, że nie da rady przyjechać do Sztokholmu wcześniej niż w połowie października. Alicja otworzyła kalendarz i zanotowała datę.

– Do zobaczenia – powiedziała i odłożyła słuchawkę.

Pytanie brzmi, czy teraz już naprawdę się zobaczą, czy naprawdę Alicja pójdzie jutro do galerii i czy o dwunastej będzie stała przy punkcie informacyjnym – bez chowania się i uciekania – spokojna, szczerą i otwartą.

Nie ma pojęcia. Nie jest w stanie się zdecydować. Właściwie to wie tylko tyle, że nie podejmie decyzji wcześniej niż jutro o wpół do dwunastej. Do tego czasu będzie

niepewna i rozkojarzona jak w ciągu ostatnich dni. Wszystkie próby racjonalnego podjęcia rzeczowej decyzji będą uniemożliwiane przez stop-klatki wspomnień, wszystkie logiczne ciągi myślowe zostaną przerwane przez sekundy zapalczywej nienawiści, wszystkie usiłowania przywołania wypracowanej wcześniej obojętności ulegną unicestwieniu w tych płomiennych chwilach, kiedy przypomina sobie jego usta na swojej szyi.

Cholera! Alicja uderza pięścią w ścianę domu Augusty i siada. Nie może sobie teraz pozwolić na zagłębianie się w przeszłość. Istnieje inna przeszłość, o której powinna myśleć: ta będąca tematem wystawy, którą przygotowuje, wystawy, którą po prostu musi zrobić, żeby nie wpaść w kłopoty finansowe i nie być zmuszoną do zebrania w swoim własnym domu. „Proszę pana profesora, niech profesor da profesorowej banknocik! Profesorowa jest stara i zmarnowana, jej życie zawodowe się skończyło!”

Gdyby tylko mogła zrozumieć, dlaczego tak trudno jej obmyślić, jak ma wyglądać właśnie ta wystawa, dlaczego tak niesłychanie trudno zamknąć oczy i zobaczyć ją, tak jak zawsze widzi swoje wystawy. Nie chodzi przecież o to, że brak jej wiedzy – na temat uprzemysłowienia wie więcej niż na temat średniowiecza, wystawa powinna być więc jeszcze lepsza niż tamta o klasztornym życiu w Szwecji, którą zrobiła w zeszłym roku. Tamta bardzo się udała, okazała się naprawdę wielkim sukcesem. Później Alicja źle się z tym czuła, była trochę zawstydzona. Uważała, że włożyła w wystawę zbyt mało wysiłku i nie zasłużyła na takie uznanie. Z „Dziedzictwem fabryk” powinno być jeszcze łatwiej. Tylko że nie jest. Czuje do tego jakąś niechęć. Albo strach.

Alicja znów opada na kanapę i zamyka oczy. Czego się tak naprawdę boi? Niepowodzenia? Zawsze istnieje jakiś powód, żeby się go obawiać, a przecież zazwyczaj jej to nie przeszkadza. Musi chodzić o coś innego...

Odpowiedź dociera do niej dopiero, kiedy już prawie zasypia. Alicja boi się fabryk. Zakładów. Smoka, który śpi na brzegu zatoki Edeboviken, tego samego, który kiedyś zabił wszystkie bajki.

Przez długi czas fabryka była jedynie cieniem. Zarysem. Zamglonym górskim krajobrazem wśród zieleni Roslagen; zamknięta dla nieuprawnionych, niedostępna dla osób z zewnątrz, tajemnica, której pilnowali mężczyźni z Hallstavik.

Kiedy była młoda, myślała, że przypominają kawki; niebieskie kawki w niebieskich kombinezonach roboczych, które wyłaniają się ze swoich gniazd. Kiedy zbliża się czas nowej zmiany, zbijają się w stado, milczące stado rowerzystów, i pędzą jedną wielką falą przez miasteczko. Przed wysokim ogrodzeniem fabryki ustawiają swoje rowery na podpórkach, zdejmują z głowy czapki z daszkiem i ocierają czoła, a potem wyjmują z bagażników pudełka z drugim śniadaniem i idą w kierunku bramy.

W tamtych czasach na teren fabryki mogły wchodzić tylko nieliczne kobiety. Takie jak Siri lub Marianna. Sprzątaczk. Nakładaczki nakrętek. Pakowaczki. Przejeżdżając obok, Alicja pedałowala szybciej niż zwykle, jakby się bała, że jakiś troll z baśni Augusty wyłoni się z mroków fabryki i wyciągnie po nią rękę. Wejdz do mojej komnaty, mała laleczko. Wejdz i popatrz na moje złoto! Spójrz, jak błyszczysz, chociaż jest ciemno!

Na teren fabryki weszła dopiero w latach siedemdziesiątych. To Kåre ją tam zaprowadził. Od kilku tygodni była sama z Peterem w domu Augusty; wynieśli się z mieszkania w mieście, żeby Lars mógł w spokoju dokończyć swoją pracę doktorską. Nie miała samochodu, a autobusy rzadko chodziły, więc Marianna kupowała jej mleko i jedzenie, a Kåre przywoził to wszystko pod wieczór.

Pierwszego wieczoru byli onieśmieleni, tak jakby nie mieli odwagi przekomarzać się wtedy, kiedy są ze sobą sami. Kåre pokręcił głową, kiedy Alicja zaprosiła go do środka, zatrzymał się na werandzie i wyciągnął do niej siatkę z zakupami. Może i dobrze, że nie chciał wejść: kiedy Alicja zobaczyła, jak wysiada ze swojego volvo amazon, wokół szyi zacisnął jej się pierścień podniecenia; nie do końca rozumiała, co to znaczy, wiedziała tylko, że zupełnie nieoczekiwanie przypomniał jej się tamten dzień w latach pięćdziesiątych, kiedy pływała w zatoce Strömsviken i nagle poczuła palec wsuwający się w majtki... Być może Kåre też myślał o tamtej chwili, może to dlatego nie patrzył jej teraz w oczy.

Jednak kilka wieczorów później usiadł na werandzie i siedział tam przez kilka godzin. Z początku rozmowa nie kleiła się, Kåre siedział przez długie chwile w milczeniu, patrząc na brzozy w zagajniku po drugiej stronie drogi. Ożywił się dopiero, kiedy Alicja wspomniała, że nigdy nie była w fabryce. Może to załatwić! Choćby nawet jutro rano. Przecież jest teraz członkiem zarządu związku i ma coś niecoś do powiedzenia.

Jego zapal sprawił, że zaczęła się wahać, aż tak bardzo jej się przecież nie śpieszyło. Ale kiedy kilka dni później przyjechał po nią, czekała na niego na ganku w świeżo wyprasowanej bawełnianej sukience. Ciągle był pełen zapachu. Peter może zostać z Marianną, powiedział. A później zjedzą sałatkę kartoflaną i żeberka z grilla u nich na tarasie.

Później starała się zrozumieć, co takiego stało się podczas zwiedzania fabryki. Co sprawiło, że zapal w jego oczach zgasł, że zastąpił go jakiś ostry błysk. Było oczywiste, że Alicja go obraziła, ale nie była w stanie dojść, w jaki sposób. Może to ten jej gest, kiedy otworzył drzwi do zdrapywalni kory, a ona wzruszyła ramionami? Wyraz jej twarzy, kiedy usłyszała hałas w hali maszyn? Jej wahanie, kiedy postawiła nogę na rozklekotanych metalowych schodach? Czy może chodziło po prostu o to, że milczała, że było tak jednoznaczne, iż powstrzymuje się od pytań? Ale przecież nie mogła ich zadać: były zbyt naiwne, zbyt głupie. Dlaczego tu jest tak brzydko? To nad tym się zastanawiała. Dlaczego

musi być tak ciemno? Dlaczego panuje taki hałas? I dlaczego oni na mnie nie patrzą, ci ludzie przy maszynach? Dlaczego, kiedy ich pozdrawiam i kiwam im głową, odwracają się i spoglądają w inną stronę?

– Kuzynka Marianny – wyjaśnił Kåre kilku kobietom, które pochylały się nad taśmą w pakowalni. – Ze Sztokholmu. Chciała przyjść i zobaczyć, jak tu u nas wygląda.

Jedna z kobiet wyprostowała się i uśmiechnęła do niej, poprawiając przy tym bluzkę, która przesunęła się na dekolcie.

– Jezu Chryste – powiedziała – tak, tak. Jesteśmy strasznie biedni...

– Uhm – potwierdziła inna, rozcierając kręgosłup – dobrze, że nie jesteśmy prawdziwymi ludźmi. Eleganckimi paniusiami na przykład. Wtedy nigdy byśmy tego nie wytrzymały.

W Herräng panuje niedzielny spokój, jest tak, jakby nawet wiatr i ptaki nie chciały przerywać ciszy. Śmiech Mikaela rozbrzmiewa niczym samotny srebrny flet, kiedy on i Andżelika idą pomiędzy dębami.

Zastępcza mama czeka przy furtce, z tyłu, za nią, w popołudniowym słońcu czerwienieje stary ogród. Należy do tych kobiet, których uroda jest jak tajemnica, którym trzeba przyglądać się dobrą chwilę, żeby dostrzec przejrzystość szarych oczu i zauważyć, że popielatoblond włosy błyszczą, że policzki mają kolor miodu i są miękkie jak brzoskwinie. Andżelika nigdy wcześniej tego nie zauważyła, ale teraz to widzi.

Zastępcza mama wyciąga ramiona do Mikaela.

– Widzisz? – mówi, podnosząc go do góry i przyciskając na króciutką chwilę policzek do jego policzka. – Widzisz, jak dużo jabłek? Musieliśmy ustawić podpórki pod gałęzie...

– Wow! – zachwyca się Mikael. – Mogę nazbierać?

– Oczywiście – pozwala zastępcza mama, stawiając go na ziemi. – Ile tylko chcesz...

Andżelika zatrzymuje się przy furtce i podaje kobiecie torbę Mikaela, a ta omiata dziewczynę wzrokiem. Jej oczy są bardziej przyjazne niż zwykle. Nie ma w nich pogardy.

– Chcesz wziąć trochę jabłek?

Andżelika jest tak przyzwyczajona do grzecznego nieprzyjmowania wszelkich prezentów, że przez chwilę się waha. Od teraz sama musi płacić za swoje jedzenie. Dobrze byłoby dostać za darmo jabłek. Dlatego dyga.

– Tak, chętnie.

Zastępcza mama uśmiecha się.

– Dobrze. Mamy więcej, niż nam potrzeba. Poczekaj, to przyniosę siatkę.

Duża siatka jest pełna.

Andżelika nie wie w pierwszej chwili, jak ma ją nieść. Okazuje się za ciężka, żeby trzymać ją w ręku. Nie da się jej też wziąć na ramię – jest zbyt nieporęczna. Dopiero po przejściu kawałka drogi Andżelika wpada na to, żeby przez uchwyty siatki przesunąć patyk i położyć go sobie na ramieniu. Uśmiecha się do swojego cienia: wygląda jak rycina ze starej książki z bajkami. Włóczykij. Albo mały chłopiec, który wyrusza na wędrowkę.

Świat wydaje się nagle odmieniony. Słońce, bezchmurne niebo, powietrze, którym tak lekko oddychać. Droga jest świeżo wyasfaltowana, Andżelika nie zauważyła tego, kiedy jechali z Mikaelem autobusem. Podoba jej się to, zawsze lubiła głęboką czerń i gładką powierzchnię świeżo wyasfaltowanych dróg. Takie drogi są pełne obietnic. Tak samo jak drzewa wzdłuż pobocza. Klony zaczęły się już czerwienić, żółte liście brzoź błyszczą niczym złote monety, osiki drżą, kiedy je mija, i szepczą jej za plecami o bezpiecznych ciemnościach, które niedługo zapadną.

Jesień to czas Andżeliki. Niedługo będzie mogła się w niej ukryć.

Rozwiązanie przyszło dziś rano. O świcie.

Leżała już prawie całkiem rozbudzona na swoim materacu i po raz tysięczny zastanawiała się nad różnymi wyjściami.

Własne mieszkanie?

Niemożliwe. Nie stać ją na nie. Nawet gdyby znalazła jeszcze jedną pracę. Poza tym nie mogłaby podpisać umowy najmu. Jest za młoda. A Karina na pewno by się nie zgodziła.

Kristoffer?

Nie. Kiedy się spotykają, ucieka spojrzeniem, nie chce nawet na nią patrzeć. A ona tak naprawdę też nie chce, żeby to robił.

Jakiś inny chłopak?

Wtedy już zostałyby raz na zawsze uznana za dziwkę. W każdym razie gdyby się do niego przeprowadziła. A cóż innego miałyby sens?

Mężczyzna pachnący oregano?

Podróż służbowa. Czy coś innego. Nie pojawił się od piętnastu dni. A poza tym jak mógłby jej pomóc, żeby przy okazji nie dowiedziało się o tym całe Hallstavig?

Kåre i Marianna?

A jakże. Na pewno nie mogą się doczekać, kiedy ich o to poprosi.

Pomoc społeczna?

Nigdy! Znaczyłoby to, że skazuje się na takie samo życie jak Karina...

Dom Augusty?

Otworzyła oczy i zamruła. Dom Augusty?

To także nasz dom, pomyślała. Mój. I Mikaela.

Zatem idzie teraz lekkim krokiem świeżo wyasfaltowaną drogą z plecakiem na jednym ramieniu i siatką z jabłkami na drugim. Z Herräng do domu Augusty jest prawie dziesięć kilometrów, ale nie chciała jechać autobusem. Ktoś z pasażerów na pewno by ją poznał, ktoś, kto zwróciłby uwagę na to, że nie jedzie aż do Hallstavik, ktoś, kto by zauważył, że wysiada na przystanku w połowie drogi. Ten ktoś z całą pewnością powiedziałby o tym komuś innemu, a po paru dniach całe Hallstavik wiedziałoby już, że Andżelika znowu wyprowadziła się do Nordanäng. Kristoffer i jego rodzice zapewniliby, że u nich nie mieszka, a gdyby ta informacja dotarła do Marianny, ta zadzwoniłaby do Kariny. A później Karina i Bakcyl wyciągnęliby z tego własne wnioski i wybrali się do domu Augusty...

To nie może się zdarzyć.

Dlatego Andżelika musi prowadzić skomplikowaną podwójną grę: ludzi w Hallstavik trzeba utrzymywać w przekonaniu, że wciąż mieszka u Kariny, a Karinie i Bakcyłowi wmawiać, że przeprowadziła się z powrotem do Kristoffera. To niezbędny środek ostrożności – nigdy nie odważą się wybrać do niego i jego rodziców. Nie będą mieli nawet odwagi zadzwonić: za ich pewnością siebie kryje się cholerny strach przed ludźmi, którzy mają domy i pieniądze. Bardzo dobrze. Dzięki temu będzie bezpieczna.

Andżelika zamierza zniknąć, nie znikając. Niepostrzeżenie. Ubierze się w codzienność jak w czapkę niewidkę; wszystko, co z nią związane, będzie tak nudne i zwykłe, że nikt nie znajdzie powodu, by zatrzymać na niej dłużej myśl albo zadawać jej jakieś pytania. Co rano będzie pojawiać się na przystanku i jechać autobusem do szkoły w Uppsali, tak jak zwykle, popołudniami zaś krążyć na rowerze po Hallstavik ze swoimi reklamami, zajmując to samo co zawsze miejsce na skraju ludzkiego pola widzenia. Generalnie rzecz biorąc, stanie się zupełnie niewidoczna i dzięki temu całkowicie bezpieczna.

Bzy przed domem Augusty rozrosły się latem i zgęstniały, więc w pierwszej chwili Andżelika nie widzi samochodu, który stoi zaparkowany na ogrodowej ścieżce. Kiedy w końcu go zauważa, zatrzymuje się i trwa nieporuszona: a więc dom nie jest pusty. Ktoś w nim jest. Ktoś inny.

Jest tak zawiedziona, że uginają się pod nią kolana, plecak i siatka z jabłkami zsuwają się na ziemię, musi się oprzeć o furtkę, żeby nie upaść. W następnej chwili uświadamia sobie, że poznaje samochód. Że sama kiedyś nim jechała. To samochód Alicji.

Czyli musi tu być Alicja.

A więc dom jest otwarty.

Czyli Andżelika może po prostu zapukać do drzwi i wejść. Jakby nigdy nic.

I wystarczy, że wykaże się tylko odrobiną sprytu, kiedy już będzie w środku, uchyli okno lub coś w tym rodzaju...

Zatem nie będzie musiała stłuc kuchennego okna.

Czyli maleje ryzyko, że wszystko się wyda i zostanie odkryta.

I po wyjściu Alicji będzie wprost niewyobrażalnie bezpieczna.

W brzuchu Andżeliki podryguje maleńka złota rybka zadowolenia. Pochyla się, wciska plecak i siatkę z jabłkami pomiędzy krzaki bzu, ukrywa je starannie, a potem prostuje się i poprawia kurtkę.

Jej pukanie to raczej lękliwe, ciche drapanie w drzwi; Andżelika na chwilę zamiera w oczekiwaniu, zanim dociera do niej, że musi zastukać mocniej i bardziej zdecydowanie. Właśnie podnosi rękę, kiedy z domu dochodzi ją odgłos czyichś kroków, więc szybko cofa się, żeby nie stać na drodze, kiedy otworzą się drzwi.

– To ty? – pyta Alicja.

Wygląda na zasną, odgarnia z oczu grzywkę i mruży oczy od światła. Jednak jest ubrana, ma nawet na sobie buty.

– Zobaczyłam samochód – mówi Andżelika, słysząc własny zachrypnięty, łamiący się głos. Odchrząkuje i próbuje jeszcze raz: – Przechodziłam obok i zobaczyłam samochód... Twój samochód. Pomyślałam, że wejdę się przywitać.

Alicja otwiera szeroko drzwi. Uśmiecha się.

– A więc wybrałaś się na długi spacer? Bardzo mądrze zrobiłaś. Dzień jest taki piękny...

Długi spacer? Piękny dzień?

Słowa są zarazem kuszące i idiotyczne. Andżelika myśli o nich, siedząc przy dużym stole w pokoju i czekając, aż Alicja postawi przed nią kawę. Czy rzeczywiście istnieje świat, który nakreśliła właśnie przed chwilą swoimi słowami? świat, w którym młode dziewczęta wyglądają w niedzielę przez okno, widzą, że dzień jest piękny, i wybierają się na długi spacer, świat, w którym człowiek idzie szmat drogi jedynie dla przyjemności, bo nie musi uciekać? Może i istnieje. W takim świecie mieszka przecież Rebeka. Alicja też kiedyś w nim mieszkała. Może nadal w nim mieszka: w pokoju pełno jest potwierdzających to znaków. Na sekretarzyku stoi laptop. Obok niego leży kupka książek. W szklanej misce lśni kilka złotych ozdób. Z oparcia bujanego fotela zwiesza się szlafrok z grubego frotte. Żółty. Luksusowy. A Alicja biega między kuchnią i pokojem, mając na nogach buty. Rebeka też chodziła po domu w butach, zawsze mówiła, że chodzenie w samych skarpetkach to prostactwo. Alicja nie jest zatem prostaczką. W przeciwieństwie do Andżeliki, która siedzi na podłodze w swoich białych skarpetkach.

Alicja ma na sobie jasne spodnie i koszulę z najmniejszego zamszu, która dosłownie krzyczy: kasa! Wyglądałoby to świetnie, gdyby Alicja nie była taka stara. Ale jest. Właściwie to wygląda jeszcze starzej niż wiosną. Poszarzała. Może to dlatego, że jest nieumalowana. Chociaż chodzi chyba o coś jeszcze, jakiś wyraz zawodu na jej twarzy, kiedy przygląda się zastawionemu stołowi. Nie żeby specjalnie było się czemu przyglądać: dwie filiżanki i talerzyk z herbatnikami.

Z początku piją kawę w zupełnym milczeniu. Andżelika jest spięta, nagle ogarnia ją strach, że Alicja napomknie coś o tym, co stało się w domu Marianny w dzień pogrzebu. Nie wie, jak mogłaby jej wytłumaczyć, że na temat tamtego dnia nie ma nic do powiedzenia, że już prawie go nie pamięta, że nie jest w stanie ani wytłumaczyć, ani opisać tego, co się stało, kiedy rzuciła czarne ubrania na podłogę w domu Marianny i uciekła. Jednak niepotrzebnie się niepokoi. Alicja nadgryza herbatnik i myśli o czymś innym, wygląda niemal na to, że zapomniała o istnieniu Andżeliki.

– Więc szłaś na piechotę całą drogę z Hallstavik – odzywa się w końcu, podnosząc filiżankę. – Masz kondycję.

Andżelika ucieka wzrokiem i nie odpowiada, zamiast tego zanurza herbatnik w filiżance i chwilę za długo trzyma go w kawie. Kiedy go wyciąga, ciastko rozpada się jej w rękę, więc musi się szybko pochylić, żeby włożyć je do ust. Kontrast smaku pomiędzy słodkim herbatnikiem i gorzką kawą zaskakuje ją. Dobrze. Herbatnik smakuje niemal jak jedzenie dla dzieci. Alicja zdaje się nie zauważać, że Andżelika porozlewała kawę, nie zauważa nawet, że nie odpowiada, kiedy ona ją zagaduje, wypija tylko łyk napoju i zagłębia się w sobie. Wspomina.

– Nigdy nie doszłam na piechotę aż do Hallstavik. Ale jeździłam tam rowerem. Przynajmniej na początku...

Andżelika spogląda na nią.

– Kiedy?

– Kiedy byłam młoda. Kiedy mieszkałam tutaj. U Augusty...

Andżelika jest tak zdziwiona, że zapomina zachować dystans.

– Mieszkałaś tu, kiedy byłaś młoda? Dlaczego?

Alicja przesuwa ręką po twarzy, wzdycha.

– Och, to długa historia...

Znowu zapada cisza, obie wyglądają przez okno. Kolory w ogrodzie przygasły, słońce musiało schować się za chmurami. Andżelika odwraca wzrok i zaczyna przyglądać się pokojowi, przesuwa oczami po ścianach i suficie. Wszystko jest tu takie jak zawsze. Wszystko – brązowe. Brązowe meble. Brązowe linoleum. Jasnobrązowe tapety. Tylko zasłony i obrus są białe. Nagle uświadamia sobie, że w tym roku Alicja nie zorganizowała przyjęcia: minęło już lato, a rodzinnego spotkania w ogrodzie Augusty nie było. Na myśl o tym Andżelika zaczyna odczuwać trudne do wytłumaczenia poczucie winy, tak jakby rodzinne spotkanie nie odbyło się z jej powodu, odsuwa jednak tę myśl i zaczyna przeszukiwać wszystkie zakamarki mózgu w poszukiwaniu jakiegoś neutralnego tematu do rozmowy.

– Czy Augusta była mamą twojej mamy? – pyta w końcu.

– Nie. Mamą mego ojca. Jej córką była matka Siri.

– Wiem. .

Alicja znowu podnosi filiżankę – na pośliskim fajansie czas zostawił brązowe pęknięcie. Alicja zerka znad brzegu filiżanki na Andżelikę.

– Cierpisz z powodu śmierci Siri.

To nie jest pytanie, nie jest to nawet stwierdzenie wymagające odpowiedzi. Andżelika niechętnie wzdycha, na jej twarzy pojawia się półuśmiech.

– Zawsze mówiła, że Augusta nie była miłą. „Moja babka Augusta nie zawsze była znowu taka miła...” Wciąż to powtarzała. Ale nigdy nie powiedziała, co ta cholera... baba tak naprawdę zrobiła.

Alicja uśmiecha się.

– Och. Chyba generalnie wzbudzała lęk. Była duża i gruba. Dostyc surowa. Ale nigdy nie bywała naprawdę złą, przynajmniej nie w stosunku do mnie. Może z Siri było inaczej, Augusta zaopiekowała się nią, kiedy znikła jej mama, Siri była wtedy mała. Miała chyba trzy lata. Kiedy ja tu przyjechałam, byłam już nastolatką.

– A wiesz, co stało się z mamą Siri?

– Nie. Nikt tego nie wie. Po prostu zniknęła.

Znowu robi się cicho, Andżelika podnosi filiżankę i wdycha zapach pokoju. Wydaje się jednocześnie obcy i dobrze znajomy, przypomina zapach w domu Siri. W domu, myśli Andżelika, ale odpycha od siebie to słowo, zanim się do niej przyczepi, tak jakby Alicja mogła wyczytać je z jej oczu.

– Byłaś u Kristoffera? – pyta Alicja. – To dlatego tędy przechodziłaś?

Andżelika kręci głową przecząco.

– Nie. Po prostu tędy szłam... Nie wiedziałam, że ktoś tu jest. Masz urlop?

– Nie. W zasadzie nie. Uciekłam, można to tak ująć...

Głos Andżeliki drży.

– Uciekłaś?

Alicja uśmiecha się i wstaje, wsuwa krzesło pod stół.

– Nie bierz tego zbyt dosłownie. To tylko takie tam zawirowania w pracy. Chodzi o wystawę, którą mam zrobić. Myślałam, że uda mi się jakoś uporządkować myśli, jeśli trochę posiedzę tutaj w ciszy. W zeszłym tygodniu Larsa nie było w domu, wyjechał. Ale dzisiaj już wraca, po południu odbieram go z lotniska w Sztokholmie...

Spogląda na zegarek.

– O mój Boże. Lars przylatuje już za dwie godziny.

Na twarzy Andżeliki pojawia się najprawdziwszy uśmiech. Nagle wie już dokładnie, co robić.

– Pozmywam – mówi – a ty możesz się pakować.

Dwadzieścia minut później stoją przed werandą na ścieżce ogrodu Augusty, z tyłu za nimi drzemie dom z zasuniętymi żaluzjami. Zamknięty na zimę. Alicja otwiera małą kieszonkę w torebce i wkłada do niej klucz od domu, potem otwiera drzwi samochodu.

– Jesteś pewna, że nie chcesz, żebym cię podwiozła do Hallstavik?

Andżelika kręci głową przecząco.

– Nie – odpowiada. – Najpierw zejść nad zatokę. Chcę popatrzeć na morze.

Alicja sadowi się wygodniej za kierownicą.

– W takim razie dziękuję ci, że pozmywałaś. Powodzenia.

Wyciąga rękę, żeby zatrasnąć drzwi, i dopiero kiedy próbuje to zrobić, orientuje się, że nie pozwala na to Andżelika, która trzyma ich brzeg tak mocno, aż zbielały jej

dłonie. Przez chwilę patrzą sobie prosto w oczy, później odwracają wzrok i każda spogląda w inną stronę.

– Nie martw się – mówi Alicja ściszym głosem. – Nikomu nie powiem, że tu byłaś.

Andżelika puszcza drzwi i Alicja może je zamknąć.

Później wszystko jest już bardzo proste. Kiedy Alicja cofa samochód i wyjeżdża na drogę, Andżelika przez chwilę stoi bez ruchu, patrząc, jak wóz znika, a później pochyła się i wyciąga spomiędzy krzaków bzu plecak i siatkę z jabłkami. Otwiera furtkę i wślizguje się do ogrodu, bezgłośnie zamykając ją za sobą.

Ogród jest doskonały. Idealny. Gęste, wysokie krzaki sprawiają, że nikt, kto nie podejdzie do samej furtki, nie może do niego zajrzeć. Na krzakach agrestu ciągle jeszcze pełno owoców, wystarczy, że się na nie spojrzy, a już czuje się na podniebieniu ich smak i konsystencję. Słodko-kwaśne, tak przejrzałe, że pękają, gdy tylko położy się je na języku. Jabłonie uginają się od jabłek, ciężkich i nabrzmiiałych od soku. Andżelika uśmiecha się, przechodząc na tyły domu: owoców starczy jej na wiele miesięcy, w tej samej chwili orientuje się, że pod jej butami skrzypi żwir, szybko przeskakuje więc na trawę i truchcikiem biegnie w kierunku drewni.

Pieniek do rąbania drzewa jest ciężki, ale kiedy udaje się go przewrócić, łatwo go już potem podtoczyć pod kuchenne okno; wprawdzie potem znów trudniej podnieść, jednak wysiłek zostaje nagrodzony. Pieniek ma odpowiednią wysokość – kiedy Andżelika na nim staje, futryna okna znajduje się na wysokości jej pasa. Dziewczyna wyjmuje nóż, który podczas zmywania schowała do tylnej kieszeni dżinsów, i na chwilę traci głowę, kiedy uświadamia sobie, że zapomniała pootwierać haczyki – tak intensywnie myślała, żeby to zrobić, że zapomniała o samej czynności otwierania. Zaraz jednak uspokaja się, bo stwierdza, że wystarczy tylko włożyć nóż w szparę i chwilę nim poruszać, a okno samo powoli odsuwa się od framugi. Idzie to opornie, ale w końcu udaje się: okno się otwiera.

Andżelika przekłada nogę przez parapet i wślizguje się do środka.

Wali jej serce. Stoi w kuchni, słysząc, jak burzy się w niej krew, jak bucha z serca do głowy, jak szumi i śpiewa. Jednocześnie czuje, że rozluźniają jej się mięśnie na karku, a obroza lęku przestaje ścisnąć gardło – tak łatwo nagle oddychać.

Mimo to jest nieskończenie ostrożna. Delikatnie zamyka okno w kuchni, zdejmuje buty i przekrada się do przedpokoju. Nie wyda choćby jednego dźwięku, nie pozwoli, żeby ktoś się domyślił, że tu jest. Nigdy nie będzie podciągać żaluzji w dużym pokoju – tych, które przed chwilą zasunęła Alicja – nie zamierza zapalać lamp, bez względu na to, jak bardzo będzie ciemno, i nie zbliży się nawet do staroświeckiego telefonu, który stoi na

małym stoliczku obok bujanego fotela. Poza tym zamierza całkowicie przywłaszczyć sobie ten dom.

Najpierw bada kuchnię, otwiera wszystkie szafki i sprawdza, co się w nich znajduje. Talerzyki w kwiatki z poźółkłej porcelany. Filiżanki do kawy, które przed chwilą pozmywała. Szafka z jedzeniem, która jest prawdziwą jaskinią skarbów: jest tu mąka i spaghetti, płatki kukurydziane i cukier, kawa i herbata, herbatniki i chrupkie pieczywo, puszki zupy mięsnej, proszek do pieczenia, sól, pieprz i – to najlepsze ze wszystkiego – nieotwarte jeszcze pudełko rodzynek. Andżelika nie może się powstrzymać, od razu łapie je, zdiera czerwoną pokrywkę, wpycha palce w lepłą słodycz i wciska do ust pełną garść przysmaku.

Wychodząc z kuchni, zabiera ze sobą pudełko. W pokoju otwiera dużą szafkę, ale po skonstatowaniu, że mieści tylko obrusy i ręczniki, zaraz ją zamyka i idzie dalej, sunąc ręką po meblach – dotyk dłoni potwierdza niewyraźne wspomnienia z dzieciństwa. Obicie kanapy jest szorstkie, chociaż wygląda, jakby było z pluszu. Czarny lakier bujanego fotela odprysnął w jednym miejscu. Oparcia krzesel wokół stołu zdobią wyryte jabłka.

Kiedy wchodzi do przedpokoju, kątem oka dostrzega twarz. Wstrzymuje oddech, zakrywa usta ręką i w tej samej chwili uświadamia sobie, że przestraszyła się samej siebie. W usianym czarnymi punkcikami lustrze stoi przyglądająca się jej dziewczyna, która wzrusza ramionami, jednocześnie z Andżeliką kwitując w ten sposób swój własny strach. Obie wyciągają ręce, a czubki palców po dwóch stronach lustra spotykają się ze sobą; potem dziewczyny odwracają się i idą – każda w kierunku swoich schodów. Dopiero na piątym stopniu Andżeliką uświadamia sobie, że nie była na piętrze od czasów dzieciństwa – jeszcze mocniej ściska poręcz i kilkoma dużymi susami pokonuje ostatnie stopnie.

Właściwie to dziwne, że tak rzadko bywała w domu Augusty, że nie przespała tu ani jednej nocy. Przez całe lata wysłuchiwała długich monologów Kariny na temat prawa własności i tego, że wszyscy potomkowie Augusty mają do jej domu takie samo prawo. Że tak naprawdę to nie tylko Marianna i ta Alicja, i cała reszta mogą używać domu Augusty jako domu letniego, że prawo to przynajmniej w takim samym stopniu należy się także Siri i jej samej. Mimo to Andżeliką nie mogła sobie przypomnieć, żeby Karina choć raz zdecydowała się skorzystać z domu. Nawet w najbardziej słoneczne dni lata. Z Siri nie było lepiej: kilka razy zabrała Andżelikę i Mikaela na wycieczkę do domu Augusty, ale zawsze siedziała w ogrodzie i niechętnie wchodziła do środka. Kiedy słońce zachodziło, zatykała termos, pakowała niedojedzone bułeczki i jechali z powrotem do Hallstavik. Najlepiej śpi się we własnym łóżku, mówiła poufnym tonem do Andżeliki. Poza tym wychodek tu paskudny.

Korytarz na górze jest mały i pozbawiony okien, tylko jeden mały wachlarzyk światła przedostał się przez uchylone drzwi i ułożył na chodniku. Andżelika staje na nim i zagląda do sypialni. Ten pokój ma rzeczywiście właściwą nazwę, wygląda, jakby ułożył się do snu. Andżelice podoba się łagodne światło w środku, słońce sączy się przez

piaskowego koloru rolety, nadając białej narzucie na łóżku pastelowy odcień. Mimo to dziewczyna nie ma odwagi przestąpić progu. Pokój jest tak starannie uporządkowany, tak schludny i symetryczny, tak kruchy w swojej czystej prostocie, że Andżelika ma wrażenie, iż wchodząc do niego, coś by zniszczyła. Dlatego rozgląda się, stojąc w progu, patrzy uważnie i notuje w pamięci. Łóżko. Obok mała szafka. Stół. Brązowa szafa na ubrania i komoda przykryta białą serwetą. Na niej kilka ciemnych przedmiotów. Andżelika musi stanąć na palcach i wyciągnąć szyję, żeby zobaczyć, co to: ręczne lustro i grzebień ze srebrnymi okuciami. Bez zastanowienia sięga ręką na plecy i przekłada swój koński ogon przez ramię; stwierdza, że jest tak długi, że już niedługo będzie musiała go zaplatać. Myśli płoszą się i Andżelika automatycznie zaczyna liczyć, żeby je już na pewno przegonić. Minęły cztery lata i pięć miesięcy, odkąd wyprowadziła się do Siri, czyli pięćdziesiąt trzy miesiące. Jeśli włosy rosną centymetr na miesiąc, jak pisali w „Dziewczynie”, jej włosy muszą mieć teraz więcej niż pół metra. Kiedy skończy osiemnaście lat, być może będzie mogła na nich usiąść, tak jak wtedy, gdy była mała...

Przerzuca z powrotem koński ogon przez ramię i potrząsa głową, potem odwraca się i widzi, że korytarz ma jeszcze jedne drzwi. Wąskie, pozbawione klamki drzwi, ze staroświecką gałką i kluczem w zamku.

Andżelika przekręca klucz i je otwiera.

Później wydaje jej się, że to bajka; że chyba jakaś osoba – tajemnicza matka chrzestna albo po prostu wróżka – dowiedziała się, że Andżelika zamierza przeprowadzić się do domu Augusty, i przygotowała dla niej ten pokój. Chociaż właściwie nie jest to prawdziwy pokój, tylko garderoba. Jednak od razu staje się jej pokojem. Należy do niej, jeszcze zanim przekroczy jego próg. Staroświeckie łóżko połowe z wąskim materacem jest już jej. Niewielki otwór okienny z białą koronkową firanką. Mały taboret obok. I stojąca na nim lampa naftowa. Wszystko należy do Andżeliki: ktoś wyhaftował nawet jej inicjały na pościeli. A.J. Andżelika Johansson.

Na jaśku ten sam ktoś wyszył jeszcze różowym ozdobnym ściegiem krzyżykowym życzenie: *Wesołych snów!*

Wesołych snów!

Kiedy się budzi, jest już popołudnie. Otwiera oczy i od razu wie dokładnie, gdzie się znajduje, wie też, że kilka godzin temu weszła do garderoby. Przez chwilę się wahała, bała się położyć na świeżo wymaglowanej pościeli, nie chciała jej pognieść, potem odpędziła tę myśl i opadła na łóżko. Zanim zdążyła przyłożyć głowę do poduszki, już spała.

Teraz się obudziła. Jest całkowicie rześka i wypoczęta. A do tego jeszcze trochę głodna. Mimo to na razie nie wstaje, rozgląda się, spojrzaniem bierze pokój w posiadanie.

Spadzisty sufit. Światło popołudnia. Stara boazeria z nieheblowanych desek, które wygładził czas. Na ścianie kilka haków, na jednym z nich wisi wieszak z sukienką w szkocką kratę z białym kołnierzykiem i szeroką spódnicą. Staromodną.

Andżelika przewraca się na brzuch, ręką gładzi miękką wykładzinę na podłodze. Jak ładnie tu pachnie. Czysto i ładnie. Przez chwilę kusi ją, żeby znowu zasnąć, ale potem mruga powiekami i unosi się na łokciach. Musi znaleźć miejsce na swoje rzeczy, jakąś małą szafkę albo szufladę.

Za taboret, który ma udawać nocny stolik, schowana jest łubianka, Andżelika wyciąga rękę i przysuwa ją do siebie. Jest cięższa, niż się spodziewała, żeby ją przyciągnąć, musi usiąść i złapać ją dwiema rękami. Ktoś położył na niej stary ręcznik, żeby zasłonić przed kurzem to, co jest w środku. Na ręczniku, tak jak na pościeli, wyhaftowano inicjały Andżeliki. Gdzieś tam, w głębi ducha, wie, że są to też inicjały Augusty, ale biorąc do ręki ręcznik, przepędza tę myśl. A.J. znaczy Andżelika Johansson. Przynajmniej teraz.

Na wierzchu w koszu leży stary piórnik z czerwonej skóry. Suwak zacina się, trzeba długo kręcić i ciągnąć, żeby w końcu się otworzył. Nie kryje w sobie żadnych tajemnic, tylko kilka tępych ołówków i staroświeckie wieczne pióro. Niebieski kleks sprawił, że kawałek futerału zesztyniał, ale reszta flaneli w szkocką kratę jest miękka jak jedwab. Andżelika ostrożnie zasuwa suwak i dalej grzebie w koszu, wyciąga z niego kolejne książki. *Gramatyka angielska. Ortografia dla szkół podstawowych. Szkolny atlas Skandynawii – wydanie dla szkół licealnych.* To muszą być stare podręczniki Alicji, wszystkie mają na okładce jej ozdobny podpis. Andżelika układa je w stosik na podłodze i szuka dalej. Na samym dnie kosza palce wymacują książkę z grubym grzbietem i trochę chropowatą okładką. Andżelika wyjmuje ją i przesuwa ręką po czerwonej okładce w kolorze wina. To stara książka z biblioteki. Od niechcenia otwiera ją na pożółkłej stronie tytułowej: *Geniusz* Ivar Lo-Johansson. Nazwisko autora jest jej znane, u Siri na półce było kilka jego książek. Błądzi wzrokiem po pierwszych wersach, jej uwagę przykuwa cytat:

Musimy zaliczać dziewczęta.

Karl Singel

Złość zaskakuje ją, wystrzela jak czerwona kolumna, sprawia, że oczy zachodzą jej łzami. Bez zastanowienia unosi książkę i ciska nią w ścianę naprzeciwko, uderzenie jest tak mocne, że niemal zatrzęsł się od niego cały dom. Oprawa książki pruje się i pęka, kilka stron odkleja się i, wirując, sfruwa na podłogę, reszta rozpada się na dwie części, które w całości utrzymuje już tylko okładka. Przez sekundę Andżelika triumfuje: A masz! Ty dziadu jeden!

Później ogarnia ją lęk. I co narobiła? To stara książka, może jest cenna. Przyklęka i zaczyna zbierać porozrzucane kartki. Trudno powkładać je z powrotem na miejsce, kilka z

nich przez cały czas uparcie wystaje, zdradzając, że książka się zniszczyła. Kiedy Andżelika, ściskając ją mocno, pochyla się nad koszem, pulsuje w niej niepokój, musi ją ukryć, żeby nikt jej nie znalazł i żeby nikt nie miał pretensji...

Myślała, że kosz jest już pusty, ale teraz widzi, że nie. Na samym dnie leżą cztery stare zeszyty, niebieskie z białymi nalepkami. Alicja podpisała się na nich niebieskim atramentem, prawdopodobnie tym samym, który zaplamił futerał na pióro. Ale to nie dlatego Andżelika wypuszcza z rąk zniszczoną książkę, to przez starannie wykaligrafowany tytuł pod podpisem: „Opowieści z domu Augusty”.

Bardzo powoli podnosi cztery zeszyty i kładzie je sobie na kolanach, przesuwa po nich dłonią. Na zewnątrz zapada już zmrok. Ptaki odpoczywają, żadna wrona nie kracze na jabłoni Augusty, żaden gołąb nie grucha w lesie obok, żadna kukułka nie odzywa się daleko na wschodzie. Świat jest zupełnie cichy. Andżelika podnosi głowę i nasłuchuje. Jednak coś słyszy.

Szepty domu. Tak. Naprawdę słyszy, że dom Augusty zaczyna szeptać.

JEST ŚRODEK NOCY, KWIETNIOWY KSIĘŻYC właśnie zaczął przerysowywać różyczki z koronkowej firanki na boazerię w głębi garderoby. Alicja po raz pierwszy od dwóch tygodni unosi głowę znad poduszki. Jej ruchy są bardzo powolne, tak jakby zastanawiała się, czy chwycić brzeg łóżka, żeby się podeprzeć przy siadaniu. Boi się, że sprawi jej to ból, że jej ciałem będą szarpać nowe boleści.

Nie czuje bólu. Wcale. Trochę tylko drży od wysiłku, do którego nie jest przyzwyczajona, ale kiedy odważa się przekręcić całym ciałem i postawić stopy na ziemi, nie robi się od tego gorzej. Teraz już wstała. Prawie.

Po drugiej stronie korytarza aż huczy od chrapania Augusty. Alicja przez chwilę siedzi bez ruchu i nasłuchuje, a potem pochyla się do przodu i przyciąga do siebie łubiankę. Przez chwilę musi w niej grzebać, zanim znajdzie to, czego szukała. Końcami palców dotyka najpierw czerwonej oprawy atlasu, później plastikowych okładek książki z biblioteki – natychmiast wypuszcza ją z ręki. W końcu znajduje swój piórnik i niebieski zeszyt.

Nie ma siły, żeby zapalić lampę naftową, ale to jej nie przeszkadza. Świeci księżyc. Przez chwilę siedzi, patrząc w pustkę, a potem otwiera zeszyt i zapisuje tylko jedną linijkę:

„Augusta mówi, że muszę wstawać. Jednak nie mówi, dlaczego miałabym to robić”.

Następnego ranka budzi ją Augusta, która sapiąc, wdrapuje się po schodach. Kiedy przystaje, żeby złapać oddech, Alicja słyszy szmer uderzającego w dach deszczu. Za chwilę Augusta znowu zaczyna iść. Jej sapiący oddech zagłusza wszystkie inne dźwięki. Alicja odwraca się do drzwi plecami i zamyka oczy.

Nazajutrz rejonowa pielęgniarka ściąga z niej kołdrę i zmusza, żeby usiadła na stołku w korytarzu. Jest to mała, korpulentna kobieta z metalicznie siwymi loczkami, wygląda, jakby chodziła w pogiętym kasku na głowie. Potrząsa loczkami, ściągając z łóżka pościel. Jezu Chryste! Należało to zrobić co najmniej tydzień wcześniej. Albo dziesięć dni temu.

Kiedy łóżko jest już pościelone, bierze Alicję pod ramię i prowadzi ją schodami w dół, przez ogród, do wychodka. Przez cały czas coś mówi. O chorym kolanie Augusty. O tym, że Alicja nie może bez końca leżeć w łóżku. O tym, że niczego nie da się już zmienić. I że dlatego musi być tak, jak jest.

Alicja nie odpowiada, ale kiedy wracają do domu, zatrzymuje się i ogląda za siebie. Ogród jest bardzo piękny: właśnie stopniał śnieg i zeszłoroczna trawa wprost lśni jasnością.

Kiedy zapada noc, Alicja odkrywa, że spod łóżka zniknął nocnik. Wzrusza ramionami. Wszystko jedno. I tak było obrzydliwie mieć go tu w garderobie. Augusta opróżniała go tylko raz dziennie.

Zapomina włożyć buty i na bosaka idzie przez ogród do wychodka. Trawnik przykrył ostatni szron tej wiosny, sztywnieją od niego stopy. W jakiś niepojęty sposób jest to przyjemne.

„Kim jesteś, mój czytelniku – pisze Alicja w swoim zeszycie. – Czy jesteśmy tylko dwiema obcymi osobami, których myśli przelotnie się spotykają? Czy ty i ja się znamy? Czy jesteś dziewczyną po drugiej stronie lustra, tą drugą, tą jedyną, która potrafi zrozumieć?

Augusta nawet nie udaje, że potrafi zrozumieć. Czasami staje w drzwiach mojego pokoju i patrzy na mnie, ale nie wchodzi do środka. Drzwi są zbyt wąskie, a ona zbyt gruba, musiałaby ustawić się bokiem i wcisnąć na siłę, a tego nie chce robić. Nie chce się w ten sposób poniżać.

Chociaż przecież musiała to robić, kiedy wróciłam z Uppsali, musiała się tu przeciskać, popychając mnie lub ciągnąc za sobą. A potem robić to nawet kilka razy na dzień. Jak inaczej wylądowałabym w tym łóżku? Jak inaczej zdołałaby mnie napoić i nakarmić? Ale w jaki sposób sobie z tym radziła – nie wiem. Zapomniałam. Tak jak wiele innych rzeczy.

Teraz ustawia tacę tuż za progiem i popycha ją stopą w kierunku mojego łóżka. Czasem wyciągam rękę i przysuwam ją do siebie, a czasem odwracam się tylko plecami i zamykam oczy. Nawet dwie sekundy przedtem nie wiem, co wybiorę. To ciało podejmuje wszystkie decyzje, ja nie biorę w tym udziału.

Dzisiaj moje ciało jest mi przyjazne, dawno nie było takie. Moja prawa ręka właśnie chwyciła lewą rękę i ucisnęła ją pocieszająco, moje oczy zamknęły się i pozwoliły mi oglądać czerwono-żółte krajobrazy po wewnętrznej stronie powiek, a serce uderzało tak mocno, że żadne inne dźwięki nie mogły się przebić. Odpoczęłam”.

Wieczorem Augusta siada na stołku przed garderobą, a potem rozpuszcza włosy, zaczyna się czesać. Alicja nie widzi babki, słyszy tylko jej głos, i nagle przypomina sobie, że to zdarzyło się już wcześniej: kiedy była bardzo chora, pomyślała, że to dom szepcze. Teraz rozumie już, że to nie dom, jeśli nie z innego powodu, to po prostu dlatego, że czasem miga jej biała dłoń Augusty.

Jest w ciągłym ruchu, wznosi się i opada, otwiera i zaciska, jak ćma krąży w ciemnościach korytarza.

KIEDY ALICJA BYŁA MAŁA, JEJ TATA MIAŁ W PIWNICY CIEMNIĘ. Lubiała tam przychodzić, stawać na stołeczku obok ojca i słuchać jego oddechu, kiedy zajmował się wywoływaniem zdjęć. To była prawdziwa przygoda: oglądać, jak przypominające cienie postaci nabierają kształtów, napotykać żywe spojrzenie tam, gdzie przed chwilą był tylko papier, widzieć, jak na dnie kuwety rodzi się uśmiech.

W ten sam sposób w jej pokoiku pojawił się Izaak – tamtego wieczoru, kiedy Augusta opowiedziała jej o ich pierwszym spotkaniu. Jak cień. Jak żywe spojrzenie. Jak uśmiech w miejscu, w którym przed chwilą była tylko pustka.

Opisując go, Augusta unosiła rękę takim gestem, jakby wygłaszała kazanie, ale mówiła o nim cichym głosem. Minęła chwila, nim do Alicji dotarło, co mówiła: tamtego ranka miał na sobie ubranie w kolorze żelaza i srebra. Ciemnoszarą marynarkę z pogniecionej wełny. Jasnoszarą koszulę z miękkiej od częstego prania bawełny. Czarne spodnie, które były tak przetarte na kolanach, że prześwitywała przez nie biała skóra.

Kiedy Augusta przeszła do opisywania siebie samej, jej głos podniósł się i zabrzmiał w nim ton narzekania: wyglądała żałośnie! Jednak Alicja jej nie wierzyła. Widziała fotografie Augusty z młodości i jeśli jej skóra rzeczywiście była tak gładka i aksamitna, na jaką wyglądała, a włosy naprawdę tak gęste i falujące, to musiała być piękna, mimo że jej spódnica była zachłapana błotem, bluzka poplamiona mlekiem, a płaszcz zbyt ciasny, żeby go zapiąć.

W pierwszej chwili miała wrażenie, że w świetle poranka kroczy w jej kierunku jakaś postać z bajki, może wodnik albo leśny chłopiec, któremu udało się uciec do świata ludzi, jednak sekundę później przypomniała sobie, że wszystkie baśnie umarły i że ten poranek należy już do czasów rozumu. Nie dziwiła się sobie. Nic dziwnego, że ma mętlik w głowie, skoro od dziewiętnastu godzin nic nie jadła ani nie piła i przez całą noc wędrowała w chłodzie i mżawce, w dodatku będąc jeszcze w połogu, z niewygojonymi bliznami. Jej lewa ręka całkowicie zdrętwiała, jakby złapał ją skurcz, Augusta nie czuła już palców, którymi podtrzymywała pupę Olgi. Może to i dobrze, domyślała się przecież, że kocyk i pieluchy są całkowicie mokre i lodowate i że to dlatego Olga rozpaczliwie płacze u jej piersi.

Mężczyzna znajdował się jeszcze spory kawałek od nich, ale już to słyszał.

– Dziecko płacze! – zawołał.

Augusta zasznurowała usta. Aha. A zatem to jakiś wiejski idiota wybrał się na poranny spacer.

– Nie płacz, dziecko! – krzyknął jeszcze raz i zamachał rękami. – Już niedaleko do kołyski.

Kompletny wariat, pomyślała Augusta. A im większy szaleniec, tym silniejszy... Jeśli będzie próbował coś zrobić, przyłożę mu torbę!

Dochodziła już do wioski, minęła rozpadające się chaty na skraju Herräng i zbliżała się właśnie do domów robotniczych, które były tak nowe, że jeszcze nie zdążono ich pomalować. Stały w przypadkowym bezładzie na miejscu, które nie tak dawno temu musiało jeszcze być lasem; drzewa ścięto, ale ostały się krzaczki borówek i rurzyca. Z jednego domu wyszła właśnie kobieta z wiadrem, z drugiego wyskoczył chłopiec, który w biegu wciągał niebieską bluzę przez ostrzyżoną na jeża głowę. W pobliżu znajdowali się ludzie. Jeśli wiejski idiota będzie próbował zrobić Augustcie krzywdę, przyjdą jej z pomocą...

– Zatrzymaj się! – zawołał idiota. – Nie ruszaj się z tego miejsca!

Był już tylko dwa metry od niej, stanął na środku drogi, kołysząc się na rozstawionych nogach, z rozkrzyżowanymi rękami. Augusta pochyliła się i podniosła stopę, żeby iść dalej. Nie może okazać lęku, o tym wie od dawna. Przed mężczyznami, psami i wariatami nigdy nie wolno okazywać lęku. Inaczej mogą cię capnąć.

– Nie słyszysz, co mówię! – wrzasnął mężczyzna. – Stój!

Nawet przez sekundę nie zamierzała go posłuchać, ale i tak zatrzymała się z uniesioną nogą i zagapiła na niego. Olga na jej ramieniu też się uspokoiła: płacz ucichł, a dziewczynka otworzyła niebieskie oczy, układając jednocześnie różowe usta w kółeczko. Wyglądało na to, że nasłuchuje. Tylko że w tej chwili w Herräng nie było nic słyhać, nic oprócz przytłumionych uderzeń młota w fabryce żelaza i brzęku łańcuchów, kiedy robotnicy zjeżdżali do szybu. Nie dochodziły żadne głosy: ani dzieci wołających do siebie w drodze do szkoły, ani kobiet strofujących maruderów, którzy ciągle jeszcze siedzą z łyżką w swojej śniadaniowej kaszy, ani mężczyzn śmiejących się w cichym porozumieniu po drodze do huty. Być może całe Herräng zamieniło się w słuch, oczekując, co teraz powie ten ubrany na szaro mężczyzna, który stał z rozłożonymi ramionami przed skamieniałą z wrażenia Augusta.

Najpierw nie powiedział nic, opuścił tylko ręce i zaczął zataczać wokół niej duże kręgi, przyglądając jej się przy tym z otwartymi ustami. Z przodu. Z boku. Z tyłu. Ze skosu. Kiedy powróci! do punktu wyjścia, z prawego kącika ust zaczęła mu ciec mała strużka śliny. Wytarł ją wierzchem dłoni i nie spuszczać wzroku z Augusty wymamrotał:

– O cholera! O żebyż to!

Potem zachwiał się i upadł głową naprzód. Jego nos wyorał w żwirze małą bruzdkę.

Trzy dni później znów stał przed nią i z miną winowajcy miętosił w rękach czapkę z daszkiem. Augusta odłożyła szczotkę do szorowania, podniosła się i wytarła ręce w fartuch. Czy to aby nie tamten mężczyzna? Ależ tak. Miał na sobie to samo ubranie co ostatnio, tę samą wygniecioną marynarkę i wytarte spodnie, a kilka podłużnych strupków na jego nosie stanowiło świadectwo tego, co wydarzyło się przed paroma dniami. Chociaż teraz wydawał się większy – większy i bardziej kolorowy. Jasne włoski na jego czerwonych rękach błyszcząły w popołudniowym słońcu. Miały inny kolor niż włosy na głowie, były bardziej białe niż złote...

Na tę myśl Augusta zmarszczyła czoło: doprawdy nie ma ani czasu, ani siły na głupoty. Chłop jak chłop, nie wygląda ani lepiej, ani gorzej od innych. Wzięła się pod boki i odezwała najbardziej surowym tonem, na jaki było ją stać:

– Tak? O co chodzi?

Dowiedziała się już, kim jest. Nie był, co prawda, wiejskim idiotą, ale i tak typem, który wywołuje u ludzi śmiech i kręcenie głową. Kiedy Izaak przewrócił się i Augusta zawołała pomocy, od strony nowego osiedla robotniczego przybiegła kobieta. Zdążyła opowiedzieć Auguście to i owo w ciągu tych kilku minut, które zajęło im ściągnięcie go z drogi i ułożenie w bezpiecznym miejscu, pod jarzębiną. Mógł tam sobie poleżeć do czasu, kiedy obudzi go kac! Był to bowiem najostrzej chlejący abstynent w całym Herräng, Dobry Templariusz, który nie umiał trzymać się z dala od butelki, wariat, którego trzynastą razę wyrzucono z łóż Dobrego Domu i który już dwanaście razy składał przysięgę. Mówią jednak, że tym razem będzie musiał trochę poczekać. Zarząd chce potrzymać Izaaka w niepewności do czasu, aż ten zrozumie, jak poważne są jego uchybienia.

Teraz stał w kuchennych drzwiach, ściskając w garści czapkę, z opuszczonymi ramionami, rozbieganymi oczyma i ściągniętymi prosząco brwiami, i rzeczywiście wyglądał na człowieka trzymanego w niepewności. Ale na pewno był trzeźwy, dało się to zauważyć choćby po nucie uległości w jego ruskim głosie, kiedy po odchrząknięciu oznajmił:

– Sztygar powiedział, żebym tu przyszedł...

Augusta westchnęła głęboko. No tak. Prawie już zapomniała, że kiedy podawała dziś sztygarowi śniadanie, wyrwało jej się, że zamierza posprzątać w pokoju gościnnym i że byłoby dobrze, gdyby ktoś pomógł jej wynieść do ogrodu sofę, którą trzeba wytrześcić. Sztygar nic nie odpowiedział, mruknął tylko coś niezrozumiale i wyszedł. Augusta pomyślała, że nie usłyszał jej słów, i wzruszyła ramionami.

Teraz jednak okazało się, że nie tylko usłyszał, ale nawet z kimś porozmawiał. Proszę, proszę. Do niej niemal nie odzywał się słowem, nawet wtedy, kiedy spodziewała się, że będzie miał to i owo do powiedzenia, gdy wróci wieczorem do domu i zobaczy, co zrobiła.

Kiedy tamtego ranka, trzy dni temu, weszła do jego kuchni, siedział tam i sznurował buty. Było to najwyraźniej zajęcie wymagające niepodzielnej uwagi. Ledwie spojrzął na Augustę, kiedy otworzyła drzwi i niepewnie weszła do środka, a rozmawiał z nią jeszcze mniej. Dygnęła i powiedziała, jak się nazywa, a on odpowiedział tylko jakimś burknięciem i kiwnął głową w kierunku pieca, po czym poczłapał do drzwi i wyszedł do kopalni.

Do końca życia, kiedy opowiadała o tej chwili, głos wiązał jej w gardle, ale że bała się łez tak bardzo, jak sztygar Artur Svensson bał się słów, zapamiętała tylko swoją wściekłość. Bałwan! Cymbał! Kompletny osioł! Co takiego sprawia, że niektórzy mężczyźni zachowują się, jakby ktoś zaszył im gębę? Jakby nie wynaleziono czegoś takiego jak język? Jakby powiedzenie „dzień dobry” i „do widzenia” było czymś okropnie babskim i prostackim, jakąś bezsensowną paplaniną?

Od razu by sobie poszła, gdyby nie była tak zmęczona, zmarznięta i głodna. Obraziłaby się i obróciła na pięcie, może nawet kopnęłaby za sobą drzwi kuchenne i ogrodową furtkę.

Jednak była zmęczona. Bardzo zmęczona i bardzo głodna. No i Olga – niemowlę w pieluszkach – była tak zmarznięta i przemoczona, że nie przeżyłaby już nawet godziny na chłodnym październikowym powietrzu. Kiedy tylko Augusta została sama, usiadła na taborecie w kuchni sztygara, zamknęła oczy i zaczęła wpatrywać się w migające pod powiekami obrazy umarłych bohaterów bajek, których spotkała w nocy, do przytomności przywołało ją dopiero kwilenie na kolanach. Olga była bliska zanurzenia się w ciszę, nie miała już siły, żeby płakać.

Na szczęście w pojemniku na ciepłą wodę obok pieca zostało jej jeszcze trochę. Niezbyt dużo i niezbyt ciepłej – ogień, na którym grzała się poranna kawa sztygara, już dawno zgasł – ale wystarczyło, żeby Augusta, oswobodziwszy z pieluszek małe ciało, mogła je umyć.

Kiedy opowiadała o zmianie pieluszek, Alicja zasłoniła uszy rękami. Wszystko inne mogła sobie wyobrazić, każdy szczegół w brudnej kuchni sztygara, ale o tym nie chciała myśleć. O pękatym brzuszku niemowlaka, o opatrunku na wystającym pępku, o wymachujących łapkach Olgi – małych i przezroczystych jak skorupka ślimaka, o tym nie...

Wszystko inne widziała, widziała wszystko to, co zobaczyła Augusta, kiedy zawinęła Olę w starą, spraną flanelową koszulę i usadowiła się przy kuchennym stole, żeby córkę nakarmić. W panującym wokół chaosie i bałaganie widoczne były małe, ale jednoznaczne oznaki dobrobytu. Poczerniałe miedziane naczynia na żelaznym piecu. Piękne porcelanowe doniczki na pelargonie, które uschły już kilka zim temu. Wspomnienie wyszorowanej do białości podłogi pod czarnymi śladami buciorów sztygara.

Pogrążony w żałobie sztygar... Czy nie tak nazywała go Kristin? Czy tamta żona rybaka nie opowiedziała jej, że żona Artura Svenssona zmarła kilka lat temu, a on tak strasznie po niej rozpaczął, że obawiano się, iż postrada zmysły? Czy nie było tak, że najpierw nie pozwalał, by ją pochowano? Nie chciał nawet, żeby jej ciało zabrano z domu i położono w drewni, wedle zwyczaju, trzeba było wołać po pomoc i trzymać go, kiedy ją wynoszono. Augusta myślała z początku, że to szczegóły wymyślone przez Kristin, dodatkowe ozdobniki, którymi stara upiększała swoje historie. Jednak kiedy tego pierwszego ranka siedziała w kuchni sztygara, zrozumiała, że tak musiało być naprawdę. W brudnym pomieszczeniu odbijała się rozpacz, przemożna tęsknota mężczyzny do kobiety, która już nigdy do niego nie powróci.

Kiedy Olga zasnęła, Augusta rozpoczęła zwiedzanie domu. Przypominało to przedzieranie się przez krajobraz nietknięty ludzką stopą; od śmierci żony sztygar musiał bywać tylko w kuchni, do pokoi od lat nikt nie wchodził. Podłogi były tak zakurzone, że spódnica Augusty zostawiała za sobą koleiny i ścieżki. Meble też były aż szare, leżały na nich grube warstwy kurzu: na sekretarzyku, na stole w jadalni, na bujanym fotelu i na sofie w pokoju gościnnym. Na dworze świeciło słońce, ale światło nie było w stanie precyzyjnie się do wnętrza domu; od wielu lat nikt nie umył tu okien, nikt nie zdjął i nie uprał zasłon. Mimo to dom był piękny, nie przypominał ponurego, choć pełnego pańskiego zbytku mieszkania Wilhelma, zdawał się przyjazny i pełen umiaru: w otaczającym ją upadku Augusta dostrzegała uśmiech. Kiedyś ktoś cieszył się upiększaniem tych pokoi... Wkrótce znowu będzie tu ładnie.

Już pierwszego dnia zdołała odkurzyć meble i wyszorować podłogi na piętrze, nazajutrz umyła okna. Później wyniosła do ogrodu i wytrzepała wszystkie dywany i pościel. Stojąc w chmurze kurzu, słuchała, jak echo uderzeń trzepaczki roznosi się po całym Herräng. Inne kobiety zaczęły niby to przypadkiem przechodzić obok ogrodu sztygara, niektóre przyglądały jej się wyczekująco, a inne kiwały głową i uśmiechały się. Augusta domyślała się, co szepczą za jej plecami: to prawda, kobieta wydaje się pracowita i porządna, ale nie wolno zapominać, że przyszła do Herräng z dzieciakiem na ręku... Augusta prychnęła i jeszcze mocniej uderzyła trzepaczką. Phi! Jakby Olga była pierwszym bękartem na świecie! Albo pierwszym w Herräng.

Trzeci dzień zaczął się od szoku. Wczesnie rano naląła do balii gorącej wody z mydlinami i ustawiła ją przy pompie. Pozdejnowała koronkowe firanki w pokoju gościnnym i wyniosła je na dwór. Były szare od brudu, ale wzór miały piękny i wytworny: wielkie róże na krętych łodygach. Po praniu zamierzała rozwiesić je do wyschnięcia na sznurze z tyłu domu i już teraz cieszyła się na myśl o tym, jak pięknie będą wyglądały białe koronki, tańczące na wietrze.

Ale zamiast tego koronki znikły. Rozpuściły się. Zamieniły w nicłość.

Najpierw nie rozumiała, co się dzieje, włożyła rękę do balii i zaczęła macać wkoło, ale chwyciła tylko pojedyncze nitki bawełny. Kiedy wyjęła ręce z wody, zwisały z jej palców jak białe glisty. Przez chwilę im się przyglądała, a potem znowu zanurzyła ręce w wodzie. Płatanina nici. Wyczuwała, że jest ich dużo. Żadnych firanek. W balii już ich po prostu nie było. Rozpuściły się. Rozpłynęły. Zamieniły w nicość.

Z przerażenia zabrakło jej tchu, cofnęła się, zakrywając rękami usta. O Boże! Zniszczyła firanki z gościnnego pokoju sztygara! Teraz będzie miał powód, żeby dać upust swojej furii, tej cichej wściekłości, którą cały czas wyczuwała pod powierzchnią jego przytłaczającego milczenia. Wyrzuci ją za drzwi. Gdzie ona się wtedy podzieje? A Olga? Jak znajdzie miejsce, w którym pozwolą jej być razem z Olgą?

Przez resztę dnia jej myśli krążyły wokół kolejnych niemożliwych wyjść z sytuacji. Może będzie mogła zostać, jeśli kupi nowe firanki? Nie, tego nie może zrobić. Ludzie w Herräng dowiedzieliby się, że ma pieniądze, a tego wiedzieć nie powinni. Kto wie, co mogliby zrobić samotnej kobiecie i jej dziecku, gdyby wiedzieli, że da się na tym zarobić? A może po prostu wrócić do Sztokholmu i tak jak Kristin zająć się skupem i sprzedają szmat i używanych ubrań? Nie, to niemożliwe. Nie ma talentów kupieckich, zawstydzają ją sama myśl, że mogłaby zachwalać jakiś towar. Może zamiast tego mogłaby pojechać do Hallstavik i spróbować znaleźć pracę w fabryce? Na przykład jako kucharka. Ale kto chciałby zatrudnić ją jako kucharkę, jeśli nie ma nawet dwudziestu lat, a wcześniej była tylko służącą w pańskim domu? Każdy się domyśli, że nie ma pojęcia, jak się zabrać do gotowania pyz dla kilkuset mężczyzn. I gdzie zostawiałyby Olgę na czas pracy? I gdzie by mieszkały? Czy na świecie jest w ogóle jakieś miejsce, w którym może zamieszkać samotna kobieta z dzieckiem? Czy też mimo wszystko będzie zmuszona oddać Olgę do ochronki?

Z rozpaczycy zabrała się do szorowania podłogi, chociaż planowała, że najpierw posprząta w pokoju gościnnym. Jednak teraz nie była w stanie się tym zająć, ścisnęła ją w gardle na samą myśl, że miałyby patrzeć na nagie okna. W milczącym poczuciu przegranej tarła brud wżarty w deski kuchennej podłogi, brak nadziei zasnuł jej oczy łzami, oddzielając ją od świata i sprawiając, że nic nie widziała ani nie słyszała. To dlatego w pierwszej chwili nie zauważyła, że w drzwiach kuchni stoi najostrożniejszy chlejący abstynent w całym Herräng. Musiał kilka razy chrząknąć, zanim Augusta odłożyła szczotkę, podniosła się i na niego spojrzała. Jej spojrzenie sprawiło, że zgarbił się i zaczął przesuwać w rękach czapkę, powtarzając:

– No, sztygar powiedział, że bym tu przyszedł... Jest podobno jakaś sofa do wyniesienia.

Tutaj Augusta zamilkła i zagłębiła się w swoich myślach, zostawiając Alicję jej własnym wyobrażeniom. Może to i dobrze: Alicja poczułaby się pewnie zażenowana,

gdyby Augusta spróbowała opisać to, co się między nimi dwojgiem wydarzyło. Dla niektórych chwil nie ma słów. Przynajmniej nie mają ich stare kobiety.

Jednak właśnie w tej chwili w garderobie Alicji pojawił się Izaak. Nagle zobaczyła go w najdalszym kącie, był niewyraźny, rozmazany, jak na wywoływanej fotografii, ale to był na pewno on. Duży mężczyzna o dużych rękach i lśniącym bielą uśmiechu. Naprzeciw niego stała młoda Augusta ze zmarszczonym czołem i schowanymi pod fartuch rękami. Nagle zaczęli poruszać się na ścianie pokoju Alicji nie tak jak prawdziwi ludzie, tylko szybko, urywanymi ruchami, jak na starym, niemym filmie. Augusta wyciągnęła rękę, ale Izaak pokręcił przecząco głową i sam wziął ciężką sofę z pokoju gościnnego; potem niósł ją, trzymając nad głową w wyciągniętych rękach, a Augusta dreptała za nim do ogrodu z trzepaczką w ręce. Chwilę później dreptali z powrotem do pokoju gościnnego. Izaak postawił sofę na miejscu, odwrócił się i popatrzył na Augustę, która znów schowała rękę pod fartuch. Poruszyła ustami, ale nie było nic słyhać. Alicja wyobraziła sobie, że w podziękowaniu za pomoc proponuje Izaakowi filiżankę kawy. Jego odpowiedź mogła już zobaczyć: Izaak kiwnął głową i opromienił Augustę swoim białym uśmiechem.

Miał powody, żeby się uśmiechać. Dało się to zauważyć. Augusta po raz pierwszy popatrzyła na niego bez pogardy.

Augusta nigdy nie nauczyła się dostrzegać swojej pogardy, nigdy nie zrozumiała, jakim potrafi ona być ciężarem. Pogarda stanowiła przecież jej pancierz, jedyną ochronę, kolczugę, którą sobie sporządziła w czasie tułaczki po różnych domach dziecka. Przestała ją nosić w pierwszych latach wspólnego życia z Izaakiem, ale kiedy Izaak najpierw skamieniał, a później zmarł, kolczuga przyrosła do jej skóry. Potem już nigdy nie potrafiła jej zdjąć, nawet wtedy, kiedy patrzyła na samą siebie: przechodząc obok lustra, odwracała wzrok. To dlatego później krzywiła wargi, patrząc na perły i pantofle Ingi, to dlatego unosiła brwi i uśmiechała się złośliwie, widząc, jak Marianna nieporadnie próbuje jej się przypodobać, i dlatego parskała i odwracała wzrok, słysząc chichoty i szepty Siri. „Nuworyszka! Niezgraba! Mazgajowata podlizucha!” Mężczyznom też się dostawało, nawet jej własnym synom: Erland był gamoniem, Harald nie miał kręgosłupa, i w ogóle mężczyźni jako tacy byli niebezpieczni, niegodni zaufania i nieodpowiedzialni. Tylko jedno im w głowie, a jeśli już o tym nie myślą, to zajmują się sobą. Wszyscy mężczyźni na całym świecie. Wszyscy, którzy kiedykolwiek istnieli.

Wszyscy poza jednym.

Jedynym.

Izaakiem.

Mimo to Augusta nie omieszkała opowiedzieć Alicji o tym, jak mocno trzaskała drzwiami szafek, kiedy tamtego pierwszego dnia przygotowywała kawę dla Izaaka, jak głośno stuknęła porcelaną i z jaką złością burczała na niego, żeby trzymał się z dala od świeżo wyszorowanej części podłogi. Może rzeczywiście tak było, chociaż zarazem musiało być też zupełnie inaczej. Równocześnie. W przeciwnym razie jak mogłoby się zdarzyć to, co później nastąpiło? Jak mogłoby się to zdarzyć, gdyby Augusta nie miała zarumienionych policzków, gdyby w kącikach jej oczu nie czaił się uśmiech i gdyby zupełnie nieświadomie nie zwilżała warg językiem? Coś musiało się z nią stać, skoro kiedy już naląła Izaakowi kawy i popchnęła w jego stronę talerzyk z sucharkami, zamilkła i sama też usiadła przy kuchennym stole. Może bez swojej kolczugi nie była w stanie dłużej ustać. Może spadły na nią nagle wszystkie troski minionego roku. A może tak bardzo mocno tęskniła za drugim człowiekiem, że kiedy nagle drugi człowiek usiadł obok niej, opuściły ją wszystkie siły.

Nie mogła się już dłużej powstrzymać, nagle zaczęła płakać i usłyszała siebie samą, jak opowiada o koronkowych firankach. Rozpuściły się w balii! Znikły! Zamieniły w nicłość! Teraz już wszystko stracone. Wszystko! Bóg jeden wie, co się teraz stanie z nią i jej dzieckiem...

Augusta i Izaak, każde na swój sposób, musieli być dość żalnymi postaciami. Oboje byli tak samo opuszczeni i zagubieni: ona, skrywająca skrzętnie swoje smutki, i on, obnażający swe rozliczne rozterki. Jednak w tamtej chwili musiało zdarzyć się coś, co sprawiło, że oboje przeszli przemianę. Może doszło do aliażu: może stopili się ze sobą, wymieniając się swoimi cechami, wzmacniając się wzajemnie i hartując, sprawiając, że wspólna temperatura topnienia była wyższa od tych, jakie kiedykolwiek mieli oddzielnie.

Tak. Tak właśnie musiało być. Może stąpienie rozpoczęło się w tym momencie, kiedy Izaak najspokojniej zanurzył sucharek w kawie i powiedział:

– Aha. W takim razie to brud je trzymał... Mam na myśli firanki.

Potem podniósł rękę i szybko pogłaskał Augustę po policzku, aż z zaskoczenia zamknęła oczy. Kiedy je znów otworzyła, świat był naprawiony. Nic nie było już brzydkie i niebezpieczne. Nawet ona sama.

– Otóż to – przytaknęła i westchnęła głęboko – ma pan rację. To nie moja wina. Po prostu trzymał je brud.

Dokładnie to samo powiedziała też sztygarowi, kiedy wrócił do domu z kopalni: to brud trzymał jego koronkowe firanki! To nie jej wina!

Stała na środku kuchni, wyprostowana i gotowa do walki ze schowanymi pod fartuchem zaciśniętymi pięściami. Sztygar nie może zobaczyć, że tak naprawdę jest cała

roztrzęsiona i brak jej tchu. Nic nie zawiniła! Firanki były stare! Przetarte! Strasznie brudne!

Sztygar, który przystanął w drzwiach kuchni, aż się zachwiał pod naporem tego niespodziewanego potoku słów. Z jego gardła próbował się wydostać jeden mały dźwięk, ale nie było dla niego miejsca: kuchnię wypełniała kaskada słów Augusty.

– To nie moja wina – powtórzyła Augusta – nigdy w życiu nie widziałam tak brudnych firanek. Wstyd, mówię. Wstyd! A teraz ma dopilnować, żebyśmy dostała nowy materiał na firanki, napiszę mu, ile trzeba, żeby sam mógł złożyć zamówienie w sklepie, jeśli mi nie ufa.

Sztygar opadł na ławę, usiłując nabrać tchu. Augusta dalej stała pośrodku kuchni, ale teraz uniosła brodę i wzięła się pod boki. Słowa nadal się z niej wylewały, jakby bardziej bała się ciszy niż złości sztygara.

– Ale jeżeli nie chce mieć w domu służącej, jeśli zamierza dalej żyć w brudzie i bałaganie, to proszę bardzo, niech tylko powie, i już mnie tu nie ma. Dam sobie radę! W przeciwnym razie ma przypilnować, żebyśmy mogła iść do sklepu i uzupełnić zapasy. Bo teraz w spiżarni jest pusto, tyle tylko powiem, wszystko, co mamy, to trzy nędzne jajka na krzyż. Ale już mleka nie mamy więcej niż to, co widzi teraz w szklance, i żadnej mąki, ani drożdży, ani masła, ani nawet szczypty margaryny...

Artur Svensson uciekał wzrokiem i znów zaczął głośno chwytać powietrze, ale Augusta nie pozwoliła się powstrzymać, porwała ją powódź własnych oskarżeń. Tak się rozkręciła, że opuściły ją resztki zdrowego rozsądku.

– A poza tym, czy można zapytać, kiedy się ostatnio kąpał? Co? Rok temu czy może dwa? A to niby prawie państwo! Ja jestem bękartem z sierocińca i sama też mam bękarta – jak pewnie zauważył – ale mimo to jestem na tyle porządna, że rozumiem, iż trzeba utrzymywać ciało w czystości. Raz w miesiącu myję się cała razem z włosami! Może też mógłby spróbować tak robić i przestać śmierdzieć jak stary parobek!

Nabrała właśnie tchu, żeby ciągnąć dalej swoją orację, kiedy Artur Svensson uderzył obiema pięściami w stół. Augusta wzdrygnęła się i zamilkła; stała z rozdziawionymi ustami i szeroko otwartymi oczami patrzyła, jak sztygar podnosi się z ławy i opiera rękami o stół. Jego wzrok przestał uciekać na boki: przeszywał ją teraz na wskroś.

Dobry Boże, pomyślała. Co ja nawygadywałam? I co on teraz powie?

Nie powiedział nic. Schwycił tylko za kant stołu, uniosł go i uderzył o podłogę. Talerz z jedzeniem nie spadł. Ale szklanka się stłukła i ostatnia odrobina mleka, która była w domu, powoli wylała się na świeżo wyszorowaną podłogę.

KTÓREGOŚ RANKA POD KONIEC KWIETNIA Augusta nie przynosi już śniadania do garderoby, staje tylko u podnóża schodów i wrzeszczy, że kawa gotowa. Alicja może przyjść, jeśli ma ochotę. Albo może sobie nie przychodzić.

To wypowiedzenie wojny. Kto ma siłę wojować z Augusta? Alicja wstaje z łóżka i sięga po szkolną sukienkę w szkocką kratę, wiszącą od paździenika na ścianie garderoby. Wciągając ją przez głowę, wstrzymuje oddech. Czy sukienka będzie pasowała? Czy też ona zrobiła się na nią za gruba w talii? Ale wszystko jest w porządku, Alicja może zapiąć pasek na tę samą dziurkę co kiedyś. Jakby nic się nie wydarzyło.

Dopiero kiedy schodzi na dół po schodach, uświadamia sobie, że zapomniała się umyć. Nie włożyła nawet skarpetek ani bielizny.

Gdy wchodzi do kuchni, Augusta zaczyna się śmiać: Alicja wygląda jak półtora nieszczęścia.

Po południu znowu się śmieje, chociaż Alicja wyszorowała już każdy centymetr swojego ciała, a ponadto umyła jeszcze włosy. Stoi teraz przed Augustą z opuszczonymi ramionami i nic nie rozumie.

– O co chodzi?

– Przejrzyj się w lustrze!

Dziewczyna w pokrytym plamkami lustrze wygląda jak ostatnia sierota. Na sukienkę w szkocką kratę naciągnęła brudną wiatrówkę, a na stopy wsunęła stare kalosze. Alicja śmieje się.

– Mama by umarła, gdyby mnie zobaczyła...

Wtedy Augusta śmieje się jeszcze głośniej. Jak skrzecząca wrona.

W powietrzu unosi się mżawka, a chmury są tak nisko, że wygląda jakby już się zmierzchało. Mimo to Alicja długo spaceruje, schodzi aż do samej zatoki Strömsviken. Kiedy przedziera się przez zarośla, wilgotne gałęzie uderzają ją w policzki – pozwala im na to, nie zasłania twarzy rękami.

Zatoka jest taka jak zawsze: szara woda w kolorze żelaza, drzewa na drugim brzegu nadal wyciągają czarne gałęzie do nieba z cementu. Nawet kiedy Alicja zmruży oczy, nie jest w stanie wyobrazić sobie, że widać już fioletowy cień, zapowiadający wypuszczenie liści. Siada z szeroko rozłożonymi nogami na kamiennej płycie na brzegu – na zimnej skale. Przemyka jej przez głowę myśl o zaziębieniu pęcherza, ale zaraz ją odpędza. Wełniane majtki? Bardzo chętnie. Ale może w innym życiu. Nie w tym.

Nad zatoką jest dziś bardzo cicho. Żadnego wiatru. Żadnych ptaków. Żadnego sygnału statku. Nie słychać nawet dalekiego, cichego pulsowania fabryki. Tak jakby świat się zatrzymał, jakby zamienił się w swoją własną fotografię, czarno-białe zdjęcie czasu poza czasem.

Przez chwilę Alicja siedzi, przypatrując się wodzie, potem nagle zaczyna patrzeć w siebie i widok ten wywołuje krzywy uśmiech. Ależ z niej idiotka! Próbowwała mieć sama przed sobą tajemnice. Ale teraz przejrzała siebie, teraz już wie, dlaczego siedzi z prawie gołą pupą na lodowato zimnej skale. Wdowiec. Samotny łabędź. To dla niego tutaj przyszła, po to, żeby sprawdzić, czy powrócił. W jakimś zakamarku głowy wyobrażała sobie, że jeśli łabędź będzie na nią czekał na zatoce, to będzie znak, że wszystko się jakoś ułoży.

Ale jego tutaj nie ma. A zresztą jak cokolwiek mogłoby się ułożyć? Co się raz stało, nie da się odwrócić.

Zięb grzebie jej w kroczu ostrymi pazurami, Alicja wie, że za chwilę rozdrapie świeżo zagojoną ranę. Nie podnosi się jednak, żeby iść, siedzi jeszcze na skale ponad pół godziny i tępo wpatruje się w wodę.

Kilka dni później zatrzymuje się w pół kroku i patrzy na ścieżkę w ogrodzie Augusty: w ścieżce otwiera się rana. Alicja odwraca szybko wzrok i zmusza się do spojżenia w niebo. Nic nie pomaga: przezroczyste noworodki dyndają na bezlistnych brzozach po drugiej stronie drogi.

Przez minutę ta możliwość jest tuż obok. Mogłaby się poddać. Zwariować.

Jednak nie wariuje. Jeszcze potrafi odróżnić to, co dzieje się w niej, od tego, co dzieje się na zewnątrz, poza nią. Na ogrodowej ścieżce nie ma żadnych ran. Na drzewach nie wiszą żadne dzieci. Zdaje sobie z tego sprawę.

Owija się ciasniej swetrem i biegnie w kierunku pralni. Jutro zrobi pranie, namoczyła już całą domową pościel.

Jej własna była poplamiona krwią.

Nocą nie może zasnąć, po raz pierwszy od dawna myśli o swoich rodzicach. Nie widziała ich już od czterech miesięcy: ostatnio wpadli na chwilę zaraz po świętach. Nie mogli długo zostać, tylko kilka godzin. Inga nie była w stanie znieść widoku Alicji. Nie ma się co dziwić. Alicja nie wyglądała jak wymarzona córka Ingi, nie było nawet cienia podobieństwa pomiędzy dziewczynką, jaką powinna być jej córka, a tą dziewczyną z wielkim brzuchem i przetłuszczonymi włosami, której zaczynała już puchnąć twarz...

W tamtym momencie nikt jeszcze nie wiedział, co jest przyczyną nasilającej się opuchlizny, ani lekarz okręgowy, ani pielęgniarka, ani sama Alicja. Za to teraz już wiedzą. Teraz w ich rozmowach przewija się wciąż to bezkształtne słowo, tak jakby oznaczało coś zupełnie zwykłego. Gestoza. Zatrucie ciążowe. Choroba, która nie dodaje urody, co do tego Alicja musi, niestety, zgodzić się ze swoją mamą. Jeżeli młoda dziewczyna koniecznie już musi dać się dotknąć śmiertelnej chorobie, to powinna wybrać sobie jakąś inną, taką, która uwypukli to, co nadobne i kruche w jej osobie, która sprawi, że chora będzie sobie powoli usychać, a nie taką, która zmieni ją w napompowanego wodą potwora. Przecież na taki widok każda matka odwróciłaby się ze wstrętem od swojej ciężarnej córki. Dlaczego nie? Taki stan jest wszak nie tylko nieatrakcyjny, ale także niemoralny. Młoda matka zatruwa swoje własne dziecko, pozwalając jednocześnie, by ono zatruwało ją. Chociaż zarazem jest to także święta choroba, przesłanie od Boga, natury lub przypadku, przesłanie mówiące, że na tej ziemi nie ma miejsca dla żadnego z tych dwojga, ani dla płodu, ani dla młodej matki...

Jeśli jedno z nich zostaje uratowane, myśli Alicja, wpatrując się w ciemności swojej garderoby, to dzieje się to na przekór Bogu. Albo na przekór naturze, przypadkowi i dziadkom *in spe*.

Rano Augusta sadowi się w wiklinowym fotelu przed pralnią, gotowa do kierowania robotą – pościelowy generał w czarnym kapeluszu i płaszczu. Niecierpliwie wymachuje laską: Alicja powinna się nauczyć właściwego sposobu prania. Po kilku godzinach Augusta zaczyna marznąć. Alicja musi skoczyć do domu po szal i narzucić go na płaszcz babki. Niewiele to pomaga, po godzinie Augusta wstaje i człapie w kierunku domu.

Alicji jest ciepło przez prawie cały dzień. Ogrzewa ją para. Kiedy dziewczyna miesza w kotle pranie, zdejmuje nawet kamizelkę. Nie czuje zimna aż do chwili, kiedy wieszka na sznurku ostatnie prześcieradło. Dopiero wtedy sztywnieją jej palce – biegnąc do domu, chowa ręce w rękawach.

W kuchni przy stole siedzi Augusta. Na jej rozstawionych kolanach chwieje się miska, Augusta obiera ziemniaki. Jest w dobrym humorze, dzisiejszy dzień przywrócił życiu jakiś fragment przeszłości, przypomniał jej o czasie, w którym była marszałkiem i przywódcą cudzego prania. Podczas gdy brązowe kartofle kolejno bieleją w jej dłoniach, Augusta śpiewa starą piosenkę Dobrych Templariuszy:

Już nigdy więcej niszczącej wódki,

Już więcej nie pijemy.

Dość katowania serc i głowy

My śmierci chłać nie chcemy...

Kiedy Alicja pojawia się w drzwiach kuchni, Augusta milknie i marszczy czoło.

– Zmęczyłaś się?

Alicja wcześniej tego nie zauważyła, ale teraz przeciera czoło ręką i chwilę się waha. Tak. Jest zmęczona. Tylko że najbardziej bołą ją nie plecy, ale głowa. Marzy jej się chwila spokoju. Bez konieczności mówienia i słuchania. Nie może się jednak powstrzymać, ostentacyjne samozadowolenie Augusty sprawia, że z irytacją wyrzuca z siebie:

– Gdybyś się przeprowadziła do mieszkania w Hallstavik, miałybyś w piwnicy pralkę do ogólnego użytku. We wszystkich nowoczesnych domach są takie pralnie.

Augusta spogląda na nią taksująco, świeżo obrany ziemniak wpada z pluskiem do miednicy, kobieta odchrząkuje.

– W pralce nie pierze się do czysta...

– Oczywiście, że tak. U nas w domu mama pierze w pralce prawie wszystko...

Augusta prychnęła.

– Tak, tak, twoja mama. Pralka tylko podgrzewa pranie, ale go nie gotuje. Poza tym w pralce pościel się niszczy. Błyskawicznie się przeciera...

– No i co z tego? Stać cię przecież na kupienie nowej pościeli, gdyby w starej zrobiła się przypadkiem dziura.

Augusta wrzuca kolejny ziemniak do miski, a on natychmiast znika w brązowym błocie z wody i obierek. Babka nie patrzy na Alicję, podnosi tylko brwi, na jej twarzy pojawia się grymas.

– Bzdury wygadujesz. Arogancka paniusia!

Alicja odwraca się plecami, nie zamierza odpowiadać.

Późnym wieczorem Alicja czesze Augustę.

Z pozoru jest między nimi tak samo jak przedtem. Przed kliniką położniczą i przed domem dla samotnych matek. Jednak pod powierzchnią wszystko jest inne. Alicji wydaje się, że wiąże się to z brakiem słów, z tym, że jest tak, jakby wciąż milczały, chociaż przez cały czas rozmawiają. Pośród ich codziennego przekomarzania, wszystkich tych pogaduszek i opowieści Augusty, jest między nimi bardzo cicho.

To Augusta zdecydowała, że tak będzie, kilka uciętych zdań, kilka spojrzeń, i stało się jasne, że nie o wszystkim wolno mówić. Alicja nie próbowała się sprzeciwić. Zresztą do tej pory nie wie, co miałyby powiedzieć, gdyby jej było wolno. Czasami chciałyby, żeby istniał jakiś ruch – gest dłoni, ukłon albo krok taneczny – ruch, który mógłby wyrazić

to, co niewyrażalne. Ta myśl zawstydza ją, jest głupia. Tak jakby Augusta mogła zrozumieć taki ruch. Jakby ktokolwiek był w stanie go zrozumieć.

Milczenie Augusty jest w sumie bardzo wymowne: Augusta wypełnia je słowami i opowieściami o słowach.

– Żebyś tylko słyszała Dobrych Templariuszy, kiedy przyszedłem do nich po raz pierwszy – mówi, gdy Alicja wyjmuje z jej włosów pierwszą szpilkę. – Nikt nie dorówna ich gadulstwu!

To Izaak ją do nich zabrał. Przez wiele godzin stał w ciemnościach za płotem, czekając tam, jakby był w stanie przewidzieć, co wydarzy się w domu sztygara. Kiedy Augusta z Olgą na rękach – bez kapelusza i bez płaszcza – potykając się, wybiegła przez furtkę, rozłożył ramiona, chwycił ją w objęcia i trzymał w nich mocno do czasu, aż przestała szlochać. Potem podniósł worek, który cisnął za nią sztygar, narzucił jej na ramiona swoją marynarkę, objął dziewczynę i poprowadził ją przez Herräng aż do siedziby łoży Dobrego Domu.

Tego wieczoru członkowie łoży mieli spotkanie – na miejscu byli wszyscy, pięćdziesiąt osiem osób. Auguście zdawało się, że wylądowała wśród odrodzonych postaci z baśni: jakby wokół niej roiło się od skrzatów i krasnoludków, mówiącego dzwięcznymi głosami małego leśnego ludku, którego nie dało się zrozumieć, bo wszyscy mówili naraz.

Jednak nie był to mały leśny ludek, tylko ludzie normalnego wzrostu. Wyglądali zupełnie zwyczajnie.

Augusta szybko dowiedziała się, że w rzeczywistości wcale nie są zwyczajni. Mieli proste ubrania, ale wielkie pretensje. Trzymali się swoich rytuałów i jedwabnych sztandarów, a do tego wszystkiego jeszcze recytowali wiersze. Dorośli ludzie! Augusta doznała prawdziwego szoku, widząc taką pychę. Nie wiedziała, gdzie podziać oczy, gdy po raz pierwszy zobaczyła wkraczającego na scenę górnika, który złożył na piersi szorstkie ręce i przemówił najniższym basem:

Jakże moje oczy się radują
Gdy w fabryce porcelany robotnicy pracują.
Wszyscy toczą miękką glinę bez wytchnienia,
Aż dzbanek lub talerz wyłania się z cienia...

Wiersz o talerzach. Tego była prawie pewna. Ten człowiek naprawdę stał na scenie, recytując wiersz o talerzach... Czy poezja może mówić o talerzach? Na poważnie?

W tamtym czasie mieszkała już od czterech dni w siedzibie łoży. Co prawda, pierwszego wieczoru Dobrzy Templariusze nie pozwolili ani jej, ani Izaakowi wejść dalej niż do przedpokoju – ponieważ oboje nie byli zaprzysiężonymi członkami, nie mogli zostać wpuszczeni do pomieszczeń łoży – ale ich dom stał dla Augusty otworem. Na strychu znajdowała się mała izdebka, w której był nawet żelazny piecyk – przygotowano ją na wypadek, gdyby kiedyś w przyszłości łoża mogła sobie pozwolić na własnego stróża. Kiedy Izaak z czapką w ręku, wielce przejęty, opowiedział tragiczną historię o firankach sztygara, pośród Dobrych Templariuszy rozszedł się szumek współczujących westchnień: dokładnie tego można się było spodziewać po tym prześladowcy robotników! Nie dość, że był znanym moczymordą i słynął z nedorzecznej surowości w stosunku do górników – większej nawet niż sam dyrektor – to jeszcze posunął się do wyrzucenia młodej matki na październikowy ziab! Czy w bibliotece łoży nie ma przypadkiem książki o podobnym draniu? Prawda?! Dobrzy Templariusze są wprawdzie przyzwoitymi ludźmi i bynajmniej nie sympatyzują z osobami bez zasad, ale faktem jest też to, że nie wszystkie młode dziewczęta, które wpadły w kłopoty, muszą być puszczalskimi. Niektóre z nich są niewinnymi ofiarami alkoholików z wyższych sfer. Czy właśnie to przytrafiło się Augustynie? W tym momencie Augusta pociągnęła nosem i wybuchnęła wielkim płaczem. Izaak otoczył ją ramionami, mrużąc słowa pocieszenia. Kiedy obejmował Augustę, przycisnął niechcący Olgę, która zaczęła przeraźliwie wrzeszczeć. Ta masa uczuć wzruszyła Dobrych Templariuszy, którzy bez dyskusji podjęli decyzję: Augusta może mieszkać w izdebce na strychu do czasu, aż wszystko się ułoży.

Następne dni należały do najlepszych w życiu Augusty. Miała wystarczająco dużo węgla do piecyka, wystarczająco dużo jedzenia i miłe towarzystwo. Już pierwszego ranka zaszła do niej Teresa Andersson, przyniosła kanapki i butelkę gorącej kawy. Kilka godzin później zajrzała Fina Lundin z porcją smażonego śledzia. Pod wieczór w progu przestępował z nogi na nogę Izaak, który z nieśmiałym uśmiechem podał jej wygniecioną paczkę. Augusta głośno się roześmiała, kiedy ją otworzyła: Izaak zabrał z domu sztygara jej płaszcz i kapelusz!

No a teraz siedzieli obok siebie w salonie łoży i słuchali górnika recytującego wiersz o talerzach. Augusta odwróciła głowę i zerknęła na Izaaka, ale on nie odwzajemnił jej spojrzenia. Wpatrywał się w scenę z otwartymi ustami i oczyma mokrymi od łez. Wkrótce miała się dowiedzieć, że oczy Izaaka zawsze zachodzą łzami, kiedy słyszy, jak ktoś mówi wiersze. Miała też zrozumieć, że tego wieczoru był dodatkowo skłonny do wzruszeń, bo w łoży zlitowano się nad nim i pozwolono, by znowu złożył przysięgę. Po raz trzynasty. Kiedy uzyskiwał przebaczenie, zawsze robił się nieco płaczliwy.

Augusta też złożyła przysięgę. Po raz pierwszy i ostatni. Razem z Izaakiem musiała długo czekać w przedpokoju, zanim niewysoki mężczyzna otworzył drzwi i zadał jej zgodne z rytuałem pytania. Czy Augusta pragnie przestrzegać praw i przepisów łoży pod warunkiem, że nie będą one sprzeczne z jej chrześcijańskimi i obywatelskimi obowiązkami? Czy chce złożyć solenną obietnicę, że przez całe życie będzie się

powstrzymywać od picia oraz częstowania innych wszelkimi napojami wysokowymi? Czy wierzy w Boga wszechmocnego, który nad wszystkim panuje i wyznacza prawa?

Na każde pytanie odpowiedziała krótkim „tak”, dokładnie tak, jak należało.

– Chociaż tak naprawdę to w Boga nie wierzyłam – wyznaje Alicji czterdzieści pięć lat później. – Ani odrobinę. Dziecko z ochronki szybko dochodzi do wniosku, że w niebie nie dostanie więcej niż na ziemi. Poza tym nigdy nie zdołałam pojąć, dlaczego ten ktoś w górze oczekuje, że będę mu niezwykle wdzięczna za to, że mogłam się pojawić na tym świecie. Wszystko, co dostałam, to sierociniec i skąpi chłopci, którzy potrzebowali mnie do wyrywania cebuli od wczesnego rana do wieczora. Tak że znajomość z Bogiem zerwałam zaraz po konfirmacji.

Alicja zbiera w garść szpilki do włosów i podchodzi do komody.

– Ale Dobrym Templariuszom powiedziałaś, że wierzysz...

Augusta wzrusza ramionami.

– A co innego miałam zrobić? W tamtych czasach nie można było opowiadać, że nie wierzy się w Boga. Szczególnie jeśli się było wyrzuconą służącą z dzieciakiem na ręku. Na litość boską, gdyby Templariusze poprosili mnie o to, przysięgałabym nawet, że las jest fioletowy. Byli dla mnie dobrzy. Byli najlepszymi ludźmi, jakich kiedykolwiek spotkałam. Zanim dostałam pracę w kuchni, w Hallstavik, przez kilka tygodni mogłam mieszkać w siedzibie łoży. A kiedy przyszedł czas na przeprowadzkę, pomogli mi wynająć ławę w kuchni u rodziny Hägg – to byli porządni, niepijący ludzie. Selma, to znaczy pani Hägg, podjęła się nawet opieki nad Olgą w ciągu dnia. Tak, tak. Oczywiście musiałam jej za to płacić, ale i tak... Czysto u nich było, ładnie i nikt nie świdrował mnie oczami i nie gadał o bękartach i dzieciach z sierocińca. Zapewniam cię, że była to dla mnie nowość. Nie miałam więc problemów z zaakceptowaniem ich pobożności, w niczym mi nie szkodziła. Zresztą nikt nie traktował jej zbyt poważnie, naprawdę ważne były inne sprawy...

Augusta zawiesza głos w ów znaczący sposób, który ma sugerować, że chce usłyszeć pytanie. I Alicja pyta:

– Jakie sprawy? Trzeźwość?

Augusta prychnęła.

– Trzeźwość? Trzeźwość nie była ważna, była czymś oczywistym. Nigdy w życiu nie spróbowałam alkoholu i nie miałam zamiaru tego zrobić. Święty Jezu! Kiedy miałabym pić? I po co?

Znowu pełna wyczekiwania cisza. Alicja wkłada grzebień do kieszeni sukienki i w milczeniu zaczyna pleść warkocz. W jej oczach pojawia się lodowaty błysk. Jak było naprawdę? Czy Augusta opowiedziała kiedykolwiek Dobrym Templariuszom, że w swojej

torbie miała małą flaszkę wódki i że podawała swojemu dziecku umoczony w wódce gałganek jeszcze długo po tym, jak złożyła przysięgę? Czy już wtedy czuła, że wstyd z tego powodu będzie prześladował ją przez całe życie, że będzie tkwił w niej jak cierni nawet w późnych latach pięćdziesiątych? Czy kiedykolwiek przyznała się przed którymś z braci lub którąś z sióstr z łoży – lub chociaż przed sobą samą – że po zniknięciu Olgi poczucie winy stało się dla niej tak wielkim ciężarem, że niemal nie była w stanie go udźwignąć? Czy w ogóle rozumie, że chodziło właśnie o poczucie winy? Tylko o nie. Nigdy o tęsknotę.

Oczywiście Alicja nie zadaje tych pytań. Nie gryziesz ręki, która cię karmi. Kiedy skończy się lato, będzie sobie mogła gryźć każdą rękę, którą ugryźć jej się spodoba, bo wyjedzie wtedy do Sztokholmu, żeby rozpocząć samodzielne życie – pod warunkiem, że w ogóle uzna, że warto żyć. Do tego czasu dom Augusty jest najmniej odpychającym z możliwych rozwiązań. Alicja poddaje się więc i zadaje w końcu pytanie, na które czeka Augusta:

– No to co było ważniejsze od trzeźwości?

– Sprawy obywatelskie. To, że mówili o moich obowiązkach obywatelskich. To mi się podobało. Nie rozumiałam tego, ale mi się to podobało...

– Aha, a jakie były te twoje obowiązki obywatelskie?

– Tego właśnie nie byłam do końca pewna... Jako kobieta nie mogłam być powołana do wojska, a podatków też nigdy nie płaciłam, nawet nie wiedziałabym, jak to zrobić. A że taka jak ja mogłaby mieć prawo głosu, nie, ta myśl nigdy nie przyszła mi do głowy. A jednak... Podobało mi się słowo. Lubiłam myśleć o sobie: obywatelka. Był to w istocie najzaszczytniejszy tytuł, jaki mógł mieć ktoś taki jak ja, już w tamtym czasie to rozumiałam.

Augusta po raz kolejny teatralnie zawiesza głos, żeby poczekać na kolejne właściwe pytanie, ale Alicja milczy i pośpiesznie plecie jej warkocz. Rozpoznaje tę uwerturę: jeżeli Augusta otrzyma teraz najmniejszą zachętę, zacznie swoje gadki polityczne, których Alicja nie ma siły słuchać. Dostatecznie dużo już usłyszała o wszystkich bojach Augusty, o chlubnej walce o prawo do głosowania i o bohaterских bojach z gruźlicą, o wszystkich jej zwycięstwach nad pluskwami i burżuazyjnymi draniami. Wie, że wszystkie owe potyczki były potrzebne i chwalebne i że Augustcie należy się wdzięczność, ale nie chce więcej o tym słuchać.

Może to dziedziczne, myśli, pochylając się niżej nad warkoczem. Ojciec też robi się zupełnie zielony na twarzy, kiedy Augusta zaczyna mówić o polityce. Uważa, że skoro został inżynierem i dyrektorem, musi głosować na centrową Partię Ludową. Mama głosuje na prawicę i nie przychodzi jej nawet do głowy, żeby się tego wstydzić, ale tata się wstydzi. Wije się jak robak za każdym razem, kiedy Augusta zaczyna opowiadać o przeszłości...

Augusta odchrząkuje wyczekująco, w tym samym momencie Alicja zahacza wzrokiem o jej kark. Jest mokry od potu, chociaż w pokoju panuje chłód. Alicja szybko cofa rękę, odrobinę zaskoczona swoim wstrętem. Augusta chyba nic nie zauważa; siedzi bez ruchu z uniesioną brodą i zamkniętymi oczami. O Boże, myśli Alicja, wycierając rękę o spódnicę. Jest całkowicie pochłonięta swoją własną wspaniałością, można by ją pokryć spížem i postawić na jakimś rynku. Byłaby pomnikiem pychy przeszłości, pomnikiem pogardy, którą mają starzy dla młodych, ich odmowy przyznania, że historia nie traktuje tylko o tym, co kiedyś im się przydarzyło, ale także o tym, co teraz dzieje się z nami...

Augusta wydaje jeszcze jedno znaczące chrząknięcie, ale Alicja udaje, że nie rozumie. Nachyla się tylko niżej i splata ostatnie kosmyki w warkocz, potem kilka razy okręca koniec gumką i prostuje plecy.

– Gotowe – mówi, wyjmując z ust szpilkę do włosów, – Jestem zmęczona. Chcę się położyć...

To jawny bunt i jako taki musi zostać ukarany. Augusta ssie przez chwilę swoją sztuczną szczękę, potem rzuca Alicji szybkie spojrzenie.

– A narzuta?

Alicja zastanawia się sekundę, czy nie powiedzieć Augustcie, że przecież przez dwa miesiące nie tylko sama radziła sobie ze zdejmowaniem narzuty z łóżka, ale także ze sprzątaniem domu, gotowaniem i czesaniem włosów, zaraz jednak uświadamia sobie, że taka replika dałaby tylko Augustcie przewagę, której ta pragnie. Szybko podchodzi więc do łóżka i ściąga narzutę, składa ją i wiesza na poręczu. Augusta przygląda się jej, siedząc bez ruchu, ale kiedy Alicja zamierza już wyjść, zatrzymuje ją ręką.

– Poduszka – mówi.

Głos Alicji wyostrza się.

– Co poduszka?

– Trzeba strzepnąć poduszkę...

Alicja strzepuje poduszkę, prostuje się i patrzy na Augustę, która zawinęła warkocz wokół jednej dłoni i teraz mu się przygląda. Wygląda, jakby zamierzała siedzieć na tym taborecie przez całą wieczność.

– Kołdra – rzuca, nie podnosząc wzroku.

Alicja nachyla się nad łóżkiem i odgina jeden z rogów kołdry w staranny, mały trójkąt, potem znowu odwraca się do Augusty.

– Laska – mówi Augusta.

Alicja chwyta laskę, która stoi oparta o ścianę, i wyciąga ją przed siebie. Augusta ją bierze, ale nie wstaje.

– Muszę się oprzeć na twoim ramieniu – mówi.

Jeszcze niecałą godzinę temu kręciła się po kuchni bez laski i bez służącego wsparciem ramienia. Alicja nadstawia ramię, żeby Augusta mogła się go schwycić. Babka człapie w kierunku łóżka, a wówczas z jej ciała wydobywa się kwaśny zapaszek, który nadal unosi się w powietrzu, kiedy Augusta ostrożnie wyjmuje sztuczną szczękę i wrzucają z pluskiem do szklanki z wodą.

– O co chodzi? – pyta, uśmiechając się do Alicji przewrotnym uśmiechem. – Błado wyglądasz. Źle się czujesz?

W POŁOWIE DROGI NA LOTNISKO ALICJA gwałtownie przyhamowuje i stuka się w czoło. O nie! To niemożliwe!

A jednak możliwe, wystarczy, że włoży rękę do torebki, żeby się o tym upewnić. Stary klucz ma bardzo wyraźny kształt spoczywa w jej dłoni ciężki i chłodny. Alicja zjeżdża na pobocze, parkuje tuż przy samym rowie i wyjmuje komórkę. Mijają trzy sygnały, zanim ktoś odpowie. To Kåre – ma ochrypły, stłumiony głos.

– Obudziłam cię? – pyta Alicja.

Słyszysz, jak Kåre się porusza, może siada na łóżku.

– Nie, nie spałem. Położyłem się tylko na chwilę, żeby odsapnąć...

– Jest Marianna?

Kåre ziewa.

– Nie, pracuje...

Przez głowę Alicji przelatuje błyskawicznie pytanie. W pracy? W niedzielę? Potem sobie przypomina. W fabryce w niedziele też się pracuje.

– Oj...

Kåre odchrząkuje.

– Coś ważnego?

Alicja krzywi się lekko.

– Właśnie się zorientowałam, że zapomniałam zostawić wam klucz do domu Augusty... Mam go w torebce. Dzisiaj już nie zdążę wrócić do Hallstavik, jestem w połowie drogi do Sztokholmu i za pół godziny odbieram Larsa z lotniska...

– Aha – mówi Kåre – no cóż, nic na to nie poradzimy.

– Czy mógłbyś powiedzieć Mariannie, że w przyszłym tygodniu przyślę jej klucz? Albo sama go przywiozę. Nie musi się martwić o dom, zrobiłam wszystko co trzeba przed zimą. Spuściłam rolety i tak dalej.

– A woda? – pyta Kåre. – Wyłączyłaś wodę?

Alicja jeszcze raz się krzywi i zamyka oczy.

– Oczywiście – mówi. – Wszystko jest w porządku. Wszyściutko.

Dlaczego skłamała? Dlaczego musiała skłamać?

Wjeżdżając z powrotem na drogę, przygryza wargę. Czasami zastanawia się, czy nie ulega przedwczesnej demencji. Ciągle czegoś zapomina. Kluczy. Zamknąć wodę. Kiedy Lars wraca do domu i kiedy znowu wyjeżdża. Wywiązać się z domowych obowiązków. Wyjeżdżając na kongres, Lars był obrażony: w ostatniej chwili musiał sam uprać kilka koszul, bo dzień wcześniej Alicja zapomniała zajrzeć do kosza z brudnymi rzeczami. Nie żeby coś powiedział, nie przeszłoby mu przez głowę, że mógłby sobie *życzyć*, żeby Alicja prała jego koszule – w końcu nie jest neandertalczykiem – ale kiedy szukał plastikowej torby w kuchennej szufladzie, miał mocno zaciśnięte wargi i gwałtowne ruchy. Koszule były jeszcze wilgotne, będzie musiał rozwiesić je do wyschnięcia w pokoju hotelowym w Chicago.

Sprawa z kluczem i wodociągiem jest jeszcze gorsza. Alicja nie tylko zapomniała. Skłamała. Idiotycznie; zupełnie bez sensu i zupełnie idiotycznie. Nie doszłoby do tego, gdyby Andżelika się tak nagle nie pojawiła. W tej dziewczynie jest coś bardzo niepokojącego, coś, co sprawia, że Alicja ma ochotę się bronić. Tak. Miałaby ochotę jej powiedzieć: widzę, że potrzebujesz zainteresowania i opieki, ale nie przychodź z tym do mnie, bo ja nie wiem, jak można ci pomóc...

Uch. Alicja przyciska mocno gaz, silnik wydaje pomruk niezadowolenia. Fakt, że sama zapomina, kłamie i zawodzi innych, nie jest chyba winą tej dziewczyny! Więc na kogo można ją zrzucić? Na Krystiana? Oczywiście, że tak. On jest winny wszystkiemu. Gdyby jego pocztówka nie wywołała burzy w jej głowie, może umiałaby zachować się wobec Andżeliki jak poczuwająca się do odpowiedzialności osoba dorosła. Zadzwoiłaby może do kogoś. Do opieki społecznej. Albo do szkoły. Czy coś w tym rodzaju.

Ze złości aż się w niej wszystko gotuje. Oczywiście, że to wina Krystiana! To i wszystko inne też. Stare rany zdążyły się już prawie zagoić, kiedy ta pocztówka od niego na nowo je rozdrapała. Już prawie zapomniała, ale on zmusił ją do wspomnień.

Tak właśnie jest. Gdyby nie dostała pocztówki od Krystiana, ona i Lars mogliby nadal żyć w przyjemnym, umiarkowanym klimacie starego małżeństwa. Nie za zimnym. Nie za gorącym. Nawet nie za ciepłkowatym: czasem ochłodziłby ich lodowaty wicher wściekłości, a przez ich noce przewinęłoby się nieraz rozżarzone pasmo pożądania.

Obecnie dni wypełnione są podmuchami mroźnego wiatru, ale przez ich noce nie przemyka pożądanie. Nigdy. Sypialnia zamieniła się w salon, gdzie spotyka się dwoje obcych ludzi, którzy rozbierając się, wymieniają między sobą uprzejmości. Przez cały czas mówią, ale nie wypowiadają nawet słowa na temat tego, co zaprzęta ich myśli. Pozostawiają to swoim plecom, karkom, oczom i rękom.

Ukradkowe spojrzenie: Masz ochotę?

Zatrzymana w pół drogi ręka: Czy ja wiem? No tak. Jeśli ty chcesz...

Nagie plecy zakrywa prędko góra od pizamy: Och, zresztą. To nie takie ważne. Przynajmniej nie dla mnie.

Rozpięty stanik odsłania pierś: Ale to już tak dawno...

Ręka chwyta budzik: No tak. Ale cóż. Jeśli nie masz ochoty.

Rozpuszczony węzeł na karku, długie na pół metra włosy rozsypują się na ramionach: Tego nie powiedziałam.

Sztywniejące plecy: Doprawdy? To co powiedziałaś?

Kiedy Alicja wślizguje się do łóżka, Lars ma zamknięte oczy.

– Jesteś zmęczony? – pyta, próbując ukryć swój niepokój za okularami do czytania.

– Tak – odpowiada Lars. – Bardzo.

– To może będzie ci przeszkadzać, jeśli chwilę poczytam?

– Wszystko jedno.

– Myślę, że jednak zgaszę – mówi Alicja, odkładając książkę. – Tak właśnie zrobię.

– Mhm.

– Jesteś zły?

– Zły? Dlaczego miałbym być zły?

– Och, tak tylko pomyślałam... to dobranoc.

– Dobranoc.

Nie możemy żyć w ten sposób, myśli Alicja, dodając gazu i zerkając na zegarek. Trzeba coś z tym zrobić. Tylko co?

Przez sekundę widzi siebie naciągającą na głowę Krystiana plastikową torbę i uszczelniającą ją wokół szyi brązową taśmą klejącą. Wykrzywia się w autoironicznym grymasie: genialny pomysł. Faktycznie konstruktywny. Zabicie Krystiana naturalnie rozwiązałyby wszystkie jej problemy. W szczególności małżeńskie.

Alicja wzdycha i obmacuje pusty fotel pasażera obok siebie. Gdzie jest jabłko, które zerwała w ogrodzie Augusty? Tutaj. Chwyta je łapczywymi palcami, nie odwracając wzroku od drogi; wie, że jabłko jest tak jasne, że niemal przezroczyste. *Transparent blanche*. Miękkie, nie stawia oporu zębom, kwaskowe i soczyste. Delikatny gatunek, owoce trzeba jeść zaraz po zerwaniu, nie mogą leżeć w misce albo na talerzu, bo już po paru godzinach na bladej powierzchni pojawią się wielkie brązowe plamy. Jabłko dla paniuś, mrucała w swoim czasie Augusta. Gdyby Izaak trochę pomyślał, kiedy sadził to drzewo, to dopilnowałby, żeby wybrać gatunek, który można przechowywać.

Tylko skąd Izaak miałby to wiedzieć, myśli Alicja. W świecie, z którego pochodził, nie było jabłoni, tylko skaliste wyspy i szkiery. Musiał wynurzyć się z dna morza mniej więcej w tym samym czasie, w którym Augusta wypęzła z kartofliska. Sierota, on też. Uniknął jednak sierocińca: tułał się po rodzinach rybaków na najdalszych krańcach archipelagu, aż do tej wiosny, kiedy skończył trzynaście lat i zaczął jeść jak smok. Wtedy zostawiono go na brzegu w Herräng, żeby sam sobie radził. Jakoś mu się to udawało, chociaż zrobił się tak chudy, że aż w nim wszystko grzechotało, kiedy szedł do kopalni.

W byciu porzuconym jest coś szczególnego, myśli Alicja, nadgryzając jabłko. To coś zjada człowieka. Wysysa szpik z jego kości...

U Augusty nie było to nigdy widoczne, chowała się za swoimi wielkimi piersiami słuszności i wałkami tłuszczu dumy. Ale u Izaaka tak, chociaż był wielkim chłopem, który porządnie jadł, jeśli tylko było w domu jedzenie. Harald powiedział kiedyś, że zawsze wyglądało to tak, jakby Augusta jadła zamiast Izaaka, ale był niesprawiedliwy. Augusta zawsze pilnowała, żeby Izaak miał dużo jedzenia. Kiedy skamieniał, karmiła go trzy razy dziennie smakołykami, na które w zasadzie nie było jej stać: puddingiem ryżowym, tłustym mlekiem, kiełbasą wieprzową, kanapkami z syropem, pszennymi bułkami i innymi pysznościami. Izaak posłusznie otwiera! usta, kiedy podsuwała mu łyżkę, gryzł i przełykał, ale mimo to z każdym tygodniem był coraz bardziej wychudzony. Oczy zapadły mu się głębiej w czaszkę. Skronie zmieniły się w małe dołki. Zęby wysunęły się do przodu. Pod koniec był dosłownie jak kościotrup. Bardzo schludny kościotrup, który siedział bez ruchu przy stole w kuchni, ubrany w kombinezon z zakładów Fristad, który nawet po kilku latach był tak samo sztywny, jak wtedy, kiedy był nowy.

Droga jest wąska i kręta, ale Alicja jeszcze przyśpiesza. Zaraz będzie w Gottröra, już teraz widzi z oddali, jak samolot opuszcza nad lasem swój srebrny tułów i podchodzi do lądowania. Może to ten, w którym jest Lars. Jeśli tak, to mąż będzie musiał czekać prawie kwadrans, nim Alicja się zjawi. A wtedy będzie naprawdę zły.

Ta myśl sprawia, że rozszerzają jej się pory na nosie i wypuszczają mikroskopijne kropelki potu. Alicja pociera nos palcem, a przez głowę przelatuje myśl – tak błyskawiczna, że prawie nieuchwytna: Dlaczego się go boję? Dlaczego zawsze boję się tych, którzy powinni być mi najbliżsi?

Lars, który czeka na nią przed halą lotów zagranicznych, wcale nie jest zły. Wręcz przeciwnie. Alicja widzi, jak się śmieje i rozmawia. Obok niego stoi niewysoka kobieta, odrzuca złotobrzazowe włosy, w orzechowych oczach iskrzy się śmiech. Alicja, wysiadając z samochodu, dotyka dłonią niedbałego węzła włosów na karku. Czy pamiętała dziś o makijażu? Nie jest tego pewna.

Lars uśmiecha się i całuje ją szybko w policzek.

– *This is Alice. My wife* – mówi. – *And this is Corrinne, a friend and colleague from Chicago.*

Corrinne uśmiecha się promiennie.

– *Nice to meet you, Alice. Lars has told me about you.*

Byłoby prościej, gdyby dało się nią gardzić. Ale się nie da. Corrinne nie ma nic wspólnego z wulgarnym wyobrażeniem o Amerykance, nie wydaje z siebie przesadnie entuzjastycznych okrzyków, kiedy Lars proponuje, że odwiozą ją do hotelu, nawet nie świergocze jak kanarek. Przeciwnie – milczy na tylnym siedzeniu, a kiedy w końcu odzywa się, mówi lekko przytłumionym altem, co być może – ale tylko być może – wskazuje na to, że pali. Z drugiej strony, nie wydaje się to szczególnie prawdopodobne: wszystko w jej wyglądzie świadczy o tym, że jest osobą, która o sobie dba. Szczupłą, ale nie chudą. Dobrze uczesaną, ale nie wyfiokowaną. Jej paznokcie są starannie opiłowane i wypolerowane, ale nie ma na nich lakieru. Nie próbuje ukrywać wieku: lata zostawiły kilka cienkich linii na jej szyi, ale skóra twarzy jest gładka i miękka jak aksamit. Przerzucony przez ramię szalik w kolorze *écru* idealnie pasuje do oliwkowego zakietu. To kaszmir. Alicja dałaby sobie głowę uciąć, że tak jest.

A friend and colleague... Czyli jest matematyczką. Być może także wybitną: Lars mówi do niej tym lekko przyciszonym tonem, którego używa w stosunku do kolegów zasługujących na szacunek. Może to dlatego przez całą drogę siedzi na wpół odwrócony do tyłu. Z Alicją zdążyli wymienić jedynie kilka szybkich uśmiechów.

Corrinne będzie mieszkała w małym hotelu obok parku Tegnérlund. Dziękując za podwiezienie, szybko ściska rękę Alicji i uśmiecha się bladym uśmiechem, a Lars wnosi jej walizki. Alicja czeka za kierownicą, zostawiła silnik na jałowym biegu i przez szklane drzwi obserwuje, jak Lars i Corrinne kontynuują swoją rozmowę w holu hotelowym. Nagle widzi, że Lars obejmuje dłońmi białą rękę Corrinne, układa je w muszlę, w której znika jej dłoń.

Alicja szybko odwraca wzrok. Właściwie to jak teraz wygląda? Czy powinna się przeczesać? Pociągnąć usta szminką? Przekręca wsteczne lustro i przygląda się swojemu odbiciu. Oczy, które na nią spoglądają, należą do szesnastolatki. Tylko że ta szesnastolatka ma obwisłe powieki.

Po powrocie do domu wszystko jest znowu tak jak zawsze. Alicja wkłada rzeczy do pralki, a Lars przegląda zaległą pocztę. Rozmawiają ze sobą ścisłym głosem. Nie żeby mieli dużo do powiedzenia: przez ostatni tydzień głównie zajmowali się pracą. Fraktale są dla Alicji czarną magią, a dla Larsa dziedzictwo kulturalne społeczeństw industrialnych to

jakaś bzdura. Na szczęście Peter zostawił na sekretarce wiadomość i mogą mówić o tym. Jedzie do Paryża. W środku semestru. Czy on nigdy nie zamierza dorosnąć?

Później jedzą szybką kolację. Lars kładzie obok swojego talerza jakieś papiery, Alicja przez chwilę przygląda się odwróconym do góry nogami równaniom, potem przenosi wzrok w stronę okna. Na dworze pod uliczną latarnią migają małe, ruchliwe sreberka. Zaczyna padać. Alicja nadgryza swoją kanapkę z serem i rzuca okiem na zegarek. Już siódma. Zostało siedemnaście godzin. Za szesnaście i pół godziny musi podjąć decyzję. Ostateczną.

– Jakie masz plany na przyszły tydzień? – Teraz mówi zdecydowanym tonem. – Jakież wyjazdy?

Zaskoczony Lars podnosi wzrok, przez chwilę wygląda tak, jakby jej nie poznawał.

– Nie – odpowiada w końcu, potrząsając głową – żadnych wyjazdów. Ale kilka razy mogę wrócić późno wieczorem... Mam sporo rzeczy do nadrobienia, wiesz, jak to jest. Jutro mamy duże seminarium.

Alicja wstaje i zaczyna sprzątać ze stołu.

– Z Corrinne?

Lars kiwa głową, przez sekundę na jego twarzy maluje się wahanie, potem znowu zanurza się w swoich papierach. Alicja uśmiecha się krzywo.

– Domyślam się, że potem będzie kolacja.

Wygląda na to, że prawa natury przez moment nie działają, bo mija pół minuty, zanim fale dźwiękowe docierają do Larsa. Najwyraźniej są też znacznie osłabione, gdyż Lars nie rozumie, co Alicja powiedziała – kiedy podnosi na nią wzrok, wygląda na zbitego z tropu.

– Co? Co mówiłaś?

Alicja przeciera szmatką blat, jej ręka zatrzymuje się przy malej plamce i zaczyna ją trzeć. Nagle czuje, że ma dosyć samej siebie. Ironia to wyjście dla tchórzy. Co uprawnia ją do złośliwości? Wzdycha i odwiesza szmatkę na kran. Musi dać temu spokój. Pozwolić, żeby między Corrinne i Larsem stało się to, co i tak musi się stać.

– Ja też będę bardzo zajęta w tym tygodniu – mówi. – Przynajmniej do czwartku. A w piątek muszę przecież znowu pojechać do Hallstavig. Zapomniałam oddać klucz od domu Augusty. I wyłączyć wodę.

Lars mruczy w odpowiedzi, jeszcze zanim Alicja skończy zdanie, potem opiera się na stole łokciami i zasłania rękami uszy. Wygląda jak chłopiec. Bardzo krótkowzroczny chłopiec.

– A jutro spotykam się z kimś na lunchu – informuje Alicja. – To bardzo ważny lunch.

– Mhm – odpowiada Lars – to dobrze...

Następnego ranka budzi ją własny płacz. Nigdy wcześniej jej się to nie przytrafiło.

W pokoju musi palić się światło, świat za jej powiekami jest ciepłoczerwony. Alicja leży z zamkniętymi oczami. Teraz Lars grzebie w szafie. Może coś usłyszał. Może nareszcie się dowiedział. Słyszy, jak mąż idzie przez sypialnię i staje przy jej łóżku.

– Alicjo – mówi ściszym głosem – już wychodzę.

Nie. Nic nie zauważył. Na pewno nie wie. Gdyby tak było, nie pochyliłby się nad nią, muskając wargami jej policzek. Ona w odpowiedzi na w pół sennie kiwa mu ręką, ale nie otwiera oczu.

Po jego wyjściu powraca do niej ten sam sen. Garderoba na poddaszu w domu Augusty. Wózek. Dziecko. Chłopczyk z długimi rzęsami: są ciemne i wygięte w łuk, jak cień padający na policzki. Jest bardzo zmęczony, ale kiedy Alicja pochyła się nad wózkiem, otwiera oczy. Białka jego oczu nie są zamglone, porcelanowoniebieskie, jak u innych niemowlaków, lecz oślepiająco białe, zupełnie jasne.

– Czy to ty jesteś moim synkiem? – szepcze Alicja. – Moim synkiem, którego nie pozwolono mi zatrzymać?

Widzi, że chłopczyk jest coraz bardziej zmęczony. Nie ma siły odpowiedzieć, potrząsa tylko głową. Nie. Nie jest jej synkiem. Mimo to ona podsuwa mu rękę pod głowę i podnosi go, przesuwa ustami po ciemiączku, które przywodzi jej na myśl ptasie jajka i puch pisklęcia. Mały szuka ustami jej piersi, znajduje i zaczyna ssać. Mleko sprawia, że robi się ciężki. Niesamowicie ciężki. Tak ciężki, że Alicja prawie nie ma siły, żeby go utrzymać.

To właśnie wtedy widzi, że przyciska do piersi kamień.

Tym razem, zamiast zacząć płakać, otwiera oczy.

Wypłakała się już.

Wczoraj można było udawać, że ciągle jeszcze jest lato, dzisiaj trzeba przyznać, że jest już jesień. Kiedy o świcie Andżelika biegnie do domu z wychodka, nie może obronić się przed chłodem, ziąb wciska się w nią przy każdym oddechu, rozprzestrzenia się od winogronowych kiści płuc do najpiękniejszej delty naczyń krwionośnych, rozciąga się po niej i napręża całe ciało, które przez noc zrobiło się miękkie i bezbronne. Andżelika dygocze jeszcze wtedy, kiedy już wślizgnie się przez kuchenne okno i zamknie je za sobą. Stoi pośrodku kuchni z drżącymi kolanami i obejmuje się ramionami, próbując się

rozgrzać. Przez chwilę kusi ją, żeby napalić w piecu: wie, jak to zrobić, aż do zeszłego roku Siri też miała taki staroświecki żelazny piec. Ale to zbyt duże ryzyko, dym byłby widoczny z daleka, a koło białego domu dałoby się też poczuć jego zapach. Andżelika wie o tym. Na pewno. Kiedy mieszkała u Kristoffera, jego mama cały czas narzekała, że jacyś sąsiedzi na drugim końcu wioski przez cały dzień palą w piecu. Uważała, że to śmierdzi. Andżelika musi spróbować ogrzać się w jakiś inny sposób. Może mogłaby wymoczyć stopy w ciepłej wodzie, Siri tak robiła.

Kiedy największy w domu garnek stoi już na kuchence, Andżelika idzie na górę, żeby pościelić łóżko. Kiedy wróci dziś wieczorem do domu, chciałaby, żeby garderoba wyglądała tak samo zachęcająco jak wczoraj. Dlatego naprawdę porządnie wygładza prześcieradło i strzepuje poduszki. Potem – niezupełnie rozumiejąc dlaczego – wkłada jeden z zeszytów pod poduszkę. Musiała na nim spać i dziś, kiedy obudziła się rano, leżał pod jej policzkiem...

Sukienka w szkocką kratę, wisząca na haku, wygląda na całkiem znoszoną, zupełnie jakby nocą wyparowały z niej ostatnie resztki świetności. Układana spódnica obwisła, na pojedynczej nitce dynda apatycznie guzik, fastryga, którą przyszyto bawełniany kołnierzyk, zaczyna pękać. Andżelika zdejmuje sukienkę i przykłada ją do siebie, przesuwa ręką po talii i przez chwilę zastanawia się, jak to było być licealistką w latach pięćdziesiątych, dziewczyną, której noszenie takiej sukienki wydawało się czymś zupełnie naturalnym. Czy byłaby przez to tak samo sztywna jak Alicja? Czy nauczyłaby się uśmiechać, nie rozchylając ust, i zamilknąć na zawsze na temat swoich tajemnic? Tak. Tak by się stało. Milczeć potrafi już teraz.

Materiał jest bardzo miękki, tak miękki, że Andżelika aż musi podnieść jeden rękaw i przesunąć nim pod nosem. Słaby zapach perfum ożywia pytania, które pojawiły się, kiedy nocą przeglądała niebieskie zeszyty. Dlaczego Alicja nie zrobiła wtedy skrobanki? Dlaczego nie mogła chodzić do szkoły? Co się tak naprawdę stało z jej dzieckiem? Słaby zapach oregano wnika pomiędzy śluzówki nosa. Andżelika kuli ramiona i puszcza rękaw.

Fantazje! W zeszłym tygodniu miała przecież miesiączkę.

Chwilę później siedzi przy kuchennym stole, na którym stoi śniadanie – filiżanka herbaty i jabłko – trzymając stopy w dużym garnku. Nie znalazła żadnej miednicy do moczenia nóg. Woda jest tak gorąca, że aż paruje, powoli po ciele dziewczyny rozchodzi się ciepło.

Dziś ma cztery godziny rysunku. Na myśl o tym uśmiecha się i odgryza duży kęs jabłka. Cztery godziny! Nie zna jeszcze innych osób z profilu artystycznego, trochę boi się ich czarnych ubrań i lśniącego bielą zębów uśmiechu. Jeszcze bardziej boi się Ilony, nauczycielki rysunku, która jest podobno prawdziwą artystką na wakacjach. Ale i tak cieszy się każdą chwilą w pracowni plastycznej. Ciszą. Powagą. Intensywnością. W zeszły

poniedziałek tak gorliwie pracowała nad szkicem swojej własnej zaciśniętej lewej ręki, że nie zauważyła, że lekcja się skończyła, a wszyscy w klasie pozbierali swoje ołówki i pozamykali bloki. Dopiero kiedy Ilona położyła jej rękę na ramieniu, Andżelika podniosła oczy i zmieszana rozejrzała się dookoła.

– To się nazywa koncentracja – wyjaśniła nauczycielka na swój nieco podniosły sposób. – Wielki dar.

Dopiero wtedy Andżelika zauważyła, że cały czas trzyma przed oczami zaciśniętą pięść, opuściła ją i potarła ręką o uda. Jednocześnie wypatrywała na twarzach wokół niej złośliwych uśmiechów i uniesionych brwi. Ale nie, nikt nie uśmiechał się pogardliwie, nikt nie krzywił ust do wypluwania uszczypliwości podczas przerwy, wyglądało na to, że wszyscy uważają, iż to, co się stało, jest całkowicie normalne.

Później czuła się wypoczęta. Tak jakby przez całą noc w miękkim łóżku marzyła o zupełnie innej Andżelice. To uczucie trwało do chwili, kiedy wsiadła do autobusu: wtedy pękło jak bańka mydlana, nie zostawiając po sobie żadnego śladu.

Dzisiaj znowu powróci. Dzisiaj wniknie w nią i już zostanie. Jest tego pewna. Przecież teraz mieszka sama w domu Augusty.

Jestem wolna, myśli, poruszając lekko palcami u nóg w ciepłej wodzie. Tak właśnie czuje się człowiek, który jest całkowicie wolny.

Właśnie dlatego musi być też bardzo ostrożna. Biały dom stanowi problem: Andżelika nie może przechodzić obok domu rodziców Kristoffera za każdym razem, kiedy dokądś idzie albo skądś wraca; wcześniej czy później Ann-Katrin zobaczy ją i będzie próbowała wściubić swój długi, wąski nos w nie swoje sprawy. Andżelika musi znaleźć jakąś drogę naokoło, może po prostu powinna wydeptać własną ścieżkę w lesie za domem.

Generalnie ma już wcześniej gotowy cały plan. Codziennie będzie łapała ranny autobus do Hallstavik, o porze, kiedy inni licealiści jeszcze się nawet nie obudzą. Już będąc na miejscu, pójdzie do zakładów przemysłowych w Skarsta i usiądzie tam na jakichś schodach. Chwilę poczyta podręczniki. Albo porysuje. Kiedy przyjdzie czas na pójście do autobusu, spokojnym krokiem pomaszeruje na dworzec autobusowy, nadchodząc dokładnie z tej strony, z której by szła, gdyby nadal mieszkała u Kariny.

Genialne. Absolutnie bezpieczne. Nie może się nie udać.

Wypełzając przez kuchenne okno, czuje, że ciągle jest jeszcze trochę zimno. Kiedy odwraca pieńek i przetacza go na bok, czuje na plecach szybkie dotknięcia chłodu. Pieńek nie powinien stać pod samym oknem: ktoś mógłby to zauważyć i zacząć sobie coś wyobrażać. Nie żeby to było szczególnie prawdopodobne, kuchenne okno jest z tyłu domu i nie widać go z drogi... Ale tak będzie bezpieczniej, strzeżonego pan Bóg strzeże.

Las za domem jest suchy i szorstki: pousychane gałęzie, kamienista ścieżka. Wygląda tak, jakby od wielu lat nie przechodził tędy żaden człowiek ani nawet zwierzę. Trudno iść, buty Andżeliki ślizgają się na brunatnym, zeszlórocznym igliwiu i utykają w niespodziewanych dołkach, ostre gałęzie drapią w policzki, kiedy dziewczyna potyka się o kamienie i na wpół zbutwiałe kupki igliwia. Kiedy się zatrzymuje, żeby zaczerpnąć tchu, widzi, że zza drzew na skraju lasu prześwituje czerwona ściana. To stajnia, tylna ściana stajni ojca Kristoffera. Spogląda szybko na zegarek. Facet na pewno już wstał. Gotowy do porannej przejażdżki. Ale nie ma obawy, że nadjedzie od tej strony: tata Kristoffera bardzo boi się o swoje pełnej krwi konie, a z daleka widać, że ten laszek mógłby zostawić głębokie zadrapania na ich delikatnych kłębach.

Nagle go widzi, mężczyzna wychodzi z otwartych na oścież drzwi razem z czarną klaczą. Regina. Regina znaczy „królowa”. To imię bardzo pasuje do tego konia, powiedziała któregoś dnia Ann-Katrin z tym łagodnym półśmiechem, któremu Andżelika nigdy nie ufała. Tym razem nie była podejrzliwa na wyrost: kilka dni później, stojąc obok drzwi kuchennych, usłyszała, jak Ann-Katrin wykrzykuje, że Bertil równie dobrze może się przeprowadzić do tego durnego konia. Kiedy Andżelika weszła do kuchni, Ann-Katrin znowu zrobiła się łagodna i pełna zrozumienia, ale ojciec Kristoffera nie zamierzał brać udziału w tej grze, wstał tak gwałtownie, że przewrócił krzesło, i wyszedł.

Regina ma świeżo wygrzebloną, błyszczącą sierść, ale brązowe siodło nie jest jeszcze przypięte, Andżelika widzi dyndające pod brzuchem konia rzemienie. Tata Kristoffera przykuca, żeby je chwycić, ale nie jest to takie łatwe, Regina cały czas się rusza, przebiera kopytami i odrzuca łeb, a facet łapie tylko powietrze. Jedną ręką przytrzymuje uzdę i podąża za ruchami zwierzęcia; wygląda to tak, jakby mężczyzna i koń tańczyli w szarym świetle poranka. Jednak nagle taniec przekształca się w coś innego. Tata Kristoffera prostuje się, otacza ramionami szyję Reginy i przysuwa policzek do jej grzywy. W tej samej sekundzie Regina uspokaja się i opuszcza łeb. Mężczyzna i koń przez chwilę stoją bez ruchu, tak blisko siebie, że wyglądają, jakby byli jedną istotą.

W pierwszej chwili Andżelika nie ma odwagi się poruszyć, wie, że jeśli nastąpi niechcący na suchy konar albo uschniętą gałąź, to trzask rozniesie się po całym Nordanäng. Ten odgłos sprawi, że stanie się widoczna, że nagle będzie miała kontury i kolory, obnaży ją przed oczyma taty Kristoffera. Andżelika nie chce, żeby mężczyzna ją zauważył, nie dlatego, że zostałaby przez to zdemaskowana, ale dlatego, że to on czułby się zdemaskowany. Trzeba go zostawić w spokoju, powinien być teraz tak samotny, jak mu się wydaje, że jest, kiedy stoi z policzkiem przyciśniętym do grzywy czarnej klaczy...

Ratuje ją wrona. Odlatując z czubka drzewa, budzi świat swoim śmiechem. Tata Kristoffera prostuje plecy i rozgląda się dokoła, potem się pochyla i zapina paski siodła. Regina potrząsa łbem, ale pozwala mu na to. W lesie Andżelika poprawia swój plecak i idzie dalej w kierunku szosy.

Godzinę później siedzi z zamkniętymi oczami, ulegle poddając się trzęsieniu autobusu. W zasadzie powinna być zadowolona. Udało się to, co sobie postanowiła: przez cały ranek była jak duch, zarazem widzialna i niewidzialna.

A jednak nie jest zadowolona. Zupełnie nie jest. Swędzi ją skóra, a w karku utkwił niczym bryłka ołowiu narastający ból głowy. Może po prostu jest głodna. Poza tym marznie, chociaż czuje, że w autobusie działa ogrzewanie. Tak jakby ciało nie pozwalało jej zapomnieć, jak zimno było, kiedy chodziła w kółko po terenie zakładów przemysłowych, szukając jakiegoś ustronnego miejsca, gdzie mogłaby usiąść. Zresztą żadnego nie znalazła: wszędzie było za dużo kręcących się ludzi, nie wiedziała, że zakłady otwiera się tak wcześnie... Jutro musi znaleźć jakieś inne miejsce. Bezpieczniejsze. Tym bardziej że dzisiaj przyjeżdża ze Sztokholmu Bakcyl. Autobusem o wpół do trzeciej.

Wzdycha, zmieniając pozycję, ale nie otwiera oczu. Ważne, żeby wyglądało, że drzemie. Nie jest przecież sama, obok niej siedzi mała, blada dziewczyna. Ma na imię Marion. Czy jakoś tak. Albanka. Albo Bośniaczka. Coś w tym rodzaju. Andżelika jej nie lubi, generalnie nie lubi ludzi, którzy się narzucają. A Marion właśnie to robi: każdego ranka i każdego popołudnia siada obok Andżeliki, chociaż nikt jej o to nie prosi. No, ale przynajmniej przestała gadać. W zeszłym tygodniu podejmowała nieustanne próby, szeptem zadawała pytanie za pytaniem tym swoim kaleczącym uszy szwedzkim. Kto jest najlepszym nauczycielem francuskiego? To ożywiście lepiej, że chodzą do żżkoły w Uppżżali, a nie w Norrtälje. A czy linia żżpołeczna to na pewno właściwa linia dla ożżoby, która chce być adwokatem? Bo Marion chce być adwokatem, tak samo jak jej tata. A co robi tata Anżżeliki? Czy Anżżelika wie, że Marion najpierw myślała, że ona też jest uchodżcą? Nie wie dokładnie dlaczego. Może to przez włosy, przez to, że włosy Anżżeliki nie są tak jasne, jak włosy innych ŻŻwedów. A może to przez ubranie. Czy coś jeszcze innego.

Każdego ranka tata Marion odprowadza ją do autobusu i każdego popołudnia odbiera ją na przystanku. Zawsze jest w garniturze i krawacie, chociaż nie ma już przecież kancelarii adwokackiej, do której mógłby chodzić, tylko niemal puste M-3 w tej dziurze na końcu świata, która zwie się Hallstavik. Dzisiaj narzucił na garnitur starą wiatrówkę. Groszkowo zieloną. Typowe lata osiemdziesiąte. Koleżanki Rebeki spojrzały na niego i zaczęły się śmiać: szmatex, szmatex! Siedząca obok Andżeliki Marion poprawiła się na siedzeniu, ale nie odezwała się. Andżelika też nic nie powiedziała, bo właśnie w tej samej chwili obok autobusu zatrzymał się srebrny samochód i otworzyły się drzwi po stronie pasażera. To właśnie wtedy Andżelika zamknęła oczy. Od tej pory ich nie otworzyła.

Autobus zakręca i Andżelika musi oprzeć się na siedzeniu przed sobą, żeby nie polecieć na Marion. Mam dziś cztery godziny rysunku, myśli. Muszę o tym pamiętać. Mieszkam w domu Augusty i mam dziś cztery godziny rysunku...

W tej samej chwili Alicja kopie stertę ubrań na podłodze sypialni w swoim mieszkaniu w dzielnicy Kungsholmen. Nic się nie nadaje. Szary kostium jest zbyt nudny. Zielony za bardzo pańciowaty. Ten w kolorze kości słoniowej przesadnie pretensjonalny.

Jak się ubrać na spotkanie przeszłości?

Jak się uczesać?

Przeczesuje ręką grzywkę i wpatruje się bezlitośnie w swoje odbicie w lustrze, zmuszając się do wyliczenia wszystkich niedoskonałości urody. Zmarszczki wokół ust. Początki drugiego podbródka. Na przedramionach cienie, które pokazują, że żyły zaczynają wydobywać się z głębi mięśni po to, by ułożyć się tuż pod skórą.

Siada na brzegu łóżka, krzyżując ręce na przeponie, próbuje wcisnąć głębiej niepokój, który gdzieś w tych okolicach się ulokował. Musi się opanować. Musi być rozsądna. Nie może pozwolić, żeby kierowały nią dziś uczucia.

No dobrze. Jak ma się ubrać kobieta niemal sześćdziesięcioletnia na spotkanie z mężczyzną, który ją kiedyś porzucił? Gdzie znaleźć biżuterię, która będzie błyszczała tak oślepiająco, że zaćmi blaskiem jej poníženie? Jak się uczesać, żeby ukryć swój ból, przesłonić poczucie beznadziei? Skąd wziąć ubranie, które ogrzeje ją teraz, kiedy nie tylko nie ma już w niej żaru, ale straciła też nadzieję, że żar może być w nim?

Nie. Nie zamierza się odstawiać. Nie będzie się ośmieszać przebierankami za podstarzałą seksbombę. Żadnych wysokich obcasów. Żadnej krótkiej spódniczki. Żadnego kuszącego dekoltu. Nie zamierza go uwodzić. Pragnie odpowiedzi. Chce zrozumieć jego postępowanie. To, co dzieje się w jego głowie.

Zesztywniałymi palcami wkłada spodnie i zamszową marynarkę.

Podczas przerwy na lunch pobladała z rozczarowania Andżelika stoi w kolejce po jedzenie, pozwalając, by popychano ją do przodu i do tyłu. Wylądowała na samym końcu, reszta klasy już siedzi i je. ścisnęli się razem, cała dwunastka zmieściła się przy jednym stole. Dla trzynastej nie ma już nawet centymetra.

Nie żeby miało to jakieś znaczenie. Siedzenie z resztą klasy o profilu artystycznym w niczym by nie pomogło. Wręcz przeciwnie, towarzystwo kolegów przypominałoby jej tylko, że w czasie rysunków nic się nie wydarzyło. Że nie zatraciła się. Że koncentracja nie chciała się pojawić, a ręka odmawiała posłuszeństwa. Że Ilona, oglądając rysunek Andżeliki, pokręciła głową. To był nieznaczny ruch, niemal niezauważalny, ale nie aż tak niezauważalny, żeby uszedł uwagi Andżeliki. Nagle sama też mogła zobaczyć swoje dzieło. Barbie. Kiepsko narysowana Barbie, zupełnie nie na temat...

– Ruszaj się, kurczę – mówi ktoś za nią. Jakiś chłopak.

– Bierzesz jedzenie czy nie?... – To dziewczyna.

– Raczej nie jest ci potrzebne... grubasie! – Inna dziewczyna.

Andżelika szybko spogląda przez ramię. Grubasie? Ta dziewczyna nosi ubranie co najmniej o jeden rozmiar większe. W domu, w Hallstavik, wysłałaby ją do wszystkich diabłów, teraz rzuca jej tylko spojrzenie i robi kilka kroków, likwidując lukę, która powstała, kiedy kolejka ruszyła się do przodu. Zapach jedzenia dławi, ale ona i tak wie, że musi jeść. To za darmo. Od piątku nie jadła nic ciepłego.

Kiełbasa jest zupełnie w porządku. Widzi to przecież. Może jest trochę zbyt wodnista, ale obtoczona w musztardzie skórka ma złocisty kolor, a środek jest czerwony i parujący. Piure wygląda jak zwykle piure ziemniaczane, przynajmniej wtedy, kiedy odsunie się na bok małe grudki nierozpuszczonego proszku. Tarta marchewka to fajerwerki optymizmu. Mimo to Andżelika musi przełknąć ślinę trzy razy, zanim odkroi kawałek kiełbasy i weźmie do ust pierwszy kęs. Nie da rady. Nie może... Pochyliła się nad talerzykiem i ostrożnie wypluwa na widelec pogryzioną kiełbasę; patrząc na nią, pociąga nosem. Cholera! Nie może tak być. Jest przecież okropnie głodna, dobrze o tym wie, tyle że jest też tak cholernie walnięta, że tego nie czuje...

– Ty wyrzutku – szepcze ktoś za jej plecami. – Ty chora kretynko. Brzydzę się tobą...

Andżelika nie musi się odwracać. Rozpoznaje ten głos. Mimo to prostuje plecy i opuszcza widelec na talerz. Potem siedzi tak, mrugając powiekami, aż mgła na oczach przeciera się, a ona znowu może dobrze widzieć. Cztery twarze dziewczyn odwracają się w jej kierunku z niemym pytaniem i przez chwilę Andżelika ma wrażenie, że jest znowu w podstawówce. Dopiero potem zdaje sobie sprawę z tego, że siedzi przy stole, przy którym siedzą już cztery inne dziewczyny z Hallstavik. Przez cały czas tu siedziały, ale żadna z nich nie wstała i nie zaczęła szeptać za plecami Andżeliki.

– Co się z tobą dzieje? – pyta Rebeka, unosząc brwi na widok pogryzionej kiełbasy.
– Chcesz sobie zafundować bulimię?

W tej samej chwili kelner stawia przed Alicją talerz. Ma rozfalowane płynne ruchy, gdyby ktoś obserwował go z daleka, mógłby pomyśleć, że jest tancerzem. Alicja tego nie zauważa, patrzy na swój makaron i przełyka ślinę. Nie jest pewna, czy da radę coś zjeść.

– Wygląda bardzo smacznie – mówi Krystian i wyciągając rękę przez stół, bierze butelkę z winem. Czekając na jedzenie, opróżnił swój kieliszek. Kieliszek Alicji jest jeszcze do połowy pełny, ale ona kiwa głową potakująco, kiedy Krystian zatrzymuje nad nim butelkę. Więc wypełnia go po brzegi, zanim sięgnie po swój. – To na zdrowie. Za naszą gorącą młodość.

Alicja widzi swoją rękę, która sięga po kieliszek i podnosi go do góry. To ciało podejmuje wszystkie decyzje, ona sama nie jest w nic zaangażowana. Wargi rozchylają się. Język przygotowuje się do zarejestrowania smaku jeszcze jednego łyku wina.

– Czterdzieści dwa lata – mówi cicho Krystian i potrząsa głową. – Mój Boże.

Alicja nabija na widelec wstążkę makaronu i przez chwilę patrzy na nią, zanim z powrotem opuści ją na talerz.

– Tak – przytakuje, uśmiechając się lekko. – To długi czas.

Dlaczego podejmuje tę grę? Dlaczego siedzi tu jak idiotka i konwersuje? Dlaczego nie wbije mu widelca w rękę? Dlaczego go nie podźga? Nie podziurawi?

Zabrał ją do restauracji na Fredsgatan. W budynku Akademii Sztuk Pięknych. Zdecydowanie minimalistyczny wystrój i bardzo drogo. Kiedy przyszli, lokal był niemal pełny, musieli przez chwilę posiedzieć w barze, żeby przygotowano im stolik. Krystian wyglądał tak, jakby swoje ubranie dobrał stosownie do tej chwili, stał się swoim własnym portretem. Ubrany na czarno mężczyzna w czerwonym fotelu. Teraz nie wygląda gorzej: jest zdaniem oznajmującym w restauracji, w której wszyscy inni mężczyźni są pytaniami. W tej chwili wszyscy oni zbierają się do wyjścia, przy stolikach złożone serwetki leżą obok pustych filiżanek po kawie.

Krystian nie spuszcza wzroku z Alicji. Błyszczą mu oczy. Uśmiecha się i je. Je i uśmiecha się.

– Dobry – mówi – chociaż oczywiście nie ma porównania z włoskim.

Alicja przesuwa widelcem po talerzu.

– Często jeździsz do Włoch?

– Mhm, Przez parę lat miałem dom w Toskanii. Razem z moją byłą dziewczyną.

Dziewczyną? To on ma dziewczyny? Mając niemal sześćdziesiąt lat? Alicja uśmiecha się słabo sponad swojego kieliszka, ale nic nie odpowiada. Krystian nabija makaron na widelec i kontynuuje:

– Zostawiłem go jej przy podziale majątku. Trudno się mówi. I tak nie mam czasu, żeby się wszystkim zajmować. Firma. Dom letni w Falkenberg. A w dodatku musiałem przejąć gospodarstwo, kiedy matka i ojciec umarli...

Trudno wychwycić jego smalandzki akcent, ale gdy mówi o rodzicach, samogłoski zaczynają lekko drżeć. Alicja odstawia kieliszek, ma wrażenie, że półuśmiech przyrósł jej do warg.

– A więc przejąłeś gospodarstwo?

– Mhm – przytakuje Krystian – musiałem. Należy przecież do rodziny już od stu siedemdziesięciu lat. Nie było nikogo innego, kto mógłby to zrobić. Brat ma czwórkę dzieciaków, ale żadnych pieniędzy. Ja za to mam pieniądze, ale żadnych...

Zła odpowiedź. Wygląda na to, że Krystian się zreflektował, bo przerywa i ucieka wzrokiem w bok. Alicja odwraca głowę i wygląda przez okno. Przed Rosenbad* zatrzymała się czarna limuzyna, z jednej strony wysiada chuda kobieta, z drugiej tęgi mężczyzna. Mężczyzna zatrzymuje się na chwilę i poprawia marynarkę. Krystian podąża za jej wzrokiem.

– Göran Persson – mówi.

– Mhm – zgadza się Alicja.

– Cholerny typ – mówi Krystian, sięga jeszcze raz po butelkę i nalewa resztkę wina do swojego kieliszka – gdybyś chciała wiedzieć, co o nim myślę.

– Chyba nie chcę – odpowiada Alicja.

Potem przez chwilę milczą, każde żuje swój makaron, nie patrzą na siebie. Krystian zamawia jeszcze jedną butelkę wina, ale Alicja zakrywa ręką swój kieliszek i potrząsa głową, kiedy chce jej dołączyć.

Po jedzeniu Krystian odchyła się do tyłu i zapala papierosa. Alicja składa ręce na kolanach i mu się przygląda. Czeka. Jego twarz nabrała kolorów i obrzmiały mu wargi. Ale właśnie teraz nareszcie przypomina siebie samego. Kupkę żwiru. Trochę wstawioną kupkę żwiru. Może nawet kupkę żwiru z problemem alkoholowym...

Krystian zaciąga się głęboko i wypija jeszcze łyk wina. Alicja unosi rękę i powoli przesuwa nią po twarzy. Czy Krystian widzi teraz to, co ona zobaczyła dziś rano w lustrze? Że ma trzy twarze, jedną na drugiej? Jedna z nich należy do dziewczynki, druga do kobiety, a trzecia do staruszki. Czy Krystian rozumie, że wszystkie te trzy twarze są tak samo prawdziwe?

– Alicja – mówi Krystian. Jego głos ma siedemnaście lat.

Alicja odwraca wzrok i zaczyna przesuwać spojrzeniem po białych ścianach restauracji w poszukiwaniu czegoś, na czym mogłoby się zatrzymać. Nic takiego tu jednak nie ma, restauracja jest tak surowa w swojej prostej elegancji, że nie ma w niej nawet cieni. Poza tym lokal opustoszał. Większość gości, którzy jedli tutaj lunch, udała się z powrotem do swoich bankowych pałaców i departamentów. Zostały tylko dwie kobiety. W średnim wieku. Jedna ruda. Druga brunetka. Ich śmiech niby żelazna spirala wznosi się do sufitu.

– Alicja – powtarza Krystian.

Jego głos. Jej imię. Rozpuszcza się w niej niczym kropla krwi w szklance wody. Alicja widzi, jak tworzy małą, czerwoną cyrusową chmurkę, zanim rozplynie się i

* Siedziba szwedzkiego rządu.

zniknie. Dopiero teraz zorientowała się, że położył rękę na jej dłoni. Ta ręka wygląda jak zwierzę. Ciepłe, małe zwierzę, porośnięte rzadką szczecinią zwierzę, które całym ciężarem zważyło się na inne zwierzę. Jej dłoń jest lodowato zimna, dlatego Alicja pozwala, żeby przez chwilę na niej leżało. Potem zabiera rękę i kładzie ją na ręce Krystiana. Przyciąga ją do swego policzka i całym ciężarem opiera głowę na jego dłoni. Odpoczywa.

– Alicja – mówi jeszcze raz Krystian.

– Tak – odpowiada Alicja i zwilża wargi – Tak.

Część V

RADOŚĆ JEST MATKĄ SMUTKU. Miłość matką nienawiści.

Na dnie czystej prawdy kulą się najbrudniejsze kłamstwa.

Wszystko zawiera w sobie swoje przeciwieństwo.

Otwierasz furtkę, myśląc, że nareszcie zatriumfowałaś nad prawami Boga, losu albo świata. Stoi tu dom: przykryta śniegiem, mała rudera, której nie chciał żaden inny górnik. Stoi dokładnie pomiędzy Herräng i Hallstavik, o wiele za daleko od jednego miasteczka i równie daleko od drugiego. Mimo to ściskasz ze szczęścia swój panieński bukiet, ten sam, któremu przypatrywali się zarówno pastor, jak i fotograf, obaj z tak rozbawionym wyrazem twarzy, że pojęłaś: bukiet jest śmieszny, tak naprawdę w bukiecie ślubnym nie powinny się znaleźć hiacynty. Ale niech tamci sobie stoją i śmieją się. Ludzie z wyższych sfer mogą sobie pojechać do jakiegoś ogrodnika, żeby kupić róże i anemony nawet w środku zimy, ale biedacy sami muszą zdobyć kwiaty. Zamierzasz zresztą pozostać przy tym przekonaniu, chociaż nigdy już nie będziesz tak biedna jak kiedyś: stoisz teraz przecież ze złotą obrączką na palcu i patrzysz, jak błękitny, zimowy zmierzch zapada w ogrodzie, który możesz nazwać swoim własnym. Skrzący się, zimowy ogród, pełen spadających gwiazd. Wylatujące z komina iskry młoda para dostała w prezencie od Dobrych Templariuszy: uszczelnili oni popękany komin i pozwolili, żeby w piecu paliło się niemal przez cały dzień, tak by w domu było naprawdę ciepło.

Mamy dom, chcesz powiedzieć do mężczyzny obok ciebie. Własny dom. Boisz się jednak, że takie słowa są niebezpieczne. Dlatego unosisz swoje spódnice i w milczeniu idziesz po śniegu ku przyszłości i czekającym cię stratom.

Wszystko zawiera w sobie swoje przeciwieństwo.

Przestępujesz próg i wchodzisz do pokoju 412 w hotelu Sheraton. Za oknem pyszni się Sztokholm w złotym świetle wczesnego popołudnia. Riddarfjärden lśni, ratusz czerwieni się. Fasady domów w południowej części miasta dostały teraz domieszkę terakoty do swojej ochry. Wszystko to widzisz jedynie w przelocie, potem musisz zamknąć oczy, bo ktoś całuje cię po szyi, ktoś, kto pamięta to miejsce pod uchem, gdzie zaczyna się pożądanie i kończy wszelki sprzeciw. I właśnie dlatego, że on pamięta, zapominasz wszystko, co kiedyś sobie obiecałaś. Kochasz przecież i jesteś kochana. Uśmiechasz się więc do tego nieznacznego dreszczu, który przebiega przez twoje ciało, kiedy twój policzek dotyka jego policzka, dlatego zwilżasz i rozchylasz wargi, dlatego oczy zachodzą ci łzami ze śmiechu czy z żalu, gdy czujesz, że on, tak samo jak kiedyś, nie może sobie poradzić z odpięciem twojego biustonosza.

Kiedy już od kilku chwil leżysz na łóżku, uświadamiasz sobie, że jednak żadna z tych rzeczy nie jest prawdą: wasza sucha miłość smakuje jak papier. W tym samym

momencie mężczyzna wzdryga się i wydaje cichy jęk. Ma nędzną ejakulację, która mimo to pali i piecze. Twoje ciało pamięta. Śluzówka pochwy blednie ze wstrętu, macica kurczy się z przerażenia/ przekwitłe wachlarze jajników trzepocą jak podczas burzy, żeby przepędzić te nazbyt dobrze znajome plemniki. To nie miało się nigdy więcej zdarzyć! Nigdy. Przysięgałaś, że tak będzie, kiedyś, dawno temu...

Mężczyzna siada i odwraca się do ciebie plecami, wyszarpuje z paczki papierosa. Ty leżysz bez ruchu, przytulając poduszkę, zerkając spod przymkniętych powiek na jego odbicie w lustrze po drugiej stronie pokoju. Ma obwisłą twarz. Maluje się na niej niesmak.

– Dlaczego? – pytasz w końcu. – Dlaczego chciałeś się ze mną spotkać?

Mężczyzna przesuwając ręką po twarzy, ma zachrypnięty głos.

– Cholera, naprawdę nie po to...

Zaciąga się głęboko i kiedy znowu zaczyna mówić, z jego nozdrzy sączą się smużki dymu.

– Mamy razem dzieciaka. Prawda?

Nie odpowiadasz. Zmuszasz się jednak do tego, żeby na niego popatrzeć. To twoja kara. Na to właśnie zasłużyłaś za zdradę samej siebie.

– Chcę go zobaczyć. Albo ją – mówi. Chodzi o gospodarstwo. Jesteś jedyną osobą, która wie, gdzie powinienem zacząć szukać...

Wszystko zawiera w sobie swoje przeciwieństwo.

Kiedy prowadzisz swój obładowany ulotkami rower przez most Skärstabron, myślisz, że jesteś wolna. Potem widzisz nagle dobrze znaną sylwetkę. Sylwetkę człowieka, którego nie spodziewałaś się spotkać. Autobus ze Sztokholmu miał przecież przyjechać dwie godziny temu, więc on już dawno powinien być w domu. Jednak idzie naprzeciw ciebie. Przysadzisty mężczyzna w wiatrówce w czystych kolorach: jaskrawoczerwonym i granatowym, z niewielką domieszką żółtego. Przez ramię przerzucił czarną nylonową torbę. Wygląda na bardzo ciężką – jego masywna postać przygina się pod tym ciężarem.

Wszystko to zdążasz dostrzec i pomyśleć w ciągu niespełna trzech sekund. Potem dopada cię strach, trzepocze czarnymi skrzydłami w twoim ciele. I tylko jedna myśl uderza w twoją czaszkę jak ślepy ptak: nie masz dokąd uciec.

Teraz cię zauważył. Waha się. Nie widzieliście się od ponad roku, może w pierwszej chwili cię nie rozpoznaje.

– Cześć – mówi po chwili. – Karina w domu? Kiwasz głową bez słowa, ale nie zatrzymujesz się.

On unosi rękę w bezgłośnym rozkazie. Zatrzymujesz się.

– A Mikael? Kręcisz głową.

– Aha. Jest w Herräng?

Znowu kiwasz potakująco. Zgłupiał czy co? Dlaczego mówi w ten sposób? Jakby był zupełnie zwyczajnym ojczymem, który spotkał właśnie swoją pasierbicę.

– Będziesz rozdawała ulotki?

Kolejne skinienie. Mężczyzna przekłada ciężką torbę z prawego ramienia na lewe. Lekko się uśmiecha.

– Wracam do domu – mówi. – Wiesz o tym, co... Spuszczasz wzrok i wbijasz go w asfalt.

– Teraz będzie inny porządek. Mówię to, żebyś wiedziała. Od dzisiaj mieszkasz w domu. U żadnych krewnych. U żadnych chłopaków. Dziś wieczorem masz być w domu o siódmej. Punktualnie co do minuty.

Bardzo lekko poruszasz głową. Może to oznaczać zarówno zgodę, jak i sprzeciw. Mężczyzna jeszcze trochę zniża głos i uśmiecha się szyderczo.

– Boisz się chyba o koński ogon. Co? Pewnie nadal boisz się o swój ogonek?

TRZECI DZIEŃ ADWENTU, śnieg jeszcze nie spadł.

Światło w sypialni Augusty ma żółtawy odcień, na tapecie porusza się cień. Cień w szerokiej spódnicy. Alicja kupiła sobie nową sukienkę. Czerwoną. W turecki wzór.

– Z zimowej bawełny – mówi, poprawiając pasek. Z Martinnette.

– Z zimowej bawełny? – powtarza Augusta i potrząsa lśniąca kasztanową falą, którą Alicja zaraz będzie czesać. – Jezusiczku. Takie to ładne, że aż nie mieści się w głowie...

Starają się. Obie. Jesień mają już za sobą.

Wyzwolenie przyszło któregoś sierpniowego dnia w brązowej kopercie. Dział personalny Urzędu Telekomunikacyjnego powiadamiał, że Alicja Johansson została przyjęta na kurs dla telefonistek w Sztokholmie. Dwa tygodnie później po raz pierwszy zasnęła w wynajętym pokoju na Dalagatan, a po upływie kolejnego tygodnia połączyła swoją pierwszą rozmowę krajową: Sztokholm do Landskrony, bezpośrednia rozmowa z Edną Danielsson. Było to powiadomienie o zgonie, ale Edna przyjęła je z opanowaniem. Ciotki nie widziała od dwudziestu lat, poinformowała z silnym skańskim akcentem, jak również nie zamierzała się z nią spotkać w ciągu najbliższych dwudziestu... Tyle Alicja zdążyła usłyszeć, zanim zauważyła zmarszczone brwi naczelnika i pośpiesznie zgasła małą lampkę, która zdradzała, że podsłuchuje.

Od tamtej pory przez kilka tygodni siedziała w Biurze Informacji Telefonicznej i kolejnych kilka przy telefonie dyżurnym. Teraz siedzi w Skandynawii. Awansowała. Tylko najzdolniejsze dziewczyny w każdej grupie absolwentek mogą przejść do Skandynawii. Jeżeli nadal będzie tak samo dobra, być może dostanie się do Anglii. Marzy o tym: kiedy jej własne lampki nie migają, obserwuje telefonistki z sąsiadującej Anglii. Mają sweterki bliźniaki, perełki na szyi i brązowe torebki, które stoją na podłodze i wyglądają bardzo solidnie. Poza tym mówią po angielsku. – *Hello* – krzyczą w swoje słuchawki. – *This is Stockholm calling...* Alicja chciałaby mówić w pracy po angielsku. Jak na filmie.

Ale szwedzki żargon zawodowy też stwarza pewne możliwości. „Połączenie Sztokholm-Oslo! Sztokholm do Mette Nielsen! Proszę czekać!” Alicja nosi go jak maskę, chowa się za nim, bawi się w naprawdę dorosłą kobietę pracującą. A jednak nadal jest tak bardzo dziewczynką, że aż podskakuje z niecierpliwości, kiedy NUR daje znać, że chce wyjść na chwilę z AJO. NUR to skora do śmiechu blondynka z Gotlandii. Chwila to krótka przerwa, wystarczająco długa, żeby zdążyć do toalety i nieco przypudrować nos, ustalając przy okazji, co będą robić po pracy. AJO to sama Alicja. Urząd Telefoniczny skonfiskował jej imię, w zamian dając jej ten skrót. Bardzo niewiele telefonistek zna się z imienia, znają tylko trzy litery, w które zaopatrzył je Urząd. Czasami Alicja zastanawia

się, jak NUR, ELG i inne naprawdę się nazywają, ale nigdy nie przychodzi jej do głowy, żeby o to spytać.

Lubi swoje nowe życie. Podoba jej się niejednorodność Sztokholmu. Niebo, które pochyla się nad miastem, zawsze ma odrobinę niewyraźny kolor, przez chwilę lodowato niebieski, zaraz potem jasnozielony. Podoba jej się, że w nowoczesnych budynkach odbija się słońce, ale w niektórych miejscach śmierdzi wychodkiem. Lubi swoje nieregularne godziny pracy: jednego dnia wędruje samotnie wczesnym rankiem przez Sveavägen, a drugiego tłoczy się wśród tłumów śpieszących na lunch. Lubi koleżanki z pracy, te ciągle chichoczące dziewczyny z Gotlandii, Örebro, Malmö i Vilhelminy, które po pracy kręcą się po domach towarowych w poszukiwaniu ciuchów. Wszystkie wiedzą wszystko o garderobie koleżanek, ale nic na temat ich myśli. Kiedy któregoś razu zdarza się, że wchodzi do jakiejś kawiarni, przy stoliku panuje zupełna cisza. Siedzą, mieszając w milczeniu w swoich filiżankach, każda zagłębiona we własnych tajemnicach do chwili, kiedy NUR podniesie głowę i powie, że czas już zdecydować, co będą robić w sobotę. Jakby to nie było oczywiste. W soboty chodzi się do klubu Nalen. Chyba że trzeba pracować.

Alicja bardziej lubi przygotowywać się do wyjścia do Nalen, niż tam być. Wczesnym popołudniem układa w białym rządku na łóżku stanik, majtki, pas do pończoch i wykrochmalone na sztywno halki. Potem turla do pokoju balię gospodyni, kuca w ciepłej wodzie i szoruje myjką każdy centymetr ciała. Następnie pudruje je talkiem o zapachu bzu i układa włosy za pomocą grudki brylantyny pachnącej wanilią. Gotowa siada na brzegu łóżka i czeka. To najlepsza chwila w całym tygodniu: pół godziny, które wydaje się tak czyste i świeżo wyprasowane, jak jej halki. Mimo to Alicja uśmiecha się do siebie, kiedy słyszy kroki na schodach i ściszony chichot. Już idą. ELG i NUR. Jej bezimienne koleżanki.

Zbiegając na dół, wyglądają na siostry: wszystkie mają takie same twarze. To zasługa ELG. To ona usadziła najpierw NUR, a potem Alicję na taborecie i zaopatrzyła je w gęste rzęsy, czarne brwi i ostro wykrojone wargi Avy Gardner.

NUR nie jest najładniejszą dziewczyną w Nalen, ale właśnie ją najczęściej proszą do tańca. Może to dlatego, że jest taka giętka i łatwo daje się prowadzić: tak jakby wystarczyło, że poda chłopakowi rękę, aby jej układ nerwowy stał się przedłużeniem jego nerwów. Uśmiecha się i potrząsa lokami w kolorze blond, przysadzista rusałka w różowym sweterku, która wyczuwa rytm i ruchy chłopaka, jeszcze zanim oboje zdążą stanąć na parkiecie. Rusałka, która mocno się przytula przy fokstrocie i odważnie trzęsie biodrami, kiedy tańczy boogie. Kiedy kręci się jak fryga, wszyscy w Nalen mogą zobaczyć jej podwiązki. Nie żeby było na co patrzeć, stwierdza sucho ELG. Podwiązki NUR niczym się nie różnią od innych. Ale mimo wszystko.

Za to ELG nie zamierza pokazywać swoich podwiązek. Wodzi wzrokiem za Larsem-Åke, czyli Powiatowym Casanovą, jak go zwykła nazywać w swoim zgrzytliwym

dialekcie, który stanowi przeciwieństwo wszystkiego, czym jest i jak wygląda ona sama. ELG jest bardzo piękną, bardzo wysoką i bardzo rudą dziewczyną, której mimika przeraża reprezentantów płci przeciwnej. Nielicznym mężczyznom, którzy minio wszystko odważą się poprosić ją do tańca, niechybnie zaczynają się pocić ręce, kiedy ELG z westchnieniem wstaje. Każdy musi zrozumieć, co to znaczy: „O Boże... naprawdę muszę?”

Musi. Wszystkie dziewczyny muszą tańczyć ze wszystkimi chłopakami, którzy je poproszą do tańca. Przynajmniej jeśli chłopak jest trzeźwy. Dlatego raz na jakiś czas ELG musi dać się wyciągnąć na parkiet także innym, nie tylko Powiatowemu Casanovie, nie może ryzykować miana panny spławialskiej. Wtedy nikt już by jej nie poprosił. Zwłaszcza Casanovą, który jako stały bywalec Nalen musi przecież pilnować, żeby przestrzegano niepisanych reguł. Najważniejszą zaś regułą jest, że panny spławialskie trzeba trzymać krótko.

Powiatowy Casanova jest operatorem koparki, co najmniej pięć lat starszym od ELG. Może więcej. Od razu pierwszego wieczoru opowiedział, że większość jego starych kumpli już się wykruszyła. Zostali zmuszeni do żeniaczki. Teraz mieszkają z żonami i dziećmiakami w kuchni u rodziców lub teściów, bo na własne mieszkanie nie mają szans. Sam Casanovą nigdy nie zamierza wpaść w tę pułapkę. Woli do śmierci jeść cukierki w papierkach. Nie jest w końcu głupi. Czasem ma ochotę zmienić smak. To że lubi malinowe, nie znaczy przecież, że nie może spróbować miętówek. No nie?

– A ja? – pyta ELG i niby przypadkiem wsuwa udo pomiędzy jego uda, kiedy suną po parkiecie do kawałka, którego żadne z nich nie słyszy, ale który mógłby równie dobrze być jakimś *Chattanooga Choo-Choo*. – Jaki ja mam smak?

– Oooch! – mówi Powiatowy Casanova, przyciskając się do niej podbrzuszem i lekko się o nią ocierając. – Karmelek śmietankowy. Zdecydowanie śmietankowy....

Powiatowy Casanova nie może znieść swojej własnej tęsknoty za ELG. Jeśli odprowadza ją do domu przez dwie kolejne soboty, to trzeciej już ją ignoruje, ledwo zauważa i nie prosi do tańca. Zamiast tego pilnuje, żeby zobaczyła, jak on odbiera z szatni płaszcz innej dziewczyny i narzuca go jej na ramiona. ELG obrusza się i robi wyniosłą minę, ale w damskiej toalecie załamuje się i z płaczem wpada w ramiona Alicji. Drań! Mam nadzieję, że złapie syfa i umrze! Chwile rozpacz nie trwają jednak nigdy zbyt długo. Po pięciu minutach ELG myje twarz zimną wodą i przysięga, że się zemści. Dobrze wie, co ma zrobić: kupi parę wielkich majtasów w kolorze łososiowym i wsadzi je do schowka w jego samochodzie. To nie jest tylko jego samochód, ma go wspólnie z ojcem. A w niedzielę tata zawsze jedzie z mamą na wycieczkę. Ha! Byłoby super usłyszeć, co powiedzą, kiedy znajdą w schowku parę wielkich damskich gaci...

Alicja obserwuje przepychania ELG i Powiatowego Casanovy z tym samym nieśmiałym zachwytem, z jakim przygląda się innym małym dramatom na parkiecie. Sama nie tańczy zbyt często. Może dwa razy na jeden wieczór. Albo trzy. Na ogół siedzi

samotnie przy małym kawiarnianym stoliku, pilnując torebek innych dziewcząt i przesuwając z miejsca na miejsce kieliszek pommacu. ELG i NUR współczują jej, ale to dlatego, że nic nie rozumieją. Alicja dobrze wie, co robi, kiedy zapina bluzkę pod samą szyję i uważa, żeby nie wyglądać na zbyt rozbawioną. To świadomy wybór. Decyzja. Nie chce brać w tym udziału. Chce tylko popatrzeć.

Mimo to bywanie w Nalen jest ważne. Chociażby dlatego, żeby zdenerwować Inge i Erlanda. Na początku jesieni Alicja dzwoniła do domu raz w tygodniu – w szatni telefonistek jest bezpłatny aparat telefoniczny – nigdy nie przegapiła okazji, żeby wspomnieć, że była w klubie Nalen. Dawało to efekt natychmiastowy: Inga podnosiła głos i oddawała słuchawkę Erlandowi. Erland przez chwilę chrząkał i odkasływał, a potem zaczynał się wydzierać. Wpędza swoją matkę w kompletną rozpacz! Nie rozumie tego? Dlaczego, na Boga, nie może okazać się osobą rozsądną i wrócić do domu do Jönköping, teraz, kiedy wszystko, co złe, mają już za sobą? I do nauki. Prowadzić normalne życie rodzinne. Zachowywać się tak, jak powinna się zachowywać dziewczyna z jej środowiska.

– Musi! – słychać było w tle jęki Ingi. – Musi! Co ludzie powiedzą...

Mam cię w dupie, pomyślała Alicja, dziwiąc się jednocześnie swojej własnej reakcji. Nie zdawała sobie sprawy, że potrafi być taka wulgarna. I że to jest takie przyjemne. Mam cię w dupie! Mam cię w dupie! Mam cię w dupie! Musiała przygryźć wargę, żeby nie wybuchnąć głośnym śmiechem.

– Za dwie minuty zaczynam pracę! – krzyknęła w słuchawkę. – Do usłyszenia!

U rodziców w Jönköping nie była od ponad roku. Szesnaście miesięcy. Czasem tęskni, ale tylko przez chwilę, zaraz odpycha tę myśl. Teraz nawet do nich nie dzwoni. Od czasu wizyty Erlanda.

Któregoś wieczoru pod koniec listopada gospodyni zapukała do jej drzwi i powiedziała, że ktoś chce się z nią widzieć. Alicja natychmiast usiadła: musiała przysnąć, kiedy leżąc na łóżku, czytała pismo dla dziewcząt. Właśnie poprawiała włosy, kiedy do pokoju wszedł Erland.

– Tato – powiedziała zaspanym głosem – przyjechałeś?

Przez sekundę była bliska płaczu, potem przełknęła ślinę i spuściła stopy na zimne linoleum. Erland rozpiął palto, w rękę trzymał kapelusz. Kiedy się tłumaczył, wymachiwał nim w powietrzu. Był w podróży służbowej i miał kilka wolnych godzin. Chciał tylko zobaczyć, co u niej. Gospodyni stojąca za jego plecami rozpływała się w uśmiechach.

– Czy panna Johansson chciałaby poczęstować tatę filiżanką herbaty? Bo jeśli tak, to można skorzystać z kuchni...

Alicja z przyzwyczajenia dygnęła.

– Dziękuję, ale nie mam herbaty...

– A to mogę pożyczyć...

– Napijesz się herbaty, tato?

Erland uśmiechnął się lekko, przesuwając w palcach kapelusz.

– Bardzo chętnie.

Za oknem wirował pierwszy tej zimy śnieg.

Wypili herbatę w milczeniu. Alicja siedziała na skraju łóżka, przy nocnym stoliku, Erland – na białym krześle przy biurku.

– Przyjemny pokój – powiedział w końcu, grzebiąc w kieszeniach w poszukiwaniu papierosów.

– Mhm – przytaknęła Alicja.

– Może trochę zimny.

– Tak. Czasami...

– Przypomina pokój, który wynajmowałem, kiedy studiowałem na politechnice. Lodowato zimny. Jakoś to trzeba było znosić. Człowiek wiedział, że zmierza do czegoś lepszego.

Alicja upiła łyk herbaty i mruknęła coś niewyraźnie. Preludium. Coś zaraz po nim nastąpi. Coś nieprzyjemnego.

– Do czego ty zmierzasz, Alicjo?

No i już. Erland zapalił papierosa, przez chwilę w pokoju zapachniało benzyną z zapalniczki. Alicja odkaszlęła, ale i tak nie panowała nad głosem.

– Co masz na myśli?

Erland wzruszył ramionami.

– Tak chcesz żyć? Wynajmować mały, prymitywny pokój? Pracować jako telefonistka? Chodzić do Nålen i zadawać się z chłopakami?

Alicja przełknęła ślinę i spuściła oczy na swoją filiżankę. Na samym dnie kręciło się kilka brązowych fusów. Erland zaciągnął się głęboko papierosem.

– To taką jesteś dziewczyną? Naprawdę?

Z dymu z jego papierosa powstała mała chmurka. Alicja patrzyła na nią w milczeniu. Erland uniósł brwi.

– Może tak się dzieje, kiedy ma się wszystko podane pod nos. Własny pokój od dnia narodzin. Zabawki. Ładne ubrania. Najlepsza z możliwych szkół... Niektórzy nie doceniają takich rzeczy. Ciągnie ich do prostactwa. Taniochy.

Chwila ciszy. Erland strzepuje popiół.

– No, ale może niektórzy rodzą się tacy. Tandetni. Może nie da się nic na to poradzić. Tak sądzi twoja matka. Ja nie jestem tego taki pewny.

Alicja siedziała bez ruchu, czując, jak napływają jej do oczu łzy. Coś ścisnęło ją w dołku. Coś innego niż dobrze znajomy żal. Coś nowego, niespodziewanego. Odchrząknęła, ale i tak jej głos brzmiał ochryple.

– Urodziłam chłopczyka – powiedziała, patrząc na filiżankę. – Wiesz o tym? Wiesz, co się z nim stało?

Erland przez chwilę siedział bez ruchu, potem wstał i zgasił papierosa na spodeczku.

– Nie da się z tobą gadać – powiedział, wkładając palto.

Następnego dnia miała wolne.

W zasadzie powinna była zostać w domu i zająć się tym, czym zajmowała się zawsze w dni wolne od pracy. Umyć włosy. Wytrzeć podłogę. Uprać pończochy i bieliznę, a potem powiesić je do wyschnięcia przy kafłowym piecu.

Nie zrobiła jednak żadnej z tych rzeczy. Natomiast zaraz po pościeleniu łóżka włożyła płaszcz i wyszła, śnieg, który napadał poprzedniego wieczoru, zaczynał topnieć, świeciło słońce, na niebie nie było ani jednej chmurki, ale i tak marzła. Może przez to, że światło słoneczne miało w sobie coś metalicznego, coś, czego nigdy wcześniej nie zauważyła.

Jedną ręką przytrzymała postawiony kołnierz płaszcza, drugą przeliczała jakieś drobne w kieszeni. Pięć öre*, trzy dwudziestki piątki i dwie pięćdziesiątki. Powinno wystarczyć. Poza tym miała w portfelu banknot pięćdziesięciokoronowy: przecież niecałe trzy dni temu dostała pensję.

Tego ranka była chyba pierwszym gościem w cukierni Vete-Katten. Na to wyglądało. Przy stolikach było zupełnie pusto, a na kontuarze leżały bułeczki i ciastka w symetrycznych, nietkniętych stosikach. Wymamrotała zamówienie: kawa i szarlotka, a potem usiadła przy stoliku i nawet nie rozpinając płaszcza, zaczęła grzebać w ciastku widelczykiem. Chciała ściągnąć wierzch, żeby zachować go na później. W latach, kiedy uciekała przed domowymi kłótniami, zawsze jadła w ten sposób szarlotkę: najpierw

* Jedna korona składa się ze stu öre.

środek z delikatnej bitej śmietany i kwaskowego musu jabłkowego, a potem wierzch ozdobiony słodką konfiturą i jeszcze słodszy lukrem. Kiedy przyszła kolej na wierzch, miała nań taką ochotę, że aż się trzęsła. Nawet nie zdążyła przełknąć ostatniego kęsa, kiedy już wstała, żeby zamówić kolejne ciastko. Kiedy je zjadła, zorientowała się, że nie wypila nawet łyka kawy. Opróżniła jednym haustem filiżankę, otarła usta wierzchem dłoni i zaczęła wciągać rękawiczki. Śpieszyła się. Należało jeszcze odwiedzić inne cukiernie...

Po południu leżała bez ruchu na łóżku, ściskając w ramionach poduszkę. Było jej niedobrze. Na biurku stało puste pudełko, w którym wcześniej znajdowały się ostatnie cztery szarlotki. Zjadła je wprost z pudełka, bez widelca czy łyżeczki, wciskała je do ust i połykała, prawie nie gryząc. Potem oblizała palce i ociężale próbowała policzyć, ile ciastek wepchnęła w siebie dzisiejszego przedpołudnia. Szesnaście? Czy tylko piętnaście?

Teraz leżała na łóżku, ściskając poduszkę.

– Nie płacz – powiedziała, głaszcząc wehłanie frędzle. – Nie płacz. Wszystko będzie dobrze...

Od tamtej pory starannie przestrzegała dyscypliny. Codziennie jadła trzy posiłki, ani mniej, ani więcej. Dwa razy w tygodniu przecierała podłogę w pokoju. Co drugi dzień myła włosy (choć ELG twierdziła, że częste mycie włosów jest szkodliwe) i oddała cztery pary nylonowych pończoch do załapania oczek. Poza tym sprawiła sobie książeczkę oszczędnościową. Zbiera na nią wszystkie pieniądze z nadgodzin. Starsze telefonistki chętnie unikają najgorszych zmian, z westchnieniem ulgi oddają młodszym sobotnie wieczory i niedziele. Nie muszą martwić się o pieniądze. Są przecież zamężne.

Alicja martwi się o pieniądze. Bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Na swojej książeczce oszczędnościowej ma już osiemdziesiąt koron, a wkrótce uzbiera drugie tyle. Będzie pracować przez całe święta: wzięła podwójną zmianę w Wigilię, a także w pierwszy i drugi dzień świąt. Podwójne zmiany za niemal podwójne wynagrodzenie.

Dlatego jest u Augusty w trzeci dzień adwentu: to rodzaj zadośćuczynienia za to, że nie przyjedzie na święta. I za to, że tak mało się do niej odzywała jesienią. Wysłała kilka pocztówek. Tylko tyle. Augusta odpowiedziała krótką kartką: „Mam się dobrze. Zima nie przychodzi. Kåre i Marianna dali na zapowiedzi”.

Alicja przeciąga grzebieniem przez włosy babki, chciałaby, żeby wszystko między nimi obiema było jak kiedyś. Przed domem dla matek oddających dzieci do adopcji i przed kliniką położniczą. Przed wielką ciszą.

– Opowiadaj – mówi. – Opowiedz o Izaaku. Opowiedz, jak było naprawdę.

– Nie – sprzeciwia się Augusta.

Alicja przyklęka za jej plecami, przeciąga grzebieniem niemal do samej podłogi.

– Dlaczego?

– Bo nie wiem, jak było naprawdę.

– Ale byłaś tam przecież. Widziałaś, co się stało.

– Phi! – parska Augusta. – Jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie.

PIERWSZE LATA BYŁY ZUPEŁNIE NIESŁYCHANE. Fiołkowoniebieskie letnie noce. Lśniące złotem jesienne dni. Zimowe poranki przed trzeszczącym kominkiem. Wiosenna burza kwitnących jabłoni.

Czasami Augusta zatrzymywała się w pół kroku na myśl, jak wiele ma do stracenia, i zamierała ze strachu. Niemożliwe, żeby komuś mogło być tak dobrze.

To się musi źle skończyć.

Niecałe dziesięć kilometrów dalej wszystko było inne. Na północy głód wyciągał już swoje długie palce po dzieci górników, ten sam głód, który wkrótce miał szarpać swoimi pazurami dzieci biedoty w całym kraju. Na południu fabryki papieru były u progu bankructwa. Codziennosc składała się z gliny i chaosu, z obolałych ciał i brudnych baraków, święta z pijaństwa i wymiocin, z szyderstw i bójek. W gazecie „Social-Demokraten” można było przeczytać o tym, co działo się dalej: młodzi mężczyźni w Europie pracowali już nad pierwszymi okopami, armaty unosiły się w stanie erekcji.

Już wkrótce cały świat miał wypełnić się bólem.

Cały świat z wyjątkiem Nordanäng.

Cały świat z wyjątkiem domu Augusty.

Dom był ruderą. Bez dwóch zdań.

Na szczęście Izaak miał fenomenalny talent do znajdowania rzeczy. Wyglądało na to, że cała droga, którą chodził z Nordanäng do kopalni w Herräng, usypana była skarbami. Wykrzywiony gwóźdź. Kubeł na wpół wyschniętej czerwonej farby, którą dało się rozcieńczyć, tak żeby nadawała się do użytku. Tu jedna deska. Tam inna. Cały świerk – wiatr przewrócił go na trudno dostępną ziemię spółki i nikomu od tego nie ubędzie, jeśli którejś nocy ktoś zaciągnie go do swojego domu przy pomocy niewiernego konia ardeńskiego, który w zamian za kilka kostek cukru pozwoli się wyprowadzić z pastwiska.

Równie szczęśliwie złożyło się, że Augusta służyła kiedyś zarówno w pańskim domu, jak i w stołówce. Nie wypadła sroce spod ogona. Pogłoski o jej umiejętnościach rozeszły się szybko. Kiedy doktor z Häverödal organizował przyjęcie, przyrzadziła dla niego pieczeń cielęcą, a kiedy najstarsza kucharka ze stołówki z powodu kaszlu wylądowała w sanatorium, Augusta zastępowała ją przez kilka tygodni i gotowała pyzy dla ostatniej zmiany pracowników budowlanych i dla pierwszych pracowników piarni. Prała ręczniki i pościel (ale nie koronkowe firanki) dla proboszcza z Häverödal i nicowała zniszczone marynarki najbardziej ortodoksyjnym Dobrym Templariuszom w całym Herräng, tym, którzy nie chcieli korzystać z usług krawca pijaka.

Pracowali ciężko, nawet wtedy, kiedy potrzebowali odpoczynku. Izaak przebudowywał dom, deska po desce, Augusta sadziła ziemniaki i zbierała borówki. A mimo to mieli wrażenie, że przez cały czas trwa niedziela. Kiedy nadeszło lato, siadali wieczorami na swojej nowo zbudowanej werandzie i dziwili się swojemu wielkiemu szczęściu. Augusta myślała o chlebie, śledziu i pysznej kaszy, które każddziutkiego dnia stawały na stole, Izaak o drzewie na opał i ciepłe, i o prawdziwym łóżku z pościelą pachnącą wiatrem i mydłem. Erland i Harald, którzy leżeli ciasno ze sobą spleceni wewnątrz macicy Augusty, uśmiechali się zadowoleni do swoich płodowych marzeń o czekającym na nich świecie.

Wszystko było takie dobre. Niemal doskonałe. Gdyby nie te problemy z Olgą.

– Jest jeszcze mała – mówił Izaak.

– Ma dwa lata – odpowiadała Augusta. – Jest wystarczająco duża, żeby się nie moczyć.

– Bożeż ty mój – uzalał się Izaak. – Ja szczałem w łóżko do dwunastego roku życia...

– To musiałeś często dostawać lanie.

– Tak. Ale w niczym to, do jasnej cholery, nie pomagało.

– Jest jeszcze mała – mówił Izaak.

– Dwa i pół roku – odpowiadała Augusta. – Wystarczająco duża, żeby być cicho, kiedy się od niej tego wymaga.

– Ona przecież boi się ciemności, może czuje się trochę samotna w tym pokoju.

– Nie ma tutaj nic, czego można by się bać.

– Tak czy owak... nie możemy jej pozwolić, żeby spała razem z nami, w kuchni?

– A gdzie wtedy położymy chłopców? Powinna się cieszyć, że ma własne łóżko. Ja nie miałam.

– Jest jeszcze mała – mówił Izaak.

– Ma trzy lata – odpowiadała Augusta. – Jest wystarczająco duża, żeby się mnie słuchać. Jak jej mówię, że ma do mnie przyjść, to ma to zrobić. Nie może wiecznie wysiadywać pod stołem w kuchni.

– No tak, ale może się boi...

– Boi? Czego ma się bać? Może własnej matki?

– Wpadasz w taką straszną złość, Augusto... Czy nie mogłabyś być trochę miłsza?

– To sam się w takim razie do tego zabierz, skoro tak dobrze wiesz, jak to robić. Ja muszę się zająć chłopcami...

Były takie dni, kiedy Olga siedziała pod kuchennym stołem od chwili, kiedy Izaak wyszedł rano do kopalni aż do jego powrotu wieczorem. Przed południem Augusta do niej przemawiała, po południu złościła się, kusiała ją kanapkami i groziła laniem, ale to nie pomagało. Olga nie ruszała się z miejsca, a kiedy Augusta próbowała wpełznąć pod stół i ją spod niego wyciągnąć, krzyczała tak przeraźliwie, że budziły się bliźniaki, a kot prężył kark. Dopiero kiedy pod wieczór Izaak przestępował próg domu, Olga wypełzała spod stołu i pędziła do niego. Zarzucała mu ręce na szyję i dawała się podnosić do góry. Izaak śmiał się i gładził ją po włosach; tych dziwnie dorosłych włosach w ciemnomahoniowym kolorze, splecionych w gruby warkocz na szczuplutkich plecach.

– Moja księżniczka – mówił, przyciskając ostrożnie brodę do jej miękkiego policzka – mój aniołeczek.

Augusta stała przy garnkach i patrzyła na niego, a porażki dnia rysowały na jej twarzy ciemne linie. Ale Izaak widział tylko to, co chciał widzieć.

– A niech mnie, jesteś piękniejsza niż nimfa leśna... – mówił, a jego nieśmiały uśmiech rozświecił kuchnię.

Augusta próbowała powstrzymać śmiech, ale to się jej nie udawało. Wycierała więc ręce o fartuch.

– Ty wariacie! Zabierz małą na trochę na dwór, zawołam was, jak jedzenie będzie gotowe...

Dawał pociechę im obu. W niedzielę rano w jedną rękę brał wędkę, drugą przygarniał Olgę i szedł z nią przez las nad zatokę Strömsviken. Potem siedział godzinę lub dwie, patrząc na podskakujący pływak, podczas gdy Olga bawiła się przy brzegu patykami i kamykami. Wieczorem obejmował Augustę i kołysał ją, pozwalał, by leżała w milczeniu w jego ramionach, pogrążając się w smutku nad wszystkimi niepojętymi rzeczami, które – według niej – stworzone zostały tylko po to, by budzić żal.

Był jedynym, który widział jej smutek. Jedynym, któremu wolno było go widzieć.

Ludzie myśleli, że to Augusta podtrzymuje Izaaka, że to jej szorstka stanowczość, energia, skuteczność i zmysł porządku w ciągu zaledwie kilku lat przeprowadziły go z pogranicza hańby do porządnego życia. Dzisiaj mieszkańcy Herräng nie śmiali się już

szyderczo za jego plecami, tylko trochę krzywo uśmiechali. Izaak nie był już najwięcej chlejącym Dobrym Templariuszem, ale górnikiem, jak wielu innych, a fakt, że nie lubił go sztygar – który nadal nie miał ani służącej, ani firanek w pokoju gościnnym – czynił go godnym szacunku. Jeżeli mimo to traktowany był z pewną pobłażliwością, miało to związek z tym, że za dużo myślał. Kiedy w loży organizowano wieczory dyskusyjne na tak poważne tematy, jak na przykład sens życia czy cnoty ubogich, był zawsze pierwszy na liście mówców. Potrafił być bardzo przekonujący. To głównie dzięki niemu w loży Dobrego Domu zdecydowano – drogą głosowania przez podniesienie rąk – że życie naprawdę ma sens (trzydzieści dziewięć głosów przeciw dwunastu) oraz że najważniejszą cnotą ubogich jest braterstwo (czterdzieści dwa głosy przeciw siedmiu). Jednak gdy na tapecie były nieco bardziej przyziemne kwestie, na przykład, że w ciągu niespełna roku rolnicy podnieśli cenę mleka z szesnastu öre za litr do dwudziestu ośmiu, siedział cicho w swojej ławce, pozwalając, by w imieniu rodziny wypowiadała się Augusta. Czyniła to z taką emfazą, że Izaak twierdził później, że już drugiego roku wojny w Szwecji doszłoby do rewolucji, gdyby nie to, że Erland i Harald dostali wietrznej ospy. Z drugiej strony, na sali zapadała krępująca cisza, gdy Augusta po wspięciu się na mównicę nawoływała do walki z segregacją płciową. Kiedy zaczynała mówić o doskonałości francuskich środków do zabezpieczania się oraz o koszmarze pozbywania się płodu, przewodniczący loży walił młotkiem w stół. Na sali znajduje się przecież młodzież! Młodzież, która nie pojmie tych spraw we właściwy sposób...

Tak więc Izaak i Augusta byli nieco odmienni, ale ich dzieci przypominały większość dzieciaków, były może tylko odrobinę lepiej wyszorowane. Na koszulkach bliźniaków nie znalazłoby się nigdy nawet najmniejszej plamki, na fartuszkach Olgi – ani jednej fałdki. Żaden spośród członków loży nie wydawał się zauważać, że Olga garnie się tylko do Izaaka, a jeśli już nawet ktoś zwrócił na to uwagę, miał to pewnie za coś zupełnie naturalnego. Augusta była przecież zajęta Erlandem i Haraldem, rumianymi bliźniakami. Byli na niej zawsze uwieszeni, obejmowali ją tłustymi ramionkami i zgłodniałymi ustami szukali wszędzie sutków: na szyi, na policzkach, a kiedy się czasem od nich uwolniła, rozpaczliwie płakali. Nie żeby zdarzało się to szczególnie często: Augusta lubiła mieć swoich chłopców blisko, najchętniej każdego na jednym ramieniu, tak żeby wystarczyło tylko trochę pochylić głowę, by musnąć ustami kędzierzawą główkę lub ciepły policzek. Gdyby miała dodatkową parę rąk, nosiłaby ich przez całą dobę, ale ponieważ tak nie było, musiała ich czasem wypuścić z ramion, żeby móc zrobić, co potrzeba.

Izaak przyglądał się swoim synom z zachwytem i lękiem, tak jakby nie do końca wierzył, że naprawdę są jego. Czy rzeczywiście mógł dać początek istotom tak upartym, o tak silnej woli? Ich wściekłym wrzaskom i wilczemu apetytowi? Czy mógł mieć coś wspólnego z lwią odwagą i wytrwałym zdecydowaniem, które sprawiały, że obaj chłopcy podnosili się i chwiejnym krokiem dalej wędrowali po kuchni, choć przed chwilą upadli i boleśnie się potłukli?

– Cały tata – mówiły członkinie loży i szczypały w policzek najpierw Erlanda, a potem Haralda.

Chłopcy pławili się w okazywanym im zainteresowaniu, odsłaniając w uśmiechach białe, podobne do ziarenek ryżu ząbki, ale Izaak marszczył czoło. Czy te kobiety sobie z niego żartują? Owszem, sam widzi, że jest wyższy i potężniejszy od większości chłopów w loży, ale niepojęte jest, że może mieć coś wspólnego z tymi przyszłymi kolosami. Jego ramiona garbiły się przecież w sposób, w jaki ramiona bliźniaków nigdy się nie będą garbić, a jego płaskie dłonie zwisały niezdarnie. Nigdy nie był niczego pewny wystarczająco mocno, by życzyć sobie tego i żądać, tak jak bliźniaki życzyły sobie i żądały wszystkiego od dnia swojego urodzenia.

Zaskakujące było, że czuł większe pokrewieństwo z Olgą. Rozpoznawał siebie samego w jej wahaniach przy podejmowaniu decyzji, w sposobie, w jaki garbiła plecy, kiedy wykonywała zlecone jej prace – na początku drobne, jak zamiatanie podłogi w kuchni czy wrzucanie pieluch bliźniaków do namoczenia, a później większe, jak gotowanie kaszy czy zagniatanie ciasta – w nieśmiałym uśmiechu, który pojawiał się na jej twarzy, zanim odważyła się coś powiedzieć.

Za to pomiędzy Olgą i Augusta nie było niemal żadnego podobieństwa – poza włosami i przyjemnością, którą obu wydawało się sprawiać ich czesanie. Augusta zrobiła się już dość szeroka w biodrach, ale była silna, gibka i miała do wszystkiego pewną rękę; Olga – drobna i delikatna, ale zaskakująco niezdarna. Zimą lądowała na pupie, wpadając w poślizg na oblodzonych schodach werandy, latem obcierała sobie kolana, potykając się o własne nogi. Augusta, patrząc na jej strupy, wzdychała i wznosiła oczy do nieba. Gdyby to ona w dzieciństwie tak się nieustannie potykała! Bożeż ty mój! Dostawałaby cięgi, póki nie nauczyłaby się uważać. No, ale kiedy Olga się skaleczyła, lądowała na kolanach Izaaka, który dmuchał na jej rany – nawet te, które powstały kilka godzin wcześniej – a gdy tylko Augusta spuściła ich z oczu, karmił córkę kostkami cukru. Poza tym Olga była niemrawa i powolna, zarówno w mowie, jak i w pracy. Mogła przeszo godzinę siedzieć nad parą pończoch, a i tak okazywały się źle zacerowane: rzadko i guzełkowato. Augusta prychała i wszystko pruć: cerować trzeba porządnie. Płasko, starannie i gęsto!

Augusta pracowała od rana do nocy, nieustannie zajęta dwiema, trzema lub czterema rzeczami naraz. Piekła chleb, zatykając jednocześnie szmatami szpary w ścianach izby. Szorowała podłogi, smażąc dżem borówkowy. Soliła wieprzowinę w tym samym czasie, kiedy bielila wapnem komin. Czytała „Social-Demokraten”, robiąc na drutach skarpetki. A przy tym bez końca gadała. O wojnie i haniebnym eksportowaniu produktów żywnościowych, o klęsce głodowej w miastach i o świńskim obżarstwie wyższych sfer, o spustoszeniu uczynionym przez gripę hiszpankę i o tym, że mimo wszystko teraz już będzie dobrze, bo Branting został w końcu premierem...

Wieczorem uciszał ją smutek, wślizgiwała się wtedy w ramiona Izaaka i pozwalała, by ją kołysał.

Wstydziała się tego – nie chciała o tym mówić ani nawet myśleć. Jakże ma powody do smutku? Przecież wszystko jest dobrze!

W latach głodu pod koniec wojny żyło im się lepiej niż wielu innym: nawet w najgorszym okresie w ich domu była zawsze kasza, śledzie i dżem z borówek. Tak samo było z grypą hiszpanką: przeszła obok, u nich się nie zatrzymując. A kiedy kilku chłopców z Herräng dopadło polio, dusząc jednego z nich, a z trzech pozostałych robiąc kaleki, Harald i Erland nadal biegali wkoło na swoich mocnych nóżkach. Ich dzieci były zdrowe. Godzina za godziną. Dzień za dniem. Miesiąc za miesiącem. Poza tym Izaak był trzeźwy, sumienny i nigdy nie podniósł ręki ani na nią, ani na dzieci. Jeśli w ogóle miał jakąś wadę, to tę, że był tak bezgranicznie dobry, że sama Augusta czuła się przy nim zła. Nieraz podnosiła przecież rękę na dzieci. Inna rzecz, że nie za często i nigdy więcej, niż było trzeba, by wychować je na porządnych ludzi i sumiennych pracowników.

Jakże więc miała powody do smutku? Żadnych.

Wszystko było dobrze. Tak dobrze, jak to tylko możliwe w życiu górnika i jego żony.

Tak. Chodziło o Olgę.

W końcu musiała się do tego przyznać przed sobą samą. Do tego, co było wbrew naturze.

Zrozumienie spadło na nią któregoś mglistego, letniego poranka, kiedy wracała po cichu z wychodka; była jeszcze tak zaspana, że senne marzenia mieszały jej się z myślami na jawie. Kiedy w oknie pokoju Olgi zamajaczył biały kształt, zamrugowała oczami. W tym samym momencie przez jej głowę przeleciała zakazana myśl, ta sama, która od dawna drzemała ukryta za codzienną gderliwością, ta, której tak skrzętnie pilnowała, że nawet sama nie domyślała się jej istnienia. Teraz ją dostrzegła. Teraz stała się wyraźna.

Nie znoszę cię! – pomyślała, nim zdążyła się opamiętać. – Jak ja ciebie nie znoszę!

Sekundę później doszło do niej, że przed chwilą widziała Olgę.

Dziewięcioletnią dziewczynkę.

Jej własną córkę. I córkę Wilhelma.

Potem było jeszcze gorzej. Tak jakby w głowie Augusty powstało pęknięcie, z którego sączyła się żółć wstrętu i irytacji. Nic nie dało się na to poradzić. Jeśli Olga złapała wiadro i pobiegła z nim do pompy, nim jej to polecono, Augustie robiło się niedobrze od tego przypochebiania się, ale jeżeli Olga nie ruszała wiadra i czekała na komendę, Augustie robiło się równie niedobrze z powodu jej egoizmu. Prychała, kiedy

Olga bawiła się z bliźniakami, i syczała, kiedy tego nie robiła. A kiedy Olga siadała Izaakowi na kolanach i przechylała główkę, Augusta wzruszała ramionami i wzdrygała się. Takie to małe, a takie fałszywe!

Nie mogła pojąć, dlaczego Izaak nie dostrzega, że Olga tylko udaje. Ciągle. Że to tylko lenistwo, gdy mówi, że jest zmęczona. Że kiedy próbuje być miła, po prostu się podlizuje. Że płacze tylko dlatego, by się nad nią litować. Że przynosi ze szkoły wyróżnienia jedynie po to, żeby się wywyżżyć.

W końcu niemal nie mogły na siebie patrzeć. Olga kręciła się gdzieś na samym skraju pola widzenia Augusty, a Augusta pojawiała się niby czarna chmura na skraju pola widzenia Olgi. Siedząc w kościelnej ławce podczas confirmacji córki, Augusta zdała sobie sprawę z tego, że właściwie nie wie dokładnie, jak ona wygląda: nie przyglądała się jej od wielu lat, mimo że jadały przy jednym stole i cały czas spędzały w jednej kuchni, mimo tego nawet, że Augusta uszyła każdą sztukę ubrania, którą ten dzieciak kiedykolwiek nosił. Każdą z wyjątkiem sukienki do confirmacji. Olga uszyła ją sama. Tak twierdziła. U szkolnej koleżanki z Herräng, która ma maszynę do szycia. Tak naprawdę było jednak oczywiste, że sukienkę uszyła koleżanka lub jej mama. Tego Augusta była pewna. Bez względu na to, co twierdziła Olga.

Sukienka była rzeczywiście piękna. Augusta musiała to przyznać. Biała – oczywiście, takie się teraz nosiło – z przedłużoną talią i krótką spódniczką. Z żorzety. Za drogi materiał zapłacił Izaak, chociaż kopalnia nie pracowała już od ponad sześciu miesięcy, a nędzne grosze, które zarabiał na robotach publicznych dla bezrobotnych, ledwo starczały na jedzenie. Kiedy sukienka była już gotowa, Izaak jeszcze raz sięgnął do kieszeni, żeby Olga mogła kupić żelatynę potrzebną do zrobienia ozdobnego kwiatka z resztek materiału. Tak jakby zwykła mąka ziemniaczana nie wystarczyła do usztywnienia skrawków. Augusta uważała, że to skandal.

Czasami zastanawiała się, czy Izaak nie rozumie, że każdy grosz jest teraz potrzebny na jedzenie. Przecież tak samo jak inni górnicy z Herräng musiał iść dwa miesiące temu do Ludowego Domu Kultury po paczkę z jedzeniem, dostarczoną przez Szwedzki Związek Górników. Paczka pojawiła się w ostatniej chwili: tego dnia Augusta miała w spiżarni już tylko słoik dżemu z borówek i kilka nędznych ziemniaków. Nie pozwoliłaby jednak Izaakowi wziąć paczki, gdyby nie to, że pieniądze na jedzenie pochodziły od górników radzieckich. Był to wyraz ich solidarności. Gdyby chodziło o dobroczynność – jak wtedy, gdy żona proboszcza z Häverödal próbowała podarować Auguście starą sukienkę do przerobienia – wolałaby już, żeby rodzina jeszcze czas jakiś nie miała co włożyć do garnka. Lepiej, żeby Harald i Erland chodzili przez parę tygodni głodni, niżby mieli się uczyć wyciągania do możliwych czapki po pieniądze.

Tak czy owak. Jej samej też przydałaby się sukienka. Co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Do kościoła przyszła w swojej starej sukni ślubnej, już po raz trzeci przerabianej. Czarna wełna była tak przetarta, że spod materiału prześwitywały kolana

Augusty, a ona raz po raz przesuwiała po sukience ręką, wygładzając ją i układając w ten sposób, żeby spomiędzy nitek materiału nie prześwitywały brązowe pończochy. Stara taftowa halka już dawno popękała w szwach, a Augusta nigdy nie miała czasu, by ją zreperować, ani wystarczająco dużo pieniędzy, by kupić nową. Nie żeby miała się przez to stać specjalnie elegancka, wiedziała przecież, że zaczyna wyglądać jak stara baba. Brakuje jej trzech zębów, jednego w górnej szczęce i dwóch w dolnej, a pod brodą ułożyła się wygodnie mała poduszczyca tłuszczu, która teraz zaczyna puchnąć. W dodatku ręce są czerwone i popękane od ciągłego zanurzania w wodzie przy zmywaniu i praniu. Kiedy tak siedzi w kościelnej ławce, czuje pieczenie w małej, niemal niewidocznej ranie na palcu. Zmusza się do odwrócenia oczu od bolącego miejsca – pańciowate bzdury! – i podnosi oczy.

– Wierzymy w Boga Ojca Wszechmogącego – mówią chórem podchodzący do konfirmacji – Stworzyciela nieba i ziemi...

Kiedy Olga porusza się w ławce, jej gruby warkocz wije się na oparciu jak wąż.

To w właśnie w kościele Augusta po raz pierwszy zauważyła, jak mężczyźni przyglądają się Oldze i jak ona patrzy na nich. Bardzo świadomie. Z osobliwą uwagą, którą Augusta w pierwszej chwili nie do końca rozumiała.

Widziała tylko, że Olga pochyla białą szyję i muska wargami przyłaszczki, które dostała od Haralda i Erlanda, a jednocześnie spogląda z ukosa najpierw na proboszcza, potem na okręgowego lekarza i na młodego pracownika papierni, Elofa Karlssona z Hallstavik, po to, by w końcu zatrzymać wzrok na trochę starszym górniku, Albinie Lindbladzie z Herräng, tym, który gra na kornecie w orkiestrze instrumentów dętych. Wszyscy czterej zwrócili na nią uwagę. Proboszcz najpierw uciekł wzrokiem, a potem uśmiechnął się i kiwnął głową. Lekarz okręgowy uniósł brwi, po czym zdjął kapelusz i ironicznie się uklonił. Elof Karlsson poczerwieniał i odwrócił się w drugą stronę. Za to Albin Lindblad stał bez ruchu, wpatrując się w Olgę jeszcze długo po tym, kiedy już opuściła wzrok. Nie poruszył się, dopóki jego żona nie szturchnęła go ze złością w bok, zmuszając, żeby patrzył na swojego młodszego brata, który był konfirmacyjnym kolegą Olgi.

Chłopiec podążył jednak za spojrzeniem Albina i gapił się na Olgę, a potem opuścił psalterz, żeby ukryć to, co nagle wybrzuszyło się pod rozporkiem.

Była piękna. Piękniejsza, niż kiedykolwiek była Augusta.

Biała skóra, ciemne oczy, figura tak szczupła, że dłonie Izaaka stykały się ze sobą, kiedy ujmował nimi córkę w pasie.

Niespodziewanie w całym Nordanäng słyhać było śmiech Olgi. Właśnie jej, tej, która nigdy wcześniej się nie śmiała. Razem z nią śmiał się cały świat: Izaak, który sie-

dząc na werandzie, cieszył się, że znowu otwarto kopalnię i że co najmniej na jakiś czas skończyło się bezrobocie i głód, Erland i Harald, którzy biegali na bosaka po trawie, pełni oczekiwania na zbliżające się wakacje, sroka, która siedziała na jabłoni, i wróbel, który dziobał końskie łajno na drodze.

Tylko zmywającej w kuchni po obiedzie Auguście nie było do śmiechu. Krzywiła się. Popękane ręce paliły jak ogień, kiedy zanurzała je w wodzie.

Nie znoszę cię, myślała. Nie, Znoszę. Cię.

– HEJ! – WOŁA CHŁOPAK – ANDŻELIKA!

Andżelika hamuje stopą, tylne koło kręci się jeszcze w miejscu.

Po co się zatrzymała? Przecież nawet nie pamięta, jak ma na imię ten chłopak, który stoi teraz przed Błękitną Gospodą w grupie innych chłopaków. Andżelika poznaje ich wszystkich, ale nie pamięta żadnych imion. Może ich nie mają.

Nie zsiada z roweru, stoi z jedną nogą na ziemi, a drugą na pedale. Nagle znowu robi jej się niedobrze i musi przełknąć ślinę. Nie boi się, nie ma się czego bać. Nie jest przecież na jakimś pustkowiu, tylko w samym centrum Hallstavik, kilka metrów od fabrycznego portu. Ci chłopcy to starzy koledzy ze szkoły, jej rówieśnicy, może trochę od niej starsi. Poza tym jest jeszcze dosyć jasno. Nie ma nawet siódmej. Bakcyl nie zasiadł jeszcze na swoim sędziowskim miejscu przy kuchennym stole, żeby na nią czekać, jeszcze nie wie, że znikła, nie znikając.

– Tak? – odpowiada. W powietrzu unosi się zapach grilla.

– W porzo? – pyta ten, który wołał ją po imieniu. Matti. Tak, teraz pamięta. Ma na imię Matti.

– Tak – odpowiada. – A u ciebie?

W tej samej chwili przypomina sobie coś jeszcze i uginają się pod nią kolana. Ale z niej idiotka. Po co się zatrzymała? Kiedyś w siódmej klasie Matti ją obmacywał, wsadził w nią trzy palce, aż zaczęła krwawić. Potem nie była pewna, czy było to zwycięstwo, czy porażka. Może to dlatego zapomniała zarówno jego, jak i jego imię. Matti nie zapomniał, widzi to w jego oczach.

– Chodzisz w tym roku do Uppsali?

Kiwa głową i zmusza się, żeby spojrzeć mu w oczy.

– Jaki profil?

– Artystyczny.

Jeden z chłopaków w tyle je kielbasę, gryzie z otwartymi ustami i nie spuszcza wzroku z Andżeliki. W lewym kącie ust została odrobina keczupu.

– Co się po tym robi? – pyta Matti i stawia kilka kroków w jej kierunku, miażdżąc jednocześnie puszkę coli, którą trzyma w ręku.

Andżelika wzrusza ramionami.

– Nie wiem. Uczy się rysunków w szkole... Zostaje się artystą.

Matti ironicznie wydyma usta i porusza biodrami.

– Noooo! To pięęęknie...

Kładzie rękę na kierownicy i zerka na Andżelikę, czterech chłopców za nim ustawia się w małym półkolu. Dwaj z nich są metalowcami: mają długie włosy i wąskie oczy. Andżelika prostuje się i nie zwraca na nich uwagi, zamiast tego spogląda na Mattiego.

– A co ty robisz?

Jego dłonie wystukują na kierownicy rytym jak na bębnie.

– Program indywidualny*.

– Tutaj, w Hallstavik?

– Mhm, w Hallstavik...

Uśmiecha się z zaciśniętymi ustami i nagle staje okrakiem nad kołem roweru.

Daleko za nim, po drugiej stronie parkingu, ktoś wychodzi z Błękitnej Gospody. Wygląda trochę jak Kristoffer, ma kurtkę w tym samym kolorze co on, ale Andżelika nie jest zupełnie pewna. Źle widać. Mruga oczami: tak, to Kristoffer. W rękę ma hamburgera, przez parking idzie na skos, jakby chciał ich specjalnie ominąć. Andżelika otwiera usta, żeby go zawołać, ale natychmiast je zamyka. Dlaczego Kristoffer miałby jej pomagać? Dlaczego miałyby w ogóle potrzebować pomocy? Przecież stoi tylko i rozmawia z kilkoma chłopakami. Kolegami. Czy jak ich zwać.

Matti trzyma teraz kierownicę obiema rękami, nic już nie mówi. Reszta chłopaków ustawiła się w podkowę za jej plecami. Dziewczyna nie widzi ich. Czuje tylko, że są obok. Rower chwieje się. Ktoś usiadł na bagażniku.

– Która godzina? – pyta Andżelika. Właściwie nie wie, dlaczego to robi: przecież sama ma zegarek, wystarczy podnieść rękę i sprawdzić. Jednak musi coś powiedzieć. Nie może tak stać w milczeniu, czekając, aż coś się stanie. – Czy ktoś wie, która jest godzina? – powtarza. Jej głos jest teraz wyższy, niemal piskliwy.

Matti unosi brwi, ale nie odpowiada. Nikt nie odpowiada. Ten, który siedzi na bagażniku, wsuwa ręce pod bluzkę Andżeliki i powoli przesuwa je po jej brzuchu. Andżelika szarpie się, żeby mu się wyrwać, ale to nie pomaga. Chłopak na bagażniku przytrzymuje ją lewym ramieniem, a jego prawa ręka przesuwa się wyżej. Andżelika puszcza kierownicę i usiłuje go odepchnąć.

– Co robisz, do cholery? Puść!

Matti wciąż trzyma kierownicę obiema rękami.

– Ale dziś jesteś sztywna, Andżelika – mówi, potrząsając głową. – To do ciebie niepodobne.

* Program dla uczniów mających problemy z nauką.

Ktoś zaczyna się śmiać. Obca ręka zamyka się na jej staniku. Głos Andželiki robi się piskliwy.

– Puść mnie!

Matti kręci głową.

– Kurwa, nie rób hysterii, Andželika... Przecież masz w tym wprawę.

Ręka wciska się pod stanik, palec zaczyna masować sutek; od jego dotyku mdłości podchodzą Andželice do gardła. Kątem oka widzi, jak metalowiec po prawej stronie położył rękę na rozporoku i zaczyna się onanizować. Nagle przypomina jej się, jak ma na imię. Danne. Pocałował ją raz w ósmej klasie i usiłował jej wsadzić rękę w majtki, ale miała wtedy okres i nie chciała... Metalowiec po lewej stronie wysunął język i przesuwa nim po brodzie jak prawdziwy Gene Simmons, to ten sam, co któregoś sobotniego wieczoru w zeszłym roku położył jej rękę na swoim rozporoku... Tak, teraz go pamięta! Ma na imię Niklas, nie tylko nie cofnęła wtedy ręki, ale korzystając z tego, że kryły ich ciemności pizzerii, rozpięła rozporek i pieściła chłopaka, aż stwardniał i doszedł.

Może obmacywała się ze wszystkimi pięcioma. Nie wie. Nie pamięta.

– Puść mnie!

Chciałaby wrzasnąć, ale wychodzi z tego charkot. Rower chwieje się pod nią, kiedy próbuje się wyrwać, ale nie upada. Matti ciągle trzyma kierownicę. Uśmiecha się teraz i pochyła do przodu.

– Kurna, ale byłaś dziś skąpa, Andželika... To do ciebie niepodobne. Ty, która bywasz taka hojna.

Ręka pod bluzką schwyciła teraz lewy sutek, ściska go i obrabia dwoma palcami. Jakiś dziwaczny płacz, suchy i pozbawiony łez miesza się z mdłościami, ale zatrzymuje się w gardle, z którego dobywa się jedynie idiotyczne piśnienie. Puść! Andželika wymachuje rękami, bezskutecznie próbuje złapać obcą rękę pod bluzką, jednocześnie widzi, że inne ręce odpinają powoli guziki w spodniach, ktoś złapał się za rozporek, a ktoś inny gładzi ją po udzie. Jednak rozumna część jej głowy pozostaje niewzruszona. I po co tak macham rękami, myśli. Idiotycznie to wygląda. Po babsku.

Matti nachyla się nad nią, jego oddech przelatuje po jej wargach.

– Wiemy, co kombinujesz – mówi ściszym głosem. – Pieprzysz się ze starym dziadem.

Potem puszcza kierownicę, rower chwieje się pod dziewczyną. Ręka na jej piersi nieruchomieje.

– Panowie – mówi Matti – puśćcie, kurwa, tę dziwkę... Ktoś podnosi się z bagażnika. Rower upada z łoskotem na ziemię. Przednie koło zaczyna się kręcić.

– Ona jest, kurwa, obrzydliwa – dodaje, wkładając ręce do kieszeni. – Jej cipa śmierdzi rybą... Tydzień, kurwa, śmierdziałem po tym, jak tam byłem.

Po wszystkim ma w głowie chaos. Nie jest w stanie zebrać myśli.

Nie żeby się nie starała. Wręcz przeciwnie. Robi, co może. Kiedy jedzie na rowerze do Nordanäng – dzisiejszego wieczoru nie ma cierpliwości, żeby czekać na autobus – przez cały czas próbuje myśleć o czymś miłym i uspokajającym. Zmierzch jest taki piękny, czarny las na tle szarobłękitnego nieba, całkowita cisza świata dookoła. Może wszyscy inni ludzie wymarli, może została sama jedna na powierzchni ziemi. Zaraz, zaraz, nie wszyscy umarli. Mikael nie umarł, śpi teraz, jutro Andżelika pojedzie do Herräng, żeby go obudzić. Wcześniej spędzi relaksujący, miły wieczór w domu Augusty. Nakryje ładnie do stołu, zapali świeczkę, a potem będzie sobie spokojnie siedzieć w gęstniejących ciemnościach i odrabiać lekcje...

Zaczyna nakrywać do stołu zaraz po wślizgnięciu się przez okno, nawet nie zdejmuje kurtki. Głęboki talerz. Łyżka. Szklanka. Zrobiło się tak ciemno, że musi zapalić zapalniczkę i wspiąć się na krzesło, żeby znaleźć puszkę z zupą mięsną. Zauważa, że zapomniała zdjąć buty. Ze skrucną wyciera krzesło ręcznikiem: szoruje i szoruje niewidoczny brud. Potem otwiera puszkę, wlewa zupę do garnka i ustawia go na płycie elektrycznej.

Dziś wieczorem w domu jest ciemno, dużo ciemniej niż wczoraj, żeby trafić do przedpokoju musi po omacku przejść przez duży pokój. To miłe. Andżelika nigdy nie mogła pojąć, dlaczego niektórzy ludzie boją się ciemności. Przecież to idiotyzm: człowiek nigdy nie jest tak bezpieczny jak wtedy, gdy go nie widać...

Zdąża pochylić się, żeby ściągnąć lewy but, kiedy słyszy głos:

„Kurwa. Pizda. Zdzira. Paskuda. Cholerna wariatka”.

Mija kilka sekund, nim zorientuje się, kto to powiedział.

Musi coś zjeść. Od piątku nie jadła nic gotowanego. W całym domu pachnie zupą mięsną.

Andżelika lubi zupę mięsną. Zupa mięsna Siri była najlepsza na świecie. Może dlatego, że była doprawiona oczekiwaniem: kiedy Siri podawała zupę mięsną, to na deser była zawsze szarlotka z sosem waniliowym. Siri próbowała tylko odrobinę sosu, ale Andżelika mogła zjeść go tyle, ile jej się podobało.

Tylko że teraz w piecyku nie ma pachnącej cynamonem szarlotki, a w lodówce nie czeka gęsty sos waniliowy. Czy to dlatego Andżelika nie jest w stanie usiąść przy stole? Nawet nie wysuwa krzesła; pochylając się nad jego oparciem, wkłada łyżkę do talerza, powoli prowadzi ją do ust i polewa zupą język.

Smakuje paskudnie. Tłusto. Słono. Stęchlizną.

Wypuszczona z ręki łyżka upada na podłogę.

Kiedy Andżelika idzie z powrotem do dużego pokoju, wyciąga przed siebie ręce i maca nimi w ciemności. Przypomina jej się zabawa w niewidomą, w którą bawiła się w tamtym najgorszym czasie. Kiedy Bakcyl dopiero co powrócił do trzeźwości.

Znacznie prościej było, gdy chlał i ćpał. Kiedy było mu wszystko jedno: z reguły niemal nie dostrzegał istnienia Andżeliki, a kiedy już ją zauważył, łatwo było umknąć jego kopniakom i wymachującym pięściom. Najczęściej był zresztą zbyt leniwy, żeby próbować ją bić. Kiedy pojawiła się w zasięgu jego wzroku, bełkotał tylko: Cholerna gówniara – a potem zapominał o niej i zaczynał bełkotać o czymś innym. Karinie było trudniej. Nigdy nie zdążyła uchylić się przed jego pięściami, a kiedy kończył ją bić, musiała najpierw ułożyć go na podłodze w salonie, w pozycji na boku, żeby nie udusił się swoimi własnymi rzygami, i dopiero potem mogła pójść do przychodni, żeby założono jej opatrunki i temblak. Andżelika ma wrażenie, że w tamtym okresie Karina zawsze nosiła temblak i że w dodatku była z tego dumna.

Nie żeby Andżelika zbyt dużo się nad tym wówczas zastanawiała. Zaczęła przecież szkołę i miała swoje sprawy. Każdego rana budził ją dzwonek telefonu, szła do przedpokoju i stała tam przez chwilę, mrugając sennie i licząc sygnały. Jeden. Dwa. Trzy. Cztery. Zgadza się. Dzwoni Siri, zaczął się nowy dzień.

To Siri powiedziała, żeby Andżelika nie odbierała jej telefonów. Nie ma potrzeby. Trzeba by za to płacić, a wtedy Siri nie byłoby może stać, żeby co rano dzwonić i ją budzić. Jednak gdyby Siri nie miała pewności, że Andżelika się obudziła, oczywiście zaraz zaczęłyby się zamartwiać. Dlatego Andżelika natychmiast do niej oddzwaniała. Ona również przeczekiwała cztery sygnały. Stojąc z zamkniętymi oczami, wyobrażała sobie, jak Siri idzie na palcach do kuchni w swoim szarym szlafroku i po drodze liczy dzwonki. Andżelika wiedziała, że Siri nie odbierze: to naraziłoby Karinę na zupełnie niepotrzebne wydatki, doprawdy, Siri nie chciałyby brać za to odpowiedzialności...

Mimo to Andżelika miała uczucie, że Siri jest przy niej każdego ranka: siedzi na klozecie, patrząc, jak Andżelika ochlapuje twarz wodą i płucze usta, przytrzymuje krzesło, kiedy Andżelika chwilę później wspina się na kuchenny blat, żeby sięgnąć po pudełko nesquika, a potem pomaga jej poprzesuwać stojące na stole szklanki i butelki, żeby było gdzie usiąść i wypić kakao.

W ciemnościach za oknem świeciło kilka latarni, przez most Skärstabron przejeżdżała z hukiem pierwsza ciężarówka z drzewem. Bakcyl chrapał na podłodze w salonie. Karina, pojękując, przewracała się na swoim łóżku w sypialni: pewnie coś ją bolało.

Andżelika przesuwiała językiem po swoich niedomytych jedynkach i wzdychała z zadowoleniem. Kakao było dobre i tak przyjemnie było mieć spokój.

Kiedy Bakcyl wytrzeźwiał, wszystko się zmieniło.

Andżelika nie wie dokładnie, jak doszło do jego przemiany, nie pamięta nawet tego, że Bakcyl któregoś dnia zniknął i nie było go potem przez kilka miesięcy. Pamięta za to dokładnie, co się działo, kiedy powrócił.

Tego dnia po szkole siedziała u Siri. Jak zawsze. Kiedy wracała do domu, mżyło, ale wcale jej to nie przeszkadzało, wręcz przeciwnie – było nawet na rękę. Teraz nikt nie mógł się naśmiewać, że ma na sobie płaszcz przeciwdeszczowy: jest rzeczą najzupełniej odpowiednią mieć na sobie płaszcz nieprzemakalny w czasie mżawki. To dowód na zdolność przewidywania. Przygotowanie.

Jednak to nie ze względu na deszcz Andżelika miała na sobie płaszcz. To dlatego, że płaszcz był różowy. Zupełnie różowy. Cały. Kupiła go jej Siri. Zamówiła z katalogu wysyłkowego. Kilka godzin temu poszły razem na pocztę, żeby odebrać paczkę. Siri przeprosiła panią w okienku za to, że nie ma równo wyliczonych pieniędzy, a potem pośpieszyła z wyjaśnieniem, że bynajmniej nie kupiła nic kosztownego ani zbędnego. Tylko płaszcz nieprzemakalny dla dziecka. Za pół ceny.

Dla Andżeliki cena nie miała żadnego znaczenia. Ani fakt, że był to płaszcz nieprzemakalny. Ważne było tylko to, że jest różowy. Karina kupowała jej wyłącznie szare i granatowe ubrania. Mniej się brudziły. Andżelika już od dawna nie marudziła na ten temat: gdyby narzekała, Karina powiedziałaby tylko, że jest rozpieszczona i nieznośna. Kiedy mówiła takie rzeczy, Andżelika czuła zawsze straszne mrowienie pod skórą, nie lubiła tego. W związku z tym zapomniiała, że jej ulubionym kolorem jest różowy, i nie przypomniiała sobie o tym do czasu, kiedy Siri otworzyła paczkę i w ciele Andżeliki wystrzelił gejzer radości.

Teraz szła do domu, do Kariny, ubrana w zupełnie nowy, różowy płaszcz przeciwdeszczowy. Otworzyła oszklone drzwi i weszła na klatkę schodową, ale zanim jeszcze zapaliła światło, poczuła, że coś jest inaczej niż zwykle. W powietrzu czuć było coś nowego: metaliczny zapach, którego nigdy wcześniej tu nie było.

Położyła rękę na poręczy i zaczęła wchodzić po schodach.

Tak. Zapach rozchodził się z trzeciego piętra. Z mieszkania Kariny. Była tego pewna.

– Gdzie byłaś, do cholery?

W mieszkaniu było oślepiająco jasno, paliły się wszystkie lampy. Andżelika wciągnęła powietrze: jej płuca wypełnił nowy zapach. Teraz już go rozpoznawała. Świeży zapach środków czystości. Gdzieś było otwarte okno. Albo kilka okien: z salonu do jej pokoju wiał lekki wiaterek, Karina stała w przedpokoju na szeroko rozstawionych nogach i pocierała czoło, w rękę trzymała szmatę do podłogi. Andżelika rzuciła plecak na podłogę i rozejrzała się dokoła. Na mokrej podłodze stał kubeł. Czerwony. Zupełnie nowy.

– A co ty masz na sobie?

Andżelika otworzyła usta, ale nie odezwała się, nie była pewna, co ma powiedzieć.

– Zwędziłaś go komuś? – zapytała Karina. – Co? Zwędziłaś komuś ten płaszcz?

– Zwędziła? – powtórzył niski głos. – Co takiego zwędziła?

W drzwiach do kuchni stał niski, przysadzisty mężczyzna. Upłynęło kilka sekund, zanim Andżelika go poznała.

W ciągu ostatnich ośmiu miesięcy Bakcyl był wychowywany.

Teraz marzył, żeby samemu móc wychowywać.

Andżelika została zaprowadzona do kuchni i ustawiona przy stole, rozpoczęło się przesłuchanie.

Najpierw miała uczciwie odpowiedzieć na zadawane jej pytania. Później z jej gęby miała zniknąć ta obrażona mina: nie ma przecież żadnych powodów, żeby się obrażać. Co? Coś jej się nie podoba? Jakim prawem pyskuje dorosłym? Ona, która nigdy w życiu nie zarobiła na choćby jeden posiłek? No, a nie? Ona, która już w przedszkolu kradła? A w pierwszej klasie od razu dostała kuratora i psychologa?

– Siri? – mówiła za jej plecami Karina. – Próbujesz mi wmówić, że najbardziej skąpe babsko w całym Hallstavik kupiło ci ten różowy ciuch? Masz nas za głupich? Co?

Bakcyl złapał ją za kark i ścisnął. Nastaly nowe czasy. Chciałby ją o tym poinformować. Dlatego Andżelika najpierw powie prawdę, a potem razem z Bakcylem pójdzie na spacer, żeby zwrócić płaszcz jego prawowitej właścicielce. Proszę powiedzieć, jak ona się nazywa.

– Rebeka! – krzyknęła w końcu Andżelika. – To płaszcz Rebeki...

Nie rozumiała, dlaczego to zrobiła. Nigdy tego nie zrozumie.

Mama Rebeki miała zmarszczkę pomiędzy brwiami; zmarszczka pogłębiła się na widok stojącego na schodach Bakcyła, który trzymał w rękę różowy płaszcz.

– Nie. To nie jest płaszcz Rebeki. Słowo daję, że nie.

– Ty cholerna kłamczucho – powiedział Bakcyl, kiedy znowu stali na chodniku. Jego ręka zacisnęła się na jej karku.

W salonie u Rebeki zapaliło się światło, w środku mignęła sylwetka mężczyzny. Andżelika spojrzała na niego i przez chwilę zastanawiała się, jak to może być, że ktoś, kto jest tak blisko, znajduje się tak bardzo daleko. Zaraz o nim zapomniała.

Nazajutrz wokół Rebeki zebrał się krąg dziewczynek, które zamilkły i odwróciły się, kiedy na szkolny dziedziniec wyszła Andżelika. Ręce wcisnęła głęboko w kieszenie swojej niebieskiej wiatrówki i udawała, że ich nie widzi. Szybkim krokiem podeszła do stojaka na rowery, jakby śpieszyła się na jakieś niezwykle ważne spotkanie. Dogoniło ją kilka słów: „Mama była kompletnie wstrząśnięta!” Odpędziła je i postarała się natychmiast o nich zapomnieć. Przykucnęła i przez chwilę macała asfalt, udając, że czegoś szuka. Wielka Linda – ta z którą nigdy nie chciały się bawić czwartoklasistki i która w związku z tym szukała zawsze towarzystwa Andżeliki i innych młodszych dziewczynek – kręciła się wokół niej. W końcu nie mogła się już powstrzymać, stanęła i przechyliła głowę.

– To prawda, że twój stary cię bije? – zapytała.

To jednak nie była prawda. Bakcyl nie bił jej.

Skądże znowu.

On tylko wyznaczał granice. To ważne, żeby dzieci znały granice.

W szczególności w kwestiach higieny. Koniec z porannym ochlapywaniem twarzy i niedbałym płukaniem ust. Andżelika miała najohydniejsze zęby, jakie kiedykolwiek Bakcyl widział: całe pokryte żółtym nalotem i – tu podnosił głos – jeśli sama nie weźmie się migiem za ich umycie, to może być pewna, że on jej w tym pomoże. Chwilę później był zmuszony kazać jej odejść od stołu: miała tak ohydnie poobgryzane paznokcie, że Bakcyl tracił apetyt. To samo tyczyło się jej tłustych włosów. Jeżeli Andżelika nie wie, że długie włosy należy myć – tu walił pięścią stół, aż brzęczały talerze – to piorunem je obetniemy. Bo teraz – kurde mol – w tym ogródku będzie porządek.

Im bliżej wieczoru, tym jego głos huczał coraz donośniej.

Ale Bakcyl jej nie bił. Skądże znowu.

Zamykał ją tylko w łazience.

Na początku krzyczała. Przynajmniej tak jej się wydaje. Nie pamięta dokładnie, wie tylko, że wewnątrz niej był krzyk, nawet wtedy, kiedy już się przyzwyczaiła i doszła do wniosku, że w pewnych sytuacjach lepiej być zamkniętą w łazience, niż znajdować się

poza nią, w mieszkaniu. Poza tym krzyczenie się nie opłacało. Mogło być wręcz niebezpieczne. Dlatego właśnie nauczyła się bawić w niewidomą. Żeby pomóc sobie w zachowaniu ciszy.

To była dobra zabawa. Andżelika zamieniała się w księżniczkę, której zaczarowano oczy, zamieniając je w diamenty. Księżniczkę, która musiała iść po omacku przez pełen niebezpieczeństw ciemny las, ale miała wystarczająco dużo siły, żeby pomóc wszystkim potrzebującym zwierzętom. Wkładała w łubki złamaną nóżkę wiewiórki. Wspinała się na drzewo z małym ptaszkiem, który wypadł z gniazda. Ratowała lisa, którego ogon przytrzasnęły sidła. W końcu otrzymywała nagrodę: pojawiała się dobra wróżka – zgarbiona i zatroskana – i dawała jej w prezencie nowe oczy. Czasami księżniczka musiała się chwilę zdrzemnąć, żeby nowe oczy zaczęły działać, ale to nie miało znaczenia. Wróżka dawała jej pachnące mydło do wążania na dobry sen...

Kiedy Andżelika podrosła, zabawa w niewidomą trochę się zmieniła. Stała się bardziej matematyczna. Czasem niewidoma dziewczyna miała tak wrażliwe palce, że dziwił się temu cały świat: wystarczyło, że dotknęła szczotki do zębów, i już wiedziała, ile jest na niej włosków. Było to zadanie wymagające ćwiczeń i koncentracji. Kiedy w mieszkaniu cichły wszystkie głosy, Andżelika siadała oparta plecami o wannę i liczyła: najpierw, ile jest włosków w jednym pęczku na szczoteczce, a potem ile jest tych pęczków. Następnie mnożyła liczbę wszystkich włosków przez liczbę pęczków i już miała odpowiedź. Było to żmudne zajęcie: włoski były tak cienkie i trudne do policzenia, że aby uzyskać pewność, zmuszona była powtarzać tę samą procedurę przynajmniej pięć razy, a potem wyliczać średnią. Wynik wahał się zazwyczaj pomiędzy trzysta sześćdziesiąt a trzysta osiemdziesiąt pięć włosków na szczoteczkę.

Tyle że teraz nie powinna się bawić w niewidomą. Nie powinna błądzić między ścianami w dużym pokoju Augusty z wyciągniętymi przed siebie rękami. To idiotyzm. Powinna za to odrobić lekcje: ma coś zadane ze szwedzkiego i z nauk społecznych, w plecaku czekają na nią książki, powinna je wyjąć i zabrać się do roboty...

Mimo to nie może przestać. Po prostu musi przesuwać rękami po kolejnych meblach, po kolejnych przedmiotach. Tu jest bieliźniarka. Tutaj komoda. Tu jest ta mała miseczka, w której trzymała swoją biżuterię Alicja. A to jest telefon. Telefon.

„Idiotko – mówi rozumna część głowy Andżeliki. – Ty cholerna, durna, pierdolnięta idiotko!”

Nic to jednak nie pomaga.

Numer telefoniczny zapamiętała zeszłego lata. Nie żeby jej go dał. Nie żeby prosiła go o telefon. Wręcz przeciwnie – skrzywił się, kiedy podniosła z podłogi w samochodzie

brudną wizytówkę, a potem zabrał ją i podarł. Jednak było już za późno. Numer jego komórki zdążył wyryć się w pamięci Andżeliki.

Telefon jest czarny, staroświecki. Z tarczą do wykręcania numerów. Andżelika jest niewidomą dziewczyną, która ich nie widzi, i jej palec musi liczyć dziurki, zanim ona wykręci jakąś cyfrę.

Wykręcając pierwszą, myśli: może ten telefon nie działa.

Wykręcając drugą: może nie uzyskam połączenia.

Wykręcając trzecią: może to będzie pomyłka.

Działa. Jest połączenie. Z właściwym numerem.

On siedzi w samochodzie, Andżelika rozpoznaje cichy szum silnika. Ma włączone radio: w tle słycać muzykę.

– Halo – mówi.

Na dźwięk jego głosu w nozdrzach czuje przez chwilę słaby zapach oregano.

– Cześć – mówi Andżelika. – To ja.

– Cześć, maleńka – odpowiada. – Czemu masz taki ponury głos?

Mija kilka sekund, zanim Andżelika zda sobie sprawę, że on myli ją z kimś innym. Odchrząkuje.

– To ja – powtarza. – Nie Rebeka. To ja.

Cisza. Andżelika przygryza usta. Siedzi teraz po turecku na podłodze, z wyprostowanymi plecami. Ma zachrypnięty głos.

– Możesz rozmawiać? Jesteś sam?

Mężczyzna odchrząkuje.

– Tak.

Andżelika zamyka oczy.

– Gdzie jesteś? Możemy się spotkać?

Nie słycać już muzyki. Wyłączył radio, ale nie odpowiada.

– Proszę! – nalega Andżelika.

Znowu cisza. Cisza i szum silnika.

– Posłuchaj – mówi Andżelika – tęsknię za tobą. Moglibyśmy się chyba zobaczyć...

Znowu chrząknięcie.

– Nie.

Jej głos robi się płaczliwy, słyszy to, ale nie jest w stanie nad tym zapanować.

– Proszę! Jeszcze tylko ten jeden raz. Znalazłam dom, w którym moglibyśmy się spotkać...

– Dom?

– Tak. Wiesz, ten sam, przy którym mnie znalazłeś po raz pierwszy... Teraz tu mieszkam.

– Mieszkaś tam? W tamtym domu w Nordanäng?

– Tak. I czekam tu na ciebie... Proszę, przyjedź!

W jego głosie słychać teraz zniecierpliwienie. Złość i zniecierpliwienie.

– Posłuchaj, Andželiko, po pierwsze, nie jestem teraz w domu. Siedzę w samochodzie, jestem w drodze do Malmö, właśnie minąłem Jönköping. Po drugie, ustaliliśmy przecież, że cała ta historia to pomyłka.

Andželika pociąga nosem.

– Ustaliliśmy?

– Tak, Andželiko. Musisz o tym pamiętać. Pod koniec nie byłaś przecież specjalnie zaangażowana. Dlatego ustaliliśmy, że nie będziemy się już spotykać, że to wszystko było pomyłką.

Coś jej wypływa z kącika ust. Cieknie jej ślina. Naprawdę siedzi tutaj i się ślini... Ohydztwo, kurwa.

– Andželiko!

Trudno mu znieść jej milczenie, Andželika słyszy to, ale nie jest w stanie wydusić słowa. Żeby go pocieszyć, wydaje z siebie nieokreślony dźwięk.

– To była pomyłka, Andželiko. Wiesz o tym. Nie powinniśmy byli tego zaczynać. Ja nie powinienem. Ale pokusa była zbyt silna.

Teraz w jego głosie słychać uśmiech.

– Andželiko, jesteś taka ładna. Taka słodka. Nie sposób utrzymać rąk z daleka od ciebie...

Z nosa też jej cieknie. Pali pod powiekami. Ale nie płacze.

– Jesteś smutna? – pyta mężczyzna. Jego głos znowu poważnieje. – Nie bądź smutna, maleńka. Tak będzie lepiej, sama to dobrze rozumiesz. Niedługo spotkasz chłopca

w swoim wieku i będziesz się cieszyć, że to między nami się skończyło. Teraz, kiedy się przeprowadziliście, masz mnóstwo innych spraw. Musisz urządzić swój pokój i tak dalej. Kupić meble. Pomóc mamie zawiesić firanki.

Nagle przestaje jej cieknać z nosa. Andżelika sztywnieje, siedząc z wyprostowanymi plecami, wpatruje się w ciemność. Kiedy znowu się odzywa, w jej głosie brzmi niedowierzanie.

– Słucham?

Słyszy, jak on zapala papierosa, wydmuchując dym, trochę kaszle.

– Wszystko jedno. Chcę tylko, żebyś wiedziała, że pragnę twojego dobra. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli będziesz żyła życiem zwykłej nastolatki. I trochę na siebie uważała...

– Uważała na siebie? Jak to?

Mężczyzna wzdycha.

– Nie wiem. Może powinnaś trochę wziąć na wstrzymanie.

Andżelika czuje, jak jej twarz zastyga w grymasie: zmarszczone czoło, odsłonięte zęby. Nie wie tylko, skąd pochodzą te słowa, które sekundę potem wyrrywają się z jej ust, nie ma pojęcia, skąd się wzięły w jej głowie i jak się z niej wydobywają.

– Ty, kurczę, jesteś chyba nienormalny – mówi. – Jak mam wziąć na wstrzymanie, skoro zrobiłeś mi dziecko!

Odkłada słuchawkę.

Później czuje ogromną lekkość. Kiedy kręci się po ciemnym pokoju, chce jej się fruwać. Idąc po omacku, wpada na przedmioty: obraz zaczyna się bujać na gwoździu, ze stołu zsuwa się obrus, krzesło przewraca się z hukiem. Co z tego? Jakie to ma znaczenie w chwili triumfu? W chwili, kiedy człowiek wie, że gdzieś w srebrnym samochodzie siedzi mężczyzna, który się boi. Który jest przerażony. Sparaliżowany strachem.

Yes! Andżelika wyobraża sobie, jak mężczyzna zjeżdża z drogi i parkuje samochód w zatoce. Potem siedzi z dłońmi na kierownicy, patrząc pustym wzrokiem przed siebie. Na tablicy rozdzielczej migają małe, czerwone lampki, a jego twarz powoli kurczy się, kiedy mężczyzna uświadamia sobie, że już niedługo wszystko straci. Piękny dom. Piękną żonę. Uroczą córeczkę.

Nawet pokój ogarnęło wzburzenie, fotel na biegunach rozhuśtał się, podłoga faluje, kołyszą się ściany. Na pewno będzie jej szukał. To oczywiste! Gdy tylko minie początkowy szok, będzie musiał ją znaleźć. Będzie do niej przemawiał głosem pełnym miłości i łez, będzie zebrał o wybaczenie, będzie prosił i błagał, będzie jej obiecywał złote

góry, byle tylko usunęła ciężę! Jednak niewidoma dziewczyna – księżniczka i geniusz kalkulacji – odmówi, jej diamentowe oczy zaiskrzą się w ciemności, kiedy powie, że to niemożliwe, że on nie może od niej wymagać, aby złożyła w ofierze życie ich dziecka... I on w to uwierzy! Ten głupi drań uwierzy jej, bo nie może wiedzieć, że w zeszłym tygodniu miała miesiączkę...

Śmiejąc się w głos, wiruje w kółko po pokoju. Nie zauważa przewróconego krzesła, które czyha na nią w ciemności.

Noga porządnie boli. Mocno ją stłukła. Jednak jest to na swój sposób przyjemne.

Przyjemnie jest leżeć na podłodze w ciemnym pokoju, w ciemnym domu, przykrywszy się chodnikiem. Być bezpieczna. Niewidoczna. Nie istnieć.

Może naprawdę przestała istnieć. Albo po prostu zasnęła. Nie wie tego na pewno, wie tylko, że kiedy znowu wstępuje w nią życie, dom Augusty jest bardzo wyziębiony. Deszcz stuka w szyby. Wyje wiatr.

„Dziwka! – woła. – Pizda! Zdzira! Wstręciucha! Wredna, kopnięta oszustka!”

SZEPTY DOMU.

Andżelice udało się dokuścić do garderoby na poddaszu. Leży teraz z otwartymi oczami i wsłuchuje się w rozmowy z dawnych czasów.

– Opowiadaj – mówi Alicja.

– Nie chcę – odpowiada Augusta.

– Chcesz – upiera się Alicja. – Właśnie, że chcesz.

– W Herräng gadają, że Izaak posiwił w godzinę – mówi Augusta, patrząc na swoje dłonie – ale to nieprawda. Trwało to kilka tygodni...

Milknie, słysząc, że łamie jej się głos. Już prawie trzydzieści lat minęło, odkąd ktoś widział jej smutek, i wcale nie zamierza znowu go komuś pokazywać. Alicja wstrzymuje oddech i ostrożnie przesuwa grzebieniem po już uczesanych włosach Augusty, po to, by babka mówiła dalej.

Augusta odchrząkuje i szuka w pamięci jakiegoś pewnego, niewzruszalnego punktu zaczepienia, żeby móc się go uchwycić teraz, gdy zbliża się do tamtego dnia dawno temu.

– To był poniedziałek...

Wrzesień. Słońce.

Zapach dymu w powietrzu.

Izaak siedzi na schodach werandy i wkłada drewniaki, niezdarnie usiłując wsunąć w sztywną skórę stopy w grubych skarpetach. Podnosi lewą nogę, żeby przyjrzeć się drewnianej podeszwie. Chodaki są starte, przed zimą musi sobie sprawić nowe spody, bo inaczej będzie się ślizgał w kopalnianych tunelach niby jakieś ciele. Trzeba jednak z tym trochę poczekać, bo dopiero co kupił kombinezon roboczy, który ciągle jest tak sztywny, że przy każdym poruszeniu Izaak czuje lekki opór. Podoba mu się to. Daje poczucie solidności, jak naukowe potwierdzenie na to, że w życiu dobrze mu się ułożyło, że jest porządnym górnikiem, a nie jakimś łachmytą.

W kuchni przy piecu hałasuje fajerkami Augusta. Zaraz obudzi chłopców, wyrwie ich ze snu pokrzykiwaniem i energicznym klaskaniem w dłonie. Sprawdzi, czy się porządnie umyli, i będzie przy tym udawała surową. Jednak, nakładając im kaszę, nie powstrzyma się już od śmiechu, a na deser opowie im jakąś straszną historię. Pewnie będzie to historia o duchach. Coś o zjawach i o umarłakach, aż Erlandowi i Haraldowi będzie się kręciło w głowie z przerażenia i zachwyty.

Mamy dom, myśli Izaak i po raz tysięczny zaczyna przeliczać w głowie swoje błogosławieństwa. Dom, w którym jest zastawiony jedzeniem stół. Dom bez robactwa na ścianach i bez zarazków gruźlicy. Dom z fotelem na biegunach i sekretarzykiem. Tylko że w tym domu nie ma już pasierbicy...

Izaak podnosi się z westchnieniem, chwyta swój węzełek z jedzeniem i dynamitem i rusza w stronę Herräng.

Olga przeprowadziła się do Hallstavik. Od trzech tygodni mieszka razem z Iris, córką górnika z Herräng, na strychu w jednym z baraków fabrycznych. Rodzice Iris to porządni ludzie i przykładni Dobrzy Templariusze, w przeciwnym razie Augusta nigdy by się na to nie zgodziła. Z drugiej strony, Olga i tak zrobiłaby, co by chciała: kiedy zrezygnowała z posady służącej i dostała pracę kąpielowej w fabrycznej łaźni, uśmiechała się tylko złośliwie, gdy Augusta wpadła w furję, ale nie dała się odwieść od podjętej decyzji. O co chodzi? Przecież Augusta zawsze powtarzała, jak ważna jest czystość. Powinna się zatem cieszyć, że jej córka dostała najczystszą z możliwych prac...

– Znowu to robi – powiedziała z rezygnacją Augusta, kiedy stali na werandzie, patrząc na odchodzącą Olę.

– Mści się.

– Oj – odpowiedział Izaak, obejmując ją ramieniem – przesadzasz...

– Ależ tak właśnie – kiwa głową Augusta – mści się za to, że nie pozwoliłam jej wziąć tej pracy w kawiarni w Herräng.

– Nie sądzę...

– Przecież nie mogłam pozwolić, żeby moja córka była kelnerką! Prawda? Jak by się to skończyło? Wódką, piwem i całą resztą. Dobrze pamiętam, jakiego pokroju dziewczyny pracowały w kawiarni, kiedy mieszkałam w Sztokholmie...

– Nie myśl o tym. Z Olgą będzie wszystko dobrze.

– Dobrze? Co? Przecież ona będzie pracowała jako kąpielowa!

– Cóż... – Izaak cofnął ramię. – To w końcu też praca.

Od tej pory nie wracali do tego tematu. Nawet słowem nie wspomnieli o wstydzie. O tym, że Olga pracuje wśród nagich mężczyzn. Że mydli im barki i szoruje plecy, że przeciąga swoimi miękkimi dłońmi po ich włosach, że polewa ich wodą...

Wprawdzie ani Augusta, ani Izaak nie wiedzieli dokładnie, czym zajmuje się kąpielowa, w końcu żadne z nich nie przestąpiło progu łaźni w fabryce papieru i żadne z nich nie zamierzało tego robić. Co prawda, przez kilka godzin w tygodniu łaźnia jest

otwarta dla osób z zewnątrz, ale wszyscy wiedzą, że mieszkańcy Herräng nie są tam speąalnie mile widziani. Dawna wrogość pomiędzy Herräng i Hallstavik nie ustaje. Pracownicy fabryki papieru w Hallstavik gardzą górnikami z Herräng i nazywają ich chodzącymi w uprząży parobkami. Mieszkańcy Herräng pogardzają natomiast zarówno pracownikami papierni, jak i ich łaźnią. Co to za maminsynkowie, którzy raz w tygodniu muszą brać ciepłą kąpiel? Co? Może powinni spędzić dzień w kopalni Eknäsgruvan, żeby zobaczyć, na czym polega prawdziwa praca? Albo razem z rybakami z Herräng wyprawić się którejś listopadowej nocy na Morze Alandzkie w czasie sztormu? Lub któregoś zimowego dnia spróbować znieść piekielne gorąco i lodowaty mróz w hucie fabryki żelaza?

Tak więc Izaak nie może pójść do łaźni w Hallstavik. To byłoby nie po koleżeńsku.

Poza tym płoszy Izaaka już sama myśl o tym, że Olga mogłaby zobaczyć go nago. Dlatego w najgłębszej tajemnicy zbudował sobie łaźnię w swojej wyobraźni. Dość szczególne miejsce z błękitnymi ścianami i czarnymi baliami, które nie przypomina niczego, co widział na jawie. Czasem w środku miga mu postać Olgi: jest ubrana na biało, a kosmyki nad czołem kręcą jej się od wilgoci...

W takich chwilach Izaak zdejmuje czapkę, przesuwa dłonią po włosach i stara się myśleć o czymś innym.

Serce Izaaka będzie jeszcze bić przez cztery lata. Będą go ozłacały wszystkie wschody słońca, a zmierzchy posypią go srebrem. Będzie wtedy siedział przy kuchennym stole i patrzył w pustkę. Otworzy usta za każdym razem, gdy Augusta podejdzie do niego z łyżką albo filiżanką. Będzie skubał palcami obrus.

Mimo to już zawsze będzie się mówiło, że ten ranek był jego ostatnim.

Kiedy Izaak wychodzi na gościniec, ma przed sobą jeszcze czterdzieści siedem minut.

O czym myśli?

Może o Oldze i jej nowym życiu. Może o Auguście i smutku, który ta ukrywa. Może o swojej własnej tajemnicy, która chowa się za jego bladym uśmiechem. O tym, o czym nie potrafi mówić. Czego sam nawet nie rozumie.

Izaak jest mężczyzną, który robi, co może. Wszystko, co w jego mocy. Pracuje, radzi sobie. W kopalni też robi wszystko, co do niego należy, i jeszcze trochę więcej. Jest obecny na wszystkich spotkaniach łoży Dobrego Domu. Jest skarbnikiem w związku zawodowym. Pomaga sąsiadom. Rozpieszcza kota świeżymi płótkami. Śmieje się z Augusta, bawi z chłopcami i jest dobry dla Olgi.

Tylko że to nie pomaga. Nic nie pomaga. Mimo wszystko czuje kłucie w piersiach.

Trzydzieści osiem minut. Żwir na gościńcu chrzęści pod drewniakami, unosi się kurz. Coś poruszyło się pod podeszwą, Izaak przystaje i robi krok do tyłu, rozgarnia żwir czubkiem buta. Mija chwila, zanim zrozumie, co widzi: to żmija bez głowy. Do połowy zjedzona. Izaak czuje, jak ziemia ucieka mu spod nóg i przyśpiesza serce, dopiero później przypomina sobie, że jest przecież dorosłym mężczyzną, który powinien zachowywać się rozsądnie. Krzywi się i zanim ruszy dalej, butem zgarnia żwir i przysypuje nim żmiję.

Kiedyś myślał, że to, co rozdziera mu piersi, to wstyd. Wstyd, że kiedyś był najwięcej chlejącym Dobrym Templariuszem w całym Herräng, pozbawionym zasad gnojem, nieudacznikiem. Teraz wie, że tak już nie jest. Nie musi się już wstydzić tego, kim jest, w końcu nauczył się, jak być mężczyzną poważanym przez innych: więcej milczeć, mniej mówić. Ludzie nie śmieją się z mężczyzn, którzy milczą. Wręcz przeciwnie. Im częściej mężczyzna milczy, tym większy wzbudza szacunek.

Tylko co to daje? W piersiach czuje się ten sam cholerny ból.

Jeszcze trzydzieści jeden minut.

Izaak kopie mały kamień przed sobą. Przez długi czas myślał, że pomoże mu Augusta. Albo przynajmniej jej smutek. Izaak robił się przecież taki silny, kiedy trzeba było ją wspierać, taki wesoły, gdy potrzebowała pociechy, taki odważny, kiedy się bała. Wtedy na jakiś czas ból przechodził, nic nie rozdzierało piersi, a on stawał się zdecydowany i śmiały...

Izaak pochyła się i podnosi kamień, waży go w dłoni, a potem rzuca w las. Smutek Augusty już mu nie pomaga, nie leczy go ani nie koi. On sam coraz częściej leży z otwartymi oczyma, kiedy już ukołysze ją do snu, słucha jej spokojnego oddechu i czuje, jak budzi się zło. Kilka tygodni temu było aż tak źle, że musiał usiąść i chwycić się za serce. Jednak kiedy Augusta się obudziła i zapytała, co się dzieje, nie umiał jej tego wyjaśnić, potrząsnął tylko głową i wymamrotał coś o koszmarach.

Co miał jej powiedzieć? Jak wyrazić coś takiego słowami?

Dwadzieścia siedem minut.

Kiedyś było łatwiej. W tamtych czasach, kiedy w loży czytało się jeszcze wiersze i rozmawiało o sensie życia. Teraz już się tego nie robi. Przynajmniej nie tak często. A jeśli czasem się to zdarza, to Izaak wie, jak trzymać język za zębami i mieć suche oczy. Nie chce się więcej wyróżniać. Dość już z niego kpiono.

Augusta nie zauważa jego milczenia. Trudno mieć jej to za złe. Przecież kiedy jest w domu, wygląda tak, jakby rozmawiał i się śmiał. Tylko że to nieprawda. Tak naprawdę milczy. Coś rozsadza mu piersi, przez cały czas, wtedy kiedy mówi, kiedy się śmieje i kiedy milczy.

Dwadzieścia dwie minuty.

Łatwiej milczeć w kopalni i na spotkaniach związkowych. Tam wystarczy trzymać głowę na kłódkę i robić poważną minę. W ostatnim czasie nieźle mu się to udawało. Może to dlatego wybrano go w zeszłym roku na skarbnika...

A właśnie. Dziś dzień wypłaty. Izaak przystaje i lekko poklepuje kieszeń swojej nowej bluzy. Tak. Książeczka rachunkowa jest na miejscu. Po pracy będzie chodził po domach i zbierał składki.

Osiemnaście minut.

Kiedy wrócił do domu i powiedział, że został wybrany na skarbnika, Augusta aż dostała z zachwytu rumieńców. Może uznała to za odwet. Pośrednie zadośćuczynienie za jej zeszłoroczną porażkę w roli materacowej socjalistki.

Tego lata pomiędzy Olgą i Augustą panowało większe niż zwykle napięcie. Olga była już po confirmacji, nie chodziła ani do szkoły, ani do pracy. Jej dni powszednie należały do Augusty, ale w soboty Olga wkładała swoją białą sukienkę i szła na tańce do Herräng. Kiedy Izaak ukołysał już do snu Augustę, siadał na werandzie i czekał na powrót Olgi. Którejś nocy chyba przysnął: obudził się gwałtownie i wydawało mu się, że widzi biegnącą przez ogród Olgę. Minęła chwila, nim zrozumiał, że to sarna. Kiedy opowiedział o tym Oldze, ta śmiała się uszczęśliwiona, bardzo chciała przypominać sarnę. Augusta prychnęła i odwróciła się plecami.

Pomiędzy nimi dwiema toczyła się walka, walka o przyszłość Olgi. Kiedy dziewczyna znalazła sobie pracę w jedynej kawiarni w Herräng, Augusta poszła tam i oznajmiła, że Olga tu pracować nie będzie. Porządne dziewczyny nie są kelnerkami i Augusta nie zamierza godzić się na to, by Olga była jeszcze gorsza, niż już jest. Dlatego załatwiła jej inne miejsce: służącej u szefa sklepów pracowniczych i jego żony. Była to nowoczesna, niepijąca rodzina, w której Olga mogłaby się wiele nauczyć na temat gotowania i higieny.

Od tej pory Olga nigdy nie uśmiechała się w obecności Augusty. Augusta nie zwróciła zresztą na to uwagi. Była zbyt zajęta swoimi materacami.

Jeszcze trzynaście minut.

Wszystko zaczęło się od artykułu w gazecie, w którą zapakowano Augustcie dorsza, kiedy robiła zakupy w Herräng. Nie wiedziała, co to za gazeta, strony były podarte, i jedyne, co zdołała przeczytać, kiedy patroszyła rybę, to fragmenty artykułu, który w dość kpiących słowach opisywał nowe zjawisko w polityce: materacowy socjalizm. Jakieś kobiety z Malmö – redaktorka, gospodyni domowa i pracownica fabryki, Dunka – zaczęły chodzić po domach i sprawdzać stan pościeli. Policja złapała je, gdy ułożyły stos z najbrudniejszych materaców i podpaliły go...

– Hm! – mruknęła Augusta, ucinając głowę dorszowi.

Jedenaście minut.

Dwa tygodnie później Klub Kobiet Socjaldemokratek miał już komitet materacowy. Składał się on z dwóch osób: Augusty i Signe, żony nowego nauczyciela, tej, która tylko częściowo przekroczyła granice klasowe. Może to ze względu na nią witano je dygnięciami i bladymi uśmiechami, gdziekolwiek zapukały.

Zaczęły od kilku członkiń klubu. Zostały oczywiście uprzedzone, więc stan ich łóżek nie pozostawiał wiele do życzenia. Stare, brudne materace, na których szybką wymianę nie było pieniędzy, zostały wytrzepane, przewietrzone i przykryte świeżymi prześcieradłami. Signe uśmiechała się, kiedy dyktowała protokół i po kontroli pozwalała się zaprosić na kawę.

Dziesięć minut.

W innych domach było gorzej. W tych, w których nikt nigdy nie słyszał o socjalistkach materacowych i kontrolach czystości. Drzwi otwierały blade kobiety, które jeszcze bardziej bladły, gdy ściągano ich pościel. Signe bardzo dobitnie zaczynała dyktować protokół inspekcji:

„Bрудna kołdra pikowana. Brak poszwy. Wytarte prześcieradło. Przegniły materac słomiany. Poduszka bez poszewki, żółte plamy z flegmy, mogą zawierać zarazki gruźlicy. W łóżku obok przegniły materac z włosia, po zapachu sądząc, nieustannie moczony uryną...”

Ktoś odwrócił się plecami, nie chcąc więcej patrzeć ani słuchać. Ktoś inny przygryzł tak mocno wargę, że aż zaczęła krwawić. Trzecia kobieta miała łzy w oczach i próbowała coś tłumaczyć: zawsze brakuje pieniędzy, domy są takie nędzne i tak daleko do pompy... Czwartą zasłoniła twarz fartuchem i nie pozwoliła się pocieszyć, chociaż Signe i Augusta prześcigały się w opowieściach o niedalekiej przyszłości. Teraz nadejdą zmiany! Sklepy pracownicze będą sprzedawały materace z włosia po przystępnej cenie, a spółka kopalniana będzie udzielać na nie zapomóg. Dla tych, których nie będzie stać na włosie,

uszyje się nowe poszwy na materace, a chłopci dadzą świeżo skoszonego siana. Na przyszlą zimę nawet w najbiedniejszych domach będzie nim pięknie pachniało!

Zostało dziewięć minut.

Członkinie klubu w trzy tygodnie uszyły pasiaste poszwy na materace. Augusta przerzuciła kilka przez ramię tego ranka, kiedy wyszła z domu w Nordanang, żeby po raz drugi przejść się po innych domach i pozbierać starą pościel. Najbrudniejsze sztuki zostaną wieczorem ułożone w stos na skraju Herräng, poleje się je naftą i spali...

Izaak nigdy nie dowiedział się, co się naprawdę stało tamtego dnia. Wie tylko, że to właśnie wtedy po raz pierwszy w ciągu tych wszystkich lat po jego powrocie z kopalni na piecu nie stało jedzenie. Augusta siedziała na schodach werandy z twarzą ukrytą w dłoniach.

– Nie wiedziałam – powiedziała zdławionym głosem, kiedy usiadł obok niej. – Nie miałam złych zamiarów, po prostu nie wiedziałam...

Osiem minut.

Doszedł do Herräng. Zapach dymu stał się teraz silniejszy: w setkach domów napalono już w setkach pieców i postawiono na nich setki kociołków z kawą.

Łóżek jeszcze nie pościelono. Z ich zaśmierdłymi materacami.

Auguście nie udało się chyba zdobyć więcej niż jednego materaca na stos. Tak się przynajmniej Izaakowi wydaje. Nie jest tego pewny: Augusta nie chciała nic powiedzieć, a w kopalni przez kilka tygodni na jego widok odwracano się plecami. Nikt nie porozmawiał z nim wprost, Izaak musiał wyciągać wnioski z przypadkiem podchwytywanych aluzji i nagle przerywanych rozmów. Widocznie wiele kobiet płakało, opowiadając mężom o kontroli czystości materaców. Widocznie mężczyźni ci zaciskali pięści, dławiąc wstyd i zamieniając go we wściekłość. Ja wściekłość niosła się z domu do domu, z mieszkania do mieszkania, i w ciągu paru dni wyrosła z niej nienawiść.

Kiedy Signe i Augusta po raz drugi zapukały do drzwi, ludzie już nie chcieli im otwierać, a ci, którzy to zrobili, na ich widok natychmiast zatrzaskiwali drzwi. Wpuszczono je tylko do jednego domu, w którym oddano im brudny materac. Kiedy wyniosły go na ganek, Augusta dostała takiego kopniaka w tyłek, że upadła głową naprzód w żwir. Podwinęła jej się spódnica, odsłaniając brudnoszare majtki i pokryte niebieskimi żyłkami uda.

Czterech mężczyzn stojących na dziedzińcu zaczęło się śmiać. Signe odwróciła się na pięcie i uciekła.

Cztery minuty.

Na drodze do nadszybia Izaak widzi, że przed nim kuśtyka garbaty chłopina. To Bly-Johansson. Był jednym z najlepszych w czasach, kiedy młody Izaak zaczął pracować w kopalni. Doświadczony i odważny. Silny i wyprostowany. Zawsze zaopatrzonego w szczyptę dynamitu ukrytego pod skórzaną wkładką czapki, po to, by uniknąć odwiecznej niedzielnej plagi górników – bólu głowy, który pojawia się zniemacka, kiedy nie było się w kopalni dłużej niż przez jedną noc.

Teraz Bly-Johansson nie może już schodzić do kopalni. Panująca w niej wilgoć skrzywiła mu kręgosłup, a dodatkowo powyginał go jeszcze reumatyzm. Teraz obsługuje wyciąg, pilnuje, żeby beczki szybowały w górę i w dół wzdłuż skalnej ściany. Pensja, którą dostaje, ledwo mu starcza na jedzenie.

Już wkrótce przyjdzie kolej na mnie, myśli Izaak. Wkrótce i ja będę garbatym dziadkiem.

Dwie minuty.

Przy beczkach i wyciągu jest tłoczno. Pracownicy, którzy są już na miejscu, chcą jak najszybciej zjechać do kopalni. Witają się szybkimi kiwnięciami głowy.

O, Izaak. Cześć. Cześć.

Łańcuchy grzechocą. Beczka windy jedzie do góry.

Coś rozrywa mi piersi, myśli Izaak.

Została jedna minuta.

W jednej beczce mieści się tak naprawdę trzech mężczyzn, ale czwarty, piąty i szósty mogą stanąć na brzegu i złapać się łańcuchów. To nie jest niebezpieczne. Przynajmniej nie na tyle, żeby nie zaryzykować.

Izaak stał na brzegu beczki przynajmniej sto razy. Jest silny, zdrowy i prosto się trzyma. O kopalni wie wszystko.

Dlatego zostaje szóstym.

Trzydzieści sekund.

Rozdziawiona gęba kamieniołomu. Osiemdziesiąt metrów głębokości.

Na trzydziestu metrach ze skały wystaje zardzewiały hak. Nikt nie wie, po co tam jest. Nikt go nawet nie zauważył. To na nim zawiśnie Izaak.

MINIE KILKA SEKUND, zanim Izaak zrozumie.

Łańcuch wyslizguje się. Ręka musi go puścić. Beczka ucieka spod stóp.

Izaak porusza nogami. Pod nim pustka. Wyciąga ramiona. Nad nim pustka. Jasnoniebieskie niebo, zamykające się nad przepaścią.

Ucisk na brzuch tłumaczy wszystko. Izaak wisi na pasku bezpieczeństwa. Dynda nad szarą otchłanią. Zawieszony na trzydziestu metrach głębokości, pięćdziesiąt metrów od pewnej śmierci.

W głosach pozostałych mężczyzn słychać panikę. Sprawia, że ich głosy stają się piskliwe.

– Izaak! – krzyczą tamci z głębi. – Izaak!

Izaak nie odpowiada.

ALICJA PODNOSI GRZEBIEŃ.

– Już nigdy się nie odezwał? Augusta kręci głową przecząco.

– Nie. Ani jednym słowem.

– Jak długo tam wisiał?

– Nie wiem. Może dziesięć minut. Może kwadrans. Wyciągu nie dało się zawrócić. Trzeba było spuścić beczkę na samo dno kopalni, nim można ją było znowu podciągnąć do góry...

Robi się cicho. Czerwona falbana sukienki Alicji muska podłogę, kiedy ta kuca, żeby przejechać grzebieniem przez włosy Augusty.

– Kiedy wyciągnęli go na górę, myśleli, że nie żyje – mówi po chwili Augusta. – Wyglądał jak martwy. Był martwy w dotyku. Miał zimną skórę. Nogi jak kłody.

Przez sekundę Alicja stoi na skraju kopalni Eknäsgruva. Widzi, jak ludzie wyjmują Izaaka z beczki i układają go na leżących na ziemi opiłkach i odpryskach kamieni. Jego twarz jest zupełnie biała. Odsłonięte zęby. Szeroko otwarte, nieruchome oczy.

– Zapakowali go do dwukółki – ciągnie Augusta.

Brązowy koń ardeński. Szara dwukółka. Mężczyzna, który patrzy w niebo, nic nie widząc. Woźnica idzie obok, trzymając lejce, sam nie wie, dlaczego nie chce usiąść na koźle.

Za dwukółką postępuje dwóch mężczyzn w kombinezonach roboczych i drewniakach. Mają gołe głowy, w rękach ściskają czapki, przez cały czas obracają je w kółko w palcach, całą drogę do Nordanäng.

Augusta gotuje mus jabłkowy, w ogrodzie unosi się ciężki, słodki zapach, który sprawia, że ostatni trzmiel tego lata puszcza się w pijany taniec za oknem. Świerkowe drwa trzaskają w żelaznym piecyku. Jakaś wrona kracze. Z oddali słychać zgrzyt dwukółki.

„Dziwna kobita”, mówiono później. Nie krzyczała. Nawet nie płakała.

Stała na werandzie, czekając, aż arden się zatrzyma, stała z rękami schowanymi pod fartuchem, jakby już wiedziała. Miała na sobie spraną bawełnianą sukienkę i serdak pocerowany na ramionach. Grube skarpety w kolorze kawy z mlekiem opadały na

znoszone buty. Tylko włosy błyszcząły w słońcu, a wałek na karku był gruby na jakiś decymetr.

Dwaj górnicy spojrzeli na siebie niepewnie i ukłonili się.

– On żyje – powiedziała Augusta.

W ogrodzie pachniało jeszcze kwaskowym musem jabłkowym. Na twarzy Izaaka usiadła mucha. Woźnica westchnął.

– Augusto droga...

Jeden z górników próbował położyć jej rękę na ramieniu.

– Sam dyrektor sprawdzał puls.

Augusta strząsnęła dłoń mężczyzny.

– Żyje.

Drugi górnik odchrząknął.

– Zrobiliśmy próbę z lusterkiem.

– On żyje – powtórzyła Augusta. – Spójrzcie tylko...

Pogłaskała ręką twarz Izaaka, a on zamknął oczy i znowu je otworzył.

Wnieśli go do domu na krzeselku ze splecionych rąk i posadzili przy kuchennym stole. Augusta chciała, żeby siedział tak, by mógł ją zobaczyć w chwili, kiedy się obudzi.

Tak myślała tego pierwszego dnia. Że Izaak śpi i wkrótce się obudzi. Za oknem świeci słońce i go ogrzewa, rozpuści jego strach i wyciągnie go z tego paraliżu. A ona mu w tym pomoże. Kiedy mężczyźni z Herräng wsiedli do dwukółki i pojechali, nałożyła na talerz parującego musu jabłkowego i polała go mlekiem, a potem usiadła bardzo blisko Izaaka. Miał wytrzeszczone oczy. Usta otwarte w niemym krzyku.

Augusta wlała w ten krzyk odrobinę musu jabłkowego.

– Mogłabym ułożyć z tego bajkę – mówi Augusta i otwiera jedno oko.

Alicja podzieliła jej włosy na trzy grube pasma, które zaraz będzie splatać. Jednak najpierw odpowiada z westchnieniem:

– Mogłabyś. Ale ja chcę wiedzieć, jak było naprawdę.

Augusta otwiera drugie oko.

– Nie mogę opowiedzieć, jak było naprawdę. Nie potrafię.

– Dlaczego?

– Bo prawda zawsze się wymyka. Prawda jest jak przezroczysta plamka na oku: wymyka się, jeśli patrzysz prosto na nią. Musisz patrzeć obok, wtedy wpływa w twoje pole widzenia i staje się widoczna.

Urywa wątek i szuka nowego.

– Izaak i tak by już nie żył.

– Tak myślisz?

– Wiem. Umarłby z bólu. Zimą jego ubrania były tak mokre od potu i wilgoci w kopalni, że w drodze do domu zamarzały na lód.

– Od reumatyzmu się nie umiera.

– Może nie. Ale człowieka może boleć tak bardzo, że umrze...

Augusta siedzi przez chwilę w milczeniu.

– To stało się tak dawno temu. Prawie trzydzieści lat. Za jej plecami Alicja kiwa głową, ale nic nie mówi.

Augusta znowu zamyka oczy.

– Ułożenie z tego bajki nie będzie zdradą, nie teraz, kiedy minęło już tyle czasu... Mogłabym wymyślić jakąś historię o zjawie z kopalni. Że to ona go zabrała.

– Mogłabyś – przytakuje Alicja sucho. – Ale dlaczego miałabyś to zrobić?

Augusta wzrusza ramionami i nie odpowiada na pytanie. Mówi tylko:

– Jest bardzo wiele historii o zjawie z kopalni w Herräng...

Alicja uśmiecha się lekko.

– Wiem. Siri opowiadała o niej kiedyś, kiedy byłam mała.

Augusta prychnie. Ma teraz pewny grunt pod nogami, daleko od swoich wspomnień i smutku.

– Siri! Ona przecież nic nie wie o zjawie... Co ci powiedziała?

– Że nocą zjawa wędruje wokół kopalni. Że jest ubrana na biało.

– Jak duch?

– Mniej więcej. Tylko piękniej.

Augusta zamyka oczy i wysuwa brodę.

– Bzdury. Zjawą z kopalni nie jest ani piękna, ani biała. Wygląda jak stara chłopka w szarej spódnicy z samodziału i czarnej chustce. Siwa i dość przysadzista. Jedyne, co różni ją od zwykłej baby, to srebrny pasek w talii.

Robisz z niej odbicie siebie samej, myśli Alicja. Twoją starszą siostrę.

– Mogłabym powiedzieć, że to ona wystawiła rękę przez skałę i chwyciła Izaaka – mówi Augusta. – Że chciała mi go zabrać, ale ja poszłam do niej którejś nocy i zebrałam o litość.

– Wszystkie baśnie umarły – odpowiada Alicja. – Z tego, co słyszałam, umarły, kiedy pojawiły się fabryki.

Augusta udaje, że nie słyszy, przesuwa dłonią po głowie i z roztargnieniem przebiera palcami w niedopieczonym warkoczu.

– Mogłabym powiedzieć, że musiałam ofiarować jej coś, żeby móc zachować Izaaka jeszcze przez cztery lata... Chociaż był już tylko maszkara.

Maszkara? Alicja unosi brwi. Rok temu to słowo wywołałoby jej wzburzenie, sześć miesięcy temu – niesmak. Teraz wcale jej nie oburza, może tylko lekko dotyka. Jeżeli Augusta zamierza wznieść lodowy pałac ze swoich wspomnień, to proszę bardzo, jej sprawa. Alicja ma swoje własne mury i okopy, których musi pilnować. Dlatego uśmiecha się lekko nad głową Augusty i udaje, że podejmuje jej grę.

– To co jej dałaś? Cóż takiego, co należało do ciebie, chciała mieć dama kopalni? Bardziej niż Izaaka?

– Moje włosy – odpowiada Augusta. – Mogłabym powiedzieć, że dałam jej swoje włosy.

Alicja chichocze.

– Ale wtedy byś dość brzydko skłamała – mówi. – Przecież obie o tym wiemy... – Urywa tę odpowiedź, nie kończy, ogon skorpioną pozostaje w jej ustach. Mimo to wie, że Augusta czuje jego ukłucie.

Kiedy to się stało, myśli Alicja. Kiedy stałam się taka zła?

W pokoju zrobiło się cicho, słychać tylko oddech Augusty i ciche potrząskanie w piecu. Za żelaznymi drzwiczkami rozlega się coś jakby uderzenie, może spadł jakiś kawałek węgla. Odgłos wydaje się tak dobrze znajomy, że budzi się od tego przeszłość. Nagle Alicja patrzy na swoje dawne odbicie w lustrze, widzi siebie samą sprzed roku. Tłuste włosy. Zaczerwienione oczy. Twarz, która właśnie zaczyna puchnąć. Alicja spuszcza wzrok i spogląda na Augustę. Nowe cienie kładą się ciężko na już teraz trudnej sytuacji.

Żadna z nich nie może zaprzeczyć temu, co nie zostało powiedziane: Obie przecież wiemy, że nigdy nie oddałybyś swoich włosów. To Olgę podarowałaś zjawie z kopalni.

Kiedy to było? Trzyście miesięcy temu? Czternaście?

Alicja pędziła w dół po schodach ze swoim znaleziskiem.

Kiedy wpadła do pokoju z jedwabną sukienką w kolorze chabrów, Augusta podniosła się z bujanego fotela, mimo że dopiero przed chwilą na nim usiadła. Alicja zauważyła, że babka jest niezadowolona, ale nie przejmowała się tym.

– Zobacz, co znalazłam w garderobie – powiedziała niewinnym tonem. – To twoja?

Augusta zerknęła kątem oka na sukienkę.

– Nie – odparła. – Należała do Olgi.

Alicja wyszła do przedpokoju i stanęła przed lustrem, przykładając do siebie sukienkę. Brzuch wypychał lekko gładki materiał.

– Ładna – powiedziała, przesuwając dłonią po talii. – To nie jest prawdziwy jedwab – powiedziała Augusta – tylko sztuczny.

– To była jej odświętna sukienka?

– Jedna z nich. Miała takich kilka.

Augusta zdążyła już dojść do kuchni. Alicja podążyła za nią, cały czas trzymając przed sobą sukienkę.

– Lubiła się stroić?

– Huhu! Mało powiedziane.

Augusta otworzyła kuchenną szafkę i natychmiast z powrotem ją zamknęła, jej wzrok błądził w poszukiwaniu jakiegoś zajęcia dla rąk. Alicja przechyliła głowę na bok.

– Była piękna?

Augusta udawała, że nie słyszy.

– Może napijemy się kawy? – zaproponowała zamiast odpowiedzieć.

Olga była piękna. Alicja wiedziała o tym. Było to widać już na fotografii z confirmacji, która stała na bielizniarce Augusty, ukryta za innymi zdjęciami. Piękna i pełna życia. Domyśliła się tego z rozmowy Erlanda i Haralda o Oldze tamtego wieczoru wiele lat temu.

Któregoś czerwcowego dnia na początku lat pięćdziesiątych Harald przyszedł po raz pierwszy i ostatni w odwiedziny do dużej willi w Jönköping. Był niepewny siebie, kurczył ramiona i rozglądając się dookoła, pocierał szorstkie dłonie jedna o drugą. Erland był jego bliźniaczym bratem, najlepszym przyjacielem i najgorszym wrogiem, kiedyś mu najbliższym, a zarazem najbardziej obcym. Dlatego już na początku pożałował, że przyszedł. Erland też był niezadowolony. Harald wniósł coś nowego do jego białego domu, masywna sylwetka brata rzucała cienie, których nie powinno tutaj być, głos budził do życia inne głosy, które już dawno temu powinny były ucichnąć.

Za podróż do Jönköping zapłaciło Haraldowi Stowarzyszenie Oświatowe Robotników. Cały dzień spędził na krajowym zjeździe. Teraz był już wieczór i długie dyskusje o tym, jak właściwa wartość wiedzy przekłada się na pieniądze, skończyły się. Dla przyzwoitości Harald przyszedł odwiedzić brata bliźniaka, skoro i tak był w Jönköping.

Inga poczęstowała go kolacją, a potem poszła do łóżka, bo trochę bolała ją głowa. Alicja usiadła z książką w salonie, ale nie zapaliła światła. Na tarasie, w niebieskim zmierzchu, siedzieli dwaj bracia, ten, który wybrał wiedzę dla wiedzy i ten, który wybrał wiedzę przekładającą się na pieniądze.

Dla obu z nich kwitła czeremcha.

– Jak się miewa Augusta? – zapytał Erland, napychając fajkę.

– Dobrze – odparł Harald. – Ma oczywiście bóle w kolanach, ale poza tym wszystko z nią w porządku...

– Kolana miałyby się lepiej, gdyby schudła.

– Nie sądzę. Jest po prostu spracowana. Kolanom dostaje się od szorowania przez dwadzieścia lat cementowych podłóg.

Strzelający mały płomyk. Erland zapalił fajkę.

– Zatem Augustę bolą kolana z winy fabryki?

– Tak – odparł Harald. – To wina fabryki.

Linia walki została już wytyczona, ale nie sięgnęli jeszcze po broń. Na chwilę zapadła cisza, dym z fajki Erlanda rozpuszczał się w zmierzchu.

– A co u reszty rodziny?

– Dobrze – powiedział Harald. – Siri znalazła sobie kawalera...

Erland zarechotał.

– O kurczę. Jak do tego doszło? Uśmiech w głosie Harald'a był wyczuwalny.

– No cóż, Bóg raczy wiedzieć. Tak naprawdę to nikt go nie zna. Przez kilka lat pracował w fabryce, ale słowa z siebie nie wydusi.

– Czyli jest taki jak Siri. Tchórz życiowy.

Harald zacisną! usta, smakując to słowo. Tchórz życiowy?

– Tak – przyznał w końcu. – Siri nie do końca wrodziła się w swoją matkę. Tak jakby nie mogła się odważyć, żeby zacząć żyć...

– Za to Olga żyła – powiedział Erland. – A niech mnie, jak ta dziewczyna umiała żyć...

„Spójrz!” – pisze Alicja w swoim niebieskim zeszycie, kiedy późną nocą siedzi na łóżku połowym w garderobie. „Kimkolwiek jesteś ty, który to czytasz: spójrz! Zamknęłam oczy, żeby chwilę odpocząć, i właśnie wtedy pióro wypuściło wielką kroplę atramentu. Kleks przesiał przez dwanaście stron. Kiedy szybko je przeczujesz, będzie to wyglądało tak, jakby kleks się kurczył. Może w tym właśnie kleksie schowały się te litery. Litery, z których ułożona jest baśń o Oldze, jedyna baśń, której Augusta nigdy w życiu nie opowie...”

Alicja unosi pióro w powietrzu, przez chwilę patrzy prosto w płomień lampy naftowej, a potem znowu pochyła się nad zeszytem:

„A zatem to zadanie spada na mnie”.

W pierwszych latach Augusta nie postawiła stopy w Herräng, tak jakby całe to miejsce obwiniała za to, że Izaak skamieniał. Kiedy pieniądze się skończyły, musiała się wybrać do Hallstavik. W Hallstavik toczyła się walka o te nieliczne miejsca pracy, które uznawano za odpowiednie dla kobiet. Sklepy i zakłady fryzjerskie były już przepełnione, a w większych willach zatrudniano więcej sprzątaczek, praczek i służących, niż dało się opłacić z urzędniczych pensji. Kiedy Augusta dostała pracę sprzątaczkę w fabryce, uznano, że jest szczęściarą. Była to wyniszczająca, źle płatna praca. Ale zawsze praca.

Przy śniadaniu Erland i Herald nie dostawali już śmiesznych i strasznych historii na deser, nie było na to czasu. Dojście do Hallstavik na piechotę trwało długo, a Augusta przed wyjściem z domu miała urwanie głowy z karmieniem Izaaka i pilnowaniem, żeby w żelaznym piecu porządnie się paliło, a płomień i tak nie utrzymywał się do jej powrotu do domu. Kiedy przychodziła, było w nim zawsze zimno i nieprzyjemnie, ale Izaak wydawał się tego nie zauważać, siedział w tej samej pozycji, co przed wyjściem żony. Któregoś dnia zobaczyła, że biedak ma pod nosem mały sopelek lodu. Przez chwilę przyglądała mu się, zanim go urwała i wyrzuciła do kubła na śmieci. Lekko brzęknął, gdy do niego wpadał.

Zima była ponura. Szare niebo. Brudny śnieg. Erland i Harald mieli podkrążone oczy i niemal codziennie się bili. Augustie wypadł przedni ząb. Izaak skubał obrus palcami i patrzył przed siebie pustym wzrokiem.

Tylko niedziele były inne. Na niedziele przyjeżdżała Olga. Wpadała do domu ze śmiechem i paczką ciastek. Przysiadła w przedpokoju na dużym kartonie z cukrem i ściągała botki, a Erland i Harald cisnęli się obok niej, chociaż z góry wiedzieli, co przyniosła w pudełku. Co niedzielę było tam to samo: pięć ciastek książących z zielonym marcepanem, bitą śmietaną i odrobiną kwaśnego różowego żelu. Bezsensowne marnotrawstwo pieniędzy, myślała Augusta. Zupełnie bezsensowne.

– Czasem trzeba poświętować – wyjaśniała Olga i głaskała najpierw Erlanda po jego krótko ostrzeżonej łepetynie, a potem Haralda po podgolonym karku. – Stanowczo należy czasem poświętować. Koniecznie.

Potem siadała obok Izaaka.

– On na mnie patrzy – mówiła do Augusty.

Augusta pochyliła się nad skrzynką z ziemniakami.

– Nigdy na nikogo nie patrzy.

Olga kładła rękę na dłoni Izaaka.

– Właśnie że tak. Na mnie patrzy. Poznaje mnie. Augusta wrzucała kilka ziemniaków do emaliowanej miski.

– Nikogo nie poznaje. Olga kręciła głową.

– Poznaje. Widzę to w jego oczach. Augusta zalewała ziemniaki wodą z czerpaka.

– Wydaje ci się.

Olga kładła rękę na brodzie Izaaka. Jej paznokcie były białe jak muszelki.

– On na mnie patrzy – powtarzała. – Mnie widzi.

Zawsze były jakieś oczy, które na nią patrzyły. Wiedziała o tym.

Kiedy w łaźni przejeżdżała mydłem i miękkimi dłońmi po męskich plecach, wiedziała, że pozostali mężczyźni śledzą wzrokiem każdy jej ruch. Kiedy przechodziła obok kawiarni, wiedziała, że młodzi pracownicy papierni, którzy zawsze siedzą w środku przy stolikach, przerywają rozmowy i na chwilę zapominają o rewolucji. Kiedy gotowa do sobotnich tańców wchodziła do dużej sali w Ludowym Domu Kultury, wiedziała, że Eryk, Edvin, Bertil, Allan, Olaf i Gunnar wpatrują się w jej kształtne piersi pod gładkim gorsem sukienki ze sztucznego jedwabiu.

W takich chwilach stawała się tym, czym chciała być najbardziej. Swoim własnym odbiciem w lustrze.

Innych spojrzeń zdawała się nie dostrzegać. Ukradkowo rzucanych spojrzeń mężczyzn, którzy nie mogli mieć na nią nadziei. Spojrzeń marszczących czoła kobiet. Spojrzeń unoszących brwi dziewcząt.

Wiedziała natomiast, że się o niej mówi, że już w niedzielę rano całe Hallstavik wie, komu pozwoliła się odprowadzić do domu w sobotni wieczór. Wcale jej to nie przeszkadzało. Wręcz przeciwnie. Plotki sprawiały jedynie, że lepiej widziała siebie samą – w bardziej czystych barwach i z wyraźniejszymi konturami.

– Powinnaś myśleć o swojej reputacji – ostrzegła Augusta i zaczynała skrobać ziemniaki.

– Z moją reputacją jest wszystko w porządku – odpowiadała Olga.

Wszyscy kochali Olgę. A Olga kochała być kochaną.

Uśmiechała się do tej małej iskierki, która z trzaskiem przelatywała po nerwach, kiedy Eryk pieścił jej piersi; nie potrafiła wtedy powstrzymać kwilenia.

Gruchała niskim śmiechem, kiedy Edvin z podniecenia zdarł zębami kawałeczek skóry z jej wargi, zostawiając ją nagą, niby obrane ze skórki winogrono.

Jęczała, przesuwając językiem po szyi Bertila, kiedy podarł jej jedwabne pończochy.

Robiła się mokra i miękka jak dno morza, gdy Allan przygniatał ją do leżącego na ziemi zeszłorocznego igliwia.

Skomlała z pożądania, gdy Olaf nareszcie przestał pytać i wtargnął do środka.

Unosiła podbrzusze ku Gunnarowi, gdy nie mógł już dłużej powstrzymać orgazmu, ścisnęła go miękko i rytmicznie i zaraz po nim wpadała w czarną otchłań.

Olga posiadała moc pięknych kobiet. Ale nie rozumiała, jakie są jej ograniczenia.

Wcześniej czy później musiało się to stać. Było to całkowicie nieuniknione. Pewna swego Augusta zaciskała tylko usta. Czekwała w milczeniu. Milczała i czekała.

Kiedy w niedzielę Olga siadała obok Izaaka, Augusta przyglądała się jej ciału chłodnym okiem. Czy pasek jest tak samo mocno zaciśnięty jak w zeszłym tygodniu? Zaczęła już puchnąć, czy też wciąż widać małe wgłębienie nad jej nadgarstkiem? Ma zaczerwienione oczy? Poszarzała na twarzy?

Ale nie. Mijał miesiąc za miesiącem, a Augusta nic podobnego nie zauważała. Olga była cały czas tak samo wąska w talii, w jej rękach cały czas prześwitywały kruche kości, miała niewinne jasne oczy i różowe policzki.

Wydał ją w końcu apetyt. Żarłoczny głód. Którejś niedzieli Olga wzięła kotlet schabowy razem z chrząstką, cztery ziemniaki w sosie cebulowym, a potem posmarowała grubo masłem kromkę chleba i popiła ją dwiema szklankami mleka.

– Teraz mam ochotę na pyszny deser – powiedziała, ocierając usta ręką.

Augusta uniosła brwi.

Dużo czasu minęło, nim sama Olga zrozumiała. Kilka miesięcy.

Jakby nie mogła sobie wyobrazić, że to, co tak często przydarza się innym pannom, może się zdarzyć także jej. Może myślała, że uchroni ją jej uroda. Pewnie to dlatego w pierwszych miesiącach najbardziej niepokoił ją właśnie wygląd. Czy czasem nie przytyła? Czy nie zbladła? Dlaczego nagle tak trudno ułożyć jakąkolwiek fryzurę? Niepokój kosztował. Kupiła w drogerii drogi szampon do mycia głowy i zamówiła kosztowny puder w kremie z zakładu kosmetycznego w Sztokholmie. W tym tygodniu przyniosła tylko dwa ciastka, jedno dla Izaaka i jedno do podziału między Haralda i Erlanda. Puder w kremie kosztował koronę, wyjaśniła nieprzekonująco.

– Chyba nie w tym rzecz – powiedziała Augusta, a potem odwróciła się do niej plecami i otworzyła szafkę, żeby zacząć w niej grzebać bez celu. – Skończył się już twój czas jedzenia ciastek. Będziesz potrzebowała swoich nędznych groszy dla dzieciaka.

Kiedy w końcu i Olga pojęła prawdę, rozplakała się. Płakała i nie była w stanie przestać. Usiadła obok Izaaka, oparła czoło na jego sztywnym barku i wtulona w roboczy kombinezon ojczyma, płakała tak, że połowa bluzy pociemniała od łez. W drzwiach kuchni stali Harald i Erland i patrzyli na nią w milczeniu, Harald obgryzał paznokiec, Erland ssał pięść. Augusta zaś usiadła przy stole i podążyła za spojrzeniem Izaaka, tak jak on wpatrując się pustym wzrokiem w zimowy zmrok za oknem.

– Możesz zamieszkać z powrotem w domu – powiedziała po chwili.

Płacz Olgi zamienił się w krzyk, z bezsilności waliła obcasami w podłogę z desek.

Nie chciała wracać do Hallstavik i mierzyć się z ludzkimi spojrzeniami. Nigdy w życiu.

Zatem to Augusta poszła następnego ranka do biura fabryki i powiadomiła, że Olga z powodu złego stanu zdrowia jest, niestety, zmuszona wypowiedzieć pracę w łaźni. Pani

Olofsson, najstarsza z urzędniczek, uśmiechnęła się kwaśno i życzyła Oldze szybkiego polepszenia.

Iris, która mieszkała z Olgą w jednym pokoju, uciekała od Augusty wzrokiem, kiedy ta późnym popołudniem stanęła w drzwiach, wyjaśniając, że przyszła po rzeczy Olgi. Jezu Chryste. Tak naprawdę to Iris też się czegoś domyślała, ale nie sądziła, że jest aż tak źle. Biedna Oleńka! Biedna pani Augusta, która i tak dostała już od życia ciągi, na które sobie nie zasłużyła...

Augusta prychnęła i z trudem powstrzymała się od mruknięcia czegoś na temat głupich gęsi i idiotek. Zamiast tego podziękowała sucho za pomoc, kiedy Iris wepchnęła ubrania Olgi do starej walizki.

– Prawdziwy sztuczny jedwab – powiedziała Iris, unosząc do góry parę majtek z koronką.

– To całkiem tak jak sama Olga – odparła Augusta, zatraskując walizkę.

Iris pociągnęła nosem, wyglądała na zaniepokojoną.

– Wie pani, kto to?

Augusta zbita z tropu zamrugła oczami.

– Jak to? Co masz na myśli? Jak to kto?

Wracając do domu, czuła wstyd. Było jej głupio, że nie zrozumiała od razu, co Iris ma na myśli. Ależ z niej idiotka!

Odkąd zaczęła podejrzewać, że Olga jest w ciąży, nawet o tym nie pomyślała, ani razu nie pomyślała, że jej dziecko ma ojca. Po prostu na to nie wpadła. A to przecież wbrew naturze. Taka myśl powinna przyjść jej do głowy.

Może to jakiś porządny kawaler. Ktoś, kto naprawdę kocha Olgę i chce się z nią ożenić. Albo przynajmniej jest gotów zapłacić. Na chwilę przypomniała sobie, jakie to uczucie, kiedy ma się w bucie kilka setek. Nierówno pod stopą. Samotność. Prawie taka sama jak teraz.

Zaczął padać śnieg. Droga zmieniła się w białą smugę w czarnym lesie. Mogłabym się tu położyć, pomyślała Augusta. Mogłabym położyć się na jakiejś polanie i pozwolić, by zasypał mnie śnieg...

Stęknęła, przełożyła walizkę do drugiej ręki i ruszyła dalej. Ciężkie płatki łaskotały ją w twarz.

Olga przeczytała kiedyś w „Pani Domu” o lekarzu ginekologu, który twierdził, że zdrową kobietę można poznać po tym, jak wygląda, gdy jest brzemienna. Skóra takich kobiet robi się jaśniejsza. Ich oczy bardziej błyszczą. Ciężarne po prostu kwitną.

Czyli ona sama nie była zdrową kobietą. Nie kwitła w odmiennym stanie. Więdnęła. Spospoliciała i poszarzała. Oczy jej spuchły od płaczu i straciły blask. Włosy, które zawsze stanowiły ukoronowanie jej urody, zrobiły się łamliwe i zmierzwiłone, nie dało się z nich ułożyć nawet najprostszej fryzury. Kiedy Augusta przesłuchiwała córkę wieczorami, Olga zasłaniała włosami twarz.

– Kto? – pytała Augusta. – Wyduś to z siebie. W końcu przecież musisz powiedzieć, kto to jest.

Olga jednak milczała i myśląc o Eryku, Edwinie, Bertilu, Allanie, Olafie i Gunnarze, chowała za włosami siebie i swój wstyd.

Z każdym miesiącem humor jej się pogarszał. Robiła miny za plecami Augusty i syczała na chłopców, złościła się, że nigdy nie ma nic dobrego do jedzenia i że oczekuje się od niej, że będzie gotowała posiłki z niczego. Na koniec zapomniała nawet o tym, kim był kiedyś dla niej Izaak, i wrzeszczała z odrazą za każdym razem, gdy odkryła, że zsiakał się w swój roboczy kombinezon: „Ty cholerna maskarolo!”

Któregoś dnia w środku marca szczapą przetrąciła grzbiet kotu. Augusta znalazła go na ścieżce w ogrodzie po powrocie z fabryki. Nie mógł chodzić. Kiedy próbował, tylne nogi ciągnęły się za nim po śniegu.

– No i co z tego – powiedziała Olga, kiedy Augusta wniosła sparaliżowanego kota do kuchni. – Podrapał mnie...

Musiała się tym zająć Augusta. Olga nie chciała.

Kot syczał i pisał już wtedy, gdy pompowała wodę do wiadra, a kiedy szła z nim do pralni, zadrapał ją do krwi w ramię. Kiedy odstawiła wiadro, miauczał wrzaskliwie, ale ucichł, gdy Augusta zanurzyła twarz w miękkim futerku, wciągając jego ciepły zapach.

Ostatni raz, pomyślała.

Kot nie poddawał się, musiała długo klęczeć z ręką zanurzoną w wiadrze po ramię, aż ustały wszelkie podrygi stworzenia. W tym czasie wyglądała przez otwarte drzwi pralni. Jabłonie wyciągały się do migoczącego różowo nieba, Augusta bardziej domyślała się, niż widziała, że na nagich gałęziach pęcznieją już czarne pąki.

Wkrótce wiosna, pomyślała. Znowu będzie dobrze.

Później trochę czasu zajęło jej wyciągnięcie pazurów z ramienia. Kot wpatrywał się w nią martwymi oczami, a woda, która kapiała z jego futra, utworzyła małą kałużę na sosnowych deskach podłogi.

– Utop ją! – wrzasnęła Olga, kiedy Augusta ostrożnie próbowała ułożyć Siri w jej ramionach.

Położna pokręciła głową. W pokoju pachniało krwią.

A mimo to, kiedy nadeszło lato, wszystko zaczęło jakby iść ku lepszemu.

Siri, która w ciągu pierwszych miesięcy życia nieprzerwanie krzyczała, poddała się i zaczęła wreszcie spać. Erland i Harald mieli piegi i dobre oceny, a cienie pod ich oczami zbladły. Augusta wysyłała ich do lasu na jagody, wracali z sinymi zębami i pełnymi kubkami. Sama już w połowie czerwca zebrała pierwszy w tym roku rabarbar i ugotowała z niego zupę. Izaak zamknął oczy, kiedy go nią karmiła. To dobry znak. Augusta była tego pewna.

Olga siadywała pod jabłonią, znowu piękna.

Miała być piękna jeszcze przez trzy lata. Tak piękna jak niegdyś, a może nawet piękniejsza. Po porodzie nabrała bardziej wyrazistych kolorów i miękkich kształtów. Kiedy szła przez Hallstavik czy Herräng, zawsze śledziły ją czyjeś oczy. Wiedziała o tym. Nie znajdowała już jednak w tej wiedzy dawnego ukojenia: zaczynała rozumieć, że władza pięknych kobiet nie jest tylko bezwarunkowa. W tygodniu prowadziła gospodarstwo w domu w Nordanäng. Zmieniała pieluchy Siri i prała roboczy kombinezon Izaaka, kiedy się w niego zsiakał. Gotowała obiady niemal z niczego i szorowała popiołem podłogę w kuchni, kiedy skończył się płyn do mycia i nie było pieniędzy na nowy.

Przez cały czas myślała o sobocie, o tej minionej i o tej, która miała wkrótce nadejść. O tym, którą sukienkę włoży i jak uczesze włosy. O nieznanym, który pojawi się na tańcach w Ludowym Domu Kultury w Herräng albo w wesołym miasteczku w Hallstavik, o tym, który pewnego dnia przyjdzie i zabierze ją daleko od tego życia.

I w końcu przyszedł. W końcu musiał przyjść.

Tej niedzieli Augustę obudził rano płacz Siri.

Przebudzeniu towarzyszyło stęknienie: w ciele czuła jeszcze ból minionego tygodnia. Zerknęła na budzik stojący na krześle obok kuchennej ławy – kwadrans po piątej – i przekręciła się na bok, żeby zerknąć na Izaaka. Patrzył w sufit, jak zawsze.

Augusta usiadła i rozejrzała się po kuchni. Jej rzucone na krzesło ubranie oświetlało słońce. Brązowa skarpetka zwisała apatycznie nad podłogą.

Już niedługo położę się na polu, pomyślała Augusta. Już niedługo znowu zanurzę się w ziemi.

Siri nie przestawała płakać. Augusta podniosła się z ławy.

Olga nie wróciła do domu. Nie wiadomo było, gdzie się podziała.

Odkąd Izaak skamieniał, Augusta ani razu nie była w Herräng, ale teraz się tam wybrała. Swoją wędrówkę zaczęła od Nilssona, tego, który był członkiem loży Dobrych Templariuszy w okresie, kiedy Augusta miała jeszcze czas i siłę, żeby zajmować się światem i trzeźwością. W odpowiedzi na jej pytania pokręcił przecząco głową, ale mimo to włożył swoją niedzielną marynarkę i poszedł z Augusta dalej. W innych domach inni mężczyźni i kobiety postąpili tak samo, już wkrótce od drzwi do drzwi wędrowała cała procesja, która zadawała te same pytania. Czy ktoś wczoraj wieczorem widział Olę na tańcach w Ludowym Domu Kultury? Czy ktoś widział, dokąd później poszła?

Na tańcach widzieli ją wszyscy. Miała czerwoną sukienkę, mówili chłopcy. Z jedwabiu *crêpe de Chine* mówiły dziewczęta. Tańczyła z tymi, co zawsze, z tymi, którzy ustawiali się w kolejce, kiedy Olga przychodziła do Herräng. Z Elisem i Nilsem, Gustenem i Arnem, Holgerem i Eilertem.

Elis pokręcił głową. Dostał tylko jeden taniec.

Nils uśmiechnął się krzywo i usiłował udawać obojętność. Nie dostało mu się nawet tyle, co Elisowi.

Gusten wzruszył ramionami. Olga przyrzekła mu walca, ale nie dotrzymała słowa. Znikła.

Arne wcisnął ręce głęboko w kieszenie spodni. Widział ją z kimś nowym. Ciemnym typem. Jakimś Cyganem.

Holger splunął na żwir na dziedzińcu. Tak. Widział Olę koło Domu Kultury z tym nowym... Wyglądało, że się do siebie czują, żeby tak to ująć.

Eilert zasłonił usta ręką. Właściwie to nie jego sprawa, ale widział Olę i tego nowego. Szli w kierunku kopalni Glittergruvan. Eilert najpierw chciał śledzić ich z daleka, tylko po to, żeby Oldze nic się nie stało, ale potem zmienił zdanie i zawrócił. Pomyślał, że Olga może chyba sama się pilnować.

Augusta przygryzła dolną wargę. Jak miał na imię ten nowy? Jak wyglądał? Co robił w Herräng w niedzielę wieczorem, czy ktoś wie coś o tym? Dlaczego w ogóle tu przyjechał? Na koniec świata?

Nikt nie wiedział. Wiedziano tylko, że był ciemny i dosyć przystojny. Wysoki. Raczej szczupły. Może pochodził z lepszej sfery, bo miał wąskie, białe dłonie. Oczywiście, jeśli nie był grzesznym zielonoświątkowcem: nosił przecież czarną marynarkę i czarny kapelusz, tak samo jak kaznodzieja, który zeszłego roku próbował ratować dusze w Herräng.

Ciemny mężczyzna w czarnym ubraniu otoczył ramieniem Olgę i poprowadził ją w kierunku kopalni. Nikt nic więcej nie wiedział.

Dużo czasu minęło, odkąd w Herräng przestano wydobywać cynk. Kamieniołom kopalni Glittergruvan zamienił się w mały staw; bezdennie głęboki staw z magiczną wodą. Nigdzie indziej w Roslagen nie było wody tak czystej i smacznej. Nigdzie indziej w Roslagen nie było też wody, która potrafiła zmieniać co godzinę kolor, która w ciągu jednego tylko dnia mogła lśnić zielenią i turkusem, błękitem i grafitem, fioletem i czernią.

Czerwony pantofel Olgi znaleziono na skraju kamieniołomu. Jego czubek wskazywał w kierunku wody.

Tej nocy po raz pierwszy Augusta nie zawracała sobie głowy kładzeniem Izaaka do łóżka, mógł sobie siedzieć przy stole w kuchni i skubać obrus, ile mu się żywnie podobało. Chłopcy musieli sami posmarować kilka kromek chleba dla siebie i Siri, ale nie wolno im było zjeść ich w kuchni. Augusta chciała być sama.

Kiedy głosy dzieci ucichły, rozpuściła włosy i zasłoniła nimi twarz. Zamknęła oczy i zmusiła się wreszcie do ujrzenia obrazu, który przez cały dzień błąkał się jej po głowie, a ona z uporem starała się go nie widzieć. Olga tańcząca swój ostatni taniec, opadająca na dno kopalni Glittergruvan: zgięta lewa noga, prawe ramię uniesione nad głową, dłoni odchylona w uwodzicielskim geście. Lśniącą białą skórą w czarnej wodzie, błyszcząca czerwona sukienka. Klamra, która podtrzymywała fryzurę, odpięła się i długie włosy rozsypały się w wodzie jak wodorosty...

Ukryta w swoich włosach Augusta patrzy, jak jej córka powoli opada na dno kopalni.

Tonie, tonie i tonie.

Nazajutrz rano cały świat stał się szary.

Augustę obudziło zimno. Wyprostowała plecy i kilka razy zamrugała powiekami, nim zrozumiała, że musiała zasnąć przy kuchennym stole. Izaak siedział naprzeciw, wpatrując się w nią pustym wzrokiem.

Wstała z jękiem, bolały ją plecy i miała sztywny kark. Stała na środku kuchni, nie wiedząc, co właściwie począć.

Spojrzała na swoje stopy: spuchły nocą. Nogi przypominały kłody. Jedna pończocha wysunęła się z podwiązki i zmarszczyła w harmonijkę wokół kostki, odsłaniając białą skórę z niebieskimi żyłkami.

Baba, pomyślała Augusta. Jestem brzydką, starą babą.

Z tyłu doszedł ją ciurkający odgłos. Wiedziała, co to, ale nie odwróciła się. To Izaak zsikał się na podłogę.

Usłyszała skradanie się nagich stopek na podłodze w przedpokoju. W drzwiach stanęła Siri.

Augusta spojrzała na nią, a potem otworzyła usta i spróbowała coś powiedzieć. Nie znalazła słów. Nie było słów. Tylko syk.

- WSZYSTKO JEST ZAWSZE – MÓWI ALICJA.
- I co to ma znaczyć? – pyta Krystian.
- Że wystarczająco długo uchodziło ci wszystko płazem.

Nie. Tak nie powiedziała. To tylko fantazjowanie o zemście. Pociuszająca bajeczka.

W rzeczywistości stoi w przymierzalni w galerii NK, próbując zapiąć czarne dzinsy. Nie daje rady: jest za gruba w pasie. Wciąga brzuch i próbuje jeszcze raz. Nie, nie da się...

W końcu nie ma to wielkiego znaczenia, nie zamierza przecież kupować czarnych dzinsów. Wiedziała o tym już wtedy, kiedy weszła do przymierzalni. W domu w szafie wiszą już cztery pary, więc na co jej piąta?

Na zewnątrz donośny głos z mikrofonu informuje, że dom towarowy zaraz zostanie zamknięty.

Na dworze, na Hamngatan, jest już ciemno. Wybiła siódma i miasto przeistacza się. Zamykają się sklepy, otwierają lokale. Od kobiet w średnim wieku oczekuje się, że pójdą do domu i znikną z pola widzenia.

Alicja wciska ręce do kieszeni i podnosi ramiona. Nie może iść do domu. To niemożliwe.

Całe popołudnie spędziła na chodzeniu po sklepach. Mierzyła dzinsy, których nie dało się zapiąć. Wąchała perfumy, których nie chciała mieć. Przeglądała książki, których nie zamierzała przeczytać. Myślała o Augustie i jej baśniach, o Izaaku, który nie żył już od wielu lat, i Oldze, która wyszła pewnego wieczoru i nigdy nie wróciła.

To bez sensu. Jest tego świadoma. Pięć godzin temu zostawiła Krystiana w Sheratonie, powinna więc mieć teraz inne tematy do rozmyślań. Takie jak na przykład prawda i kłamstwo. Odpowiedzialność i wina. Małżeństwo i przyszłość. Poza tym jeśli jej życie zawodowe nie ma ulec kompletnej katastrofie, za dwa dni musi przedstawić Muzeum Historycznemu swój projekt, a nie napisała jeszcze ani jednej sensownej linijki.

Myśl o tym sprawia, że Alicja przyśpiesza kroku, obcasy stukają zdecydowanie po chodniku. W oknie wystawowym miga jej własne odbicie: pewna siebie kobieta w drogim kostiumie.

Jest dobrze przebrana.

*

- Wszystko jest zawsze – mówi Alicja.
- I co to ma znaczyć? – pyta Krystian.
- Że straciłeś wszelkie prawa do tego, by wiedzieć coś o naszym synu.

Nie. Tak nie powiedziała.

W rzeczywistości wstała bez słowa z łóżka i owinęła się kołdrą. Pozbierała swoje ubranie i poszła do łazienki.

Przez chwilę stała z zamkniętymi oczami, opierając się o drzwi, a potem otworzyła je i rozejrzała się dookoła. Poczowała dławienie w gardle na samą myśl o tym, że mogłaby dotykać czegoś, czego dotykał Krystian. Żeby wziąć prysznic, musi mieć nowe mydło i nieużywany ręcznik, w przeciwnym razie będzie musiała zejść do recepcji i wynająć sobie pokój. Miała jednak szczęście: na umywalce leżały jeszcze nierozpakowane małe mydełka, a starannie złożony ręcznik wisiał na wieszaku. Na wszelki wypadek powąchała go. Nie. Nie było go czuć Krystianem.

Natomiast na brzegu wanny leżała używana kostka mydła, a na podłodze – wygnieciony ręcznik. Urwała kawałek papieru toaletowego, żeby wziąć przez nie mydło i wrzucić je do ubikacji, a potem kopnęła ręcznik w kąt. Dobrze. Teraz jest już gotowa. Teraz może się nareszcie oczyścić.

Nie pamięta, jak długo stała pod gorącym prysznicem, wie tylko, że myła się tak długo i starannie, że mydło prawie znikło. W głowie roiło się od wspomnień i myśli, ale była w stanie traktować je z dystansem, nie wzbudzały niepokoju. Augusta spacerująca po swoim kwitnym ogrodzie. Peter na jej kolanach chichoczący, rechoczący, pokazujący w uśmiechu małe ząbki. Lars uśmiechający się nad swoimi fraktalami, mówiący o sile ruchu stochastycznego, o tym, że jest on zdolny do tworzenia skomplikowanych wzorów, które mogą się powtarzać. Alicja trze mydłem pomiędzy nogami. Wie, że będzie przez to miała upławy. Jednak ten problem zostawia na później. Teraz musi być czysta.

Kiedy chwilę później otwiera drzwi do hotelowego pokoju, ma starannie umalowaną twarz. Ta twarz uśmiecha się lekko do Krystiana.

– Alicjo! – krzyczy Krystian, gdy Alicja kieruje się w stronę drzwi. – Alicjo, do cholery...

- Wszystko jest zawsze – mówi Alicja.
- I co to ma znaczyć? – pyta Krystian.
- Że on nigdy mnie nie opuścił i że ja nigdy go nie opuściłam.

Nie. Tak nie powiedziała. Nie mogłaby tak powiedzieć. To byłoby żalosne. Takie słowa nie przeszłyby jej przez usta.

A mimo to tak właśnie jest. Nigdy jej nie opuścił. Ona też nigdy go nie opuściła. Tak jakby miała dwa życia. Jedno na jawie. Drugie wśród cieni ze swoim nieżyjącym synem.

Po dwóch latach pracy w Urzędzie Telekomunikacji przeniosła się do Norrköping i zapisała do Państwowej Szkoły dla Dorosłych, jedynej szkoły tego typu w tamtych czasach. Indze i Erlandowi powiedziała, że będzie pracowała jako telefonistka w remizie strażackiej. W odpowiedzi usłyszała pełne rezygnacji westchnienie. Niezupełnie kłamała: naprawdę była telefonistką w remizie, ale tylko nocami. Za dnia uczyła się. Z okazji matury poszła do fotografa ubrana na biało i w studenckiej czapce, potem wysłała powiększone zdjęcia, jedno Augustcie, a drugie Indze i Erlandowi. Dwa dni później rodzice zapukali do jej drzwi. Ofiarowali jej w prezencie książeczkę oszczędnościową z dwoma tysiącami koron, butelkę szampana i złoty naszyjnik, a potem zaczęli się kłócić i postanowili wracać do domu.

Alicja stała w oknie i patrzyła za nimi. Erland przycisnął gaz do dechy, nowy rover odjechał, Alicja zobaczyła jeszcze w przelocie machającą za szybą rękę ojca. Może zatrzyma samochód w połowie drogi do Jönköping, żeby dać Indze w twarz. Wyglądało na to, że zdarza się to teraz częściej niż kiedyś. Kiedy spotkali się u Augusty na Boże Narodzenie, Inga miała spuchniętą wargę, a Erland szramę po zadrapaniu na czole.

Alicja wzruszyła ramionami. To ich prywatne piekło. Co ją to obchodzi?

Kiedy zaczęła studiować w Lund, zapisała się do organizacji studenckiej, ale rzadko bywała na potańcówkach i imprezach. Chociaż właśnie podczas jednego z tych należących do wyjątków wieczorów pozwoliła się poprosić do tańca młodemu matematykowi.

Kilka miesięcy później powiedział, że podoba mu się jej spokój. To, że Alicja nie żąda od niego masy bezsensownych obietnic i nie narzuca mu się z przyrzeczeniami. Że umie słuchać. Że jest taka rozsądna i opanowana, a jednocześnie ma poczucie humoru i fantazję.

Kiedy rok później oświadczył się jej, stłumiła westchnienie: wolałaby tego uniknąć. Nie wiedziała tylko, jak mu to powiedzieć, żeby go nie urazić.

Nie widział, jak Alicja płacze, do czasu, kiedy wwieziono ją do sali porodowej, ale wtedy płakała tak gwałtownie i głośno, że trzeba było zaaplikować jej dodatkową dawkę epiduralu.

To był prawdziwy wstrząs, powiedział później, głaszcząc Petera po jego puszystej głowce. Nie miał pojęcia, że to będzie taki ból...

Alicja najpierw odwróciła wzrok, a później zaczęła wyliczać, co Lars musi kupić na jej i Petera powrót ze szpitala, wszystko to, czego z jakiegoś irracjonalnego powodu nie miała odwagi kupić wcześniej. Wózek, łóżeczko, ubranka, pieluchy. Czy mogłby być tak dobry i kupić jeszcze podpaski? Jest jej przykro, że musi prosić go o tak krępujące rzeczy, ale nie ma przecież nikogo innego, kogo mogłaby o to poprosić...

Którejś nocy pół roku później przytuliła się mocno do niego i szeptem tłumaczyła tamten wielki płacz. Nie płakała przecież dlatego, że tak bardzo ją bolało...

Lars zapalił lampkę nocną i patrzył na nią. W takim razie dlaczego? Dlaczego płakałaś?

Uch. Alicja odsunęła się z powrotem na swoją stronę łóżka, jej głos zrobił się odrobinę bardziej suchy. Z powodów egzystencjalnych. Zderzenie z prawdziwym życiem i tak dalej.

Lars przytaknął z poważną miną. Egzystencjalnych? Tak, w takim razie nie można było pomóc.

Mimo wszystko ich wspólne życie nie było takie złe. Okazywali sobie zainteresowanie i szacunek. Dość często śmiali się z tych samych rzeczy. Podarowali Peterowi dzieciństwo bez kłótni i zaciśniętych pięści. Pracowali i pozwalali sobie wzajemnie na pracę. Uprawiali miłość, czasami tak gorącą, że niemal rozpuszczała wszelki dystans między nimi, czasami tak chłodną, że go na nowo tworzyła.

Tylko w sypialni Lars domyślał się czasem, że Alicja miała jeszcze jakieś inne życie.

- Wszystko jest zawsze – mówi Alicja.
- I co to ma znaczyć? – pyta Krystian.
- Że twoja zdrada jest większa, niż ci się zdaje.

Tak. Tak mogłaby powiedzieć. Gdyby w ogóle zdobyła się na rozmowę z nim.

Alicja przecina na ukos plac Norrmalmstorg i wchodzi na Biblioteksgatan. Zatrzymuje się przed wystawą sklepową i patrzy na szary kostium. Wystawowa kobieta-manekin jest łysa, ma bezbarwne oczy i usta. Kobieta bez twarzy. Kobieta z oczami osłoniętymi skórą. Kostium jest nieciekawym. Ma nijaki, przygaszony kolor i tradycyjny fason: grzeczny, mały kołnierzyk zakietu przeprosza za to, że spódnica jest lekko

poprzecierana. Cena za to zawrotna. Oczywiście. Nikt nie spojrzełby nawet na ten kostium, gdyby nie był drogi. Kupuje się metkę z ceną i poczucie bycia wybrańcem losu, ubranie stanowi tylko dodatek.

Alicja wzrusza ramionami. Ma gdzieś wszystkie ciuchy na eleganckiej Biblioteksgatan, chce tylko przestać myśleć o tym, co tak naprawdę ją absorbuje. Chciałaby też wiedzieć, gdzie prowadzą ją stopy. Dokąd zmierza.

Pod koniec ciąży świat stawał się coraz bardziej rozmazany. Kontury sylwetki Augusty rozmywały się, a ściany w jej domu stawały się szare i zamglone. Były w ciągłym ruchu i umykały, kiedy Alicja wyciągała rękę, żeby się o nie oprzeć, a kiedy szła, szukając jakiegoś miejsca na odpoczynek, wyskakiwały i stawały na jej drodze. Alicja w milczeniu dopasowywała się do nowych warunków, nie miała siły, żeby narzekać. Kiedy jedna ściana uciekała, szukała ręką drugiej, a kiedy jakaś wyskakiwała na jej drodze, obchodziła ją dookoła. Jednak najczęściej leżała spokojnie w łóżku Augusty. Łóżko polowe w garderobie zrobiło się za małe: płótno żaglowe trzeszczało i groziło pęknięciem, gdy tylko na nim usiadła.

Spuchła po prostu monstrualnie. Mimo to, kiedy leżała w łóżku, czuła się jak dziecko. Niemowlę. Może miało to związek z tym, że tak często przyglądała się swoim dłoniom, że unosiła je ku światłu i obracała na różne strony. Czasami zapominała, do kogo należą, marszczyła czoło i zastanawiała się. Do Augusty? Nie, nawet palce Augusty nie były tak grube, że rozczapierały się na wszystkie strony...

Czasami nadciągały ciemności od zatoki Strömsviken. Alicja lubiła to: otwierała oczy i pozwalała, by ciemność wpadała w jej źrenice. Słyszała, że w oddali Augusta woła ją po imieniu, ale nie zwracała sobie głowy odpowiedzią:

Kiedy wynoszono ją do karetki, była nieprzytomna.

– Wszystko jest zawsze – mówi Alicja.

– I co to ma znaczyć? – pyta Krystian.

– Że powinnam być tak samo mało zainteresowana twoim młodzieńczym cierpieniem, jak ty moim.

Tak było. Powinna była nauczyć się kłamać tak samo przekonująco jak Krystian. Wyćwiczyć się w fałszu. Ratować własną skórę, tak jak on ratował swoją. Powinna była oszukiwać go tak, jak dziewczęta w tamtych czasach zwykły oszukiwać młodych mężczyzn. Powinna była wabić go tylko fałszywymi obietnicami, że pozwoli się uwieść i jest dziewczyną wyzwoloną, biorąc jednocześnie od niego to, czego sama chciała: śmiech,

zabawy, chwile wytchnienia. Była jednak na to zbyt młoda. Zbyt młoda, zbyt ufna i pełna tęsknoty, żeby umieć sprytnie kłamać.

Tak, tak. Może nie ma powodu, żeby zbyt starannie polerować swoją pamięć, myśli Alicja, czekając przed przejściem dla pieszych na Stureplan. Milczałam przez dwadzieścia siedem lat. Chowałam się za murami i ogrodzeniami. Spychałam winę na Larsa, zarzucając mu obojętność. Dzisiaj zakończyłam to wszystko, wskakując do łóżka z konsultantem informatycznym, Krystianem Dahlbergiem. Facetem z Jönköping, od którego chce się rzygać.

Zielone światło. Stopy zaczynają iść. Alicja zaczyna się domyślać, że zmierzają w kierunku Sveavägen. Do jej biura.

Dotykał jej Krystian. Nie może iść do domu.

– Wszystko jest zawsze – mówi Alicja.

– I co to ma znaczyć? – pyta Krystian.

– Że są straty większe od mojej. Ja go miałam. Ty nigdy go nie dostaniesz.

Nie pamięta żadnych skurczy. Tylko zimno. Ściany porodówki zrobione były z lodu. W środku rozlegały się głosy. Szczęk metalu o metal. Jakaś lampa chciała wysssać ciemność z jej źrenic, ale Alicja stawiała jej opór.

– Uwaga! – krzyczał ktoś. – Tracimy ją.

Alicja zwróciła oczy w głąb i spojrzała w środek swojego ciała, było puste. Opuścił ją.

Odnalazła go dopiero po upływie doby. Była noc.

Obudziła ją lampa zapalona w drugim końcu sali. Ktoś usiadł i westchnął. Kobieta. Alicja widziała, jak chwyta się poręczy łóżka i z mozołem wstaje, jak szuka stopami kapci i narzuca szlafrok. Turkusowy. Modny kolor sezonu. Kobieta włożyła ręce do kieszeni i ruszyła w stronę drzwi. Zostawiła za sobą zapaloną lampę, Alicja po omacku wyciągnęła rękę w kierunku jej światła. Palce były nadal spuchnięte, ale nie tak, żeby rozczapierzać się na wszystkie strony.

Powietrze przypominało kaszę mannę, ciepłe, słodkie i gęste. Przymknęła oczy, żeby odpocząć w jego zapachu. W oddali śpiewał chór. Była to jakaś wątła piosenka, bez rytmu, melodii i spółgłosek, tak samo słaba i wirująca, jak bzyczenie roju pszczół, wzbudzała też taki sam niepokój. Alicja znowu otworzyła oczy.

Na poręczy łóżka wisiał bawełniany szlafrok, uznała, że jest przeznaczony dla niej, i chciała go przyciągnąć do siebie. Ten gest został powstrzymany przez ucisk czegoś sztywnego wokół brzucha: zajrzała w dekolt szpitalnej koszuli, żeby sprawdzić, co to. No tak, oczywiście. Teraz jej się przypomniało, że po południu dwie młode salowe owinęły jej brzuch długimi bandażami. Stały po obu stronach jej łóżka i mocno ciągnęły bandaże, każda w swoją stronę. Teraz Alicja niemal nie była w stanie się poruszać. Jednak musiała to zrobić: chór wzywał. Musiała wyjść na korytarz.

Ledwie otworzyła drzwi, usłyszała jego głos. Rozpoznała go, chociaż nigdy wcześniej go nie słyszała, chociaż mieszał się z innymi głosami, a czasem znikał pośród nich. Przystanęła, oparła się o ścianę i słuchała.

Korytarz miał brązową podłogę i szare ściany. Paliła się na nim tylko jedna lampa, rzucała brudnożółte światło na pielęgniarkę, która zamykała właśnie drzwi do sali noworodków. Była druga w nocy. Czas na kawę w pokoju pielęgniarskim.

Wstawanie z łóżka było zabronione. Świeżo upieczone mamy muszą odpoczywać.

Wychodzenie na korytarz było również zabronione. Można się poślizgnąć.

Zabronione było wchodzenie na salę noworodków. Można by je czymś zarazić.

Alicja otworzyła drzwi.

Moje dziecko, pomyślała. Trzymam moje dziecko.

Jego główka mieściła się w jej dłoni. Powieki były tak cienkie, że wydawały się przezroczyste. Ciemne, lśniące włoski wyglądały jak wąskie kreski tuszu na białym tle.

Może da się żyć. Może życie jest jednak możliwe.

Był mniejszy od innych dzieci. Widziała to. Dużo mniejszy. Miał bardziej czerwoną i pomarszczoną skórę. Słabiej krzyczał. Kiedy przytuliła go do piersi, ucichł i uspokoił się. Nie miał siły ssać, dotykał lekko ustami jej sutka i za chwilę go wypuszczał. Zasnął. Alicja pocałowała jego otwartą buzię. Ślina smakowała jak źródłana woda.

Następnego ranka po raz pierwszy zobaczyła poranny rytuał na oddziale położniczym. Pielęgniarka popchnęła udem drzwi do sali i wtoczyła przedziwny mebel: brązową komodę na kółkach z pozbawionymi ścianek szufladami. Sześć szuflad na salę z sześcioma łózkami. Kobieta ustawiła komodę na środku sali i wyjęła z szuflady dziecko, zawinęła małe ciało w bawełniany kocyk i podała je jednej z kobiet. Ta była już ułożona w pozycji półleżącej, z rozpiętą koszulą, lekko ziewała i uśmiechała się.

Koszula Alicji była mokra od mleka, a ona rozpiniała ją, walcząc jednocześnie ze sztywnym opatrunkiem na brzuchu i próbując usiąść. Jednak kiedy pielęgniarka podała piąte dziecko piątej matce, zerknęła tylko szybko na Alicję i pośpieszyła ku drzwiom.

Nigdy wcześniej nie wywołała żadnej kłótni. Przez całe życie. Ale teraz zrobiła to.

Syczała i pokazywała zęby. Wrzeszczała na siostrę oddziałową i popchnęła salową, która próbowała zagrozić jej wejście do gabinetu ordynatora. Otworzyła drzwi i krzyknęła:

– Moje dziecko! Oddaj mi moje dziecko!

Niewiele to pomogło. W pokoju było pusto. O szóstej rano ordynatora nie było.

– Jeszcze na to za wcześnie – powiedział trochę później ordynator.

Stał odwrócony do niej plecami i wyglądał przez okno, chudy, zgarbiony mężczyzna. Alicja siedziała naprzeciw jego biurka i przesuwiała palcem po zakrętasach liter na przytwierdzonej do biurka tabliczce z nazwiskiem: Dr Herbert Strömberg.

– Nie możesz się tak denerwować. Może ci to bardzo zaszkodzić.

Odwrócił się i spojrzał na nią sponad okularów.

– Ile masz lat?

Alicja pociągnęła nosem.

– Niedługo kończę siedemnaście.

Pokręcił głową.

– Boże święty. Co tu robisz? Dlaczego nie jesteś w domu u mamy i taty?

Alicja skrzywiła się.

– Tak, tak – powiedział z westchnieniem Herbert Strömberg – nie jesteś ani pierwsza, ani najmłodsza. Uspokój się i wytrzymaj nos.

Alicja zaczęła grzebać w kieszeni, szukając chusteczki. Strömberg wysunął spod biurka krzesło i usiadł.

– Czy wiesz, co to jest gestoza? – zapytał. – Zatrucie ciążowe?

Alicja pokręciła głową, wycierając jednocześnie nos.

– Nigdy nie widziałem cięższego przypadku – kontynuował lekarz – i nigdy u tak młodej osoby. Byłaś bardzo ciężko chora. Nadal jesteś ciężko chora.

– Oddaj mi moje dziecko – powiedziała Alicja. – Chcę moje dziecko.

– Ono też jest bardzo chore – odparł Herbert Strömberg.

Nigdy nie dowiedziała się, czy jego decyzję spowodowały względy medyczne, czy chęć pobawienia się w Boga. Co nim kierowało: obojętność czy współczucie.

Wie tylko, że nikt nie mówił już o przyszłości i o adopcji, że wtoczono ją na wózku do własnego pokoju i że przynoszono jej syna, gdy przyszła pora karmienia. Kiedy po raz pierwszy położono go jej w ramionach, spał. Pielęgniarka o siwych włosach miała w sobie jakieś matczyne ciepło, mówiła rzeczowo, ale ściszym głosem. Alicja powinna gładzić sutkiem usta chłopczyka. Wtedy on się obudzi.

Alicja w milczeniu kiwnęła głową i rozpięła koszulę.

Nigdy nie zauważyła, jak bardzo był słaby i jak mało jadł; zasypiał przy jej piersi po zaledwie kilku słabych pociągnięciach. Pozwalała mu tak leżeć, odwijala delikatnie kocyk i chwyciła czerwoną stopkę syna. Patrzyła na nią. Uśmiechała się, kiedy rozczapierał paluszki i opierał piętę na jej dłoni. Po chwili sama zamykała oczy i nie wypuszczając z ręki małej stopy, szybowała pomiędzy snem i jawą.

Dochodzące z korytarza głosy cichły. Pielęgniarki nie zważały na przepisy i zostawiały ich w spokoju. Wszyscy zostawiali ich w spokoju. Tylko jakaś stara pielęgniarka któregoś dnia pogłaskała Alicję po policzku i pokręciła głową.

Alicja była jedyną osobą, która nie rozumiała, co to wszystko znaczy.

– Wszystko jest zawsze – mówi Alicja.

– I co to ma znaczyć? – pyta Krystian.

– Że wydałam go na świat, ale to on przywrócił mnie życiu.

Po kilku dniach zaczęła z nim rozmawiać.

– Może jakoś da się żyć – powiedziała.

Otworzył oczy i spojrzał na nią swoim błękitnym jak morze wzrokiem.

– Czasem nie wiem, gdzie kończysz się ty, a gdzie zaczynam się ja – ciągnęła. – Dopiero co byliśmy jednym ciałem. Teraz jesteśmy jedną duszą, mieszamy się ze sobą, mamy takie same myśli, twoje marzenia są moimi marzeniami. Nie ma wyraźnych granic między nami.

Wsunęła palec wskazujący w jego rączkę. Chwycił go. Ściszyła głos.

– Ale to nie szkodzi. Nie potrzebujemy granic. Jeszcze nie. I to ty będziesz je wyznaczał, kiedy przyjdzie na to czas.

Podniosła jego rączkę i przyjrzała się jej. Paznokietek na małym palcu był prawie niewidoczny. Chłopiec przymknął oczy; zanim ona sama też je zamknęła, jeszcze chwilę mu się przyglądała.

Kiedy godzinę później się obudziła, leżał bez ruchu w jej ramionach.

– Wszystko jest zawsze – mówi Alicja.

– I co to ma znaczyć? – pyta Krystian.

– Że twoją największą zdradą było milczenie. To, że nigdy nie zapytałeś. Że później nigdy do mnie nie napisałeś, żeby się dowiedzieć. Że nikt nie pytał. Że nikt nie chciał wiedzieć.

W pierwszym tygodniu po porodzie myślano, że Alicja się wykrwawi.

Czasem otwierała oczy, spoglądała na pielęgniarki i dziwiła się apatycznie, czemu się tak wciąż krzątają z podpaskami z ligniny i ceratowymi podkładkami. Czy nie mogą zostawić jej w spokoju? Ułożyć ją w wannie i pozwolić, by zabrała ją ciemność.

– Jej ciało płacze – mówił Herbert Strömberg.

Pozwólcie mu płakać, myślała. Zostawcie mnie w spokoju i pozwólcie mojemu ciału płakać.

Ciemność, myśli Alicja. Wpuściłam ją. Pozwoliłam, żeby w niego wpływała...

Zrobiło się zimno, idąc Kungsgatan, czuje jego oddech na karku. Jej obcasy już nie stukają, już się nie śpieszy. Już wie, dokąd idzie, ale wcale za tym miejscem nie tęskni.

Kiedy przyjdzie do biura, musi zadzwonić do Larsa i wyjaśnić mu, że na razie nie wróci do domu. Może nigdy nie wróci. Że musi być sama, musi nauczyć się żyć. Tylko jak ma mu to powiedzieć? Jak ma powiedzieć Larsowi, że przespała się z innym mężczyzną, ale wcale nie to stanowi jej największą zdradę. Że gorsze było jej tchórzostwo. Przez całe ich wspólne życie nosiła w sobie lodowaty smutek, ale nigdy nie miała odwagi mu o nim powiedzieć.

I co odpowie na to Lars? Że mu wszystko jedno? Że jest zmęczony jej ciemną stroną i że jej smutek sprawiał, że i on cierpiał? Że chce odejść od niej do Corrinne i że ona sama jest sobie winna?

Tak. Właśnie tak może się stać.

Kanapka. Zatrzyma się, żeby kupić sobie kanapkę. Musi mieć coś do jedzenia, kiedy obudzi się jutro rano.

Nigdy wcześniej nie spała w swoim biurze, ale spali w nim inni. Kåre i Marianna, kiedy przyjechali do Sztokholmu. Przyjaciele Petera z Australii. Biedny matematyk z Petersburga, którego nie było stać na hotel. W garderobie stoją dwa łóżka polowe, jest aneks kuchenny i prysznic. To przecież nie jakieś prawdziwe biuro. Mała kawalerka na parterze oficyny.

Kryjówka, pomyślała tamtego dnia przed piętnastu laty, kiedy pośrednik otworzył drzwi i zaprosił ją do środka. Właśnie takiej potrzebuję.

Krzywi się na to wspomnienie. Tak jakby potrzebowała kryjówki. Ona, która ukrywała się przez całe życie.

– Wszystko jest zawsze – mówi Alicja.

– I co to ma znaczyć? – pyta Krystian.

– Nic.

Skończyło się, myśli Alicja, wciągając powietrze. Minęło już ponad czterdzieści lat. To musi się teraz skończyć.

Idzie szybkim krokiem wzdłuż Sveavägen, mija miejsce, gdzie zamordowano Olofa Palmego, długimi krokami przechodzi obok wydawnictwa Bonniers i nie zatrzymuje się nawet, żeby popatrzeć na książki na podświetlonej wystawie, przez Tegnératan prawie biegnie. Ręka szuka już w kieszeni kluczy.

Skończyło się, powtarza w myślach. Synka będę miała przy sobie zawsze. Ale Krystian? On może się teraz bawić beze mnie.

Kiedy otwiera ciężkie, szklane drzwi i szybkim krokiem wchodzi do frontowego budynku, uderza ją wspomnienie o Larsie. Będzie, co ma być, byle tylko coś się zmieniło.

Na podwórzu jest ciemno, w oficynie jeszcze ciemniej. Wyciąga rękę do czerwonego oka kontaktu.

– Alicja – mówi jakiś głos w ciemnościach.

Naciska włącznik. Na schodach siedzi Lars, żółte światło lampy odbija się w jego czole.

– Musimy porozmawiać – mówi Lars.

Alicja wkłada klucz do zamka i otwiera drzwi.

– Tak – odpowiada. – Musimy.

Nic nie jest wieczne. Alicja wie o tym. Mimo to czuje się teraz zupełnie spokojna.

ZBLIŻA SIĘ ZIMA. NADCHODZI DUŻYMI KROKAMI.

Nocą wiatr trzęsie domem Augusty i zrywa przezroczyście jabłka z gałęzi drzew w ogrodzie. Owoce bardzo łatwo się psują. Kiedy uderzają o ziemię, na skórce wykwitają brązowe plamy, jutro jabłka będą na wpół zgniłe i niejadalne. Łubiny pod jabłonią przestały się opierać, uginają się od deszczu, potrząsają popękkanymi kielichami i zrezygnowane pozwalają zamienić się w chwasty.

Wieczorem jest też zimno w domu. Wiatr wślizguje się przez ukryte szczeliny, zawodzi w kuchni, pokojach i przedpokoju i przepędza wspomnienie lata.

Jest późny wieczór, ale Andżelika nie może spać. Zięb nie pozwala jej zasnąć.

Jest tak zimno, że dostaje skurczów w palcach u nóg.

Zwija się pod kołdrą i wciska ręce między uda, próbuje leżeć bez ruchu i myśleć o tym, co ciepłe. Kuchnia Siri. Włóżący do łóżka Mikael. Ręce, które pachną oregano...

Nic nie pomaga. Skurcz nasila się, Andżelika czuje, jak palce u nóg rozczapierzają się na wszystkie strony. To typowe dla niej. Jest śmieszna nawet wtedy, kiedy marznie. Ale może to dobrze, że jest tak zimno. Wcale nie zamarznie. Musi się tylko uspokoić. Myśleć racjonalnie i przestać tak strasznie histeryzować. Widzieć rzeczy takimi, jakimi są.

Sama siebie oszukała. Teraz to rozumie. Przyznaje, że tak jest. Przed sobą samą.

Przed wszystkim wydawało jej się tylko, że będzie mogła przetrwać zimę w domu Augusty. To niemożliwe. W każdym razie, jeśli nie będzie ogrzewać domu.

Dwa razy odwiedziła zimą puste domy letnie, raz z chłopakiem, który miał na imię Daniel, drugi raz z Jonatanem. Wie, jakie to uczucie rozbierać się, kiedy szyby w oknach pokrywa szron, a oddech zamienia się w parę. Ból. Ból skóry. Ból w nozdrzach. Ból w płucach, jeśli weźmie się naprawdę głęboki oddech.

Cholera! Skurcz wykręca nienaturalnie lewą stopę. Andżelika przygryza wargę i przeprowadza pośpieszną kalkulację: z jednej strony, wie, że w komodzie w sypialni powinny być schowane stare ubrania, z drugiej, łóżko wyziębi się jeszcze bardziej, jeśli wstanie, żeby to sprawdzić. Ale może mogłaby zasnąć, gdyby znalazła parę wełnianych skarpet. Lub ciepły sweter. Albo chociaż jakiś szalik.

Powinna wstać. Zdaje sobie z tego sprawę. Mimo to ciągle leży, usiłując osądzić siebie samą.

A więc: oszukała sama siebie. Zawsze była w tym dobra. W samooszukiwaniu.

Chodziła ze swoim dużym blokiem rysunkowym i wyobrażała sobie, że będzie artystką. To przecież bzdura, jest dzieckiem robotnicy, takie dzieciaki nie zostają artystami. Nie kapują tego, co powinien kapować artysta, nie kapują nawet, że nie kapują. Nie wystarczy być dobrą z rysunku, Ilona powiedziała to już pierwszego dnia, trzeba jeszcze umieć patrzeć. Andżelika nie umie patrzeć. Nie w ten sposób. Nikt nie nauczył jej przecież patrzenia, musiała sama łązić i się gapić. Rezultat jest do tego wprost proporcjonalny.

Wszyscy inni z profilu artystycznego byli za granicą. Kiedy Ilona poprosiła, żeby opowiedzieć o związanym ze sztuką przeżyciu, które najlepiej pamiętają, mówili o obrazach, które widzieli w Paryżu i Barcelonie. Nie używali jednak słowa „obrazy”, Andżelika zwróciła na to uwagę. Nazywali je „pracami”. Uczeń profilu artystycznego, chodząc po muzeach z matką i ojcem, przygląda się pracom. Oraz instalacjom. Andżelice nie udało się dojść do tego, co to jest instalacja, domyśla się jednak, że coś tak wyszukanego, że i tak by tego nie zrozumiała. Kiedy przyszła kolej na nią, patrząc w ławkę, wymamrotała coś o Toulouse-Lautrecu, nie wspominając o tym, że jego plakaty widziała tylko w albumie w bibliotece w Hallstavik. Nie wspomniała też o książce, która opowiadała o życiu malarza: *Moulin Rouge*. Może Ilona zmarszczyłaby nos, gdyby się dowiedziała, że podobała jej się ta książka.

Andżelika lubi tę książkę. Lubi ją od tamtej wiosny, kiedy chodziła z naciągniętą na oczy czapką, czekając, aż odrosną jej włosy. W tamtym czasie często chodziła do biblioteki. Któregoś wieczoru znalazła książkę o Toulouse-Lautrecu. To była stara książka w staroświeckiej ceratowej okładce, zupełnie przypadkiem otworzyła się na stronie z tamtym obrazem: czarna sylwetka mężczyzny i tańcząca kobieta. Zachwycił Andżelikę nie sam temat, ale kolory. Zabrała książkę do domu i usiadła przy stole w kuchni Siri, żeby ją przeczytać, tylko dlatego, że obraz był żółty, chociaż naprawdę żółty nie był.

Gruba książka wzbudziła podziw Siri. Z powagą kiwała głową za każdym razem, kiedy Andżelika unosiła głowę i opowiadała o tym, co przeczytała. O tym, jak mały Henri Toulouse-Lautrec spadł ze schodów w pałacu swoich rodziców i od tego czasu przestał rosnąć, na zawsze już zostając wykrzywionym kaleką. Że jego ojciec nie był potem w stanie na niego patrzeć i dlatego pozwolił mu wyjechać do Paryża. O tym, jak jego matka martwiła się, że Henri nie umie malować tego, co według niej powinni malować pierwszorzędni artyści: nobliwych dam i wytwornych arystokratów o twarzach z lodów waniliowych. Toulouse-Lautrec malował zamiast tego plakaty, rozpryskując na nich farbę szczoteczką do zębów. Poza tym nie interesowali go ludzie jak lody, malował klaunów, tancerki i – Andżelika zmarszczyła czoło nad trudnym słowem – prostytutki. Siri uśmiechnęła się nerwowo i powiedziała, że Andżelika jest wyjątkowo zdolna. To po prostu niewiarygodne, że dwunastolatka umie czytać takie grube książki na tak trudne tematy. Ona sama nie przeczytała w jej wieku nawet jednej książki.

Siri! Na myśl o niej serce przystaje, wolno łomocze i każde jego uderzenie wprawia w drżenie całe ciało. Andżelika wciąga powietrze i kładzie rękę na piersi. Nie. Nie wolno myśleć o Siri.

Musi za to zmusić się do myślenia o Ilonie. O tym, że Ilona pokręciła dziś głowę, widząc jej rysunek. Wszystko inne jest oszukiwaniem siebie samej.

To stało się pierwszy raz. Nigdy wcześniej nikt nie pokręcił głową na to, co narysowała Andżelika. Kiedy rysowała w podstawówce, inne dziewczynki tłoczyły się za jej plecami i piszczwały z zachwytem. „Jak prawdziwe! Jak ładnie! Ale ślicznie!” Nikt nie był od niej lepszy. Nawet Rebeka.

Może to dlatego opinia na jej temat zmieniła się tak w gimnazjum, może przez to, że nagle rysowanie zrobiło się głupie. Dziecinne bzdury. Ale teraz rysuje na serio. Teraz chodzi o przyszłość. Dziś na dziedzińcu szkoły stała Rebeka, przeczesywała ręką grzywkę; zamierzała postawić na naukę. Zrobić karierę i tak dalej. Jednak są i tacy, którzy mogą być tylko wyrzutkami społecznymi. Niektórzy niepotrzebnie się urodzili. Tak zwykła mówić jej mama, która na pewno się nie myli. Jest przecież lekarzem.

Wiatr na chwilę wstrzymuje oddech, nim znowu zacznie wiać.

„Wyyyrzutek – śpiewa – wyyrzutekwyyyrzutek...”

Grzechot dachówek. Jeśli zamkniesz oczy, brzmi jak oklaski.

Czy niektórzy rodzą się niepotrzebnie?

Tak. Dokładnie tak. Jeśli człowiek zmusi się do pomyślenia o tym.

Nie jest to bynajmniej miła myśl: parzy czoło jak rozpalone żelazo. Może właśnie z obawy przed tym parzącym dotknięciem Andżelika wmawiała sobie zarozumiale, że będzie artystką. Chępliwość chłodzi. Poza tym zatyka gębę Rebecę.

Rebeka wie przecież, że artyści są w jakiś sposób wyjątkowi, chociaż nie potrafi zrozumieć, w jaki. Nie zna żadnych artystów. Wśród jej starannie wyliczanych ciotek, wujów i kuzynów nie ma artystów, wszyscy są lekarzami, adwokatami, dyrektorami albo weterynarzami. Gdyby Andżelika zaczęła marzyć o takiej pracy, Rebeka zmiażdżyłaby ją w sekundę: „Co ty sobie wyobrażasz? Że twoje dobre oceny wystarczą?!” Jednak kiedy Andżelika powiedziała, że będzie artystką, Rebece zatkało. Spojrzała tylko w bok, udając, że nie usłyszała.

Andżelika zadzierała nosa nie tylko ze względu na Rebece. Z bycia artystą płyną jeszcze inne korzyści. Można na przykład chodzić ciągle w powycieranych dżinsach i

znoszonych trampkach i się tego nie wstydzić. Zachowywać się tak, jakby się nie było naprawdę biednym, tylko po prostu miało się gdzieś takie duperele...

Tak się przynajmniej wydawało Andżelice, dopóki nie znalazła się w klasie o profilu artystycznym. Dopiero po kilku dniach zauważyła, że inne dziewczyny w klasie wcale nie wyglądają niechlujnie. Wręcz przeciwnie. Miały obcisłe koszulki i jedwabne spodnie, tak wyrafinowane w swej prostocie, że musiały kosztować majątek. Tylko jedna osoba przypominała ją samą. Chłopak. Dziwny chłopak imieniem Rasmus, który nigdy się nie odzywał. Rysował okropne rzeczy: kobiety z poranionymi piersiami i martwą naturę z ludzkich wnętrzności. Dzisiaj Ilona pokiwała głową, widząc jego rysunek. Chwilę przedtem, nim zmarszczyła nos nad uśmiechniętą dziewczyną z burzą włosów na rysunku Andżeliki.

W Hallstavik zostałaaby za ten rysunek pochwalona. Jest tego pewna. Mimo to wie, że kryje się w nim fałsz, wiedziała to, jeszcze zanim go narysowała. Po prostu nie mogła nic na to poradzić, tak jakby te tysiące rysunków, które zrobiła, siedząc przy stole w kuchni Siri, wyslizgnęły się z głowy i przez ramię dotarły do jej ręki. Tak jakby nadal siedziała przy tamtym stole w Alasce, rysując jedną długowłosą dziewczynkę po drugiej. Tak jakby znowu czuła ciepłą dłoń Siri na nagiej skórze swojej głowy i słyszała, że nikt nie umie rysować równie pięknie, jak Andżelika. Nikt na całym świecie.

Tamtej wiosny często marzła. Pamięta to. Było jej zimno w głowę. Poza tym nie zostało jej więcej wspomnień. Może dlatego, że niewiele robiła, najczęściej siedziała przy stole w kuchni Siri, czytając lub rysując, kiedy już po powrocie ze szkoły rozwiozła ulotki. Nie chciała wychodzić. A kiedy była do tego zmuszona, naciągała czapkę głęboko na oczy i nie chciała jej zdejmować. Nawet w szkole.

Przez tę czapkę wysłali ją do pani kurator.

Jej pokój znajdował się na najwyższym piętrze budynku. Prawie na strychu. Andżelika musiała siedzieć przed drzwiami i czekać, ale wcale jej to nie przeszkadzało. To było dobre miejsce do siedzenia: mała, cicha poczekalnia z wysokimi oknami. Bez cudzych głosów. Bez oczu. W ogóle bez żadnych ludzi. Za oknem świeciło słońce i unosiły się w niebo białe dymy fabryki. Przez chwilę im się przyglądała, drapiąc się palcem pod czapkę. Skóra swędziała. Włosy zaczynały odrastać.

Mimo to kiedy Andżelika zdjęła czapkę i odsłoniła głowę, na twarzy kuratorki pojawił się grymas obrzydzenia. Szybko jednak się opanowała, przymknęła oczy i poprawiła kołnierzyk bluzki w paski, przybierając jednocześnie lekko zmartwioną minę.

– Moja kochana – powiedziała później, przechylając głowę – dlaczego zgoliłaś swoje piękne włosy?

Andżelika musiała zanurzyć się głęboko w sobie, żeby odnaleźć swój głos, ale i tak wydobył się z niej jedynie skrzek:

– To nie ja.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– To nie ja to zrobiłam.

Andželika położyła rękę na jasnym biurku. Kuratorka pochyliła się do przodu, żeby ją wziąć w swoje dłonie. Dziewczynka zdążyła zauważyć, że lakier na jej paznokciach ma ciepły wiśniowy kolor, ale cofnęła rękę i usiadła na niej. Przez sekundę patrzyły sobie głęboko w oczy, potem kuratorka odchyliła się na swoim krześle i splotła dłonie. Jej głos był nadal spokojny i przyjazny.

– Więc kto to zrobił?

Andželika wcisnęła również drugą rękę pod pupę i zaczęła się bujać na krześle.

– Bakcyl.

Kuratorka pochyliła się znowu do przodu i oparła brodę na splecionych rękach.

– Twój tata?

Andželika w milczeniu pokręciła głową. Kuratorka ściszyła głos:

– Czy on coś z tobą robi? W nocy? No wiesz...

Andželika znów zaprzeczyła ruchem głowy. Nie.

Bakcyl nigdy nie robił tego, o czym myślała kuratorka. Dlaczego miałby to robić? Uważa przecież, że Andželika jest obrzydliwa.

– Bije cię?

Głos powrócił. Andželika czuła niemal, jak wlatuje jej do gardła i się w nim sadowi.

– Nie – odpowiedziała, naciągając czapkę. – Nie bije mnie. Ogolił mi tylko głowę.

Nie. Teraz już musi spać. Kiedyś w końcu trzeba pospać.

Czasami ma wrażenie, że nie zasnęła od śmierci Siri. Ale to przecież bzdura, to też. Wie, że każdej nocy spała przynajmniej przez chwilkę. A zeszłej chyba nawet siedem godzin. Ale i tak czuje piekące zmęczenie pod powiekami.

Za to już nie marznie. Dokładniej to ujmując: wie, że marznie, ale tego nie czuje. Zęby szcękają. Kark zesztyniał. Palce u nóg chwytają kurcze. Jednak Andželika tego nie czuje.

„Wyrzutek – śpiewa wiatr za oknem. – Cholerny wyrzutekwyrzutekwyrzutek...”

Andželika ukrywa twarz we włosach i zasłania rękami uszy. Nie marznie. Nic nie słyszy. Teraz zaśnie.

Pod powiekami czeka na nią Bakcyl. Stoi w salonie Kariny i uśmiecha się. Andżelika zamieniła się w psa. Małego brązowego pieska o ostrych ząbkach, który podskakuje i gryzie Bakcyła w twarz. Nic to nie pomaga: Bakcyl nie chce umrzeć, chwytając tylko pieska za ogon i uderza nim w ścianę.

Potem zaczyna się śmiać.

Andżelika siada na łóżku. Wali jej serce, w żyłach burzy się krew.

– Uspokój się – mówi do siebie na głos. – To tylko sen.

Jej głos jest piskliwy i przeraża ją bardziej niż sam koszmar. Andżelika zeskakuje z łóżka i pędzi na korytarz, zapala światło i siada na podłodze, przyciskając powieki pięściami. Nie jest już prawie w stanie oddychać, plecy zeszywniały w skurczu, jakby jej własne ciało chciało ją udusić. Rатуje ją Siri, to jej twarz pojawia się teraz pod powiekami.

– Taka miła – mówi Siri. – Taka miła, zdolna i urocza...

Andżelika otwiera oczy i oplata się ramionami. Marznie. Teraz czuje, że naprawdę marznie.

Siri nie ma racji.

Andżelika nie jest miła. Wie o tym. Nigdy nie była miła. Nawet wtedy, kiedy była mała i mieszkała z Kariną. Zgodnie ze słowami matki, była naprawdę pyskata i nieznośna. Wrzeszczała jak wariatka, kiedy nie dostała tego, co chciała. Przeklinała i robiła miny. Podkradała pieniądze. Pluła Bakcyłowi w twarz, kiedy pijany spał na podłodze w salonie, i kradła jego papierosy.

Wyrzutek. Tym właśnie była. Cholernym małym wyrzutkiem.

Teraz jest za to cholernym dużym wyrzutkiem. Cholernym wyrzutkiem okłamującym jedyne na świecie człowieka, który się nią interesuje. Gówniarą, śmierdzącą zdziwą...

Andżelika wzdryga się na tę myśl. Przyciska głowę do ściany korytarza i zamyka oczy, nagle chciałaby uczesać włosy. Tak. Gdyby wszystko było inne, niż jest, uczesałaby teraz włosy. Gdyby sama była inna, uczesałaby teraz włosy. Niektórzy rodzą się niepotrzebnie...

Kurwa! Andżelika zaczyna wrzeszczeć i walić się w czoło. Już dość tych idiotycznych wyliczanek, wystarczą te, które teraz kłębią się w jej głowie.

– Opanuj się – mówi głośno i przy każdym słowie uderza się pięściami w skronie. – Weź się, do cholery, opanuj.

Pomogło. Andżelika wstaje, bierze głęboki oddech i opanowuje się.

Okay. Teraz musi zacząć działać konkretnie i systematycznie. Należy potraktować to jak zadanie matematyczne. Marznie. Czyli musi włożyć coś ciepłego. Nie może zasnąć. Czyli powinna zająć się czymś innym. Na przykład czytaniem. Ludzie często leżą, czytając, zanim zasną. Tak robią normalni ludzie. Sama tak robiła, kiedy mieszkała u Siri. Czasem Siri przynosiła jej jeszcze szklankę mleka, stawiała ją na nocnym stoliku i klepała Andżelikę po policzku. Andżelika lubiła to. Podobało jej się, że Siri potrafi coś powiedzieć, nie wypowiadając ani jednego słowa...

Zapomnij. Myślenie o Siri nie ma sensu. Coś ciepłego. Miałaś poszukać czegoś ciepłego.

Wchodzi do sypialni Augusty, nie pamiętając już, że wczoraj stanęła onieśmielona w progu, nagle przestraszona, że zakłóci pastelowy spokój tego wnętrza. Teraz jego kolory stały się martwe, wszystko jest szare, czarne, brudnobiałe. Światło wpadające z korytarza rysuje na ścianach czarne ptaki, siedzą tam nieme i nieruchome, z czujnie wyciągniętymi szyjami. Andżelika udaje, że ich nie widzi. Z zaciśniętymi zębami kuśtyka po zrobionym ze ścinków chodniku do komody. Palce lewej stopy nadal są rozczapierzone, a całe ciało sztywne jak u drewnianej lalki. Byłoby to nawet śmieszne, gdyby tak bardzo nie bolało.

Musi zмагаć się przez kilka minut z górną szufladą komody, bo ręce jej się trzęsą jak u starego pijaka. Jednak opłaca się powalczyć: kiedy szuflada wreszcie się otwiera, Andżelika widzi, że jest w niej pełno starych ubrań. Przez chwilę grzebie w nich, zanim znajdzie parę wełnianych skarpet i robiony na drutach sweter. Kiedy znowu ją zasuwa, w szparze utyka kawałek pasiastego materiału. Andżelika go wyciąga, żeby lepiej poskładać i wcisnąć do środka. Dopiero wtedy widzi, że to stara koszula nocna. Flanelowa koszula nocna w paski, na rozmiar słonia. Przykłada miękki materiał do nosa i ostrożnie go obwąchuje. Pachnie tak, jak pachną stare materiały: stęchlizną i kurzem. Osoba, która była kiedyś właścicielką koszuli, nie pozostawiła po sobie żadnych zapachów.

To Augusta, myśli Andżelika. To ona była taka duża, gruba i niezbyt miła...

Naciąga koszulę na sweter: tak będzie jeszcze cieplej. Potem nachyla się i wysuwa dolną szufladę komody. Jest zapełniona tylko do połowy, ale i tak mnóstwo w niej skarbów, Andżelika wyjmuje je po kolei i ogląda w świetle z korytarza. Stara broszka z krzyżem, sercem i kotwicą. Mała lampka z niedopaloną knotem. Para wielkich różowych majtek. Jakieś szklane brązowe słoiczki ze starymi lekarstwami. Andżelika marszczy czoło, z trudem odczytując etykiety: „Apekumorol” i „Lanacrisp”. Przepisane Augustie Johansson 20 marca 1975. Andżelika potrząsa słoiczkami, zanim odstawi je na

białą serwetkę na komodzie. Oba są prawie pełne. Ale to już nie interesuje Andżeliki, bo właśnie wpadło jej w oko coś innego: tubka kremu do golenia. Pojawia się nie wiadomo skąd, nagle toczy się po dnie szuflady, a potem zatrzymuje, kiedy wpada na przezroczystą torebkę z czymś żółtym i białym. Maszynki do golenia. Dziesięć jednorazowych maszynek do golenia.

Pozna je. Takich samych używał Bakcyl.

Wiatr na chwilę wstrzymuje oddech, a potem znowu zaczyna swoje.

„Smród! – woła. – Ścierwo! Zdzira! Paskuda! Cholerny, kłamliwy wyrzutek!”

Miała wtedy dwanaście lat. Miała dwanaście lat i była starszą siostrą. Mikael skończył właśnie trzy lata.

Miał pucołowate policzki, grube paluszki i wąskie oczka. Język ciągle mu się wysuwał, ale to nic nie szkodziło, był i tak najpiękniejszym dzieckiem w całym Hallstavik. Kiedy Andżelika odbierała go z przedszkola, zarzucał jej ramiona na szyję i zamykał ją w swoim zapachu. Zanurzała nos w jego włosach, żeby dobrze wyczuć składniki tej woni. Świeże powietrze. Mydło dla dzieci. Kropla miodu i cynamonu.

Z przedszkola odbierała go zawsze Andżelika, a jeśli nie ona, to Siri. Karina dostała właśnie kolejne, czteromiesięczne zwolnienie lekarskie z powodu dolegliwości kręgosłupa, a Bakcyl przyjeżdżał do domu co pięć tygodni. Odkąd przestał być człowiekiem z marginesu, przez kilka lat pozostawał bezrobotny, ale zaraz po urodzeniu Mikaela nareszcie dostał pracę. Nie tę, o której marzył, w fabryce, ale inną – w ośrodku leczenia uzależnień, w którym kiedyś sam został poddany leczeniu. Podobało mu się tam, mówił o tym wszystkim, którzy chcieli go słuchać. Jego praca miała głęboki sens, stosowano w niej dobrze przemyślane metody. Wychowanie. Zwykle, porządne wychowanie bez pieprzenia bzdur. Narkomani mają nauczyć się pracować i dobrze zachowywać, mają po prostu trzymać gębę na kłódkę do dnia, kiedy będzie można uznać, że zachowywali się dobrze wystarczająco długo, aby można ich określić mianem normalnych ludzi. A wtedy są oczywiście lepiej niż inni przygotowani do tego, żeby uczyć moresu kolejnych narkomanów. Znają przecież wszystkie ich triki. Wiedzą, z jak przebiegłymi kłamcami mają do czynienia i jak łatwo jest dać się nabrać na ich ckliwe historyjki i narzekania. Zatem dzieje się tak, że jeden całkowicie wyleczony pacjent za drugim wracają do ośrodka w roli opiekunów. I okazało się, że istnieje takie miejsce na świecie, gdzie Bakcyl nareszcie mógł poczuć się jak zwycięzca. Potrzebował tego. Teraz, kiedy życie dotknęło go jeszcze jedną porażką.

Najdłużej, jak się dało, odmawiał zaakceptowania faktu, że Mikael ma o jeden chromosom za dużo. Co oni pieprzą? Mikael jest przecież zdrowy jak dąb i silny jak tur, każdy to widzi. Głos Bakcyła podnosił się i stawał się piskliwy. Co? Chyba widać gołym okiem, że z jego dzieciakiem wszystko jest w porządku...

W jakimś momencie w ciągu tego pierwszego roku Bakcyl musiał jednak dostrzec prawdę, ale nigdy się do tego nie przyznał. Nigdy nie powiedział wprost, że jest ojcem chłopca z zespołem Downa. Za to jego wzrok coraz szybciej prześlizgiwał się obok Mikaela i już wkrótce prawie go nie dostrzegał. Czasem tylko Bakcyl poklepywał syna niezgrabnie po głowie, nim złapał torbę i pojechał do swojego drugiego życia.

Natomiast Andżelice przyglądał się coraz uważniej. Kiedy w czasie swoich wolnych tygodni wracał do domu, siadał ciężko na taborecie w kuchni, kładł czerwone dłonie na podrapanym drewnianym blacie stołu i zaczynał przesłuchanie. Czy to prawda, że Andżelika bez pytania o zgodę zaczęła roznosić ulotki reklamowe? I że jest tak chciwa, że chowa pieniądze dla siebie, nawet jeśli kończy się renta Kariny? Tak. Można się było tego spodziewać. Andżelika zawsze była egoistyczną małą jedzą, która nigdy nie pojęła znaczenia słowa „solidarność”. Ale on jej zaraz wyjaśni, jak...

Andżelika wcześniej nauczyła się zatykać uszy, kiedy Bakcyl zaczynał, ale teraz uważała, żeby tego nie spostrzegł. Kiedy mówił, stała naprzeciw niego poważna i wyprostowana, wyciągała przed siebie ręce, kiedy polecał, żeby to zrobiła, i pokazywała szyję, kiedy tego żądał, ale nie dopuszczała go zbyt blisko uszu. Bakcyl sprawdzał jej czystość z grymasem obrzydzenia. Kurde, jakie to ohydne, kiedy ktoś obgryza paznokcie!

Za każdym kolejnym przyjazdem do domu miał jednak coraz mniej do krytykowania.

Niemożliwym do podważenia faktem było to, że Andżelika rano wstawała pierwsza i przygotowywała dla wszystkich śniadanie. Równie nieodpartym faktem było, że budziła i myła Mikaela, po czym karmiła go płatkami śniadaniowymi i ubierała, ubierając się w tym samym czasie sama, a potem naciągała chłopcu kombinezon i biegła z braciszkiem do przedszkola, zanim jeszcze Karina i Bakcyl zdążyli wstać z łóżka.

To prawda. Bakcyl nie zamierzał być niesprawiedliwy, przyznawał, że Andżelika pomaga przy tym i owym. Wygląda jednak na to, że panienczce wydaje się, iż wolno jej samej decydować o tym, co i jak będzie robiła. A tak być nie może, Andżelika musi nauczyć się słuchać dorosłych i okazywać im szacunek.

Teraz już prawie nigdy nie była zamykana w łazience, a jeśli czasem się to zdarzało, kara nie robiła na niej wrażenia. Jak tamtego razu, kiedy Karinę wezwano do szkoły, żeby wyjaśnić pewne sprawy, dotyczące zachowania Andżeliki.

– To było jak rozprawa sądowa – powiedziała Bakcyłowi Karina, kiedy ten kilka tygodni później wrócił z ośrodka. – Zupełnie jak rozprawa sądowa...

To prawda. Andżelika mogła się z tym zgodzić. Wyglądało to właśnie tak, jak rozprawa sądowa w TV. Jediną różnicę stanowiło to, że osoba oskarżona nie miała prawa do obrony. Nie wolno jej było nawet uczestniczyć w rozprawie, musiała siedzieć w domu, wyobrażając sobie, o czym się mówi w gabinecie dyrektora szkoły. Nie żeby miała wiele

do powiedzenia na swoją obronę. Przyznała się już przecież, że groziła Jeanette Johansson z równoległej klasy, że złapała ją mocno za włosy i powiedziała, że wepchnie ją do zatoki Edeboviken, jeżeli nie pójdzie do Bergströma z ich firmy i nie powie, że chce zrezygnować z roznoszenia reklam. To prawda. Tak było. Ale skąd Andżelika mogła wiedzieć, że ta głupia krowa potraktuje jej słowa tak serio? Co? Poza tym ona potrzebowała pieniędzy. Czego nie da się powiedzieć o Jeanette Johansson. Jej matka jest przecież nauczycielką, a ojciec inżynierem.

Bakcyl wepchnął wtedy Andżelikę do łazienki i złapał za włosy. Bolało tak, że aż oczy zaszczyły jej łzami, ale nie przejęła się tym. Nie przejęła się też tym, że musiała zostać tam przez całą noc. Martwiło ją tylko, że słyszała potem, jak Bakcyl grzebie w jej rzeczach, jak przeklina, wysypując na podłogę zawartość plecaka, jak wyciąga szuflady biurka i je przeszukuje, jak otwiera jej szafę i wyciąga z niej ubrania. Może znajdzie jej dopiero co kupioną kasetkę na pieniądze i wszystko z niej zabierze. Schowała ją na najwyższej półce w szafie. Miała szczęście: Bakcyl nie sięgał do najwyższej półki, a nie zamierzał poniżać się stawaniem na krześle. Poklął tylko przez chwilę, a potem obrócił swoją wściekłość przeciw Karinie, złorzeczając coś na temat fatalnych matek. Mówił, że Karina musi wziąć się za siebie. Potem usadowił się przed telewizorem. Porządni ludzie oglądają co wieczór wiadomości. Bakcyl bardzo więc przestrzegał tego, żeby je codziennie oglądać.

Przez cały tydzień patrzył krzywo na Andżelikę, ale nie znalazł powodu do kolejnej napaści. Nie tak często bywała w domu. Kiedy poroznosiła już ulotki reklamowe i odebrała Mikaela z przedszkola, wsiadała na rower i jechała do Siri. Któregoś dnia przemyciła kasetkę z pieniędzmi i schowała ją u Siri w szafce na produkty. Miała na razie tylko jedną setkę i dwie dziesięciokoronówki, ale wiedziała już, że nie stać jej na szastanie pieniędzmi, że te dwa tysiące czterysta sześćdziesiąt dni, które pozostały do jej osiemnastych urodzin, musi wykorzystać na zgromadzenie wystarczająco dużego kapitału, by móc kupić sobie wolność.

Andżelika podnosi ostrożnie torebkę z maszynkami do golenia i odkłada ją na komodę, potem bierze do ręki lusterko i przygląda się swojej twarzy. Ćwiczy umiejętność prawdziwego patrzenia.

Czy Ilona zaaprobowałaby tę twarz?

Tak. Pewnie tak. Przecież wygląda jak czarownica. Wargi wykrzywia jej szyderczy grymas. Ma czarne cienie pod oczami. Włosy opadają ciężkimi kołtunami na twarz.

Ma ochotę je uczesać. Na komodzie Augusty nie leży jednak żadna szczotka. Tylko stary szylkretowy grzebień ze srebrnymi okuciami.

Czesanie grzebieniem jest przyjemne. Kiedy rozsypało się już najgorsze kołtuny, robi się prawie tak samo przyjemnie, jak przy czesaniu szczotką. Może jeszcze przyjemniej. Szczotka ciągnie i szarpie, a grzebień prześlizguje się miękko po skórze, sprawia, że i włosy stają się miękkie. Andżelika przesuwa ręką od czubka głowy w dół, sprawdzając, jak włosy się zmieniają, jak to, co przed chwilą było szorstkie i poczochrane, po chwili robi się gładkie jak jedwab.

Ciepłe ubranie pomogło. Andżelika już nie marznie. Rozgrzewa się.

Kiedy Bakcyl wrócił do domu, w powietrzu czuć było wiosnę. Może była to w ogóle pierwsza wiosna w jej życiu.

Nigdy wcześniej Andżelika nie przywiązywała do tego wagi. Nie rozumiała lirycznych wynurzeń nauczycieli na temat topniejącego śniegu i czystego światła. Według niej, kiedy mijała zima, świat stawał się brzydki i bezładny. Naga, sucha ziemia. Żółta i zwiędła zeszłoroczna trawa. Na asfalcie – pełno resztek żwiru*.

Wjechała na rowerze na most Skärstabron, na samą górę. Było ciężko, ale nie chciała się poddać. Musiała pokonać swój własny świszczący oddech i długi podjazd. Kiedy wjechała na szczyt, zatrzymała się i oparta stopą na asfalcie patrzyła z góry na fabrykę i zatokę Edeboviken. Łapiąc oddech, wsłuchiwała się w uderzenia własnego serca. Na chwilę świat pogrążył się w ciszy. W oddali nie słychać było żadnego warkotu samochodów. Żadnego krzyku mew. Żadnych ludzkich głosów. Powietrze było kruche jak szkło, wnikało w nią przez nos i usta, przez pory i źrenice.

Bóg ma niebieskie ręce, pomyślała Andżelika. Te ręce ładnie pachną.

To wydarzyło się trzy godziny później.

Zrobiło się już prawie ciemno, przez okna sączył się szaroniebieski zmierzch, który mieszał się z dymem z papierosów Kariny. Mikael spał. Za to Andżelika stała wyprostowana przed kuchennym stołem, podczas gdy Bakcyl wytrząsnął z paczki papierosa i zapalił. Trzęsła mu się lekko ręka.

– Idiota – powiedział niższym niż zazwyczaj głosem. – A więc nazywasz swojego młodszego brata idiotą...

Andżelika poruszyła lekko górną część ciała, ale nic nie odpowiedziała.

Bakcyl pokiwał głową.

– Jesteś małym smrodem... Kurwa, ale z ciebie wstrętny mały smród.

* W Szwecji chodniki i ścieżki rowerowe wysypuje się zimą żwirem. Wiosną zostają sprzątnięte.

Na chwilę robi się cicho. Wzrok Kariny przesuwa się po Andżelice, potem Karina odwraca głowę i wygląda przez okno. Po drugiej stronie wody w fabryce włączono reflektory, żarzą się jak białe gwiazdy.

– Idiota – powtórzył Bakcyl jeszcze bardziej stłumionym głosem. – Żeby nazwać swojego własnego braciszka idiotą...

Andżelika przesunęła językiem po wargach. Dziś jest inaczej. Gorzej niż zwykle.

– Nie chodziło mi przecież o to, że...

Bakcyl podniósł do góry rękę, sygnalizując, że ma milczeć. Wnętrze jego dłoni było czerwone.

– Zamknij gębę. Ani słowa.

– Ale...

Karina ciężko westchnęła.

– Nie bądź taka cholernie pyskata. Słyszeliśmy cię. Zarówno Conny, jak i ja słyszeliśmy, co powiedziałaś.

Bakcyl położył ręce na blacie stołu. Miał starannie wyczyszczone paznokcie.

– To takie jak ty... – powiedział, smakując i przedłużając każde słowo. – to takie jak ty, prześladują i dręczą wszystko, co jest inne. To takie jak ty nie pojmują znaczenia słowa „solidarność”. Nienawidzą.

Andżelika pociągnęła nosem.

– Ale on pomazał mój nowy blok rysunkowy... Każdy arkusz.

Bakcyl wstał i podsunął jej pod nos zaciśniętą pięść.

– Zamknij gębę. Kapujesz? Takie jak ty mają trzymać gębę na kłódkę.

Andżelika zamrugała powiekami i spróbowała przełknąć ślinę. Nie była w stanie: w gardle zebrała się gula płwocin, Nie płakała. Odkąd skończyła pięć lat, nie płakała nigdy w czyjejs obecności i tysiąc razy przyrzekała sobie, że nigdy więcej się to nie zdarzy. Tylko że wtedy nie wiedziała, że zdarzy się właśnie to, wtedy nie wiedziała jeszcze, że jest takim cholernym, wstrętnym wyrodkiem. Bakcyl mówił przecież prawdę. Naprawdę nazywała Mikaela idiotą. Zamknęła oczy i potrząsnęła głową.

– Ten blok kosztował pięćdziesiąt koron! Powiedziałam już przecież przepraszam...

Bakcyl otworzył pięść i wyprostował się.

– Aha – powiedział, robiąc krok do tyłu. – Chodzi o pieniądze. Można się było tego spodziewać. Chciwej panience chodzi zawsze o pieniądze.

Zrobił jeszcze jeden krok do tyłu i zniknął z jej pola widzenia, Andżelika poczuła, że nagle znalazł się za jej plecami. Karina nadal siedziała przy kuchennym stole, przesuwała ręką po karku i wolno kręciła głową.

– Jesteś, kurczę, kompletnie nienormalna – powiedziała, gasząc papierosa. – Pięćdziesiąt koron za blok rysunkowy... Szastasz pieniędzmi, co? Kiedy mnie nie starcza na jedzenie.

Bakcyl położył rękę na głowie Andżeliki, trzymał ją tam przez kilka sekund, a potem zsunął ją do tyłu i zawiął wokół dłoni jej kucyk. Miał bardzo niski głos.

– Może przyszedł czas na lekcję – powiedział. – Może już czas na to, żeby niektórzy nauczyli się, że nie wszystko da się przeliczyć na pieniądze.

Moja twarz, myśli Andżelika. Boję się mojej twarzy.

Popatrzyła na nią dopiero następnego ranka. Wtedy ją zobaczyła.

Telefon dzwonił, a ona stała wyprężona na baczność przed lustrem w przedpokoju. Nie liczyła sygnałów. Prawie ich nie słyszała. Po drugiej stronie lustra stała dziewczyna, która jej się przyglądała. Dziewczyna pozbawiona włosów. Dziewczyna z łysą czaszką i czarnymi oczami. Dziewczyna, która miała zupełnie sine usta. Dziewczyna, która powoli uniosła ramiona i zasłoniła nimi głowę.

– To ja – wyszeptała. – To ja.

Gdzie ona jest, myśli Andżelika, wpatrując się w lusterko Augusty. Gdzie ona się podziała?

Nie jest do końca pewna, o co tu chodzi, ale nareszcie wie, co powinna zrobić. Co musi zrobić. Co muszą wcześniej lub później zrobić wszyscy ci, którzy się niepotrzebnie urodzili.

Podnosi się ociężale z podłogi i opiera o komodę. Odkładając lusterko, uśmiecha się lekko do własnego odbicia. Czarne ptaki ze ścian z wahaniem składają skrzydła. Andżelika kieruje ku nim swój uśmiech.

– Nie musicie się tak śpieszyć – mówi czystym głosem. – Jest jeszcze dużo do zrobienia.

W pasiastej flanelowej koszuli można dość dużo zmieścić. Wystarczy unieść rąbek, żeby zrobić się spory koszyk. Tam włoży wszystko, co trzeba. Dwa brązowe szklane słoiczki pełne starych lekarstw. Grzebień ze srebrnymi okuciami. Przezroczystą torebkę z

dziesięcioma jednorazowymi maszynkami do golenia. A na koniec zielony pojemnik z kremem do golenia Wilkinson Sword.

Potem trzeba już tylko zejść na dół po schodach.

Teraz można zapalić lampę w kuchni. Wszystko jedno.

Na stole nadal stoi zupa mięsna. Na haku nad kuchenką wiszą nożyczki. Na kranie zaczeplone są trzy gumki recepturki.

Andżelika wysypuje na stół rzeczy z koszuli nocnej i odrzuca włosy. Gdzie jest grzebień? Chce po raz ostatni się uczesać, zanim wyjdzie do przedpokoju z kremem do golenia i jednorazowymi golarkami.

Jednak najpierw musi nalać wody do szklanki, usiąść przy stole i wziąć swoje lekarstwa.

– Hej – mówi dziewczyna w lustrze.

Andżelika wpatruje się w nią, nie odpowiadając. Naga czaszka błyszczy, oczy są czarne.

– Patrz – mówi dziewczyna, unosząc do góry koński ogon, kucyk kołysze się w jej dłoni.

Jest bardzo długi, ma prawie pół metra. Włosy rosną centymetr na miesiąc, a minęły już pięćdziesiąt trzy miesiące, odkąd ktoś po raz ostatni dotknął włosów Andżeliki nożyczkami. Andżelika podnosi rękę i gładzi się końskim ogonem po twarzy, jest chłodny i gładki jak jedwab. Szkoda, że nie czuje jego zapachu, że wszystkie zapachy domu zostały stłumione i unicestwione przez zapach kremu do golenia.

– Dobrze – mówi dziewczyna w lustrze. – Połóż go teraz na podłodze. Tuż przy drzwiach.

Andżelika kuca i układa koński ogon na podłodze, formując go palcami w ciemny wachlarz na żółtawych deskach podłogi. Tak jest dobrze. Prosto i pięknie. Może obok powinna jeszcze położyć grzebień ze srebrnymi okuciami?

– Nie – mówi dziewczyna z lustra. – Nie rób tego... To byłoby sztuczne.

Andżelika kiwa głową na znak, że rozumie, i wstaje. Zaczyna jej się kręcić w głowie, musi zamknąć oczy i oprzeć się o ścianę. Serce wali ciężko, każde uderzenie odbija się echem w jej głowie.

– Może to nie wystarczy – mówi dziewczyna z lustra. – Przecież nie wiesz, co to za pigułki. Musisz zrobić coś jeszcze.

Jej głos jest zupełnie czysty, ale twarz wygląda dziwnie. Dziewczyna patrzy tępo na Andżelikę spod przymkniętych powiek, broda jej obwisła.

– Wyjdź na dwór – mówi dziewczyna. – Rozbierz się, wyjdź na dwór i połóż się na ziemi. Przysyp się liśćmi. Niech twoje ciało zapadnie się w glebę i zniknie... Wtedy nie umrzesz. Przystaniesz tylko istnieć.

Andżelika kiwa w milczeniu głową. Dziewczyna z lustra ma rację.

Jej ruchy są zdecydowane, chociaż i ona musi czasem oprzeć się o ścianę, żeby nie pokonały jej zawroty głowy. Składa starannie wszystkie części ubrania w małe kwadraty i układa je w kupkę na podłodze. Flanelowa koszula w paski. Gruby sweter. Wytarta bluza. Para spranych dżinsów. Stanik. Para wełnianych skarpet. Majtki.

Potem stoją obie z rękami założonymi na piersi i przyglądają się sobie nawzajem. Na zewnątrz wyje wiatr, ale teraz brakuje mu słów. Dziewczyna z lustra uśmiecha się lekko.

– Włóż buty – mówi. – Inaczej nie zajdziesz daleko. A wtedy znajdą cię, zanim zapadniesz się w ziemię...

Andżelika bez słowa kiwa głową i wkłada swoje trampki, starannie je zasznurowuje, kończy małą kokardką. Kiedy spogląda do góry, widzi, że dziewczyna w lustrze też włożyła buty. Przez chwilę stoją w milczeniu. Dwie łyse dziewczyny przyglądają się sobie nawzajem, obie są nagie, ale obute. W tej samej sekundzie wyciągają do przodu ręce i dotykają się dłońmi.

– A gdzie ty pójdziesz? – pyta szeptem Andżelika.

– Gdzieś indziej – odpowiada dziewczyna. – Pójdę gdzieś indziej.

Część VI

SALA PRZYLOTÓW NA SZTOKHOLMSKIM LOTNISKU ARLANDA. Ludzie tłoczą się. Huczą głosy z głośników.

Lars wyciąga rękę z klucami. Klucze kołyszają się i podzwaniają lekko.

– Mógłbym je wysłać – mówi. – Nie musiałaś przychodzić.

Alicja wzrusza ramionami.

– I tak tędy przejeżdżałam.

– Jedziesz do domu Augusty?

Alicja przytakuje.

Corrine stoi kawałek dalej, odwrócona do nich plecami/ kuli ramiona. Alicja poznaje stojącą obok niej czarną walizkę: sama ją kupiła. W prezencie urodzinowym dla Larsa, pięć lat temu. Może siedem.

Lars zaciera rękę, jego wzrok utkwiał gdzieś ponad lewym barkiem Alicji. Z kieszeni na jego piersi wystaje karta pokładowa.

– Tak – mówi. Brzmi to jak westchnienie albo wypuszczenie powietrza.

Alicja czeka na dalsze słowa Larsa, ale on więcej się nie odzywa. Może nie ma już nic do powiedzenia.

Przez całą noc siedzieli w biurze Alicji. Teraz wiedzą już o sobie wszystko. Albo przynajmniej tak dużo, jak dużo można wiedzieć o osobie, z którą się przeżyło niemal trzydzieści lat.

Dokładnie tak dużo. I tak mało.

Lars odchrząkuje.

– Spotkasz się jeszcze z tym mężczyzną, z Krystianem?

Alicja kręci głową. Zatem tyle z tego pojął.

– Nie – odpowiada. – Nie spotkam się z nim.

Kątem oka widzi, jak Corrinne poprawia swój biały kaszmirowy szal.

– A ty? – pyta Alicja. – Zamierzasz zostać w Chicago?

Lars potrząsa głową.

– Nie teraz. Wracam za parę tygodni. Potem zobaczymy, jak to będzie.

Corrine odwraca się i zerka na zegarek, złotobrązowe włosy opadają na policzek.

– Okay – mówi Alicja. – Spakowałam już swoje rzeczy...

Corrinne wykonuje jakby lekki dyg i podnosi walizkę. Lars zerka na nią przez ramię, a potem znowu zwraca się ku Alicji.

– Chciałbym ten rozkładany stół – mówi. – I książki. To wystarczy. Wezmę to, czego nie będziesz chciała zabrać ty. To bez znaczenia.

– Wiem – mówi Alicja. – Zupełnie bez znaczenia.

Nagle obok Larsa wyrasta Corrinne. Uśmiecha się do Alicji. Alicja odpowiada jej uśmiechem. Lars uśmiecha się do nich obu. Wszyscy są bardzo dobrze wychowani.

Skończyło się, myśli Alicja, siadając na krześle w kawiarni.

Nie wie, dlaczego nie wyszła z lotniska i nie wsiadła do samochodu, dlaczego – chociaż Lars i Corrinne zniknęli po kontroli paszportów i biletów – ona nadal siedzi na Arlandzie.

Spogląda na swoją tacę. Kawa w grubym kubku. Zawinięta w plastik zimna kanapka prosto z lodówki. Gdzieś w okolicach przepony rośnie wstępt. Alicja przykrywa kanapkę serwetką i przysuwa sobie kubek. Potem spogląda na pas startowy. Krąży po nim samolot. Lufthansa. Lars i Corrinne mieli lecieć SAS-em. Nadal więc są zaledwie kilkaset metrów od niej. Może robią teraz zakupy w strefie bezcłowej. Śmieją się. Albo uśmiechają.

Alicja podnosi kubek i upija łyk kawy.

Jakie życie czeka ją po odlocie samolotu do Chicago?

Puste życie. Wie o tym. Życie pełne samotnych nocy. Życie, w którym mężczyźni, zarówno ci starzy, jak i młodzi, będą zaledwie prześlizgiwali się po niej wzrokiem, rejestrując na sekundę jej obecność, a potem o niej zapominając. Życie, w którym będzie chodziła do teatru razem z innymi samotnymi kobietami, jeśli w ogóle będzie chodzić do teatru. Będzie jeść z nimi kolacje. Rozmawiać o ostatnich wydarzeniach na świecie. Życie w świecie kobiet w średnim wieku. Świeżo rozwiedzionych. Przedwcześnie owdowiałych.

Alicja odstawia kubek na tacę i przesuwa kciukiem po wardze. Pewnie nie bardzo jest na co czekać. Przecież w zasadzie nie ma przyjaciół. Tylko znajomych. Za to dość wielu.

Boleśnie powraca myśl o Larsie. Miałam jednego przyjaciela, myśli. Jedyne.

Teraz widzi go wyraźnie. Teraz, kiedy go już nie ma, nareszcie może go zobaczyć.

Proste plecy. Ten bardzo męski sposób, w jaki pokazywał, że jest gotowy do wykonania jakiegoś zadania: stawał w rozkroku i poprawiał spodnie. Potem uśmiechał się. Jego powściągliwy śmiech, który wydobywał się w równym stopniu z jego gardła, co z oczu. Ten szybki gest, kiedy przeczesywał ręką łysinę, pokazując w ten sposób, że nawet bardzo rozsądni profesorowie matematyki mają w sobie coś z długowłosego szesnastolatka. Szesnastolatka, który czasem w ciemnościach sypialni dotykał piętnastolatki wewnątrz niej. Jego kościste ciało. Jego wargi. Jego żar, który potrafił rozpalic się nawet wtedy, kiedy zanurzali się w siebie po raz tysięczny, po raz dwutysięczny. Jego spojrzenie, gdy już zapalili światło, a Alicja odwracała się, zamykając się sama i zarazem swoje tajemnice.

Widział to, myśli Alicja. Widział i czekał. Przez cały czas. Aż w końcu się poddał.

Kolejny samolot krąży i obraca się dziobem w kierunku pasa startowego. Tym razem to SAS. Alicja spuszcza wzrok na kubek z kawą.

– Zmarnowałam swoje życie – mówi.

Sekundę później orientuje się, że powiedziała to na głos. Prostuje się i próbuje zamaskować te słowa kasznięciem. Niepotrzebnie. Nikt jej nie słyszał. Nikt na nią nie patrzy. Jest jedynym gościem w kawiarni.

Na kogo można zrzucić winę? – myśli, idąc do samochodu. Kto jest odpowiedzialny za to, że nigdy nie zrozumiałam, iż nie sposób żyć bez radości? Czy tylko ja sama? Czy może także Inga i Erland? Krystian? Lars? Augusta?

Wzrusza ramionami. Przeprowadzanie takiego śledztwa nie ma sensu. Wszyscy są tak samo winni. Wszyscy są tak samo niewinni. Przeszłość już nie istnieje.

Mimo to kiedy wsiada do samochodu i przekręca kluczyk w stacyjce, myśli właśnie o przeszłości. O tym, jak zmieniła się ona w ciągu ostatniego tygodnia. Jak to, co wcześniej wypełniało całe jej pole widzenia, skurczyło się i stało niemal niewidoczne. Jak to, co wcześniej było rozproszone i fragmentaryczne, ułożyło się w wyraźny wzór, równie skomplikowany i zagadkowy jak fraktale Larsa, ale mimo to przejrzysty i symetryczny.

Najpierw odczuwała to tak, jakby dopuściła się zdrady. Jakby zdradziła swojego starszego syna. Jakby mówiąc o nim, unicestwiła go.

Stała przy oknie odwrócona plecami do Larsa, wyglądając na ciemne podwórze. Przez cały czas, kiedy mówiła, Lars milczał, siedział bez ruchu na kanapie w głębi jej biura. Stopy położył na stole. Sama była zdziwiona, że potrafi utrzymać taki rzeczowy i chłodny ton, że słowa płyną tak łatwo, że odkrywa swoje myśli i tajemnice, a jej głos

nawet nie drży, chociaż widzi przecież, że robią to ręce, które przyciska do chłodnej szyby. Nie poddała się lękowi, nie pozwoliła sobie na szukanie wymówek i usprawiedliwień. Po dwudziestu siedmiu latach samokontroli mogła przynajmniej wymagać od siebie opanowania.

Kiedy w końcu umilkła i odwróciła się, zobaczyła, że Lars zasłonił twarz rękami. Jeszcze chwilę siedział bez ruchu, potem nagle odetchnął, spuścił nogi na podłogę i odsłonił oczy.

– Tak – powiedział, nachylając się do przodu. – Czyli teraz to moja kolej na wyznanie prawdy.

Poznał Corrinne już pięć lat temu. Na kongresie. Cztery lata temu została jego kochanką.

Na innym kongresie. Teraz rozwiodła się i chce, żeby on też się rozwiodł.

– Zostało mi jeszcze dwadzieścia pięć lat życia – zakończył. – Jeśli będę miał szczęście. To nie tak dużo.

Alicja skinęła głową i usiadła na swoim krześle. Czuliła suchość w gardle.

– Dlatego chcę żyć naprawdę – dodał Lars. – Przed śmiercią chciałbym zdążyć zakosztować prawdziwego życia.

Alicja nie odpowiedziała.

Kiedy Lars wstał, żeby wyjść, siedziała nadal nieruchomo przy biurku, nie poruszyła się, gdy wychodził do małego przedpokoju i zapalał tam światło. Dopiero słysząc, jak zasuwa zamek w kurtce, objęła się ramionami.

Lars otworzył drzwi i ostrożnie je za sobą zamknął. Słyszała echo jego kroków na podwórkowym asfalcie. O szyby uderzał deszcz. Wył wiatr.

Nadchodzi zima, pomyślała Alicja.

Kiedy obudziła się kilka godzin później, zorientowała się, że zasnęła przy biurku, że leży z policzkiem przyciśniętym do podkładki na blacie. Mimo to czuła się wypoczęta. Może dlatego, że na dworze świeciło słońce: żółte jesienne słońce, od którego skrzył się mokry asfalt podwórza.

Zanim wyszła do przedpokoju, żeby się rozebrać, otworzyła na oścież okno.

Dopiero stojąc pod prysznicem, uświadomiła sobie, że nie umie zobaczyć swojego starszego syna, że pod powiekami nie ma już jego obrazu. Stała chwilę bez ruchu z twarzą uniesioną ku strumieniowi ciepłej wody i przeszukiwała wszystkie zakamarki mózgu, próbując go odnaleźć. Ale nie. Nie było go tam. Jedyne, co jej pozostało, to odbicie tego obrazu. Wspomnienie wspomnienia.

Mimo to chwilę później mogła już usiąść przy biurku, włączyć komputer i spokojnie zmierzyć się z inną częścią przeszłości. Upiła łyk kawy i poszukała wzrokiem właściwej ikony na pulpicie: „Dziedzictwo fabryk”. Tekst, który pojawił się na ekranie, był rozproszony i fragmentaryczny. Beznadziejny. Alicja skasowała go, przez moment siedziała bez ruchu, wpatrując się w ekran, po czym zaczęła pisać.

Nagle wszystko stało się oczywiste. Epoka industrializacji była epoką kontrastów, więc wystawa na temat rozwoju przemysłu musi, rzecz jasna, właśnie na nich się skupiać. Za murami fabryki panował przymus, nadzór i kontrola. Dorośli ludzie byli traktowani jak nieodpowiedzialne dzieci, odbierano im prawo do podejmowania własnych decyzji, robotnicy dowiadywali się tam, że są nienawidzeni i pogardzani, i uczyli się, jak odpowiadać pogardą i nienawiścią. Poza murami fabryki rosła za to wolność. Pewnego dnia ludzie, którzy zaledwie jedną generację wcześniej od urodzenia do śmierci byłiby pozbawieni własności, mogli zasiąść przy swoim własnym stole, nie tylko po to, żeby zjeść, ale także po to, by porozmawiać. Spoglądali na siebie, zrozumiawszy w końcu, że sam fakt, iż jest ich wielu, daje im siłę, a siła jest po to, by ją wykorzystywać. Praca nie wymagała już wiedzy, ale mimo to wymagała więcej umiejętności niż kiedykolwiek wcześniej. Analfabeci nauczyli się czytać. Na początku ich lektury pozbawione były wszelkiego planu i porządku, Nick Carter mieszał się z Platonem, *Manifest komunistyczny* z Biblią, powieści z życia wyższych sfer z Zola... Alicja zawahała się.

Tylko baśnie umarły. Muszę o tym pamiętać. Nie wolno mi tego zapomnieć.

Alicja utknęła za wielką ciężarówką z drewnem, musiała zwolnić. Nie ma sensu wyprzedzać, za chwilę i tak będzie się wlec za następną ciężarówką. Droga do Hallstavik jest ich pełna. Zawsze. Codziennie. Przez cały rok. Olbrzym na brzegu zatoki Edeboviken ma spory apetyt.

Słońce jest już wysoko na niebie, wzdłuż drogi ciągną się złocistoczerwone, miedziane lasy. Gdyby Alicja dostała praktykę u Pana Boga, podarowałaby latu kolory jesieni. Kolor zielony gryzie się z błękitem nieba, a kiedy niebo jest zachmurzone, robi się nudny i bez wyrazu. Alicja uśmiecha się lekko do tych myśli i prostuje plecy. Praktyka u Pana Boga? Zachcianki niektórych nie znają granic...

Chwilę później robi się znowu poważna. Dlaczego się uśmiecha? Dlaczego nie płacze? Lars odszedł od niej. Siedzi teraz w samolocie z ręką na dłoni Corrinne, jak to możliwe, że Alicja może sobie jechać samochodem i cieszyć się barwami jesieni? Że owszem, czuje się trochę zmęczona i zrezygnowana, ale nie ma w niej rozpacz?

Wzrusza ramionami. Jest tak wiele rzeczy, których o sobie nie wiemy. Których może nawet wcale nie musimy wiedzieć.

Przez cały tydzień była tak dziwnie spokojna. Spokojna i pewna siebie. Kiedy prezentowała wczoraj w Muzeum Historycznym opis swojego projektu, była w stanie odpowiedzieć na wszystkie uwagi krytyczne chłodnym i spokojnym tonem.

Tak, mówiła. Na tej wystawie konieczne jest użycie wielkich luster. W ten sposób zwielokrotni się i uwypukli wszystkie paradoksy industrializacji, fakt, że w tamtej epoce każdemu zjawisku towarzyszyło jego przeciwieństwo; szły ze sobą w parze wolność i przymus, bunt i uległość, bogactwo i bieda, kolektywizm i indywidualizm. Poza tym – przez jej twarz przemknął uśmiech – istnieją przecież powody, by przypuszczać, że także przyszłość będzie lustrzanym odbiciem przeszłości. Być może zniekształconym, być może powiększonym w niektórych fragmentach i pomniejszonym w innych, ale jednak lustrzanym odbiciem.

Dlatego jest także konieczne, żeby wystawa poruszała temat baśni. Baśnie stanowią jednak wyjątek: stanowiły lustro, które nagle pękło. Kiedy ludzie weszli do fabryk, ich sposób myślenia musiał zmienić się w jakiś bardzo znaczący sposób: przybywali przecież ze świata, który zamieszkiwały najprzeróżniejsze istoty. Przychodzili z gospodarstw, w których mali ludkowie w szarych ubraniach pomagali parobkom i służącym w pracy, z lasów, w których rudowłose kobiety z dziurami w plecach kusiły drwali i węglarzy do najśodszych grzechów, z kopalń, w których krzepkie zjawy wyskakiwały ze ścian skalnych i porywały górników. Alicja nie twierdzi, że ludzie z dawnych społeczeństw chłopskich koniecznie w to wszystko wierzyli, ale nie ma wątpliwości, że baśnie były im potrzebne i przydatne. Mimo to nie zabrali nic z tego do fabryk. Po raz pierwszy, odkąd człowiek stał się człowiekiem, przyszło mu żyć w świecie pozbawionym baśni. Narodziła się kreatywność, ale umarła wyobraźnia...

Jeden z młodych mężczyzn przy stole konferencyjnym odchrząknął. Alicja odwróciła się do niego z grzecznym półuśmiechem. Myślisz, że się ośmieszam, pomyślała. Widzę to w twoim spojrzeniu. Proszę bardzo, możesz tak myśleć.

– Czy nie chodzi tu po prostu o poziom wiedzy? – zapytał. – Baśnie były narzędziem objaśniania świata, narzędziem, które straciło na znaczeniu, kiedy wzrósł poziom wiedzy.

– Nie – odpowiedziała Alicja. – Gdyby tak było, nie pojawiłyby się z powrotem.

Mężczyzna uniósł brwi.

– Z powrotem? Ma pani na myśli, że baśnie do nas wróciły?

– Tak – odparła Alicja z macierzyńskim uśmiechem. – Żyjemy w czasach opowieści. Pan tego nie zauważył?

Dojechała już do Hallstavik. Do samochodu wpada zapach mokrego drewna. Jadąca przed nią ciężarówka przyśpiesza, nabierając rozpędu przed wjazdem na most

Skärstabron. Alicja wrzuca niższy bieg, żeby zwiększyła się odległość pomiędzy nimi, rozgląda się wokół. Nie, żadnych znajomych twarzy. Żaden Kåre nie idzie do Ludowego Domu Kultury, żadna Marianna nie wraca z pełnymi siatkami ze sklepu spożywczego. Karina nie podąża zgarbiona w stronę ośrodka zdrowia ani Bakcyl z brodą uniesioną à la Mussolini nie śpieszy do biura pośrednictwa pracy. Nie ma Mikaela, który śmiałyby się swoim srebrzystym śmiechem, ani Andżeliki, która przejeżdżałaby obok na załadowanym ulotkami rowerze.

Rozpoznaję jej spojrzenie, myśli Alicja, skręcając w lewo. Wiem, co ono mówi.

Może powinnam któregoś dnia zaprosić Andżelikę do Sztokholmu. Trzeba z nią porozmawiać i zorientować się, czy można jej jakoś pomóc.

Alicja chce pojechać od razu do domu Augusty, ale nie zamierza tam długo siedzieć. Właściwie to wejdzie tylko do środka i wyłączy wodę. No nie, może zanim wróci do Hallstavik i odda klucz Mariannie, powinna jeszcze zrobić rundkę po domu i sprawdzić, czy wszystko tam jest w porządku. W niedzielę trochę się śpieszyła przy wyjeździe, może zapomniała o czymś jeszcze oprócz zamknięcia wody. Poza tym wcale nie pilno jej do tego, żeby usiąść przy stole w kuchni Marianny i powiedzieć jej to, co należy.

Jak dotąd o rozwodzie wspomniała tylko jednej osobie. Peterowi. Któregoś dnia zadzwonił z Paryża, w jego głosie słychać było powstrzymywany śmiech. Może się zakochał, tak podejrzewała, ale nie miała odwagi o to zapytać. Peter obudował swoje życie wysokimi murami i Alicja nigdy nie miała odwagi za nie zajrzeć, zadowalała się tym, co udało jej się zobaczyć przez wąskie szczeliny. Wygląda na to, że jest mu dobrze. Poza tym właśnie, że wie życie za wysokimi murami. Ale jakże miałyby być inaczej? Nikt nie pokazał mu, że można żyć inaczej. Zwłaszcza Alicja.

Wiadomość przyjął ze zrozumieniem, jego ton stał się tylko trochę poważniejszy niż zwykle. Jest mu przykro. Ale jeśli nie ma innego wyjścia, to...

Nie wspomniała mu nic o tym, że miał kiedyś starszego brata.

To może poczekać, pomyślała. Do prawdziwego spotkania.

W Nordanäng jest cicho. Alicja wysiada z samochodu i prostuje plecy, przez chwilę stoi, nasłuchując. W oddali wyczuwa tętno fabryki, ale jest ono tak przytłumione i dalekie, że nie jest całkiem pewna, czy naprawdę je słyszy.

Jesień osiągnęła swój punkt kulminacyjny. To widać. Pod jabłoniemi leżą w zgniłych kręgach spadłe owoce, liście bzu są tak żółte, że niemal białe, łubiny zrzuciły swoje kolorowe spodniczki i zamieniły się w chwasty. Wkrótce przyjdzie mróz: już teraz

drzemie w chłodnym powietrzu. Najwyższy czas, żeby wyłączyć wodę i pozwolić domowi Augusty na zimowy odpoczynek.

Alicja zamyka drzwi samochodu i rusza w kierunku domu.

Po otwarciu drzwi przez chwilę nie może zrozumieć, co przed sobą widzi. Jakieś zwierzę? Alicja mruga powiekami. Czy na podłodze w domu Augusty położyło się i zdechło małe brązowe zwierzątko?

Po chwili już widzi. To włosy. Włosy kobiety. Spadek po Auguście dla wszystkich kobiet w rodzinie.

Alicja przyklęka i zasłania usta ręką, drugą przesuwając po końskim ogonie.

Andzelika, myśli. Andzelika... Co ty zrobiłaś? Do czego cię doprowadzili?

POTEM BĘDZIE PAMIĘTAŁA CISZĘ.

Moment, kiedy pojęła, że to, co jeszcze przed chwilą brała za ciszę, było w rzeczywistości światem pełnym dźwięków. Świergot ptaków. Szum wiatru. Cichy odgłos, kiedy stygnie silnik samochodu.

Teraz te wszystkie dźwięki zniknęły. Teraz zapadła cisza. Świat naprawdę zamilkł.

Wszystko robiła powoli, przestąpiła dużym krokiem koński ogon, potem przeszła do kuchni i rozejrzała się dookoła. Na stole stał talerz zupy mięsnej, na podłodze leżała łyżka. Obok talerza stała szklanka, tuż przy niej dwa brązowe słoiczki po lekach. Puste i bez pokrywek. Zrobiła trzy kroki w kierunku zlewu: nie było widać sitka odpływowego, wszystkie małe dziurki pokrywała warstwa brązowej szczeciny. Ktoś golił tu włosy. Gęste włosy. Alicja otworzyła szafkę pod kuchennym blatem. Tak. W kuble na śmieci zobaczyła pięć zużytych maszynek do golenia.

W dużym pokoju panowały zimno i chaos. Na podłodze leżało przewrócone krzesło. Jeden z obrazów był przekrzywiony. Nad podłogą zwisała na czarnym kablu słuchawka telefonu. Tylko światło, które wślizgiwało się przez zaciągnięte żaluzje, było bardzo łagodne, zdobiło ściany i podłogę łagodnymi pastelami.

Alicja poruszała się teraz szybciej, trzema wielkimi krokami pokonała schody na piętro, zgasila zapaloną lampę w korytarzu, nie do końca świadoma, że to robi, i zajrzała do sypialni Augusty. Zanim wyciągnęła rękę do drzwi garderoby, żeby je otworzyć, skuliła ramiona.

Łóżko było nieposłane, pościel – zmięta. Jednak w środku nikogo nie było. Nikt nie leżał na łóżku polowym z ogoloną głową, nikt nie patrzył na nią pustym spojrzeniem.

Ułga była tak wielka, że aż ugięły się pod nią kolana. Oparła się o framugę i przez chwilę stała, chwytając oddech. Później zaczęła grzebać w kieszeni w poszukiwaniu komórki. Zanim ktoś odebrał, minęły trzy sygnały.

– Tak? – odezwała się Marianna pytającym tonem.

Alicja chrząknęła, minęło kilka sekund, nim udało jej się wydobyć głos.

– Coś się stało – powiedziała ochryple. – Coś się stało.

Od tej chwili świat był znowu pełen dźwięków.

Najpierw w telefonie niedowierzający głos Marianny, potem głos Kårego. Hałas silnika ich samochodu, kiedy nadjeżdżali od strony szosy. Roznoszące się po lesie echo,

kiedy wysiadali i każde z nich zatrząskiwało drzwi auta. Pełne irytacji słowa Marianny: „Co ona znowu wymyśliła!”, gdy wchodziła przez furtkę, i jej stłumiony krzyk, kiedy zobaczyła koński ogon. Głos stojącego na werandzie Kårego, gdy rozmawiał przez komórkę. Chrzęst żwiru na ścieżce ogrodowej, kiedy pierwsi policjanci wrócili do swojego samochodu, żeby złożyć raport. Stłumione głosy pozostałych mieszkańców Nordanäng, kilkunastu osób, które wywabiło z domu migoczące, niebieskie światło samochodu policyjnego. Alicja rozpoznała tylko trzy spośród nich, Kristoffera i jego rodziców. Ann-Katrin miała na sobie niebieski rozpinany sweter, owinęła się nim szczelniej, kiedy obok krzaków bzu zatrzymała się taksówka, z której wygramolili się Karina i Bakcyl.

– To jej rodzice? – zapytała tak głośno, że jej głos wzbił się ponad innymi głosami.

Nikt nie odpowiedział, ale Kristoffer rzucił jej szybkie spojrzenie, a potem odwrócił się i ruszył do furtki.

To właśnie Kristoffer ją znalazł.

Nie Bertil. Nie Kåre. Nie Bakcyl. Nie żaden z czterech policjantów. Ani też nikt spośród wszystkich tych, którzy godzinę wcześniej ruszyli na poszukiwania do lasów wokół Strömsviken. Tylko Kristoffer.

Kiedy wrócił do ogrodu Augusty, był szary na twarzy, ale nic nie powiedział. Oparł się tylko o samochód Alicji i ukrył twarz w dłoniach. Ann-Katrin, która do tej pory siedziała na schodach werandy, zasypując Karinę słowami, zamilkła i wstała. Zrobiła trzy kroki w kierunku swojego syna, a potem stanęła w miejscu. Z tyłu za nią wyprostowała się czujnie Karina. Marianna gryzła kostki palców.

– Znalazłeś ją? – zapytała Alicja.

Kristoffer odjął ręce od twarzy i pokiwał głową.

– Nie żyje?

– Tak – odpowiedział Kristoffer głosem dorosłego mężczyzny. – Nie żyje.

Przygryzł wargę i zwrócił twarz ku niebu. Na jego rzęsach zamigotało słońce. Odchrząknął i głos mu zadrżał.

– Prawie jej nie poznałem – dodał, spuszczać wzrok na żwirowaną ścieżkę. – Nie miała włosów. – Podniósł oczy, na twarzy pojawił się wyraz konsternacji. – Była zupełnie łysa.

Stali rozproszeni w ogrodzie, czekając na powrót karetki z lasu. Słońce zaczęło już zachodzić. Czerwone światło rozpałiło kolory jesieni, ozłociło srebrne włosy Kårego, który obejmował ramieniem Mariannę, i narysowało głębokie cienie na twarzy wspartej na

Bakcyłu Kariny. Bakcyl poruszał szczękami, jakby coś żuł, i wpatrywał się ze zmarszczonym czołem w brzozy po drugiej stronie drogi.

– Została zamordowana – odezwał się tępym głosem. – Niech mnie cholera, że została zgwałcona i zamordowana...

Nikt nie odpowiedział, ale Karina wydała z siebie cichy dźwięk, coś pomiędzy westchnieniem i piśnięciem. Bakcyl uniósł brodę.

– Tak. Została zamordowana. I mówię wam, że osobiście rozprawię się z tym pierdolonym psychopata, który to zrobił...

Kåre położył mu rękę na ramieniu.

– Ona ogoliła sobie głowę – powiedział cicho.

Bakcyl przebiegł wokół wzrokiem, szukając wsparcia w kręgu znajomych twarzy. Nikt na niego nie patrzył. Bertil siedział na schodach werandy, obejmując ramieniem Kristoffera, Ann-Katrin stała na trawniku, obciągając sweter. Alicja – przy furtce, odwrócona do nich plecami. Wyciągnęła szyję.

– Już jadą – poinformowała.

Karetki ma żółte oczy. Świecą się, znikają na zakręcie, a potem pojawiają się znowu. Na chwilę w ogrodzie Augusty zapada cisza. Wszyscy stoją w czujnym milczeniu, kiedy nagle do nieba wznosi się krzyk.

– Andżelika! – To Kristoffer. – Andżelika!

Łabędź, myśli Alicja, zmywając naczynia po poczęstunku dla żałobników. Krzyczał jak łabędź...

Została sama w domu Augusty, udało jej się przekonać Mariannę, żeby pojechała do siebie i pozwoliła jej tu zrobić wszystko, co trzeba. Obie zajmowały się organizowaniem pogrzebu. Alicja porozmawiała z księdzem i wybrała trumnę, Marianna przygotowała torty kanapkowe i upiekła ciastka na poczęstunek po pogrzebie. Karina nie zrobiła nic: przez szesnaście dni leżała bez ruchu w łóżku. Alicja odwiedziła ją kilka razy. Siedząc na brzegu łóżka, opowiadała szeptem, jakie wybrała psalmy, jak będą poustawiane kwiaty i jaki wiersz zamieści w nekrologu.

– Karin Boye – powiedziała, przesuwając dłonią po pościeli Kariny. – To przecież poetka młodych dziewczyn...

Umikła, czekając na odpowiedź, ale się jej nie doczekała. Karina leżała bez ruchu, wpatrując się w sufit. Alicja odwróciła od niej wzrok i zaczęła recytować:

Krainy mojego świtania bronią
Mury z lodu i mroźna cisza.
Drżące powietrze blade z tęsknoty
Za słońcem i opalenizną.
Cierniste krzewy czekają z lękiem,
Pozamykane w swych nagich gałęziach.
Uschłe konary proszą i żebrzą,
By móc wybuchnąć kwiatami.

Karina westchnęła głęboko. Alicja wstała.

– To o Andżelice – powiedziała. – Musimy to przyznać. My wszyscy.

Kiedy wyszła do przedpokoju, w drzwiach do salonu stał jak cień Bakcyl. Wpatrywała się w niego, wkładając kurtkę. Ściągnął ramiona.

– Ja... – zaczął i zaraz umilkł.

– Tak – powiedziała Alicja.

Odchrząknął.

– Mnie też nie było łatwo... Dom dziecka i tak dalej. Ciągłe bicie.

Alicja zaczęła właśnie zapinać suwak, ale teraz opuściła ręce. Bakcyl pociągnął nosem.

– Chciałbym tylko, żebyś to wiedziała. Żebyście wszyscy to wiedzieli.

Alicja wsadziła rękę do kieszeni.

– Wiem o tym – zapewniła. – Wszyscy o tym wiemy. Ale...

Na chwilę zapadła cisza.

– Ale co? – zapytał w końcu Bakcyl.

– Ale nie licz na moje współczucie – odparła Alicja. – Skończyło się, kiedy się dowiedziałam, że ogoliłeś jej głowę, kiedy miała dwanaście lat...

Bakcyl zrobił krok w tył, głos mu się łamał:

– Kiedy miałem dziesięć lat, dostawałem lanie skórzany pasem, do dzisiaj mam na plecach blizny.

– To cię nie tłumaczy – powiedziała Alicja. – Przemocy nie można usprawiedliwiać przemocą.

Ręce trzymała w kieszeniach. Nie powinien zobaczyć, że drżą.

Na dworze szybko zapada zmrok. Kiedy Alicja zabiera się do wycierania naczyń, musi zapalić w kuchni światło. Nie jest tego dużo, tylko dwanaście filiżanek i talerzyków w kwiatki, jedna szklanka. Alicja podnosi ją z uśmiechem do światła.

To ona zaproponowała, żeby poczęstunek po pogrzebie zorganizować w domu Augusty. Marianna była do tego nastawiona sceptycznie, uważała, że z kościoła w Häverödal jest za daleko do Nordanäng, i proponowała własny dom, ale kiedy Alicja dalej się upierała, wzruszyła ramionami i ustąpiła. Skoro Alicja uważa, że to takie ważne: proszę bardzo... Nawet jeśli miałyby to oznaczać mnóstwo dodatkowych kłopotów.

Alicja sama nie rozumie, dlaczego była taka stanowcza, wiedziała tylko, że nie zamierza się poddawać. Może to nieporadne, spóźnione przyznanie racji. Przyznanie się do winy. Andżelika miała słuszość. To także jej dom. Jej i Mikaela.

Alicja wzdycha i odwiesza na haczyk wilgotny ręcznik. Zmywanie skończone. Kuchnia jest już uporządkowana. Wszystko skończone.

W dużym pokoju pali się samotna lampa. Rozsiewa staroświeckie, żółte światło.

Alicja staje w progu i przygląda się wnętrzu. Krzesła ze swoimi wyrytymi na oparciach jabłkami stoją starannie poprząsowane do stołu, obrazy wiszą prosto, czarna bakelitowa słuchawka telefonu leży na widelkach.

Alicji przemyka przez głowę pytanie: do kogo dzwoniła Andżelika tego ostatniego wieczoru?

Ale zaraz wzrusza ramionami. Dom Augusty ma swoje tajemnice. Ta będzie kolejną z nich.

– Andżeliko – mówi na głos Alicja – powinnam była sprawdzić, co się u ciebie dzieje, ale...

Przerywa w pół słowa. To wszystko to tylko zwykłe wymówki. Nie można tłumaczyć tego, że się nie zauważyło, faktem, że samemu było się niezauważanym.

Nie ma na to usprawiedliwienia.

Schody skrzypią pod jej czarnymi pantoflami, kiedy wchodzi na piętro. Nie była tu od tamtego dnia. To Marianna posprzątała i poustawiała wszystko na swoim miejscu.

W korytarzu pali się lampa. Może to jej blade światło sprawia, że nagle Alicja przypomina sobie, jak pewnego dnia przed dwudziestu siedmiu laty otworzyła drzwi do

garderoby na poddaszu. Nie była wtedy sama, kiedy wchodziła do ciasnego wnętrza, podążał za nią Lars. Miał na sobie ciemny garnitur: kilka godzin wcześniej spoczęła w ziemi Augusta.

– Zobacz – powiedziała Alicja, sięgając po sukienkę w szkocką kratę, która wisiała na haczyku na ścianie. – To moja stara sukienka... Z lat pięćdziesiątych.

Lars uśmiechnął się, ale na sukienkę ledwie rzucił okiem.

– Czy to był twój pokój? – zapytał, rozglądając się.

Alicja odwiesiła sukienkę na haczyk.

– Nie – odparła. – Właściwie nie. To był tylko taki dodatkowy pokoik. Na wypadek, gdyby był potrzebny. Dla gości.

Sukienka w szkocką kratę nadal wisi na swoim haczyku, ale wygląda na zniszczoną. Spódnica obwisła. Fastryga, którą przyszyto bawełniany kołnierzyk, zaczyna puszczać. Ale lampa naftowa wygląda dokładnie tak jak czterdzieści lat temu i nadal stoi na małym taborecie obok łóżka. Leży też na nim pudełko zapalek. Alicja bez namysłu przeciąga zapalką po drasce i zapala lampę. Potem przysiadła na brzegu łóżka i rozgląda się. Tak samo jak kiedyś na boazerii tańczą czarne cienie. Pod taboretami stoi łubianka. Alicja pochyla się i przyciąga ją do siebie.

Cztery niebieskie zeszyty leżą na samym wierzchu. Sama zawsze pamiętała, żeby chować je pod spód. Ktoś przeczytał jej opowieści z domu Augusty. Jednak Alicja nie chce do nich wracać, kładzie tylko zeszyty na kolanach i gładzi je ręką. Uśmiecha się lekko na widok swojego okrągłego pisma, tak podobnego, a jednak tak różnego od tego, którym pisze dzisiaj. Potem pochyla się i znowu zagląda do kosza. Na dnie leży stara książka z biblioteki. Złodziejski łup z innych czasów.

Palce Alicji wydają się nienaturalnie białe, kiedy bierze do ręki czerwone okładki. Od razu zauważa, że książka jest zniszczona. Rozpada się. Sama otwiera się w jej rękach, kilka pożółkłych luźnych kartek sfruwa na dno kubałki. Alicja nie próbuje ich złapać. Kładzie na kolanach to, co zostało z książki, i otwiera. Oczy przesuwają się po stronie tytułowej.

„Musimy zaliczać dziewczyny. Karl Singel”

Zapomniała ten cytat. Ale teraz go sobie przypomina. Wodzi po słowach palcem wskazującym. Jak uczennica. Nagle zaczyna się śmiać: być może całe jej życie wyglądałoby inaczej, gdyby pewnego dnia przed czterdziestu trzema laty nie pozwoliła sobie przeszkadzać w miejskiej bibliotece w Jönköping. Gdyby odwróciła się do Krystiana plecami i wyjęła z półki tę książkę. Gdyby usiadła przy bibliotecznym stoliku i wczytała się dokładnie w to zdanie, zamiast pozwolić się zaprosić do cukierni. Gdyby dostrzegła i zrozumiała, że podmiotem domyślnym w tym zdaniu są „chłopcy”, „musimy zaliczać” to orzeczenie złożone, a „dziewczyny” stanowią dopełnienie.

Przez chwilę Alicja siedzi z książką na kolanach. Nie ma jeszcze piątej, ale za oknem jest już ciemno. Nadchodzi zima, zbliża się dużymi krokami. Wyje wiatr, pojedyncze krople deszczu stukają o szybę. Alicja podnosi głowę i nasłuchuje, ale to wcale nie wiatr i nie deszcz.

To szepty domu.

Alicja naprawdę słyszy, że dom Augusty zaczął szeptać.

epilog

Lis widzi to, czego nie dostrzega nikt inny.

Jest jak srebrny wykrzyknik w srebrnym lesie, białe, mizerne stworzenie w białym, mizernym świecie. Głoduje. Zima jest bardzo mroźna i czasem mija kilka dni pomiędzy tymi szczęśliwymi chwilami, kiedy może poskakać, polując na nornicę.

Najczęściej leży bez ruchu w swojej norze, żeby oszczędzać siły. Opiera pysk na złożonych łapach i niemrawo węszy w powietrzu. Na mrozie brakuje zapachów. Nie ma zapachów, nie ma nornic, brak wspomnień i myśli. Nieraz zamyka oczy i śni, tak jak kiedyś skrada się przez miedziany las, pocieszają go jego wonie.

Dlatego kiedy pewnego dnia bardzo szczególny zapach wślizguje się nagle w pustkę jego czaszki, lis myśli, że to sen. Unosi głowę w ciemnościach swojej nory, mruga i kładzie uszy po sobie. Słyszy coś. Ciężkie kroki w pobliżu. Lekki oddech człowieka.

Lis leży bez ruchu w norze jeszcze długo po tym, jak kroki oddaliły się, czeka na właściwą chwilę. Podnosi się dopiero wtedy, kiedy na dworze zapada ciemność, i przeciąga się oparty na łapach. Gdy wyślizguje się na zewnątrz, jest niewidoczny: białe poruszenia na białym tle.

Nad lasem zamyka się czarne niebo. Pełno na nim gwiazd. Jednak lis na nie nie patrzy, przysuwa pysk do ziemi i podąża za śladem człowieka. Ślad nie prowadzi daleko: tylko na polanę. Na tę samą polanę, z którą kojarzy się wspomnienie tysiąca słodkich zapachów; zapachów, które już dawno temu rozwiały się i ulotniły.

Coś leży na śniegu. Kilka ciemnych łodyżek. Lis waha się przez moment, zatrzymuje się w pół kroku i węszy. Potem uznaje, że może podejść bliżej i sprawdzić. Nie ma niebezpieczeństwa. Wie o tym.

To tylko wspomnienie lata. Zioło. Albo przyprawa.

Oregano.

Dziki majeranek.

Lebiodka.